



DEBBIE MACOMBER

Słońce i deszcz

Rozdział pierwszy

- Nie wiem, jak długo jeszcze pożyje pani dziadek. Molly przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha i osunęła się na stołek obok telefonu. Tom i Clay kłócili się właśnie zawzięcie o to, który z nich powinien nakryć do kolacji, telewizor ryczał, minutnik przy kuchence zaczął natarczywie brzęczeć, jednak ona nie zwracała na to uwagi.

- Mój dziadek... Chwileczkę, kim pan właściwie jest? -zapytała.

- Nazywam się Sam Dakota - odpowiedział głos po drugiej stronie linii. - Rozumiem, że nie jest to najwłaściwszy moment, ale uznałem, że powinienem zawiadomić panią odpowiednio wcześniej. Widzi pani... Walt na pewno by tego nie pochwalił, ale sądzę, że ma pani prawo znać prawdę i wiedzieć, jaki jest stan jego zdrowia.

Telewizor wciąż ryczał, chłopcy nie zamierzali zaprzestać kłótni. Poprzez ich wrzaski do uszu Molly dobiegł przeraźliwy brzęk tłuczonego szkła.

Zakryła dłonią słuchawkę i krzyknęła w ich stronę:

- Chłopcy, proszę! Nie teraz!

Zamilkli niemal natychmiast, jakby po tonie głosu matki odgadli, że ten telefon jest naprawdę ważny. Odwrócili się jak na komendę i wbili w nią wzrok.

- Skąd pan zna mojego dziadka, panie Dakota? - Molly wróciła do rozmowy.

- Jestem zarządcą na jego ranczu. Od pół roku.

Molly kiwnęła głową. Wiedziała, że dziadek przekazał zarządzanie ranczem w cudze ręce, jednak do tej pory nie łączyła tego ściśle z jego zdrowiem czy wiekiem. Od kilku już lat dziadek wyzbywał się po kawałku swojej olbrzymiej niegdyś posiadłości i teraz pozostało mu jedynie jakieś dwa tysiące akrów - niewiele jak na standardy obowiązujące w Montanie. Oczywiście Sam Dakota nie był pierwszym zarządcą w historii rancza o równie romantycznej, co dziwacznej nazwie Złamana Strzała. Wynajęci pracownicy przychodzili i odchodzili, lecz dziadek i tak sprawował osobistą kontrolę nad wszystkimi sprawami i przedsięwzięciami. Dopiero list, który wysłał do Molly przed czterema miesiącami, zaraz po Gwiazdce, zaniepokoił ją nieco.

Po pierwsze, dziadek pisał listy tylko w okolicznościach szczególnych, po drugie zaś zdziwiła się, że losy rancza powierzył obcemu, sam rezygnując z wpływu na decyzje zarządcy. Powinno ją to było wówczas zaniepokoić, jednak zajęta własnymi problemami, szybko odsunęła na bok nieprzyjemne myśli.

- Gzy mógłby mi pan wyjaśnić, co właściwie się stało? - spytała, usiłując odzyskać równowagę.

- Tak, oczywiście... No więc wiosną jak zwykle mamy mnóstwo roboty. Wczoraj pani dziadek poinformował mnie, że chciałby przyjrzeć się cielakom. Umówiliśmy się. Kiedy nie przyszedł, wróciłem do domu i zastałem go nieprzytomnego na podłodze w kuchni. To był atak serca.

Molly przycisnęła palce do ust. Z przerażeniem pomyślała o dziadku, leżącym samotnie w boleściach, z trudem łapiącym oddech, cierpiącym. Odkąd matka i przyrodni brat Molly zamieszkali w Kanadzie, dziadek stał się dla niej najbliższym członkiem rodziny. Tylko on łączył ją z od dawna nie żyjącym ojcem.

- Zawiozłem go do kliniki w mieście. Doktor Shaver potwierdził moje przypuszczenia - mówił mężczyzna. - To serce. Walt ma wszczepiony rozrusznik, ale jego serce jest słabe, kruche i stare. Stymulator nie działa tak dobrze, jak powinien...

- Dziadek ma stymulator? - zdumiała się Molly. - Ja... nic nie wiedziałam... Od kiedy?

Z trudem wypowiadała kolejne słowa przez ściśnięte wzruszeniem gardło. Uniosła dłoń i dotknęła kamei wiszącej na złotym łańcuszku na jej szyi. To była najcenniejsza biżuteria, jaką kiedykolwiek posiadała. Ofiarował ją jej dziadek w dniu pogrzebu babci, dziewięć lat wcześniej.

- Od pół roku. Ja też dopiero teraz się dowiedziałem.

- Boże, czemu nikomu nic nie powiedział?

- Nie mam pojęcia. Wciąż jeszcze nie za dobrze go znam, pani chyba lepiej... W każdym razie pomyślałem, że powinna pani wiedzieć o jego chorobie. Walt chyba nie-długo już pociągnie. Jeśli chce go pani zobaczyć przed śmiercią, musi pani przyjechać jak najszybciej.

- Co właściwie jest nie tak z jego sercem? - zapytała, aby choć na chwilę odsunąć od siebie myśl o kosztownej wyprawie z San Francisco do Montany. W tej chwili nie mogła sobie na nią pozwolić.

- Co jest nie tak? Wiem tylko tyle, ile powiedział mi doktor. Wie pani, jak działa taki rozrusznik?

- No... trochę. - Molly wiedziała tylko, że stymulatory emitują elektryczne impulsy, dzięki którym chore serce pobudzone jest do skurczy.

- Mówiłem już pani, że serce pani dziadka jest kruche i słabe. Za słabe. Rozrusznik nie funkcjonuje prawidłowo. Doktor Shaver nie gwarantuje, że sytuacja się polepszy. Podobno nic więcej nie może zrobić i to tylko kwestia czasu, kiedy to schorowane serce stanie na dobre.

Molly przycisnęła dłoń do piersi. Poczowała się nagle tak, jakby to jej serce miało się właśnie zatrzymać.

- Dziękuję panu - odezwała się słabym głosem. - Dziękuję, że pan zadzwonił. Jeszcze raz dziękuję...

- Przykro dzwonić w takiej sprawie.

- Tak... Tym bardziej jestem panu wdzięczna. Jak on się teraz czuje?

Zerknęła w stronę pokoju. Tom i Clay stali nieruchomo w drzwiach, wyraźnie poruszeni przebiegiem rozmowy. Powinna się do nich uśmiechnąć, uspokoić ich nieco, ale to przerastało jej siły.

- Teraz lepiej, ale jutro... - mężczyzna zawiesił głos. - Przyjedzie pani?

- Nie jestem pewna.

- Nie? - rozmówca zdziwił się nieco.

Och, łatwo mu się dziwić. A przecież ona naprawdę nie miała pojęcia, skąd mogłaby wziąć pieniądze na taką eskapadę. Pozbawiona od jakiegoś czasu alimentów, przy wszystkich ograniczeniach domowego budżetu, po prostu nie była w stanie pozwolić sobie na nietani w końcu bilet do Montany. Poza tym, jadąc do dziadka, musiałaby wziąć przynajmniej tygodniowy urlop, i to zapewne bezpłatny, nie mówiąc już o tym, że nie miałyby z kim zostawić chłopców.

Nie, ich też powinna zabrać - dziadek na pewno chciałby ich zobaczyć, a i oni na to zasłużyli.

- A kiedy będzie pani wiedziała?

- Wkrótce - odparła sucho, zirytowana nagle tonem niechęci, który dało się słyszeć w jego głosie. Ten człowiek nic o niej nie wiedział, nie miał pojęcia, jak żyła, nie miał więc prawa osądzać jej decyzji!

- To znaczy?

- Wkrótce - powtórzyła. - Gdybym wiedziała dokładnie, zdążyłabym już pana poinformować!

Oparła czoło o kuchenną ścianę i usiłowała zebrać myśli. Próbowała znaleźć jakieś rozwiązanie, ale to nie przychodziło jej do głowy. Poczowała, że zbiera się jej na płacz.

- Wobec tego nie będę pani dłużej przeszkadzał - przerwał jej myśli Sam Dakota.

Z początku chciała poprosić, żeby poczekał, wyjaśnić, że ma jeszcze wiele pytań, lecz po chwili westchnęła tylko z rezygnacją. Zarządca powiedział jej to, co najważniejsze - dziadek był chóry, umierający. Choćby czekała nie wiedzieć jak długo na zapewnienie, że po chwilowej niedyspozycji dziadek z pewnością wróci do normy, z ust Sama Dakoty takiego zapewnienia uzyskać nie mogła.

- Dziękuję za telefon - odezwała się po chwili milczenia. Czuła się winna. Winna podwójnie — z powodu swojego wahania, braku natychmiastowej reakcji, jakiegoś spontanicznego zapewnienia, że tak, oczywiście, natychmiast wsiada w samolot i przyjeżdża; ale też winna z powodu irytacji, z jaką zareagowała na szczere i pozbawione zapewne złośliwości zdziwienie jej rozmówcy.

Nikt nie lubi przekazywać złych wieści. Sam Dakota uczynił miły gest, powiadamiając ją o stanie dziadka. Powinna mu być wdzięczna, a nie obrażać się na niego.

- Zawiadomię pana, czy przyjedziemy z wizytą - dodała.

- Doskonale. Pani dziadek wróci do domu za dzień, może dwa.

Aha, byłbym zobowiązany, gdyby nie wspominała mu pani, że dzwoniłem.

- Rozumiem. Nie zrobię tego. I jeszcze raz dziękuję. Odłożyła słuchawkę na widełki i popatrzyła poważnie na synów. Obaj odziedziczyli po ojcu ciemne, głęboko osadzone oczy i obaj niemal od urodzenia potrafili przejrzeć ją nimi na wylot - zarówno czternastoletni Tom, już zbuntowany, skryty i nie tak szczery wobec matki, jak kiedyś, choć jeszcze daleki od dojrzałości, pełen zmiennych

nastrojów i nieustannych pretensji, jak i jedenastolatek Clay -młodsza kopia brata jeśli chodzi o wygląd i jednocześnie przykład całkiem odmiennego charakteru.

Żaden z chłopców nie odziedziczył po niej rudawych włosów ani niebieskich oczu. Obaj podobni byli do członków rodziny ojca - mieli takie same ciemne włosy, śniadą cerę, pociągłe twarze. I właściwie tylko tyle łączyło ich z jego rodziną, bowiem ani on, ani jego krewni niespecjalnie interesowali się losem Toma i Claya.

- Chodziło o tatę, prawda? - zapytał Tom i wbił w nią przeciągłe spojrzenie. Usztywnił ramiona, jak gdyby przygotowywał się na jakąś straszną wiadomość. To dziwne, że mimo całego zamieszania z Danielem, jego głośnego procesu, nieustannego natykania się w gazetach i w telewizji na jego nazwisko, chłopcy nie uodpornili się dotąd na kolejne rewelacje dotyczące osoby ich ojca.

- Nie - odparła ostrożnie. - Telefon nie dotyczył waszego taty.

- Akurat! Co tym razem zrobił?

Molly westchnęła, słysząc te pełne nowo nabytego cynizmu słowa; słowa rozgoryczonego nastolatka, który nie wierzy już dorosłym, a zwłaszcza rodzonej matce.

Wiedziała, że nie powinna się temu dziwić - taki młodzieńczy bunt jest typowy, zwłaszcza w rodzinach, w których sprawy między rodzicami nie układają się najlepiej. A przecież Daniel nie był ani dobrym ojcem, ani dobrym mężem, w końcu zaś zostawił ją dla innej. Jednego tylko nie można mu było zarzucić - aż do zeszłego roku

sumiennie płacił alimenty. Pieniądze przestały nadchodzić dopiero wtedy, gdy zaczęły się jego kłopoty z prawem.

- Powiedziałałam już, że ta rozmowa nie ma nic wspólnego z waszym ojcem. Przecież wiesz, że nie okłamałabym cię, Tom - dodała i popatrzyła mu prosto w oczy.

- No to o co chodzi, mammo? - włączył się Clay i podszedł do niej z bezradną ufnością dziecka.

Molly rozłożyła ramiona, aby uściskać młodszego syna. Clay nie miał na razie nic przeciwko tego rodzaju pieszczotom, za to Tom demonstrował przy każdej okazji, że jest już zbyt dorosły na podobną czułość i poufałość. Był powściągliwy w wyrażaniu uczuć, Molly zaś szanowała jego wolę, chociaż w głębi duszy tęskniła za czasami, kiedy mogła go przytulić.

- Chodzi o dziadka - odparła i natychmiast poczuła gwałtowny ucisk w gardle, który nie pozwolił jej powiedzieć więcej ani słowa.

- Jest chory? - Tom wepchnął ręce w kieszenie i zaczął chodzić w tę i z powrotem po kuchni. Był to jeden z jego najnowszych zwyczajów, który bardzo ją irytował, choć z drugiej strony Molly próbowała usprawiedliwiać prowokacyjne zachowania syna. Powtarzała sobie, że ostatni rok nie należał w życiu Toma do najłatwiejszych. Publiczne upokorzenie ojca z powodu defraudacji, brak pieniędzy, przeprowadzka z przestronnego domu do ciasnego, dwu-pokojowego mieszkania - wszystko to składało się na surową lekcję życia, którą zdążył już odebrać.

- Tak, ma kłopoty z sercem - oznajmiła bezbarwnym głosem.

- Pojedziemy się z nim zobaczyć? - zapytał Clay i przycisnął policzek do jej ramienia.

- Jeszcze nie wiem - odparła Molly, odgarnąwszy uprzednio włosy z czoła dziecka.

- Jak to? Nie chcesz jechać? - oburzył się Tom. Zaboląło ją gniewne spojrzenie syna. Oczywiście, że chciała jechać. Gdyby tylko miała jakiś wybór, wsiadłaby w pierwszy samolot do Montany.

- Jak możesz tak mówić, Tom? - westchnęła. - Oddałabym wszystko, aby być w tej chwili z dziadkiem, ale...

- No to możemy wyjechać, jeszcze dzisiaj - oznajmił Tom, po czym ruszył w stronę pokoju, który dzielił z bratem, jak gdyby sprawa wyjazdu została przesądzona i teraz pozostawało im tylko spakowanie walizek.

- Rzecz w tym, że nie możemy - powstrzymała go Molly.

- Czemu nie?

- Bo nie mamy...

- Wiem, nie mamy pieniędzy - dokończył za nią syn i uderzył ze złością zaciśniętą pięścią w kuchenną ladę. - Nienawidzę pieniędzy! Zawsze kiedy czegoś chcemy albo potrzebujemy, nie możemy tego mieć! Zawsze z powodu pieniędzy!

- To nie jest wina mamy - mruknął Clay i stanął na wprost brata, jakby chciał bronić matkę przed jego gniewem.

- Nie kłóćcie się, chłopcy - westchnęła Molly. - Wystarczy nam tych zmartwień, które już mamy. Zastanówmy się lepiej, co jesteśmy w stanie zrobić.

- Ja już powiedziałem: trzeba jechać do dziadka. Jeśli chcesz jechać sama, mogę zaopiekować się Clayem - zaproponował Tom z nutą źle skrywanej niechęci.

- Nie potrzebuję opiekuna - zachnął się Clay i popatrzył na brata wyzywającym wzrokiem.

- Nikt się ciebie nie pyta!

- Chłopcy! Mówiłam przecież... Posłuchajcie, zamiast skakać sobie do oczu. Otóż nie mogę wyjechać, ani z wami ani bez was - powiedziała smutno. - Właśnie z powodu pieniędzy. - Popatrzyła na Toma. - Tak to w życiu jest, że raz są, a raz ich nie ma. Teraz mamy ich bardzo mało.

Była to, niestety, smutna prawda. Na bankowym koncie Molly miała niecałe dwadzieścia dolarów, a do końca miesiąca wcale nie było blisko. Ograny scenariusz, pomyślała z przygnębieniem, zbyt długi miesiąc i zbyt mało funduszy.

- Pamiętam dziadka - odezwał się nieoczekiwanie Tom.

- Tak mi się przynajmniej zdaje...

Molly uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Tak, Tom mógł go pamiętać. Kiedy ostatni raz odwiedziła ranczo, była świeżo po rozwodzie, więc musiało to być przed dziesięciu laty. Babcia, już wtedy osłabiona postępującym rakiem, umarła wkrótce po tej wizycie. Dziadek poprosił wówczas Molly, aby z nim zamieszkała, a ona przez chwilę poważnie rozważała tę propozycję.

Gdyby nie. zabrakło jej wtedy zdrowego rozsądku, z pewnością by na nią przystała. Przeniosłaby się do Montany, zmieniłaby pracę,

może wiodłoby się jej lepiej niż w San Francisco. Niestety, jej kwalifikacje i umiejętności - biegła znajomość niemieckiego, francuskiego, prawa handlowego oraz zasad księgowania - nie były w cenie w zachodniej Montanie, gdzie niemal wszyscy zajmowali się hodowlą bydła. Molly wystraszyła się zbyt głębokiej zmiany i wróciła do domu.

Podczas tamtej wizyty Tom miał cztery lata, a Clay nie wyrósł jeszcze z pieluch. Czy jednak wspomnienia Toma nie ukształtowały się raczej pod wpływem opowieści matki o ranczu?

Najprawdopodobniej tak właśnie było.

Leżąca u stóp strzelistych gór posiadłość była jedną z kilku rozrzuconych w dolinie rzeki Flathead. Położona była malowniczo, rozmiary miała imponujące, a piękno otoczenia wprost zapierało dech w piersiach. Molly często opowiadała chłopcom o tamtych okolicach, zwłaszcza gdy nadchodził list od dziadka. Listów nie było wprawdzie wiele, zaledwie dwa czy trzy rocznie, ale i te okazje wystarczyły, by w wyobraźni chłopców ukształtował się romantyczny obraz dziadka-ranczera, żyjącego gdzieś w dalekim stanie, który, choć były lata dziewięćdziesiąte XX wieku, dla chłopaków wciąż pozostawał „dzikim Zachodem”.

Dziadek podtrzymywał tę rodzinną korespondencję z podziwu godnym uporem, choć pisać listów nie znosił, podobnie jak nienawidził rozmów przez telefon. A jednak czynił ten wysiłek, gdyż nie chciał stracić kontaktu z jedyną wnuczką. Każdy zaś z tych jego listów czytany był w domu Molly wiele razy i traktowany jak skarb.

Molly odpisywała sumiennie, do każdego listu dołączając zdjęcia synów. Wiedziała, że dziadek na nie czeka i że kocha mocno zarówno ją, jak i dwójkę prawnuków. Myliłby się jednak ten, kto wyobrażałby sobie go jako uroczego starszego pana, siwobrodego dziadziusia z upodobaniem snującego bajeczki dla dzieci. W rozmowie dziadek był nieprzyjemny, skąpił komplementów i czułych słówek, zrzedził. Często wydzierał się do słuchawki, jakby- tylko w ten sposób można go było usłyszeć, oraz bezustannie narzekał na wysokie koszty rozmowy.

Respekt budził zresztą nie tylko swoim apodyktycznym sposobem bycia, ale i postawą. Potężnie zbudowany, ze wzrostem ponad metr dziewięćdziesiąt i przeszło stu kilogramami wagi, uchodził za olbrzyma i siłacza. W czasie ostatniej wizyty na ranczu czteroletni wówczas Tom obawiał się go tak bardzo, że przez pierwszych kilka dni nie odstępował Molly na krok. -Maleńki Clay z kolei krył głowę na ramieniu matki i zaczynał płakać, kiedy tylko dziadek pojawił się w zasięgu wzroku.

- Bez przerwy wrzeszczał - mruknął zatopiony we wspomnieniach Tom.

- Pamiętasz to jeszcze? - Molly uśmiechnęła się do syna.

- Jeszcze jak!

Taki był właśnie dziadek - burkliwy, niecierpliwy, łatwo wpadający w złość. Subtelności nie miał w sobie za grosz, jednak ci, którzy dobrze znali Walta Wheatona, wiedzieli, że w piersi tego „potwora” bije kochające, szczere serce. Darzyli go prawdziwą

miłością, choć on rzadko pozwalał komukolwiek na poufałość. Dbał za to, by wszyscy wokół dobrze wiedzieli, co myśli na dany temat, tego zaś kto ośmielił się mu sprzeciwić, nazywał „idiotą” albo „popaprańcem” - zazwyczaj w jego obecności.

Kiedy żyła jeszcze babcia Molly, temperowała nieco gwałtowną naturę męża. Jej wdzięk, poczucie humoru, delikatność łagodziły atmosferę w domu i chroniły małżeństwo Wheatonów przed zapiekłym gniewem regularnie obrażanych sąsiadów. Teraz, kiedy jej zabrakło, dziadek zdołał już zapewne zrazić do siebie wszystkich mieszkańców Sweetgrass.

Podobnie rzecz się miała z jego pracownikami, zwłaszcza zaś zarządcy mieli ciężki los. Ten, który do niej zadzwonił, oświadczył, że pracuje na farmie już od pół roku. To chyba rekord, pomyślała. Rzadko komu udało się wytrwać pod czujnym okiem Walta Wheatona tak długo. Ciekawe, dlaczego dziadek nie wspominał o nim w żadnym ze swoich ostatnich listów. A może i wspominał, ale ona przeoczyła ten fragment. Dziwne, zważywszy na to, jak często je czytała, lecz przecież nie niemożliwe.

Sam Dakota. To nazwisko brzmiało znajomo. Tak, oczywiście, było identyczne z nazwą jednego ze stanów, ale także...

Zresztą, jakie to ma znaczenie?

Wkrótce po kolacji chłopcy znaleźli się w łóżkach i bez marudzenia ułożyli się do snu. Molly była im wdzięczna - nie zniosłaby kolejnych dyskusji i sporów. Sama również się położyła,

gdyż czuła zmęczenie i słabość, nie mogła jednak od razu zasnąć. Kiedy tylko zamykała oczy, widziała przed sobą dziadka.

O północy machnęła ręką na sen i włączyła światło, po czym podeszła do biurka i przeszukała szuflady. W końcu znalazła ostatni list. Usiadła na łóżku, skrzyżowała nogi i zaczęła czytać.

Droga Molly!

Dziękuję ci za zdjęcia. Chłopcy zupełnie nie przypominają nas, Wheatonów, prawda? Trudno ich winić, że są tacy podobni do ojca. Twoje zdjęcie to inna historia. Za każdym razem, gdy na nie spoglądam, widzę moją kochaną żonę, gdy była w twoim wieku. Tyle że ona nosiła długie włosy.

Zupełnie nie rozumiem, co się powyprawiało z tymi kobietami. Obcinają włosy tak, jak gdyby chciały być mężczyznami. Na przykład Ginny Dougherty, kobieta, która ma ranczo nieopodal. Ta głupia baba myśli, że jest równie dobrym ranczerem, co mężczyzna, więc się za niego przebiera. Mogłaby być całkiem ładna, gdyby tylko zapuściła włosy i choć raz włożyła sukienkę. Ale ona nie, uparta sztuka. Jestem pewien, że jej mąż przewraca się w grobie, jeśli wie, co z siebie zrobiła.

Co do włosów, mężczyźni nie są wcale lepsi. Wszystko stoi dzisiaj na głowie, więc mężczyźni, a przynajmniej większość z nich, nosi włosy długie - jak ci hippisi w latach sześćdziesiątych. Nigdy nie myślałem, że ujrzę dorosłych mężczyzn - i to siwowłosych ramoli! - z kucykami. Albo i nawet z warkoczykami. Czy to nie Willie Nelson odpowiada za taki stan rzeczy?

To jednak, co ten czy inny popapraniec robi z włosami, to małe piwo. W Sweetgrass dzieją się coraz dziwniejsze rzeczy. Nie wiadomo już, komu wierzyć. Ludzie zachowują się tak, jakby rząd był wrogiem. Nie po to brałem udział w wojnie, żeby słuchać tej głupiej paplaniny, ale w końcu oni nigdy nie podzielali moich opinii. I tak się nimi dzielę, czy chcą mnie słuchać, czy nie. Znasz mnie przecież.

Pogoda jest zmienna, chociaż zima jak na razie nie dała nam się we znaki — tylko jedna śnieżycą.

Co tam u Ciebie? Wygląda na to, że Daniel dostał w końcu to, na co zasłużył. Okradał tych biedaków z ich ciężko zarobionej gotówki! Nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu wyszłaś za tego wygadanego cwaniaka. Od samego początku wiedziałem, że to nic dobrego. Gdybyś raczyła poprosić mnie o radę przed ślubem, zaoszczędziłabyś sobie mnóstwo kłopotów. No, ale w końcu masz swoich chłopców, więc z tego małżeństwa wyszło coś dobrego.

Jesteś moją jedyną wnuczką, Molly, i wszystkim, co mi pozostało. Wiesz o tym. Pamiętam dzień, w którym przyszłaś na świat, pamiętam, jak twój ojciec zadzwonił i powiedział, że Joan urodziła córeczkę. Twoja babcia płakała, kiedy dowiedziała się, że dali ci jej imię. Musieli coś przeczuwać, bo chociaż byłaś wtedy taka malutka, przypominałaś moją Molly, tak jak przypominasz ją dzisiaj. Była piękną kobietą, tak jak ty.

Szkoda, że twoje małżeństwo nie przypominało naszego.

Ślub z Molly był najlepszą decyzją w moim życiu. Wiesz co? Cieszę się, że pozbyłaś się tego Daniela, ale chciałbym, abyś

ponownie wyszła za mąż. Mam nadzieję, że pogadamy o tym przy jakiejś okazji.

Teraz chcę napisać Ci o czymś innym. Obchodziłem ostatnio siedemdziesiąte szóste urodziny i uznałem, że czas uporządkować pewne sprawy. Sporządziłem nowy testament. Podczas wizyty w miasteczku rozmawiałem z Russellem Letsonem. To tutejszy prawnik, przyjaźniłem się z jego ojcem. Lubię Russella, chociaż uważam, że wszyscy prawnicy to oszuści. Tak czy inaczej, pokazałem mu mój stary testament, pogadaliśmy trochę, a on zadał mi kilka pytań, które dały mi do myślenia.

Otóż jest parę spraw, o których powinnaś wiedzieć. Mam depozyt w banku, gdzie trzymam kilka medali z czasów wojny. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, będziesz mogła je podarować moim prawnukom. Chyba powinienem też włożyć tam ślubną obrączkę twojej babki, ale nie mogłem się na to zdobyć. Trzymam ją wciąż na szafce obok łóżka. Molly odeszła dziewięć lat temu, lecz wciąż za nią tęsknię.

Jeśli chodzi o ranczo, to zapisane jest Tobie. Żałuję, że nie przeprowadziłaś się tu po śmierci Molly, ale też rozumiem, dlaczego zdecydowałaś się wrócić do Kalifornii.

Nie, nie rozumiem! Nie mam pojęcia, jak możesz oddychać tym śmierdzącym powietrzem. Widziałem San Francisco w telewizji. Cały ten smog z pewnością szkodzi chłopcom. Mam nadzieję, że po mojej śmierci spróbujesz zamieszkać w Sweetgrass. Ludzie tu skromni i pracowici. Zyski z hodowli to już nie to, co kiedyś, ale przynajmniej da

się wyjść na swoje. Dom jest solidny - mój ojciec zbudował go w 1909 roku, ale stawiał wszystko co najmniej na sto lat. Nie jest może wymyślny, ale skoro przetrwał wszystkie te lata, przetrwa i kolejne.

I to właściwie wszystko, co miałem ci do powiedzenia.

Kocham cię, moja mała Molly, i kocham tych twoich chłopaków. Jestem pewien, że o tym wiesz, chociaż nieczęsto to powtarzam.

Pamiętaj, nie przejmuj się już Danielem. Dostał to, na co zasłużył.

Dziadek

Kiedy Molly skończyła czytać, przeczytała list po raz drugi. A potem trzeci. Powoli wszystko zaczęło nabierać sensu. Przypomniła sobie słowa zarządcy i wywnioskowała, że dziadek napisał do niej jakieś dwa miesiące po wszczęciu rozrusznika. Nie dziwiła się, że ani słowem nie wspomniał o kłopotach zdrowotnych. Wiedziała, że zrobił tak, gdyż nie chciał przysparzać jej dodatkowych zmartwień po tym, jak wynikła afera z malwersacjami finansowymi jej męża.

Cóż, jeśli chodzi o Daniela, to dziadek miał rację - były mąż Molly zasłużył na więzienie. Jako doradca inwestycyjny regularnie przelewał na prywatne konto kwoty zgromadzone na funduszach emerytalnych swoich starszych klientów. Mówiąc inaczej - po prostu kradł, a robił to na tyle zręcznie, że odkrycie tego procederu zajęło kilku księgowym i specjalistom finansowym niemal rok.

Świadczyło to nie najgorzej o jego sprycie i intelekcie, jednak wystawiało fatalne świadectwo jego moralności. Oto Daniel okradał tych, którym miał pomagać; okłamywał kolegów, klientów, później

zaś policję i prasę. Przyłapano go nawet na kłamstwie pod przysięgą. Jego proces trwał kilka tygodni, podczas których pod sądem gromadziły się tłumy wściekłych emerytów, domagających się sprawiedliwości. Niestety, nie odzyskali swoich pieniędzy. Musiała im wystarczyć satysfakcja w postaci skazania ich krzywdziciela na dwadzieścia lat.

Molly była tak przygnębiona tym wszystkim, że nie zwróciła uwagi na niektóre fragmenty listu od dziadka. Czytała jego słowa, gdyż niosły jej pociechę, był mu wdzięczna za okazane wsparcie. Skupiła się na sprawie Daniela tak bardzo, że nie zaalarmowały jej słowa dziadka na temat testamentu i chęci „uporządkowania spraw”. Dopiero teraz zrozumiała, że tym listem Walt Wheaton przygotowywał się na śmierć. Musiał zdawać sobie sprawę, że nie zostało mu wiele czasu.

Kiedy wcześniej mówił jej, że ją kocha? Chyba jedynie w dniu pogrzebu babci. Molly nie wątpiła w jego miłość, wiedziała wszakże, że dziadek rzadko ujawnia swoje uczucia i nie miała nawet do niego pretensji, że jest oschły i powściągliwy. W liście zaś napisał „kocham Cię”. Mało tego, sugerował, że wnuczka powinna ponownie wyjść za mąż, życzył jej szczęścia. Ten temat przewijał się wprawdzie przez jego korespondencję od jej rozvodu, tym razem jednak Molly wyczuła w prostych słowach dziadka szczególną troskę - troskę człowieka, który wie, że o pewnych sprawach ma być może szansę mówić po raz ostatni.

Wyjść za mąż...

Na samą myśl o kolejnym związku, Molly czuła nieprzyjemny dreszcz. Zaliczyła już jedno małżeństwo i nie miała zamiaru ponownie wplątywać się w kłopoty.

Westchnęła, ostrożnie włożyła list do koperty i położyła się, nie oczekując wcale na sen. Musiała jednak przysnąć, gdyż następnym dźwiękiem, jaki usłyszała, był dzwonek budzika. Gdy zaś podniosła ciężkie od niewyspania powieki, spostrzegła, że wciąż trzyma w dłoni ostatni list od dziadka. Teraz wiedziała już, co powinna zrobić.

Niewielki pokój nauczycielski przy gabinecie dyrektora szkoły był ostatnim miejscem, w jakim Tom pragnął się znaleźć. W pomieszczeniu, zwanym przez uczniów „aresztem”, panował chłód nawet w najgorętsze dni lata, a wypełniający go nieprzyjemny zapach kojarzył się z gabinetem dentystycznym.

Koło Toma siedział Eddie Ries, kolega z klasy. Oboje czekali na rodziców, których postanowił wezwać dyrektor, i oboje mieli miny zbuntowanych skazańców. Matka Eddiego podobno była już w drodze do szkoły. Kiedy pojawi się jego matka, Tom nie miał pojęcia. Wiedział za to, że z pewnością nie będzie zachwycona kolejnym zapisem na liście szkolnych kar jej syna.

Zawieszony na trzy dni.

O rany, to ci dopiero kara! Czas spędzony z dala od szkoły będzie dla niego słodką nagrodą! Tom nie znosił szkoły, podobnie jak nienawidził rzeczy i spraw, na które nie miał wpływu i których nie był w stanie zmienić.

Nienawidził też ojca; ojca, za którego musiał wstydzić. Odkąd tylko kumple i nauczyciele dowiedzieli się, że jest synem tego faceta z gazet, który ogolił z forsy całą armię staruszków, świecił za starego oczami, choć przecież to nie on był przestępcą i złodziejem. Mówiąc krótko, Tom był wściekły. Dosyć miał bezradności i frustracji - i dlatego właśnie zrobił to, co zrobił.

Nie przyjaźnił się z Eddiem. Nawet go nie lubił. Eddie wciąż szukał kłopotów i zgrywał ważniaka. Inni też uważali go za nie wiadomo kogo. Jedyne, co łączyło go z tym kolesiem, to fakt że Eddie również czuł się nieprzystosowany do szkolnego systemu - bezmyślnej dyscypliny, lizusostwa, faworyzowania synalków bogatych tatusiów. Tom od jakiegoś czasu czuł, że tu nie pasuje; Eddie czuł to od dawna. Może dlatego wpadli razem na ten idiotyczny pomysł?

No więc dobrze, zawieszą go. Ani myśli płakać. Szkoda tylko, że mama się zmartwi. I tak miała dość kłopotów. Najpierw ojciec, potem choroba dziadka. Udawała przed nimi, że się nie przejmuje, ale przecież Tom widział, jak bardzo jest tym wszystkim przygnębiona. Podczas kolacji prawie się nie odzywała, niewiele jadła, w nocy chyba płakała, bo miała rano takie czerwone oczy...

Owszem, on też nie miał apetytu. Nie mógł przestać myśleć o dziadku, choć przecież prawie go nie znał i nie był pewien, czy w ogóle go pamięta. Clayowi mówił, że tak, ponieważ jako starszy brat powinien pamiętać. Ale tak naprawdę nie był w stanie przypomnieć sobie twarzy tego człowieka.

Wiedział, że dziadek o nich pamięta. Na trzynaste, a może czternaste urodziny Tom dostał od niego list z czekiem na dwadzieścia dolarów. Wcześniej dziadek wysyłał pieniądze mamie, a ona od razu szła do sklepu i coś im kupowała. Ostatnio jednak przyszedł czek wypisany na Toma. Tom pamiętał, jak się wówczas poczuł - jak dorosły mężczyzna, którego można obdarzyć zaufaniem.

Sam dziadek zresztą napisał, że chłopiec w jego wieku powinien już wiedzieć, czego chce, i umieć kupić sobie to coś. Od nikogo wcześniej Tom nie usłyszał podobnych słów i dlatego właśnie uważał, że coś od niego dziadkowi się należy, zwłaszcza teraz, kiedy dziadek podobno zachorował. W końcu prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

Żeby tylko udało im się wyjechać. Może mama coś wykombinuje? Tom najbardziej się wściekał, kiedy widział zmartwienie w jej oczach i nie był w stanie jej pomóc. Szedł wtedy do swojego pokoju, zakładał na uszy słuchawki i włączał muzykę tak głośno, że rozsadzała mu głowę. To pomagało. Przez jakiś mógł nie myśleć o tym cholernym świecie.

Mama myślała, że to od niej chce uciec, że przed nią chce się odgrodzić ścianą gitarowych dźwięków. Ale on ją kochał i naprawdę chciał jej pomóc. Kiedy był trochę młodszy, marzył, że zostanie czarodziejem i jednym machnięciem różdżki zniszczy wszystkie złe rzeczy, które przytrafiły się w jej życiu. Choć teraz nie był już taki naiwny, wciąż czasami sobie to wyobrażał - lekkie skinienie dłonią i znikają wszystkie kłopoty.

Drzwi do pomieszczenia otworzyły się nagle. Tom odruchowo wyprostował się na krześle i podniósł wzrok. W progu stanęła jego matka.

Zmrużył powieki. Zastanawiał się, czy powinien się do niej uśmiechnąć, ale jej wzrok go onieśmielił. Nie wyglądała na zadowoloną z powodu nagłej wizyty w jego szkole.

- Po co to zrobiłeś, Tom? - zapytała przez zaciśnięte zęby i oparła ręce na biodrach. - Wyjaśnij mi, w jakim celu namalowałeś znaki gangu w sali gimnastycznej?

- Na sali gimnastycznej - poprawił ją i natychmiast spuścił wzrok. - Nie w środku, tylko na zewnątrz.

- Myślisz, że ma to dla mnie jakieś znaczenie? - zapytała ostrym tonem, a on wiedział już, że trzydniowe zawieszenie w prawach ucznia to betka w porównaniu z tym, co czeka go w domu.

Zza pleców matki do gabinetu wsunął się dyrektor. Na puciołowatej twarzy miał uśmieszek zadowolenia, jakby cieszyło go to, że jest świadkiem tej przykrej sceny. Zazwyczaj człowiek ten nie wzbudzał w Tomie żywszych uczuć, teraz jednak Tom uznał, że go nie lubi - właśnie za ten uśmieszek, który sugerował, że dyrektor cieszy się na myśl o czekających ucznia kłopotach.

- Jak już wyjaśniałem, pani Cogan - odezwał się - w tej szkole nie tolerujemy żadnych gangów. Osobiście nie sądzę, żeby Tom należał do któregoś z nich, ale wiem, jak łatwo demoralizuje się dzisiejsza młodzież. Do tej pory wierzyłem, że pani syn ma wystarczająco dużo rozumu, żeby trzymać się z daleka od tych

młodocianych przestępców, lecz po dzisiejszym dniu nie jestem już tego taki pewien.

- Dziękuję za wyjaśnienia, panie Boone - odparła krótko matka. -
A ty zbieraj się - spojrzała na Toma - jedziemy do domu.

Tom ochoczo poderwał się z krzesła. Chciał jak najszybciej opuścić to okropne miejsce. Złapał marynarkę i wyszedł za matką na boisko.

- Ze wszystkich bezmyślnych rzeczy, których się dopuściłeś, ta jest najbardziej idiotyczna - mówiła, kiedy szedł za nią w stronę parkingu. - Co chciałeś pokazać? Co udowodnić? Że ich popierasz? Że jesteś jednym z nich? Przecież sam mówiłeś kiedyś, że to zakompleksione głąby...

Matka szła tak szybko, że z trudem za nią nadążał. Nie odpowiadał na jej pytania. Cóż mógłby odpowiedzieć, skoro sam nie wiedział, co go podkuśiło? To było jak odruch, chciał wkurzyć profesorów, sprowokować paru kumpli, tych lalusiów z dobrych domów, chciał sprawić, żeby się go bali. Tylko po co?

Kiedy ruszyli z piskiem opon, Tom aż uderzył plecami o oparcie fotela. Zaraz potem matka nie dostrzegła czerwonego światła przed skrzyżowaniem i wjechała na nie, omal nie zderzając się z innym samochodem.

- Mamo! - wrzasnął Tom. - Uważaj! To kiepski pomysł, żebyś prowadziła, kiedy jesteś wściekła - dodał, gdy udało im się szczęśliwie przejechać na drugą stronę.

- Wściekła to mało powiedziane.

- Dobrze, popełniłem błąd.

- Błąd? Tylko tyle, Tom?

- O rany, wiesz przecież, że nie jestem członkiem żadnego gangu!

- Wiem? - Rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie. - To czemu namalowałeś te znaki?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami. - Dla hecy.

- W takim razie sam odmalujesz tę ścianę. Dla hecy.

- Nie ja jeden ją pomazałem!

- Nie szkodzi. Ale ty pójdziesz jutro do szkoły i zamalujesz wszystkie znaki i napisy.

- A Eddie?

- Nie mogę mu niczego rozkazać. Jestem twoją matką i tobie mogę wydawać polecenia.

Toma korciło, by odpowiedzieć jej jakimś złośliwym „czyżby?” albo „akurat!”, uznał jednak, że nie czas teraz na tego rodzaju dyskusje. Ostatecznie stać go na to, by nie wkurzać matki jeszcze bardziej.

- Jest jeden problem, mamó - odezwał się tylko. - Według słów pana Boone'a, nie wolno mi przebywać przez trzy kolejne dni na terenie szkoły.

- Nie martw się. Już z nim o tym rozmawiałam. Pan Boone jest gotów zrobić dla ciebie wyjątek.

- Nie chcę! To niesprawiedliwe! Czemu to ja mam wracać i malować całą ścianę? Eddie też powinien przyjść.

- Powiedziałałam już, że karą dla Eddiego zajmą się jego rodzice.

Tom potrząsnął głową ze złością. Wiedział, że Eddie będzie miał święty spokój. Jego matka piła dzień w dzień i nie w głowie jej było wychowanie syna. O ojcu zaś Eddie nie miał zielonego pojęcia - ani gdzie jest, ani kiedy wróci.

- Czy mogę pomalować ścianę po zawieszeniu? - zapytał. - Na przykład podczas weekendu.

Tak by było najlepiej, pomyślał. Niezbyt pociągało go malowanie sali gimnastycznej na oczach nabijających się z niego uczniów.

Jednak matka był nieprzejeżdżana.

- Nie - padła zwięzła odpowiedź.

- Dlaczego nie? - Tom zacisnął pięści.

- Bo podczas weekendu będziesz mi potrzebny.

- Do czego?

- Do pakowania. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Wybieramy się gdzieś?

- Do Montany.

- Naprawdę? - Tom omal nie podskoczył z podniecenia. To była dobra wiadomość, lepsza niż się spodziewał. - Jedziemy odwiedzić dziadka?

Matka nie odpowiedziała od razu. Jej dłonie zacisnęły się na kierownicy, ona sama westchnęła cicho, potem zaś odparła, nie odrywając wzroku od drogi:

- Niezupełnie. Właśnie złożyłam wymówienie. Przenosimy się tam na stałe.

Scandalous

Rozdział drugi

Sam Dakota zerwał się gwałtownie, przebudzony z głębokiego snu. Jego serce łomotało tak szybko, jak gdyby chciało wyrwać się z piersi. Oddychał ciężko, usiłując nabrać powietrza w płuca, wciąż jednak czuł dławienie w gardle i paralizującą duszność.

Ten sen budził go od lat. Gdy go nawiedzał, Sam czuł wszechogarniającą panikę, zwierzęcy strach, wrażenie bezsilności i bezradności tak żywe, jak tego pierwszego dnia, gdy zamknęła się za nim stalowa brama więzienia. Głuchy szcęk zamka, przeciągły jęk zawiasów - te dźwięki wciąż wibrowały w jego uszach, choć przecież już od dwóch lat Sam cieszył się upragnioną wolnością.

Cieszył się? Nie, dręczące wspomnienia nadal wdzierały się do jego snów, nadal upokarzały go i uprzytomniały, że jest chodzącą przegraną. Na szczęście odkąd zaczął pracować u starego Wheatona, koszmary nie powracały już tak często.

Zamknął oczy i położył głowę na miękkiej poduszce.

To już przeszłość, powtórzył kilka razy w myślach. W przeszłość odeszło więzienie i całe poprzednie życie. Kiedyś był gwiazdą, zdobył wszystko, czego pragnął. Flirtował ze sławą, flirtował z kobietami. Miał grupę wielbicielek, które jeździły za nim, nie opuszczając żadnego występu. Szalały za nim, dopingowały go, piły z nim i spały, kiedy tylko zgodził się którąś wziąć do łóżka. Ba, bywało i tak, że się o niego biły!

Teraz i one odeszły, tak jak odeszło wszystko, co kiedyś wydawało się ważne. Wystarczyła chwila, jedno zdarzenie podczas zawodów w Vegas, by stał się innym człowiekiem. Podobno każdy, kto stanie oko w oko ze śmiercią, nie umie żyć dalej tak, jak żył dotychczas.

Cóż, było, minęło... Srebrna sprzączka od pasa, na której wryto, że jest najlepszym spośród najlepszych jeźdźców rodeo w całej Ameryce, poszła w zastaw, aby ratować ranczo starego. Teraz Sam trzymał się z dala od kłopotów i pilnował własnego nosa.

Nie lubił wspominać dawnych czasów. Karierę zakończył definitywnie. Lekarze ostrzegali przed ryzykiem, jakie niesły dalsze występy. Kolejny upadek, podobny do tego sprzed sześciu lat, mógł uczynić go kaleką albo nawet pozbawić życia. I tak niemal zbankrutował, opłacając kolejnych lekarzy w kolejnych szpitalach.

Przez pewien czas po wypadku otaczali go przyjaciele, odeszli jednak szybko, zrazeni jego złością, frustracją i rozgoryczeniem. To fakt, był nieznośny dla otoczenia. Nawet najbliższej rodzinie brakowało cierpliwości do popadającego w coraz głębszą depresję rekonwalescenta. Może to zresztą i lepiej - nie wiedzieli przynajmniej, co się z nim stało i gdzie trafił, jemu zaś duma nie pozwoliła przyznać, że wdał się w bójkę i wylądował w więzieniu stanowym za brutalne pobicie. Teraz, po dwóch latach milczenia, nie chciało mu się spowiadać przed nimi ze swoich grzechów, toteż zaszył się w Montanie i coraz rzadziej myślał i o rodzinie, i o przeszłości.

Długo szukał swojego miejsca. Zanim wylądował na ran-czu Wheatona, przemierzył cztery stany - nieszczęśliwy, biedny i zły jak diabli. Wreszcie trafił do Sweetgrass i póki co nie zamierzał się stąd ruszać.

Przede wszystkim z powodu Walta, jego szefa. Walt był gburowaty i wymagający niczym kapral w austriackiej armii, ale Sam podziwiał go za odwagę, upór i determinację. No i za serce, dobre serce, które teraz zaczęło niedomagać.

Ich drogi zeszyły się przypadkiem. Wystarczyło, że Sam pojawił się w tym ukrytym między wzgórzami miasteczku, a już napisał sobie kłopotów. Cholera, naprawdę nigdy ich nie szukał - to one zawsze go znajdowały. Tym razem chciał tylko pomóc pewnej damie, którą napastował jakiś pijak. Traf chciał, że pijak był przyjacielem szeryfa, toteż Sam szybko trafił przed surowe oblicze miejscowego reprezentanta prawa. Szeryf szybko się dowiedział o więziennej przeszłości Sama i natychmiast go zaarrestował, oskarżając o zakłócanie spokoju. Natrętny pijak oczywiście odszedł wolno.

Potem zaś, z powodów, których Sam do dzisiaj nie rozumiał, w biurze szeryfa pojawił się Walt Wheaton, zapłacił grzywnę i zaproponował uwolnionemu nieznanemu pracę.

Sam potrafił stanąć twarzą w twarz ze wszystkim - bólem, rozczarowaniem, biedą. Nie przywykł jednak do tego, że ktoś może okazać mu życzliwość. Wprawiało go to w zakłopotanie, niepokoiło, budziło podejrzliwość. Nigdy w podobnych sytuacjach nie wierzył w cudzą bezinteresowność, więc i teraz powiedział sobie, że ma jakiś

dług do spłacenia i że go spłaci. Prawdę powiedziawszy, tylko dlatego przyjął posadę zarządcy na ranczu Złamana Strzała.

Pensja, którą mu zaproponowano, nie była wysoka. Domek na terenie rancza, w którym Sam miał zamieszkać, nadawał się do mieszkania, jednak luksusów w nim nie było.

Nietrudno było odgadnąć, że Walt cienko przedzie, a jego Złamana Strzała jest w opłakanym stanie. Jakby tego było mało, gdy tylko Sam zaczął pracę, nastąpiła seria tajemniczych i pozornie niepowiązanych ze sobą zdarzeń, które uszczupliły i tak już wątłe zasoby finansowe jego pracodawcy. Niby nie było to nic poważnego - ot, głupie kawały i akty wandalizmu - jednak nieźle dawały im się we znaki.

Walt był wymagającym, lecz rozsądnym szefem. Pod jego czujnym okiem Sam harował ciężko jak wół, miał jednak satysfakcję, kiedy widział, jak na podupadłym ranczu wraca porządek. Radość sprawiało mu też wyraźne zadowolenie, które widział co wieczór w przygaszonych dotychczas oczach staruszka.

Po kilku tygodniach pracy Walt zaprosił go któregoś wieczora na kolację. Wtedy to właśnie Sam po raz pierwszy ujrzał fotografię wnuczki szefa, Molly. Zdjęcie stało na telewizorze, oprawione w złote ramki. Kobieta obejmowała na nim dwóch synów, z których młodszy uśmiechał się do niej promiennie, a starszy krzywił twarz do obiektywu. Ona sama miała rozpuszczone, rozwiane lekko na wietrze włosy i łagodny, jakby nieśmiały uśmiech, który zdawał się pytać: „Czy mam prawo do szczęścia?”

Jednak największe wrażenie zrobiły na Samie jej oczy. Nigdy dotąd nie widział równie intensywnego błękitu. Pomyślał zrazu, że Molly nosi barwiące szkła kontaktowe, lecz drugie zdjęcie, na którym Walt przygarniał do siebie żonę, również o imieniu Molly, przekonały go, że kolor ten jest wyłącznym dziełem natury. Oto oczy babci miały identyczny odcień, co oczy wnuczki, a włosy obu pań były podobnie zwiewne i lśniące.

Sam nie wiedział, dlaczego utkwilo mu w pamięci to zdjęcie. Wnuczka Walta była ładna, ale zarazem dosyć zwyczajna. Może i atrakcyjna, lecz na pewno nie piękna. Znał mnóstwo pięknych kobiet i wiedział, że przy niejednej z nich Molly mogłaby nabawić się kompleksów, a jednak to właśnie ona zdawała mu się intrygująca i warta bliższego poznania.

Kiedy po raz pierwszy usłyszał przez telefon jej głos, był nieco zawiedziony. Ale tylko z początku, bowiem później nie miał już ochoty na szybkie omówienie sprawy i zakończenie rozmowy. Ten głos powracał do niego w kolejnych dniach, łączył się z obrazem zapamiętanym ze zdjęcia. Molly ożywała w jego wyobraźni, a wówczas Sam ze zdumieniem odkrywał, że układa w myślach scenariusze z jej udziałem.

Oczywiście nietrudno było zgadnąć, dlaczego tak się dzieje. Sam za długo trwał w celibacie. Powtarzał sobie, że któregoś piątkowego wieczoru powinien pojechać do miasta i pozwolić, aby jakaś młoda ślicznotka zabrała go do domu, nie mógł jednak wykrzesać w sobie entuzjazmu niezbędnego do tego rodzaju przygód.

W dawnych czasach nie miałby z tym problemów. Kiedyś lubił krótkie przygody — szedł z kobietą do łóżka i nie dbał o to, czy zna lub pamięta jej imię. Teraz był od tego daleki i to nie tylko z uwagi na AIDS. Owszem, mówił sobie, gdybym chciał doprowadzić do własnej zagłady, wolałbym to zrobić na grzbiecie szalejącego byka niż na materacu, z kobietą bez twarzy, która spała przede mną z tym czy innym nosicielem. Gdybym zaś nawet miał tę pewność, że nie spała, że seks jest bezpieczny, że ona mnie pragnie i chce mi dać na jedną noc swe piękne ciało - to nie, po prostu nie.

Po tamtej pierwszej kolacji Sam i Walt zaczęli wspólnie jadać posiłki. Starszy pan bezustannie bombardował zarządcę pytaniami, lecz Sam odpowiadał jedynie na niektóre z nich. Walt polegał na nim, wierzył mu, a on nie zamierzał budzić swoją przeszłością żadnych podejrzeń, tak jak nie zamierzał nigdy zawieść jego zaufania.

Podczas tych wszystkich lat Sam sporo dowiedział się o sobie - przede wszystkim zaś, że potrafi przetrwać. Los znowu mógł dać mu w kość, ale tym razem był na to przygotowany. Musiał mieć tylko pewność, że nie przywiąże się nigdy do nikogo ani do niczego. Kiedyś przywiązał się do fortuny i sławy - i omal nie przyplacił tego życiem, kiedy okazało się, że w jednej chwili stracił wszystko, co posiadał. Gdyby i teraz na czymś mu zależało, byłby bezbronny wobec kaprysów losu, jak wtedy. Wmówił więc sobie, że im mniej ma, tym bardziej jest wolny, silny i niezależny, i konsekwentnie stosował się do tej zasady.

I tylko czasem łapał się na nierozsądnych myślach i marzeniach, jak te o Molly albo jej dziadku, do którego nadmiernie się przywiązał i którego trudno by mu było opuścić.

Stojący przy łóżku budzik rozzwonił się nagle, nie bacząc na to, że Sam od dawna już nie śpi i wpatruje się w sufit nieruchomym wzrokiem. Sam uciszył go ruchem ręki, po czym wygramolił się z łóżka, przeszedł do kuchni i nastawił wodę na kawę. Sięgnął po ubranie i wyrzwał z westchnieniem przez okno - słońce wyrzało już zza gór, barwiąc niebo różowymi i złocistymi wstęgami. Uśmiechnął się do siebie na ten widok, a potem wyszedł z domu, by sprawdzić przed pracą, jak czuje się Walt.

Od jakiegoś czasu robił to każdego ranka, spodziewając się podświadomie, że być może tym razem znajdzie staruszka pogrążonego w wiecznym śnie. Nie oczekiwał tej chwili, ale pamiętał, jak stary ranczer mówił mu, że jego koniec jest bliski. „Miałem szczęśliwe życie - powtarzał -i niewiele rzeczy w nim żałuję. Kiedy przyjdzie mój czas, po prostu umrę. A czas już nadchodzi...”

Kiedy dotarł do werandy na tyłach domu, ujrzał, że w kuchni pali się światło. Zdziwił się. Walt rzadko wstawał tak wcześnie. Oszczędzając słabe serce, połowę dnia spędzał na drzemce.

- Kawa gotowa - powitał go Walt, kiedy Sam zjawił się w kuchni. Wydawał się dzisiaj nieco bardziej zwawy, co przyjemnie kontrastowało ze zwyczajną u niego powolnością i milkiwością.

- Dziękuję, już wypilem filiżankę.

- Aha. To nic, siadaj. - Walt zaprosił go gestem do stołu. -
Wczoraj wieczorem dzwoniła Molly. - Uśmiechnął się szeroko. -
Wygląda na to, że w końcu poznasz ją i jej chłopców.

- Zamierza przyjechać? - spytał ostrożnie Sam, mając nadzieję,
że wnuczka nie wspomniała dziadkowi o telefonie sprzed kilku dni.
Walta zirytowałyby ta nadmierna, jego zdaniem, troska o jego osobę. -
Na jak długo?

- Jest lepiej niż myślisz. - Walt ujął w drżące dłonie kubek z
parującą kawą. Jego oczy lśniły ze szczęścia.

- Nie rozumiem...

- Ona przyjeżdża na zawsze - wyjaśnił Walt. - W końcu nabrała
roзумu, sprzedała, co mogła, a resztę spakowała i przyjeżdża. Będzie
za niecałe dwa tygodnie.

Sam powoli usiadł na krześle. Oparł dłonie na zniszczonym,
sosnowym blacie i przez chwilę rozważał słowa starego.

- Ranczo należy do niej - Walt wtrącił się w jego myśli. - Prócz
niej nie został w rodzinie nikt inny. Mam nadzieję, że zdoła tu
przetrwać, kiedy mnie zabraknie na świecie.

Sam od początku wiedział, że po śmierci Walta Złamaną Strzałę
odziedziczy jego wnuczka. Niby był przygotowany na taką
ewentualność, jednak teraz, na wieść o tym, że Molly przyjeżdża do
Montany na stałe, poczuł się niezbyt pewnie.

Nie wiedział dlaczego. Przecież nie powinien się obawiać utraty
posady. Skoro miał się do niczego nie przywiązywać, to jaka różnica,

gdzie będzie mieszkał i pracował? Jeśli Molly nie zechce go zatrudniać, to trudno, odejdzie i znajdzie sobie inne zajęcie.

Owszem, wcześniej zdarzało mu się pomyśleć, że mógłby zostać w Montanie na stałe. Zastanawiał się nad utworzeniem spółki, w której on zarządzałby gospodarstwem i dzielił się zyskami z właścicielem, niezależnie od tego czy miałyby to być Walt, czy jego wnuczka. Dopilnowałby, żeby układ był korzystny dla obu stron, a gdyby udało mu się zaoszczędzić trochę pieniędzy, to może w dalekiej przyszłości wykupiłby nawet od Molly całe ranczo.

- Nic nie powiesz? - zapytał Walt.

- A co mam powiedzieć? - Sam wzruszył ramionami. Walt popatrzył na niego uważnie, a potem roześmiał się przerywanym kaszlem śmiechem.

- Co cię tak śmieszy?

- Ty - odparł Walt i nagle spoważniał.

- Niby dlaczego?

- Jeszcze się przekonasz. Poczekaj, aż ją zobaczysz. Jeśli wciąż przypomina swoją babkę, a jest do niej podobna, możesz mi wierzyć, to będziesz tu ganiał z wywieszonym jęzorem. To zdjęcie na telewizorze nie jest najlepsze, w rzeczywistości Molly jest dużo piękniejsza.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Powiedziałem już, że sam się wkrótce przekonasz.

- Tylko sobie nic nie myśl - ostrzegł go żartobliwie Sam.

- Czego mam sobie nie myśleć?

- O mnie i swojej wnuczce.

- Chciałbyś!

Sam nie zamierzał być nieuprzejmy, ale zdecydowanie nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

- Posłuchaj, Walt. Jeśli uważasz, że mam wobec niej jakieś zamiary, to się mylisz - powiedział spokojnie. - Nie zakochuję się w pięknościach z fotografii.

Walt zmrużył oczy i wbił w Sama uporczywe spojrzenie.

- Nawet gdybyś się zakochał - odparł - to wątpię, żeby Molly na ciebie poleciała.

- Ja też wątpię - przytaknął zgodnie Sam. A potem zdjął szybko kapelusz z wieszaka i wyszedł z kuchni.

Słońce wyjrzało wreszcie zza horyzontu i rozświetliło różowym blaskiem górzysty pejzaż. Molly obrzuciła szybkim spojrzeniem Toma, który siedział w milczeniu na fotelu obok niej, cały czas trzymając ręce skrzyżowane na piersiach. Całą swoją postawą zdawał się mówić, że nic nie jest w stanie zrekompensować mu krzywdy, jaką była rozłąka z kolegami ze szkolnej klasy.

Za to Clay zupełnie nie mógł się uspokoić. Wciąż kręcił się na tylnym siedzeniu, niecierpliwie wyglądał przez okno i raz po raz zadawał pytania.

Samochód oraz doczepiona doń przyczepa wypełnione były po brzegi wszystkim, czego Molly dorobiła się w ciągu trzydziestu czterech lat życia, toteż cały ten konwój posuwał się wyjątkowo

powoli. Mimo to Molly miała nadzieję, że jazda będzie przyjemna dla całej trójki i że pozostawi po sobie dobre wspomnienia.

Cóż, skoro zeszły rok nie pozostawił po sobie dobrych wspomnień, może ten okaże się lepszy. Oto mieli zacząć wszystko od początku, zamieszkać w nowym domu, poznać nowe życie. Niewielu ludziom dana jest taka okazja.

- Już dojeżdżamy? - zapytał znowu Clay.

- O rany, Clay, nawet nie wyjechaliśmy z Kalifornii - jęknął Tom.

- Naprawdę?

- Naprawdę, synku - przytaknęła Molly. Clay zmartwił się na te słowa.

- No to ile jeszcze będziemy jechać? - zapytał.

- Kilka dni - odparł ponuro Tom. - Co najmniej... Molly oparła się pokusie uszczypnięcia syna. Od samego

początku stosunek Toma do przeprowadzki był sceptyczny. Jej syn miał ochotę na wizytę w Montanie, co nie znaczy wszakże, że zamierzał zostawić szkolnych przyjaciół i zostać „na jakiejś zapyziałej farmie” na zawsze. Kiedy zapowiedziała mu, że sama podjęła decyzję i nie będzie tolerować żadnych dyskusji, obraził się, zaciął, a od początku podróży - czyli od paru godzin - wypowiedział zaledwie kilka słów.

Oczywiście, wiedziała, że Tom wciąż ma jej za złe to, że kazała mu odmalować pomazaną ścianę sali gimnastycznej. Wiedziała również, że powinna być bardziej ostrożna i nie ryzykować decyzji,

które mogłyby go sprowokować do wypowiedzenia jej posłuszeństwa i ostatecznego buntu. Póki co Tom się jej słuchał, jednak na samą myśl, że mogłaby stracić autorytet, a on przystąpiłby do gangu młodocianych przestępców, cierpła jej skóra.

Na szczęście w Sweetgrass nie było żadnych gangów. Ludzie koncentrowali się tam na ciężkiej pracy, nie będzie więc musiała martwić się o złe wpływy wielkiego miasta.

- Opowiadałam już wam o Złamanej Strzale? - zapytała w celu rozpoczęcia rozmowy. Jeśli ona będzie okazywała pozytywny stosunek do tego wyjazdu, być może i Tom zacznie myśleć w podobny sposób.

- Chyba z tysiąc razy - mruknął jej syn i wbił spojrzenie w boczną szybę.

- Są tam konie... - ciągnęła nie zrażona Molly.

- Ile? - zapytał Tom i ziewnął ostentacyjnie.

- Mamo, a co z moim świadectwem? - zapytał Clay, nie pozwalając jej odpowiedzieć.

- Szkoła obiecała, że przyśle je pocztą - odparła. - Przecież już o to pytałeś.

- Wiem... ale zapomniałem. Fajnie, że mogliśmy opuścić ostatnie dwa tygodnie, co nie, Tom?

- Pozwolono wam tylko dlatego, że obiecałem, iż zaliczycie wcześniej wszystkie przedmioty - przypomniała im Molly. Wolą nie czekać z przeprowadzką nawet dwa tygodnie. Zważywszy stan zdrowia dziadka, liczył się każdy dzień.

- Mogłaś chociaż zapytać, czy chcemy się przeprowadzać. - Tom popatrzył z wyrzutem na matkę.

- Masz rację — przyznała niechętnie. - Powinnam była to zrobić.

- I co?

- I nie zapytałam. Uznałam, że skoro dziadek nas potrzebuje, to nie możemy go zawieść.

- Zabrałaś nas od przyjaciół.

- Których? Takich jak Eddie Ries?

No właśnie, poza chorobą dziadka to także był jeden z powodów, który zaważył na jej decyzji. Molly doskonale zdawała sobie sprawę, że Tom potrzebuje innego towarzystwa. Martwiła się o niego, niepokoiła, pytała się w rozpacz i desperacji, co stało się z tym miłym, zawsze chętnym do pomocy chłopcem, którym był kiedyś Tom. Przemiana, która w nim nastąpiła, dokonała się niemal w ciągu jednej nocy. Pogodny niegdyś Tom zrobił się nagle ponury, kapryśny, niegrzeczny.

Z początku pomyślała, że syn sięgnął po narkotyki. Tak ją to wystraszyło, że od razu zadzwoniła do telefonu zaufania, gdzie wyjaśniono jej, że najlepszym sposobem sprawdzenia, czy dziecko się narkotyzuje, jest regularne przeszukiwanie jego plecaka lub pokoju. Dzieci są mistrzami - tłumaczono jej - w stwarzaniu pozorów i przekonywaniu najbliższych o swojej niewinności. Rodzice zaś, zamiast martwić się, czy dziecko nie popadło w nałóg, wolą mu wierzyć. Tylko czysta prawda, nagi fakt posiadania działki takiego czy innego środka odurzającego może otworzyć im oczy; tylko wtedy

uwierzą, że ich niewinny synek czy córka padły ofiarą narkotykowych „naganiaczy”.

Molly przeszukała więc pokój Toma - na szczęście niczego nie znajdując. Zgodnie z radą fachowców zaczęła też zwracać baczniejszą uwagę na to, z kim przyjaźni się jej syn. Do zeszłej jesieni kompanami Toma były porządne i miłe dzieciaki z dobrych domów. Dopiero po zamieszaniu z ojcem Tom zaczął włączyć się z Eddiem Riesem.

- Czy dziadek nauczy mnie jeździć konno? - zapytał nagle Clay.

- Pewnie nie - powiedziała Molly ze smutkiem. - Pamiętaj, że dziadek nie najlepiej się czuje. Nie sądzę, aby jeszcze jeździł konno.

- No to będzie beznadziejnie - stwierdził Clay i rozpląszczył nos na oknie.

Zirytowana Molly potrząsnęła głową z oburzeniem.

- Co się z wami dzieje, na litość boską? - zapytała. - Odkąd wyjechaliśmy z San Francisco, nic tylko marudzicie!

- Bo nie mamy w Montanie żadnych przyjaciół - odpowiedział Tom.

- No to ich znajdziecie. Przecież nigdy nie mieliście kłopotów z nawiązywaniem znajomości. Dzieciaki w Montanie na pewno zechcą dowiedzieć się czegoś o życiu w wielkim mieście. Będziecie bohaterami!

- Akurat...

- Chcecie, opowiem wam o ranczu?

- Tak! - wykrzyknął entuzjastycznie Clay.

- Ja nie jestem zainteresowany - odburknął Tom.

- No to opowiadam - orzekła. - Jeden do jednego, lecz mój głos przeważa szalę.

- To niesprawiedliwe! - wrzasnął Tom.

- Jak nie chcesz słuchać, to zatkaj uszy - poradził mu brat.

Tom mruknął coś w odpowiedzi i odwrócił wzrok, przybierając minę męczennika, Molly natomiast wzięła oddech i zaczęła mówić:

- Początkowo Złamana Strzała liczyła ponad piętnaście tysięcy akrów. Teraz zostało dwa i pół tysiąca...

- Dlaczego właściwie to ranczo nazywa się Złamana Strzała? - Clay nie pozwolił jej powiedzieć więcej.

- Bo znaleźli na nim złamaną strzałę, baranie - włączył się Tom. Hm, czyżby jednak jej słuchał?

- Mamo, on mnie przezywa!

- Nie rób tego, Tom.

- Ale to przecież prawda.

- Tom!

- No co, może nie znaleźli na nim złamanej strzały?

- Owszem, ale to nie powód, żeby obrażać brata. Doskonale pamiętam, że sam zadałeś kiedyś to samo pytanie.

- Tak, ale ja byłem wtedy dzieckiem.

- Miałeś dokładnie tyle lat, co Clay.

- Mamo, a kim jest zarządca, który pracuje u dziadka? - dopytywał się Clay, najwyraźniej zapomniawszy już o doznanej zniewadze.

Zarządca? Molly niewiele miała synowi do powiedzenia na ten temat. Znała tylko nazwisko - Sam Dakota - oraz domyślała się, że człowiek ten jest dość silnie związany z dziadkiem, skoro stać go było na odnalezienie jej telefonu i powiadomienie o fatalnym stanie zdrowia swojego pracodawcy. Poza tym nie wiedziała nic.

Owszem, w ciągu ostatnich dwóch tygodni wiele razy myślała o krótkiej rozmowie telefonicznej, którą z nim odbyła. Miała wrażenie, że w jej trakcie umknęło jej coś istotnego, jakiś dodatkowy, ukryty komunikat, który zawarty był w słowach Sama Dakoty, a którego ona nie zdołała rozszyfrować. Co słyszała w jego głosie? Niepokój? Tak, wyraźny niepokój. Zdenerwowanie, wyczekiwanie? Na co?

Gdy następnego wieczoru sama zatelefonowała do dziadka, ten sprawiał wrażenie całkiem zdrowego. Mówił jasno, precyzyjnie. I głośno, tak jak zwykle. Najbardziej ucieszyła go wiadomość o tym, że Molly przyjeżdża do Montany.

Ano właśnie. Dziadek był szczęśliwy, lecz stało się to kosztem niepokoju, który w ciągu ostatnich dni narastał w sercu Molly. Czy znajdzie pracę w maleńkim Sweetgrass? Mało prawdopodobne. Zapewne nie ma tam wielkiego zapotrzebowania na tłumaczy, może jednak zdoła się zatrudnić w miejscowym liceum. Mogłaby uczyć francuskiego lub niemieckiego, gdyby zaś to nie wyszło, zawsze może dawać prywatne lekcje. Na przykład dzieciom. Kilka renomowanych przedszkoli w San Francisco od kilku już lat oferowało naukę języków obcych swoim trzy- i czteroletnim podopiecznym. Może uda się jej zapoczątkować nową modę w Montanie.

Westchnęła ciężko. Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Zawsze ten sam problem. Nie chciała nawet myśleć o swojej sytuacji finansowej. Aby wyjechać do Montany, sprzedała wszystko, co mogła - meble, naczynia, sprzęt domowy. Nie wzbogaciła się nadmiernie, lecz przy rozsądnym gospodarowaniu mogli przeżyć względnie spokojnie najbliższe dwa miesiące. Tylko co potem?

- Mamo! - W jej myśli wdarł się głos młodszego syna. - Pytałem cię o tego zarządcę, czemu nie odpowiadasz?

- A co chciałbyś wiedzieć?

- Może on nauczy mnie jeździć konno?

- Nie wiem, kochanie. Nie mam pojęcia, kim jest ten człowiek.

- E, tam - Tom postanowił podzielić się z bratem swoim sceptycyzmem - niby czemu taki gość miałby to robić?

- Ale mogę go o to poprosić, prawda? — dopytywał się Clay.

- Oczywiście - odparła Molly.

Przez następne kilkanaście minut powtarzali ten sam scenariusz z irytującą dokładnością. Clay przez chwilę milczał, potem zadawał jakieś pytanie, Tom wtrącał się z kąśliwą uwagą, a potem wkraczała Molly, by zażegnać kłótnię między braćmi i udzielić ciekawskiemu Clayowi oględnej odpowiedzi. Wreszcie Clay znużył się, zapiął pas i zapadł w sen z głową opartą o zagłówek. A jako że klimatyzacja w samochodzie nie działała, duszne powietrze w samochodzie zmęczyło także Toma, który oparł głowę o szybę i również zamknął oczy.

Cisza, jaka zapadła po dwóch godzinach nieustannych pytań, zdawała się Molly prawdziwym błogosławieństwem.

Mocniej docisnęła pedał gazu, by jak najwięcej przejechać, póki słońce nie zacznie prażyć. Wtedy będą musieli się zatrzymać. Całe szczęście, że wyjechali o świcie.

Z północy wiał orzeźwiający wietrzyk. Walt Wheaton usiadł w bujanym fotelu na frontowej werandzie i z lubością wdychał poranne powietrze. Czuł się słabo, ale nawet chore serce nie było w stanie zmącić jego szczęścia.

Molly i chłopcy byli już w drodze. Jechali od dwóch dni i według obliczeń Walta powinni pojawić się na ranchu właśnie dzisiaj około południa. Wyobrażał już sobie, jak skręcają z autostrady w polną drogę, która prowadzi do jego zagrody, jak wyskakują z samochodu, wbiegają na werandę...

Do licha, naprawdę cieszył się, że zobaczy tę trójkę! Będzie musiał ich trochę ustawić - wiedział, że każde z nich ma swoje problemy. Molly nieustannie wątpiła w to, czy jest dobrą matką. Starszy syn miał niewyparzoną gębę, o czym Walt mógł się przekonać podczas rozmów telefonicznych. Za to młodszy robił podobno nieziemski bałagan wszędzie tam, gdzie się pojawił.

Ech, poprawią się z czasem. Wprawdzie świat wyglądał teraz całkiem inaczej niż kiedyś, ale miłość i odrobina dyscypliny w każdym czasie i w każdym miejscu zdolne są zdziałać cuda. Jeśli Molly potrzebne było ojcowskie wsparcie, on - choć dziadek - na pewno jej pomoże. A jeśli chłopakom potrzebna męska ręka, to już on nauczy ich prawdziwego życia. Pewnie z początku będą marudzić i stawać okoniem, ale w końcu na dobre im to wyjdzie.

Walt wiedział, że to, co dla niego było dyscypliną i wyrabianiem charakteru, w wielkich miastach nazywano „znięcaniem się nad dziećmi”. To ci nauka! Dla tych przemądrzalców najstraszniejsze były takie słowa, jak „używanie przemocy”, „hamowanie naturalnej ekspresji”, „tłumienie spontanicznych odruchów” czy „stosowanie systemu kar i gróźb”. No i potem te ich dzieciaki w „spontanicznym odruchu” sięgały po jakieś świństwa albo okładały się kijami i pałkami, jak to nieraz już miało miejsce. A „naturalną ekspresją” było dla nich ślęczenie przed telewizorem czy komputerem i pasienie brzucha chipsami albo pizzą na wynos.

Walt wiedział, że jego metody wychowawcze uważano za przestarzałe i szkodliwe. Gdyby zamieszkał w którymś z wielkich miast, pewnie wytykano by go palcami, że znęca się nad dziećmi. Jednak według niego prawdziwą krzywdą wyrządzaną współcześnie dzieciom było ignorowanie ich, zaniedbywanie, zostawianie samym sobie.

Nie dokończył swoich pedagogicznych rozmyślań, bowiem na końcu podjazdu pojawiła się nagle chmura kurzu.

Molly? Nie spodziewał się, że przyjadą tak wcześnie.

Wstał ostrożnie, by nie obciążać zbyt serca. Nie miał już tak dobrego wzroku, jak kiedyś i dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że w jego stronę jedzie furgonetka, a nie samochód z przyczepą. Po kolejnej chwili rozpoznał swoją sąsiadkę, Ginny Dougherty.

Mruknął pod nosem z niezadowoleniem. Diabli nadali tę głupią Ginny. Ta kobieta miała mniej rozumu niż nowonarodzone ciele, a

usiłowała poradzić sobie z prowadzeniem gospodarstwa. Mieszkała sama, a pomagał jej jedynie kuzyn - stary kawaler imieniem Fred, słabowity i dobrze już po sześćdziesiątce. Co ją tu przygnało? I dlaczego akurat dzisiaj?

Furgonetka Ginny zatrzymała się, wzniesając chmurę kurzu. Kobieta wyskoczyła z wozu i podbiegła szybko do Walta.

- Zanim zaczniesz na mnie wrzeszczeć, posłuchaj, co mam do powiedzenia!

- Czego znowu chcesz? - odburknął Walt. Oparł się niebale o płotek, aby nie zorientowała się, że jest chory i osłabiony, i obrzucił ją nieprzyjaznym spojrzeniem. Kobieta w jej wieku nie powinna nosić ogrodniczek z drelichu, pomyślał.

- Ktoś zniszczył twoją skrzynkę pocztową - odparła Ginny i wysunęła brodę do przodu. - Sadząc po śladach opon, zrobiono to celowo.

Do licha, znowu to samo. Wandale od kilku tygodni nie dawali mu spokoju. Walt zupełnie nie rozumiał, czemu na niego się uwzięli.

- Wiesz, kto mógł to zrobić? - zapytał.

- Każdy, kto cię zna, Walt. Masz opinię zrzędy i awanturnika, najmniej sympatycznego człowieka w Sweetgrass.

- Po to tu przyjechałaś? Żeby mnie obrażać? - zirytował się Walt. Przy Ginny zawsze puszczały mu nerwy. Podejrzewał, że celowo go prowokuje, lecz szczerze mówiąc, uwielbiał te słowne potyczki.

- Nie obrażam cię. Mówię ci prawdę.

- Dziękuję, nie trzeba. - Odwrócił się od niej, po czym powoli usiadł na fotelu.

- Nic ci nie jest? - Ginny zmarszczyła brwi, jakby zaniepokoiło ją coś w jego postawie.

- A co ma mi być? - zachnął się Walt.

- No, czy dobrze się czujesz. Wyglądasz jakoś...

- Oczywiście, że dobrze się czuję! - sapnął, jednak w tym samym momencie poczuł ucisk w piersi i zamknął oczy, by wziąć głębszy oddech. To zawsze się tak zaczynało - nagle, bez żadnego ostrzeżenia. Łapało go za serce i nie mógł zaczerpnąć powietrza. Próbował, lecz oddychał płytko, nierówno, zupełnie jakby ktoś ścisnął go za gardło i chciał udusić.

- Walt?

- Nic, nic... - Zniecierpliwiony machnął ręką.

- Boże, Walt! Jak ci pomóc?

- Pastylki... - wykrztusił tylko w odpowiedzi i poklepał się po kieszeni koszuli. Jego głowa opadła na jedną stronę, czuł dłoń Ginny w swojej kieszeni, nad uchem słyszał jej trajkotanie. Boże, czy nawet w takiej chwili ta utrapiona baba nie przestanie gadać?

Minęła wieczność, zanim udało jej się wsunąć mu pastylkę pod język. Kilka minut później lekarstwo zaczęło działać. Walt zdołał zachować przytomność wyłącznie dzięki sile woli. Nie chciał zemdleć - był pewien, że w takiej sytuacji Sam zawiezie go do szpitala, on zaś wiedział, że jeśli trafia się w takie miejsce, z całą pewnością nie wychodzi się z niego zdrowy.

Już raz był w szpitalu, jedna wizyta mu wystarczy. Doktor Shaver omal go nie zabił, podczas gdy Sam spokojnie się temu przyglądał. W ciągu następnych kilku dni Walt trzykrotnie zwalniał swego zarządcę, ale ten uparcie ignorował jego polecenia. Tak, Sam był uparty. Równie uparty, jak Walt.

- Wypij to - usłyszał głos Ginny i poczuł, jak podsuwa mu do ust szklanę.

- Co to jest? Arszenik?

- Woda, idioto.

Pokręcił głową, a wówczas Ginny sama wypija zawartość szklanki.

- Co robisz? Myślałem, że to dla mnie.

- Potrzebowałam tego bardziej niż ty - odparła i opadła ciężko na fotel.

To był fotel Molly. Przez czterdzieści lat siadywała co wieczór wraz z mężem na tej werandzie. Cerowała, szydełkowała, szyła. Nie lubiła siedzieć beczynn timer. Czasami udawało mu się skraść jej całusa.

Walt nie mógł się nadziwić, że kobieta równie piękna i utalentowana, jak Molly MacDougal poślubiła człowieka takiego jak on. Mało tego, poślubiła go i była z nim szczęśliwa! Z takim zrzędą! Żałowała tylko, że nie zdołała urodzić mu więcej dzieci.

Teraz oboje - i Molly, i ich syn - już nie żyli. Dwudziestokilkuletniego Adama przejechał pijany kierowca, potem odeszła na zawsze jego matka.

Ech, wkrótce i on do nich dołączy. Nawet się na to cieszył. Cieszył i szykował. Starczy tego życia. Zanim jednak odejdzie, musi załatwić parę spraw. Może dobry Bóg mu na to pozwoli. Zabrał mu Molly, zabrał Adama, więc chyba da coś w zamian.

- Przeraziłeś mnie, Walt! Przeraziłeś jak nigdy! - odezwała się z pretensją Ginny. - Przyznaj się, zrobiłeś to specjalnie. Nie jesteś naprawdę tak ciężko chory...

- Powiedz lepiej o tej skrzynce. Co zrobiłaś z moimi listami? - zapytał Walt, aby zmienić temat. Nie chciał rozmawiać o swojej chorobie.

- To ja ocaliłam ci życie, a ty pytasz o jakąś głupią pocztę?

- Masz listy, prawda? Jak cię znam, to pewnie je przeczytałaś.

- Oczywiście, że nie!

- Akurat.

- Nie wierzysz?

- A kto by tam tobie wierzył?

- A dlaczego nie?

- Wścibskiej babie?

- Może byś mi podziękował, zamiast mnie oskarżać? Gdyby nie ja, już byś rozmawiał ze świętym Piotrem.

- Lepiej z nim niż z tobą, kobieto. Gdybym wiedział, że będziesz tyle gadać, umarłbym z przyjemnością. No dobrze - uśmiechnął się, widząc jej obrażoną minę - dziękuję, Ginny. A teraz dawaj te listy...

Rozdział trzeci

- Mówię wam, to chyba największy i najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam - opowiadała Molly zasłuchanym chłopcom.

Wciąż pędzili w stronę Montany, pewnie jakieś dwadzieścia kilometrów na godzinę szybciej niż dopuszczalny limit. Na drodze było pusto, więc Molly uznała, że może sobie pozwolić na ryzyko, jeśli w zamian dotrze do Sweetgrass choćby o pół godziny szybciej.

- Największy? A ile ma pokoi? - zainteresował się Clay.

- Och, nie pamiętam dokładnie. Na pewno więcej, niż możesz sobie wyobrazić - odparła z uśmiechem. - Został zbudowany na początku wieku i nawet jak na tamte czasy był olbrzymi. A przecież potem dobudowano jeszcze sporą werandę. Pamiętam, że widać z niej było pasące się konie.

- W takim razie będę miał własny pokój? - zapytał Tom.

- Na pewno. I jeszcze zostanie z pięć wolnych sypialni.

- Spałbym nawet na strychu, nawet bez elektryczności, jeśli miałyby mnie to uwolnić od Claya.

Rzeczywiście, dzielenie pokoju z młodszym bratem stanowiło dla Toma poważny problem i było jednym z głównych powodów, dla których tak boleśnie zniósł przeprowadzkę do mniejszego mieszkania. Na szczęście wkrótce miało się to zmienić. Przynajmniej ten kłopot będą mieli z głowy.

- Mamo, a czy ten dom jest ładny? - zapytał rezolutnie Clay.

- Czy jest ładny? To dobre pytanie — zastanowiła się Molly. -
Tak, chyba tak. Dzięki babci było tam zawsze czysto i porządkie.
Zresztą, sami zobaczycie. Na pewno wam się spodoba.

Jej zawsze podobało się w domu dziadków. I wtedy, kiedy była dzieckiem, które z wypiekami na policzkach zwiedzało przestronne pomieszczenia na parterze i pełen tajemnic strych, i ostatnio, kiedy jako dorosła osoba odwiedziła dom w miesiąc po śmierci babci. Drewniane podłogi, które regularnie pastowała Molly Wheaton, wciąż były lśniące i pachnące, a ściany lśniły nieskazitelną bielą. Z szacunku dla żony dziadek wciąż zdejmował buty przed wejściem. W każdym pokoju pachniało słońcem oraz ledwo wyczuwalną nutą cytryny i sosny. Molly wciąż pamiętała ten szczególny zapach.

- A jak duża jest stajnia?
- Olbrzymia.
- To samo mówiłaś o domu.
- Wszystko jest tam olbrzymie.

Uśmiechnęła się do siebie. Rozmowa o domu wprawiła ją w dobry nastrój. Ciekawe, że choć tyle lat spędziła w San Francisco, to raczej ten stary drewniany budynek, o którym opowiadała chłopcom z takim przejęciem, zdawał się jej w tej chwili prawdziwym domem. To w nim spędziła najbardziej beztroskie chwile, to w nim zawsze była szczęśliwa; potem w jej życiu też były oczywiście chwile radości, wszystko jednak przysłaśniał cień nieudanego małżeństwa, rozwodu, a ostatnio procesu z udziałem byłego męża. Starła się myśleć, że to już przeszłość, która nigdy nie wróci, że po deszczu i burzy w jej życiu

wyjrzało słońce; powtarzała sobie, że wraz z opuszczeniem San Francisco opuszcza też jakiś nieprzyjazny ląd, a wkracza w krainę nowych szans, nowego życia, przyszłości.

Ba, tylko jaka będzie ta przyszłość? I czy zdoła wykorzystać dane jej szanse?

- Obok domu rośnie wierzba płacząca - odezwała się nagle. - Kiedy byłam małą, uwielbiałam po niej łązić i ukrywać się w jej gałęziach. Kiedy przychodził po mnie dziadek, udawał, że nie ma pojęcia, gdzie jestem...

Roześmiała się cicho na to wspomnienie. Dziadek mógł wydawać się szorstki i zasadniczy, jednak w głębi duszy był czuły i pełen ciepła. Kiedy babcia rozpieszczała swoją jedyną wnuczkę, sarkał wprawdzie i narzekał, że od tego chuchania i dmuchania małej Molly przewróci się w głowie, ale przecież i on był gotów oddać wszystko tej małej dziewczynce, która uwielbiała płatać mu figle.

Czy to nie on wybudował domek dla jej lalek i własnoręcznie wyrzeźbił do niego każdy mebelek? Zajęło mu to całą zimę. Jednak zamiast po prostu jej go wręczyć, zaniósł go na dach, po czym udawał, że to stara zabawka, która kurzy się i niszczy od lat. Cały dziadek.

A czy to nie on przesmuglował do sypialni kociaka, aby sześciolatniej Molly różniej było spać podczas pierwszej nocy, którą spędzała u dziadków bez rodziców? Babcia nie pozwalała wpuszczać do domu ani psów, ani kotów, a jednak dziadek zrobił wyjątek dla ukochanej wnuczki.

- Czy dziadek ma psa? - zapytał przejęty Clay.

- Co najmniej trzy albo cztery - odparła. - Nazywał je zawsze imionami bohaterów dziecięcych kreskówek. McGoo, Mighty Mouse... Moimi ulubieńcami były Yogi oraz Boo Boo. To tu! - wykrzyknęła nagle, wskazując na stojące przy drodze dwa słupki, między którymi kołysała się zawieszona na łańcuchu tablica z napisem „Ranczo Złamana Strzała”.

- Tutaj? Nie widzę żadnego domu - mruknął Clay.

- Wkrótce zobaczysz - obiecała mu i wzięła głęboki oddech.

Perspektywa rychłego spotkania z miejscem, które znaczyło dla niej tak wiele, sprawiła, że Molly poczuła się nagle tak samo, jak przed laty, kiedy jako dziewczynka przyjeżdżała na ranczo w letnie wakacje.

Jeszcze chwila i ich dziesięcioletni taurus wjechał żwawo na wzgórze. Molly instynktownie wyteżyła wzrok, wiedząc, że już za chwilę ujrzy dom. Spojrzała na synów, ciekawa ich reakcji. Była pewna, że najpierw wstrzymają oddech, a następnie westchną z podziwem.

Jednakże to nie oni jęknęli, ale sama Molly, zaś jęk, który z siebie wydała, wcale nie był jękiem zachwyty. Dom nie przypominał w niczym budowli, którą zachowała w swojej pamięci. Zniknęła większość okiennic, a te, które pozostały, ledwo trzymały się na przybitych byle jak gwoździach. Zewsząd odłaziła farba, odsłaniając całe połacie nagiego drewna. Dwa słupki w balustradce werandy odpadły, w płocie widać było dziury, a fragment dachu pokrywała łata z zielonego brezentu.

- Jesteś pewna, że to ten sam dom? - zapytał ostrożnie Tom.
- Na pewno nie ten sam, prawda, mamó? - zawtórował mu Clay.
- Jeśli to ten, to ja dziękuję - skrzywił się Tom, - Rodzina

Adamsów pokochałaby to miejsce — dodał sarkastycznie.

Molly była zbyt oszołomiona, aby w jakikolwiek sposób zareagować na dezaprobatę w głosie synów. Zatrzymała samochód, zgasiła silnik i wyprostowała ramiona, usiłując ukryć rozczarowanie. Może dom nie wygląda tak, jak sobie wyobrażała, ale przecież tylko od niej zależy, jak będzie wyglądać w przyszłości. Czy ktoś jej obiecywał, że przeprowadzi się do pałacu?

- Mamó, dlaczego się zatrzymaliśmy? Czy już mamy wysiadać?

- Posłuchajcie, chłopcy, musimy pamiętać, że dziadek jest chory - powiedziała bardziej po to, żeby uspokoić siebie niż dzieci. - A skoro jest chory, to nie może sam zająć się wszystkim. Zapomnieliście już, że przyjechaliśmy tu, aby mu pomóc?

- Ale to miejsce to ruina!

- Przestań. Thomas! To nie żadna ruina tylko nasz dom!

- To ja już wole tamtą klitkę w San Francisco! Molly ścisnęła rękę na kierownicy, żeby powstrzymać wybuch złości.

- To nasz dom - powtórzyła z naciskiem. - Wkrótce będzie piękniejszy niż kiedykolwiek.

Albo zrobiła na nich wrażenie determinacja w jej głosie, albo byli już zbyt zmęczeni, żeby się spierać; dość że zamilkli i pokiwali potulnie głowami, wciąż nie przekonani, ale chyba świadomi już tego,

że skoro decyzja o przeprowadzce została podjęta, to nie ma od niej odwrotu.

Molly spodziewała się, że dziadek oczekiwał ich będzie na werandzie, toteż poczuła rozczarowanie, kiedy nikt nie wyszedł im na powitanie. Zatrzymała się przy tylnym wejściu, nieopodal stajni, gdzie zwykle parkowały samochody. Dwa psy rozszczękały się donośnie na ich widok, ledwie zaś zdążyła zgasić silnik, ze stajni wyłonił się wysoki, postawny mężczyzna. Zdjął kapelusz, otarł ręką spoczone czoło, po czym przyjrzał się im uważnie.

To mógł być tylko Sam Dakota, zarządca rancza. Chłopcy, którzy zdążyli już wyskoczyć z samochodu, stanęli nagle w miejscu, jakby czekając na reakcję matki; psy wciąż nie przestawały ujadać.

Clay poruszył się pierwszy. Spostrzegł, że jeden z psów - suka w mocno zaawansowanej ciąży - przestał szczekać, i podszedł do niego, by go pogłaskać. Pies odplącił mu życzliwym merdaniem ogonem, co natychmiast uciszyło jego towarzysza. Sam Dakota uśmiechnął się na ten widok, zaraz jednak spoważniał i przeniósł wzrok na Molly.

Nagle ogarnęła ją trwoga. Przeraziła się, że przybyli za późno i że dziadek...

Natychmiast odsunęła od siebie tę myśl. To, że dziadek nie czeka na nich na ustawionym na werandzie fotelu, nie musi oznaczać tego, co najgorsze. Może śpi, a może po prostu zmęczył się i postanowił położyć do łóżka?

Pchnęła drzwi samochodu i wyszła na zewnątrz. Sam ruszył w jej kierunku, zdjął z głowy kapelusz. Patrząc pod słońce, nie najlepiej widziała rysy jego twarzy. Dostrzegła jedynie, że jest wysoki, szczupły, ubrany w roboczy strój - i spocony od pracy, którą właśnie mu przerwano.

- To pewnie pan nazywa się Sam Dakota - odezwała się pierwsza. Podeszła bliżej i podała mu rękę, którą mocno uściskał, a potem szybko wypuścił. - Jestem Molly Cogan, wnuczka Walta Wheatona. A to moi synowie, Tom i Clay. Gdzie dziadek?

- Odpoczywa. Myślał, że przyjedziecie wcześniej. Od rana na was czekał.

Usłyszała w jego głosie dezaprobatę i zeszywniała na moment z gniewu. Zaraz jednak uspokoiła się, objęła młodszego syna i przycisnęła go mocno do siebie.

- Jak on się czuje? - zapytała, ignorując aluzję zawartą w głosie zarządcy.

- Nie najlepiej. Znowu miał atak.

- Zawiózł go pan do lekarza? Czy nie powinien być w szpitalu?

- Moim zdaniem powinien, ale on nie chce o tym słyszeć. Nie ruszyłoby go stąd nawet stado mułów.

- No tak - Molly uśmiechnęła się z wysiłkiem - jedynie babcia umiała sprawić, żeby zmienił zdanie. Jak coś sobie postanowił, to na amen.

Dopiero teraz na twarzy Sama pojawił się cień uśmiechu.

- Niestety, mnie nie darzy podobnym uczuciem, jak babcię - mruknął, po czym skierował wzrok na Toma i Claya. - Chce się wam pić, chłopaki? W lodówce jest oranżada, chodźcie - zagadnął i nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku domu.

Molly skinęła na synów i cała trójka podążyła za Samem z mieszaniną ulgi i obawy. Przy wejściu do kuchni zatrzymali się i rozejrzeli ciekawie wokół. Niestety, obawa, z jaką wkraczali do wnętrza domu, okazała się uzasadniona - schludne i przestronne niegdyś pomieszczenie zastawione było teraz zniszczonymi sprzętami, zaniedbane i brudne. W zlewie leżały nie zmywane chyba od tygodnia naczynia, na kredensie wznosiła się sterta starych gazet i poczty, zaś szyby w oknach wyglądały tak, jakby nie myto ich od lat. Nawet Molly, która nigdy nie była tak dobrą gospodynią, jak jej babka, patrzyła na to wszystko ze zgrozą.

- Macie tylko zwykłą oranżadę? - zapytał Tom, kiedy Sam wyjął z kredensu trzy szklanki i nalał do nich z butelki żółtawego płynu. - A pepsi? Cola?

- Jest jeszcze woda, chcesz? - zapytał uprzejmie Sam i puścił oko do Claya, który najwyraźniej nie miał nic przeciwko „zwykłej oranżadzie”.

Tom rzucił matce pełne niesmaku spojrzenie i podniósł szklankę z cierpiętniczą miną. Nie powiedział jednak więcej ani słowa.

- Pani dziadek drzemie w pokoju gościnnym - Sam zwrócił się do Molly. - To tam. Niech pani uważa, żeby go nie zbudzić.

Kiwnęła w milczeniu w głowę, a potem cichutko weszła do wskazanego jej pomieszczenia. Przez chwilę stała bez ruchu i obserwowała staruszkę, który leżał na rozkładanym fotelu z uniesionymi do góry nogami i pochrapywał cicho przez sen. Wyglądał tak krucho, tak delikatnie, że Molly poczuła, jak wzruszenie ścisnęło jej serce. Ten czerstwy, zdrowy i silny jeszcze przed dziesięciu laty mężczyzna przypominał teraz raczej bezbronny i wymagający nieustannej opieki dziecko.

Z najwyższym trudem pohamowała napływające do oczu łzy. Oto dziadek, ojciec jej ojca. Kiedy zginął jej tata, miała zaledwie sześć lat. Gały jej świat rozpadł się wówczas na kawałki i już nigdy nie miał być taki, jaki był przedtem. Rok później matka ponownie wyszła za mąż i wkrótce przybył Molly przyrodni brat. To właśnie dziadek zastępował jej ojca, za którym Molly tak bardzo tęskniła. To on wspierał ją w trudnych chwilach, troszczył się o jej wykształcenie, a kiedy matka, ojczym i przyrodni brat wyemigrowali do Australii, otaczał pozostawioną samej sobie nastolatkę finansową opieką.

Dziadek, ojciec jej ojca, najdroższy, najkochańszy...

Uklękła obok fotela i delikatnie odgarnęła siwe włosy z czoła staruszki.

- Dziadziu - wyszeptała tak cicho, że ledwie mogła usłyszeć własny głos. - Już jesteśmy, dziadziu - dotknęła pokrytej zmarszczkami, spracowanej dłoni - przyjechaliśmy...

Oczy dziadka natychmiast się otworzyły.

- Molly, moja mała - szepnęła i wyciągnęła rękę, by dotknąć jej policzka. - Nareszcie... Zostaniesz?

Przyjechałam, żeby zostać. Jego oczy zaśmiały się radośnym blaskiem.

- Dlaczego dopiero teraz?

- Z powodu uporu, dumy... Znasz mnie przecież. Dziadek zachichotał cicho i przeniósł wzrok na drzwi.

- A dzieciaki? - zapytał. - Cały dzień czekam, żeby wreszcie je zobaczyć.

Molly podniosła się bez słowa i wyszła, by po chwili wrócić z dwójką synów. Chłopcy rozejrzeli się niepewnie. Tom miał skrzyżowane ramiona i krzywy grymas na twarzy, za to Clay uśmiechnął się szeroko na widok pradziadka i zakrzyknął radośnie:

- Cześć, dziadziu!

- Dzień dobry - dołączył do powitania Tom, doszedłszy jak widać do wniosku, że mimo wszystko wypada się przywitać.

Dziadek długo patrzył w dziecięce buzie, wreszcie skinął głową i odwrócił twarz. Molly wiedziała, dlaczego się nie odezwał. Ten zawsze twardy i rzeczowy człowiek był tak wzruszony, że nie potrafił wykrztusić z siebie ani słowa.

- To ona? - wyszeptał Lance, wychylając się z alejki pomiędzy kawiarnią a sklepem z narzędziami.

Spojrzenie Monroe'a powędrowało na drugą stronę ulicy. Molly Cogan wychodziła właśnie z banku w towarzystwie wysokiego mężczyzny. Była atrakcyjna, cholernie atrakcyjna. Na dodatek

rozwiedziona, więc pewnie gorąca i chętna. Kobieta, która musi obywać się bez męża, z pewnością aż jęczy na myśl o tym, że mógłby jej dogodzić jakiś sprawny i zdrowy chłop. On, Monroe, był wystarczająco sprawny. I wystarczająco chętny...

Szybko odsunął od siebie natrętne myśli. Nie teraz. Później może się z nią zabawi, lecz na razie musi zrobić swoje. Już niejeden przepadł, kiedy zaczął łączyć interesy z przyjemnościami. Najpierw przejmie ranczo tego starucha, a potem pokaże tej rudej, czym się różni prawdziwy mężczyzna z Montany od wymuskanego chłopaczka z wielkiego miasta.

O, tak, Monroe niejedno słyszał o facetach z Kalifornii, zwłaszcza z San Francisco. Większość z nich to zblazowane pedały, co to nie mają pojęcia, czego pragnie kobieta. Bardziej interesują ich narkotyki niż babskie cycki! Nie potrafią utrzymać w łapie porządnej spluwy, bo ich paluszki są tylko w stanie stukać w klawiatury komputerków. Coś takiego! Chyba naprawdę ten cholerny kraj zmierza ku przepaści...

No i właśnie dlatego powstali Lojaliści - żeby temu zaradzić. Na ostatnie spotkanie, w którym brał udział także Monroe, przybyło ponad sto osób! Wszyscy, co do jednego, wyrazili swoje poparcie dla zmian, jakie należało wprowadzić najpierw w Montanie, a potem w całych Stanach. Czy to nie niezwykle?

Oczywiście istniały też wyjątki od reguły, jak chociażby stary Walt Wheaton. Ten starzec trzymał się swego zdania i był uparty jak osioł. Nie tylko zresztą w sprawach polityki. Monroe zrobił wszystko,

co w jego mocy, aby przekonać go do sprzedaży rancza, ale ten trwał przy swoim.

Oczywiście przekonywał Wheatona dyskretnie, zachowując swoją tożsamość w tajemnicy. Tylko Lojaliści znali jego prawdziwe nazwisko. A chociaż był na ostatnim spotkaniu, nikt w całym Sweetgrass nie wiedział, jak bardzo Monroe zaangażował się w pracę organizacji.

Po dokładnym zbadaniu rozmaitych miejsc Lojaliści uznali, że jako poligon, na którym ochotnicy doskonaliliby swoją sprawność i ćwiczyli metody walki, mogłaby służyć właśnie posiadłość Walta Wheatona. Co z tego jednak, skoro Walt Wheaton trzymał tę swoją ziemię i nie chciał słyszeć

o pozbyciu się ani hektara. Nawet bankier Dave Burns nie zdołał jak dotąd go przekonać. Kiedy więc wszystkie próby perswazji zawiodły, przywódca Lojalistów wysłał do pomocy Lance'a.

Monroe niezbyt cenił Lance'a, ale nie dzielił się z nikim tą opinią. Wciąż zresztą nie tracił nadziei i liczył na to, że Wheaton zrezygnuje w końcu ze swojego rancza. To właśnie dlatego przekonał przełożonych, że warto poczekać z użyciem przemocy, zanim nie podjęta zostanie ostatnia próba perswazji. Nie miał nic przeciwko przemocy, nie chciał jednak, aby taki gnojek, jak Lance opływał w zaszczyty za przejęcie rancza, podczas gdy on, Monroe, mógł to zrobić sam - i to znacznie subtelniej.

I tak Monroe skłonił swojego kuzyna, aby ten złożył staremu propozycję nie do odrzucenia. Teraz, kiedy w mieście znalazła się

wnuczka Wheatona, mogli wreszcie ruszyć z miejsca. Ranczo chyliło się ku upadkowi, Burns pilnował by tak było, odmawiając Wheatonowi nowych kredytów i żądając spłaty już zaciągniętych. Sprawy przybierały coraz lepszy obrót.

- Cholera, jak długo może jeszcze pożyć ten staruch? - Głos Lance'a wyrwał go z zamyślenia.

- Niedługo - odburknął Monroe. Wiedział, że w razie konieczności zezwoli, aby Lance pomógł ranczerowi przenieść się na tamten świat, chociaż wolał tego uniknąć. Lojaliści nie potrzebowali w Sweetgrass gromady węszących gliniarzy i reporterów.

- Kto z nią jest?

- Sam Dakota. Zarządca.

- Będzie robił kłopoty?

- Mało prawdopodobne. - Co prawda zarządca stanowił pewien problem, ale Monroe wątpił, aby Sam długo zabawił w Sweetgrass. Kiedy Wheaton dowie się, że jego pracownik siedział w więzieniu, na pewno zechce się go pozbyć. To dobrze, bo inaczej Dakota mógłby próbować się dogadać z wnuczką w sprawie ziemi.

- Zdaje się, że mówiłeś, że masz nowy sposób na przejęcie rancza - znów odezwał się Lance. - Jak długo mamy czekać?

- Spokojnie, to musi trochę potrwać.

- Ja go przekonam w tydzień.

- Na razie ja podejmuję decyzje - wycedził Monroe przez zaciśnięte zęby. Istnienie grupy zależało od cierpliwości. Rząd, a

zwłaszcza FBI, z radością wpadłyby na jakikolwiek ślad działania Lojalistów.

- Okay, nie bój się, nie zrobię nic głupiego - zapewnił go Lance.
- Dobrze wiedzieć.

Monroe ponownie zerknął na Molly Cogan. Cholera, nie mógł się powstrzymać. Dżinsy podkreślały kształt jej pośladków, pod bluzką kołysały się piersi. Sposób, w jaki się poruszała, nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że ta miła osóbką jest kobietą. I że pochodzi z rodu Wheatonów - ludzi dumnych i upartych.

- Ładna sztuka - zagadnął Lance.
- Tylko sobie nie myśl...
- Że co?
- Sam wiesz. Niech ci czasem nie przyjdzie do głowy jakiś numer. - Monroe z trudem hamował irytację. - I tak za dużo już mamy komplikacji.

- Dobra, dobra, już zamykam oczy i nie patrzę. Ale pozwól mi chociaż odwiedzić którąś z dziewczynek. Jestem w wieku dojrzewania, kolego. Mam spore potrzeby, a nie lubię zabawiać się sam ze sobą.

Ten gówniarz pewnie myślał, że jest zabawny, lecz jego żarty nie bawiły Monroe'a. „Mam spore potrzeby...” To sam się zakreć, chłopaczkę, a nie łaż za darmochem na dziwki! Działalność Lojalistów finansowana była w dużej części z dochodów uzyskiwanych ze zorganizowanej prostytucji. Gdyby tak wszystkie młode byczki w rodzaju Lance'a dogadzały sobie za darmo, mogłoby zabraknąć forsy

na podstawowe cele. Owszem, Monroe też lubił czasem skorzystać z przywilejów bycia Lojalistą; miał swoją Pearl, miał kilka innych ulubionych dziewczyn. Uważał jednak, że ma do nich o wiele większe prawo niż taki Lance.

- Nie zbliżaj się do miasta, chyba że zarządzę inaczej - rozkazał suchym głosem.

- Ej, niby dlaczego? - Lance nagle zeszywniał.

- Słyszałeś, co powiedziałem? To rozkaz. A jeśli spróbujesz działać na własną rękę...

- Dobra, dobra - mruknął Lance. — Rozkaz to rozkaz.

- A teraz spadaj. I nie wyłaź z nory, dopóki cię nie wezwę.

Lance mruknął jeszcze coś pod nosem, a potem wsiadł do swojego forda i pojechał w stronę drogi wylotowej ze Sweetgrass. Monroe popatrzył za nim ze złością, splunął, po czym i on zajął miejsce za kierownicą samochodu. Stojące cały czas na słońcu auto było tak rozgrzane, że ledwie dało się w nim wytrzymać. On też był rozgrzany, z powodu wnuczki Walta Wheatona. Może by tak odwiedzić Pearl? Na pewno zdążyła się już za nim stęsknić.

Przejechał kilka ulic i zatrzymał się nieopodal parku. Nie miał ochoty, żeby ktokolwiek domyślił się, dokąd idzie, dlatego też wolał przejść się kawałek niż parkować pod jej domem. Przeszedł dwie przecznice, dotarł od tyłu do domu Pearl i wszedł bez pukania kuchennymi drzwiami.

Pearl wychyliła się z holu na odgłos kroków. Wyglądała na zdziwioną jego widokiem. Wciąż miała na sobie szlafrok, choć

dochodziło już południe. Dobrze, pomyślał, od razu zabiorą się do rzeczy.

- Co tutaj robisz? - zapytała, kładąc ręce na biodrach.

Gwałtowny ruch sprawił, że poły szlafroka rozchyliły się, ukazując skrawek jej pełnych piersi.

- Zgadnij - odparł z uśmiechem i zaczął rozpinać pasek.

Pearl zmarszczyła brwi, cofnęła się o krok.

- Była umowa, że będziesz przychodził raz w miesiącu.

- Musieliśmy źle się zrozumieć.

Pearl zapewne była kiedyś piękna, lecz lata pracy w zawodzie odebrały jej urodę i świeżość. Mocny makijaż nieco to tuszował, ale i tak Pearl nie mogła się równać z Molly Cogan.

- Gotowa? - Postąpił w jej kierunku, podniecony i wściekły zarazem.

- Poczekaj, nie chcę, żebyś mnie dzisiaj wiązał - odparła drżącym głosem.

Monroe zmrużył oczy z rozkoszą. Podobało mu się to. Lubił, kiedy się go bała. Właściwie nie powinien robić z nią rzeczy, których odmawiała innym klientom, ale przecież on nie był taki, jak inni. Lojaliści mieli Pearl na własność, więc musiała robić to, czego żądał, czy jej się to podobało, czy nie.

Dziadek uparł się, że do Sweetgrass powinna pojechać w towarzystwie zarządcy. Molly nie widziała takiej potrzeby, jednak nie protestowała, nie chcąc narażać dziadka na niepotrzebne nerwy. Zostawiła go więc z chłopcami, a sama zajęła miejsce pasażera w

starej półciężarówce, od niepamiętnych lat należącej do Walta Wheatona.

Prawdę mówiąc, cieszyła się na wspólną wyprawę do miasteczka. Liczyła na to, że wykorzysta czas spędzony sam na sam z Samem Dakotą i dowie się czegoś więcej o nim samym, a także o stanie zdrowia dziadka.

Z początku w kabinie samochodu panowała cisza. Molly zerkała co jakiś czas na kierowcę, jednak ten milczał i nie odrywał oczu od drogi. Wreszcie zrozumiała[^] że nie odezwie się pierwszy, dopóki sama nie rozpocznie rozmowy.

- Jest pan stąd? - zapytała.
- Nie.
- Z Montany?
- Nie.
- Pracował pan wcześniej jako zarządca?
- Nie.
- Nigdy?
- Nigdy.

Hm, nie była to porywająca rozmowa. Podczas czterdziestominutowej jazdy do Sweetgrass Sam Dakota odpowiadał wyłącznie pojedynczymi słowami. Jak z kimś takim mogła poważnie porozmawiać o dziadku?

Próbowała jeszcze kilka razy wciągnąć go do rozmowy, lecz Sam nie przejawiał chęci do dzielenia z nią swoich opinii. Ostatecznie dała sobie spokój i resztę drogi przebyli w milczeniu.

- O, Boże - wyszeptała zdumiona, kiedy wjechali na ostatnie wzgórze przed Sweetgrass i na horyzoncie ukazało się miasteczko.

- Co się stało? - Sam zwrócił się w jej stronę.

- Wszystko wygląda tak samo, tak jak wtedy... Rzeczywiście, o ile Złamana Strzała zmieniła się przez te lata nie do poznania, to Sweetgrass nie zmieniło się wcale. Wciąż było tym samym uroczym miasteczkiem wciśniętym w wąską dolinę między rozłożystymi wzgórzami. Kiedy wjechali do centrum, okazało się, że sklep Foleya nadal stoi na rogu Głównej i Klonowej, stary zegar na banku wskazuje czas i temperaturę, apteka pracuje od dziesiątej do szóstej z przerwą na lunch, a fryzjer reklamuje swe usługi tym samym co kiedyś szyldem: „Modne strzyżenie - panie, panowie, dzieci".. Ciekawe, czy wciąż pracuje tu ten Włoch, który nosił czarny wąsik i całkiem dobrze naśladował Elvisa, pomyślała Molly.

Przypomniała sobie, jak to babcia zabierała ją kiedyś do Foleya, by dziewczynka mogła pooglądać tropikalne ryby pływające w akwariu, biegające po klatkach chomiki i inne zwierzęta, które można było tu kupić i zamówić. Sklep zajmował się nie tylko sprzedażą zwierząt, lecz także rozmaitych drobiazgów oraz wątpliwej jakości upominków. Zdaje się jednak, że prosperował wyłącznie dzięki temu, że sprzedawano w nim również słodczyce, i to w największym wyborze w całym Sweetgrass.

- Nic się nie zmieniło - powtórzyła zdumiona. - Nic.

- Wszystko się zmienia - odparł beznamiętnie Sam. - Niech pani nie da się zwieść pozorom.

Skierował samochód na wolne miejsce na parkingu, zatrzymał się i wyłączył silnik.

- Muszę zajrzeć do banku, poczeka pan w samochodzie? - spytała Molly. Po wizycie w banku miała zamiar zrobić zakupy w miejscowym supermarkecie, który znajdował się na drugim końcu miasteczka, czyli jakieś sześć budynków dalej. Z niejasnych dla siebie powodów wołała, żeby Sam jej nie towarzyszył.

- Nie, ale mam parę spraw do załatwienia - odparł. - Kiedy skończę, wstąpię po panią.

Kiwnęła głową i spojrzała w stronę budynku z czerwonej cegły, który był siedzibą regionalnego banku. Zauważyła, że na rogu Głównej i Kasztanowej zapaliło się czerwone światło, i uśmiechnęła się do siebie. Kiedyś było to jedyne skrzyżowanie z sygnalizacją świetlną w całym hrabstwie. Kiedy pięć lat temu w Jordansville, podobnym miasteczku, leżącym jakieś sześćdziesiąt kilometrów na wschód, także zainstalowano światła, dziadek ciężko to przeżył i napisał do Molly, że w Montanie robi się ciasno.

Przewiesiła torebkę przez ramię i ruszyła w stronę głównego wejścia. Sam odprowadził ją do drzwi, po czym pożegnał się i przeszedł na drugą stronę ulicy. Zanim Molly weszła do środka, ujrzała w szybie jego odbicie - stał w cieniu kasztanowca i przyglądał się jej uważnie.

Dziwny człowiek z tego Dakoty, pomyślała. Raz zdaje się życzliwy i miły, kiedy indziej zachowuje dystans i stara się nie odzywać. Przede wszystkim jednak sprawia wrażenie, jakby

krępowało go zainteresowanie jego osobą. Czyżby był taki nieśmiały? Jego wygląd nie potwierdzał podobnych przypuszczeń.

Wnętrze banku zmodernizowano od czasu, kiedy była w nim po raz ostatni. Zniknęły tradycyjne, drewniane lady, w ich miejsce pojawiły się marmurowe. Skrzypiąca podłoga pokryta została wykładziną.

Molly podeszła do stanowiska z napisem: „Otwieranie rachunków osobistych”, uśmiechnęła się na powitanie i usiadła na krześle.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, pani - odparła uprzejmie kobieta z plaketką „Cheryl Ripple”, przyczepioną do klapy gustownego żakietu. - Czym mogę pani służyć?

- Jestem Molly Cogan, wnuczka Waltera Wheatona.

- Rozumiem. - Uśmiech Cheryl natychmiast zniknął. Kobieta wstała gwałtownie, przeprosiła Molly, po czym zniknęła za ozdobionymi złotą klamką drzwiami z napisem „Dyrektor”. Chwilę później wyszedł stamtąd dystyngowany pan w średnim wieku.

- Pani Cogan? - Podeszedł do niej i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Miło mi panią poznać. Nazywam się David Bums. Czy... czy coś się stało?

Molly spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Pan wybaczy - odezwała się - ale nie bardzo rozumiem. Co miałyby się stać?

- Och, nic takiego. - Burns zaśmiał się nerwowo. - Po prostu pani dziadek wiele razy miał zastrzeżenia odnośnie pracy naszego banku, więc chciałem się upewnić, czy nie ma żadnych problemów związanych z obsługą jego konta. Często wnosił reklamacje...

- Nic mi o tym nie mówił - odparła Molly. Udała zdziwienie, mogła się jednak domyślać, że dziadek nie był łatwym klientem. - Ja przyszedłam otworzyć własne konto.

- Własne konto? - Buras nawet nie starał się ukryć ulgi, jaka ogarnęła go na te słowa. - Znakomicie, jesteśmy do usług.

- Postanowiłam zamieszkać z dziadkiem.

- Rozumiem. Witamy zatem w Sweetgrass. Cheryl z radością się panią zajmie. Miło mi było panią poznać, pani Cogan. - Skłonił się, po czym odwrócił się szybko i zniknął w swoim gabinecie.

W ciągu następnych dziesięciu minut Molly wypełniła wszystkie niezbędne dokumenty i złożyła wzór podpisu.

Zbierała się już do wyjścia, kiedy zauważyła, że w lobby stoi wysoki, atrakcyjny mężczyzna i uważnie się jej przygląda. Dostrzegł jej spojrzenie, uśmiechnął się i skinął głową, zupełnie jak gdyby się znali. Chwilę później podszedł do niej i zapytał:

- Przepraszam... Molly Cogan?

Skinęła głową, nieco zaniepokojona. Była pewna, że nie zna tego człowieka. Z pewnością by go zapamiętała. Mężczyzna był wysoki, przystojny, miał mnóstwo chłopięcego wdzięku i niezwykle wprost błękitne oczy. Jego jasne włosy były potargane, jak gdyby zapomniał je uczesać.

- Nazywam się Russell Letson - przedstawił się i wyciągnął dłoń w jej kierunku. Zdażyła zauważyć, że nie nosi obrączki. Kiedy zaś niemal natychmiast oderwał od niej wzrok, uświadomiła sobie, że nie ma do czynienia z uwodzicielem, lecz z nieśmiałym mężczyzną, którego charakter zupełnie nie pasuje do wyglądu. Hm, nie tak sobie wyobrażała przystojniaków z Montany.

- Jestem prawnikiem pani dziadka - wyjaśnił, zanim zdażyła zapytać, skąd ją zna. - Ma pani chwilę, żeby napić się ze mną kawy? Do kolejnego spotkania została mi godzina, a jest coś, o czym chciałbym pani powiedzieć.

Rzeczywiście, pomyślała Molly, dziadek wspominał w ostatnim liście o prawniku przy okazji wzmianki o testamencie. Zastanawiała się przez chwilę, czy powinna przyjąć zaproszenie. Właściwie czemu nie? Trudno było odmówić tak przystojnemu mężczyźnie, który na dodatek zupełnie nie zdawał sobie sprawy ze swego wdzięku.

- To nie zajmie zbyt wiele czasu - dodał.

Molly uśmiechnęła się do niego, zanim jednak zdażyła odpowiedzieć, do banku wszedł Sam Dakota.

- Chyba dzisiaj nie dam rady - powiedziała z żalem.

- Więc może spotkamy się jutro, na kolacji? - zaproponował Russell. - Odpowiada to pani?

Była zbyt oszołomiona tym nagłym zaproszeniem, aby zareagować w sensowny sposób. Patrzyła na niego ze zmieszaniem i nie mogła uwierzyć w to, że atrakcyjny, a na dodatek wolny mężczyzna proponuje jej...

- Nie wiem, czy Walter pani wspominał, ale mamy od niedawna w Sweetgrass całkiem przyzwoitą restaurację. Co pani na to?

Tak, do licha, proponuje jej randkę!

- Oczywiście - odparła, zanim zdołała wymyśleć przekonującą wymówkę. - Będzie mi bardzo miło.

Szybko ustalili godzinę, Russell obiecał, że wpadnie po Molly na ranczo, a potem pożegnał się, całując jej dłoń, i opuścił szybko wnętrze banku.

To wszystko stało się tak szybko, że Molly wciąż kręciło się w głowie z wrażenia. Taki miły, taki atrakcyjny, grzeczny. .. I dżentelmen - wstąpi po nią, choć mu nie po drodze. Czy nie warto było wyjechać z San Francisco?

Podeszła do Sama, który czekał na nią, oparty o drzwi wejściowe.

- O co mu chodziło? - zapytał z krzywym grymasem na twarzy, który tak bardzo kontrastował teraz z uprzejmym uśmiechem Russella.

- O nic - odparła krótko.

- Pozwoliła pani, żeby Letson zaprosił panią na kolację? Spojrzała na niego wrogo. Skoro wiedział, to po co pytał?

- W rzeczy samej - odpowiedziała, a świadomość, że Sam wie o jej randce, sprawiła jej niespodziewanie olbrzymią satysfakcję.

Rozdział czwarty

Przyjemnie było siedzieć na werandzie razem z prawnukami. Chłopcy Molly usadowili się na górnym schodku i pracowicie polerowali papierem ściernym dwie figurki wyrzeźbione wcześniej przez Walta. Już przynajmniej od pół roku nie rzeźbił tych swoich figurek, lecz Molly i jej synowie przywrócili mu dawną energię. Teraz czuł się o niebo lepiej niż jeszcze kilka dni wcześniej. Serce wprawdzie wciąż mu dokuczało, nie zawsze pamiętał, jaki akurat jest dzień tygodnia, ale to wszystko nie miało znaczenia, skoro byli z nim jego najbliżsi.

Czuł się w tej chwili trochę tak, jakby siedział na werandzie z Adamem i jego szkolnym kolegą jakby nie był dziadkiem, ba, pradziadkiem, lecz ojcem, który uczy swego syna sztuki rzeźbienia. Właściwie nie zdziwiłby się wcale, gdyby jego Molly zawołała za chwilę, że obiad gotowy i żeby siadali do stołu.

Palce Walta zręcznie prowadziły ostry nóż po drewnie, wycinając wszystkie zbędne kawałki. Tę rzeźbę - niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach - postanowił wykonać z drewna dębowego. Chciał ją podarować Tomowi, bowiem uparty chłopak kojarzył mu się z młodym niedźwiadkiem, który za wszelką cenę usiłuje udowodnić swoją męskość, a któremu wciąż płaczą się zbyt długie nogi i ręce. On w wieku Toma był podobny - równie wysoki i

chudy, z nogami jak szczudła, zapadniętą klatką piersiową i łamiącym się głosem.

Co jakiś czas korciło go, aby zwierzyć się z tego prawnukowi, pocieszyć go i przekonać, że wkrótce i on zmeźnieje. Bał się jednak, że chłopiec mógłby poczuć się zakłopotany taką rozmową.

Wszyscy trzech pracowali w zupełnej ciszy. Waltowi nie przeszkadzało to milczenie, nie czuł się nim zakłopotany. Po jakimś czasie uznał jednak, że szkoda tych chwil; że skoro Bóg pozwolił mu zobaczyć tych chłopców, to warto poznać ich lepiej i wykorzystać daną mu szansę.

- Wiecie, chłopcy, że niedźwiedzie jedzą drzewa? - zagadnął niedbałym tonem.

- Drzewa? - zerknął na niego Tom. - Jesteś pewien, dziadziu?

Walt uśmiechnął się pod nosem. Podobało mu się, że chłopak ma sceptyczną naturę. Jego matka była łatwowierna i niezbyt dobrze na tym wyszła. On, Walt, był sceptykiem i niedowiarkiem. Nigdy nie dał się oszukać, a nade wszystko cenił jasny umysł i zdrowy rozsądek. Nie wierzył na przykład w te bzdury rozpowszechniane przez Lojalistów, którzy twierdzili, że zjednoczone armie innych państw zamierzają napaść na Stany Zjednoczone przy cichym wsparciu Białego Domu. Było to równie idiotyczne, jak plotki na temat tajnego wszczepiania ludziom mikroprocesorów w mózgi po to, aby kontrolować ich poczynania. Wszystkich, którzy rozpowszechniali podobne rewelacje, miał za nawiedzonych postrzelenców.

- Dziadziu?

- Tak, tak, synu, zamyśliłem się.

- No więc czy to prawda?

Walt zeszywniał. Cholera, o czym to gadali? Zapewne o tych idiotycznych pomysłach partii Lojalistów. Do licha, ostatnio coraz częściej miał kłopoty z koncentracją.

- Oczywiście, że to nieprawda - warknął. Całe to gadanie o komputerowych mikroprocesorach to kolejna wersja spiskowej teorii dziejów, pomyślał, a do Toma odezwał się z palcem podniesionym jak do ostrzeżenia: - Jeśli ktoś ci opowiada różne bzdury, nie daj się mu przekonać. Zawsze zapytaj najpierw sam siebie: „Zaraz, chwileczkę, co oni mi tu plotą, czy to rzeczywiście prawda?”.

Tom posłusznie skinął głową i wrócił do polerowania rzeźby. Za to Clay nie spuszczał oka z pradziadka i marszczył swój mały nosek.

- Jak to, dziadziu? - zapytał ze zdziwieniem. - Przecież przed chwilą sam powiedziałeś, że niedźwiedzie jedzą drzewa. Jak z nimi w końcu jest, jedzą czy nie?

Ach, więc to o tym rozmawiali. O niedźwiedziach. Boże, stara głowa zaczynała mu chyba próchnieć.

- Niedźwiedzie jedzą korę - wyjaśnił. - Zdzierają ją pazurami. Drzewo pozbawione kory umiera, więc można w zasadzie powiedzieć, że niedźwiedzie zjadają drzewa. Kiedy będziecie w lesie, rzućcie okiem na umierające drzewo. Jeśli to nie jest jakaś choroba, to ani chybi niedźwiedź maczał w tym swoje łapy.

- Dlaczego więc rzeźbisz niedźwiedzia, dziadziu? - zapytał starszy chłopiec. - Bo zjada drzewa i jest szkodnikiem?

Walt zapatrzył się na prawnuka. Podobał mu się przenikliwy wzrok Toma, jego nieufność, ostrożność. Powinien go jakoś przygotować do życia. Opowiedzieć o wojnie, wielkim kryzysie. Dzieci w dzisiejszych czasach zupełnie nie znają takich pojęć, jak cierpienie, poświęcenie, ofiara, wyrzeczenie. Z jednej strony to dobrze, ale z drugiej są takie bezbronne wobec tragedii i nieszczęść. Całe społeczeństwo nie umie sobie z nimi radzić. A przecież w życiu bywa różnie, jest i słońce, i deszcz...

- Dziadziu? - Tom przypomniał mu o przerwanej rozmowie.

- Tak, tak, synu. O czym to mówiliśmy?

- Pytaliśmy cię o niedźwiedzia. Dlaczego go rzeźbisz.

- A, niedźwiedź. Kiedyś niemal mnie dopadł.

Obaj chłopcy wlepili w niego wzrok, a Walt uśmiechnął się na wspomnienie przygody z młodości.

- Tak, tak. Wpadłem na niedźwiedzicę, kiedy drapała pazurami drzewo. Byłem wtedy dzieciakiem, ale na tyle dużym, żeby wiedzieć, jak niebezpieczne może być spotkanie z niedźwiedziem - dodał. - Niestety, ja i mój koń dostrzegliśmy ją, kiedy było już za późno. Miała dwa młode. Wściekła się na nasz widok. Stanęła na tylnych łapach i tak przestraszyła konia, że mnie zrzucił. Pomyślałem wtedy, że już po mnie...

- I co było dalej? - zapytał z przejęciem Tom.

- Co dalej? - uśmiechnął się Walt. Pamiętał tamtą przygodę tak dobrze, jak gdyby wydarzyła się wczoraj, a nie kilkadziesiąt lat

wcześniej. - Kiedy zdołałem stanąć na nogi, rzuciłem się do ucieczki. Wrzeszczałem co sił w płucach.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Ile? Około dziesięciu. Umiałem szybko biegać.

- Więc uciekłeś? - Dłonie Claya znieruchomiały na kawałku drewna.

- A co, miałem czekać, aż niedźwiedzica spożyje mnie na kolację?

No właśnie, oto kolejna rzecz, której powinien nauczyć tych chłopaków - kiedy warto walczyć i o co, a kiedy lepiej sobie odpuścić; kiedy walka jest wyrazem odwagi, a kiedy zwykłej głupoty; kiedy większą odwagą i większym honorem jest odwrócić się i odejść, a kiedy trzeba się bić, choćby wiadomo było, że się przegra. Tego wszystkiego nie mogła nauczyć synów Molly. O tych sprawach mogli pomówić tylko z mężczyzną.

- Nie dogoniła cię, prawda? - dopytywał się Clay.

- Prawie. Na szczęście uratował mnie mój tata... -Znów się zamyślił. Odczuł naraz tę samą gwałtowną ulgę, którą czuł wtedy, gdy ujrzał ojca pędzącego na koniu w jego stronę. - Uratował mnie tata - powtórzył. - Dogonił mnie, złapał pod ramię i zarzucił na grzbiet konia. Uciekliśmy...

Mimo słabego wzroku dostrzegł podziw na twarzach chłopców. Otworzył usta, by wytłumaczyć im, jaka jest różnica między ucieczką z rozsądku a ucieczką z tchórzostwa, kiedy drzwi od werandy zaskrzypiały nagle i ukazała się w nich Molly.

- Kolacja za dziesięć minut - oznajmiła. - Zostawcie już tę dłubaninę i idźcie umyć ręce.

Walt westchnął ciężko i pokiwał głową ze zrozumieniem. Od chwili przyjazdu, Molly bez przerwy zajmowała się sprzątaniami i gotowaniem, a on cieszył się, że dom znalazł się wreszcie we właściwych rękach. Jego ukochana żona z pewnością nie pochwalaby sposobu, w jaki prowadził gospodarstwo. Powinien był chyba zatrudnić jedną z kobiet z miasteczka, aby doprowadziła dom do porządku, przynajmniej przed przyjazdem wnuczki, jednak prawdę mówiąc, nie znał takiej, którą gotów byłby wpuścić do domu na dłużej niż pięć minut. Jakaś obca baba miałaby dotykać rzeczy Molly? Niedoczekanie!

No, ostatecznie mogłaby to być Ginny, ale ona nie potrafiła zaprowadzić porządku nawet we własnym domu, a co dopiero tutaj. Poza tym na pewno obraziłaby się, gdyby zaproponował jej sprzątanie za pieniądze.

Tom i Clay popędzili do kuchni, Walt poczłapał za nimi ciężkim krokiem. Był z nich zadowolony. Słuchali go, garnęli się do pracy, odłożyli na miejsce rzeźby i narzędzia. Tom miał wprawdzie niewyparzoną gębę, lecz zdaje się, że był porządnym dzieciakiem. Clay natomiast wpatrywał się w pradziadka jak w jakieś bóstwo i spijał słowa z jego ust. Obaj byli zdrowi, energiczni, mieli apetyt. Wiadomo, w Montanie każdy ma apetyt...

Odetchnął głęboko, z lubością wdychając zapach smakowitej potrawy. Nie miał pojęcia, co przygotowała wnuczka, ale woń z

kuchni uświadomiła mu, że on także jest głodny. Kiedy ostatnio jadł kolację o ludzkiej porze? Dawno, bardzo dawno. Dakota wracał po pracy późno, a on nie lubił jeść w samotności.

A jednak nie tylko dlatego jadał kolacje w towarzystwie zarządcy. Walt zwyczajnie lubił Sama, darzył go zaufaniem. To właśnie dlatego poprosił go, aby przed południem zawiózł Molly do miasteczka. Kiedy wrócili, Sam wyglądał niczym struty. Zaniósł bez słowa zakupy do kuchni i natychmiast wyszedł z domu.

Walt wiedział dlaczego - Sam najprawdopodobniej nie był zbyt zadowolony z tego, że Molly umówiła się z Russellem Letsonem. On sam był raczej zdziwiony tym faktem niż nieszczęśliwy z jego powodu. Letson był wprawdzie porządnym człowiekiem, lecz zarazem nieśmiałym i zamkniętym w sobie. Zupełnie nie przypominał swojego wygadanego, stanowczego ojca i trzymał się zawsze na uboczu. Najbardziej jednak w tym wszystkim bawiło Walta to, w jaki sposób Sam stara się nie dać po sobie poznać swego zainteresowania osobą Molly.

No tak, pomyślał, teraz się zacznie. Kiedy tylko miejscowi kawalerowie przyjrzą się jego wnuczce, na pewno znajdą niejednego pretekst, aby odwiedzić Ranczo Złamana Strzała. Molly była śliczna jak obrazek, niegłupia, świetnie gotowała. Gdyby dać jej trochę czasu, z pewnością okazałaby się doskonałą żoną dla ranczera. Dwóch zainteresowanych już się objawiło, choć tylko jeden był skłonny się do tego przyznać. Walt był pewien, że wkrótce pojawią się następni.

Czy Molly potrzebowała mężczyzny? Tak, z pewnością, choć gdyby ją o to zapytać, z pewnością by zaprzeczyła. A przecież wciąż była młoda, mogła rodzić dzieci. I pewnie urodzi, pomyślał ze smutkiem, tylko że ja nie zdążę ich poznać.

Nic to, najważniejsze, że teraz są razem, że mogą cieszyć się sobą, rozmawiać, jeść wspólnie kolacje, patrzeć na zachody słońca. Przyszłość trzeba zostawić Bogu i dziękować za to, co się dostało.

Przystanął w drzwiach prowadzących do kuchni. Ledwie zdołał rozpoznać to pomieszczenie. Ściany lśniły czystością, a zapastowana podłoga błyszczała w słońcu. Czyste szyby przysłaniały nowe lniane zasłonki, które Molly uszyła na starym singerze swojej babki z materiału znalezionej na strychu.

Chłopcy ustawili naczynia na stole, Walt odsunął krzesło i usiadł.

- A Sam? - zapytał zdumiony, spostrzegłszy, że nakryto dla czterech osób.

- Zaprosiłam go, ale wyjaśnił, że ma inne plany - odparła Molly.

Walt przyjrzał jej się uważnie. Zaciskała usta, nie patrzyła mu w oczy. Czyżby i ona była spięta?

- Jakie inne plany? - spytał.

- Nie wiem, nie powiedział.

No tak, on nie powiedział, ona nie pytała. Walt uśmiechnął się ze zrozumieniem i zerknął przez okno na mały domek, w którym mieszkał jego zarządca. Stara półcieżarówka stała na swoim miejscu,

co oznaczało, że Sam tkwi u siebie, obrażony i samotny. Do licha, aż tak go wzięło?

- Czyżby nie był głodny? - zagadnął głośno.

- Jak chcesz, to spróbuj go przekonać, żeby przyszedł. Walt znów się uśmiechnął pod nosem. Przekonać Sama, tego upartego kozła? O nie, równie dobrze można by przekonywać pień drzewa, żeby przemówił.

- Chcesz, żebym jeszcze raz go poprosiła? - spytała Molly, choć widać było, że nie ma na to najmniejszej ochoty.

- Daj spokój. Skoro nie chce jeść z nami, to jego sprawa.

Sam nie znał Russella Letsona i właściwie nie wiedział, dlaczego jest na niego taki wściekły. Poza incydem, który miał miejsce pierwszego dnia jego pobytu w Sweetgrass, nie mieli ze sobą do czynienia, nie miał więc żadnego powodu, aby nie lubić tego człowieka.

Ale to właśnie Letson zaprosił Molly na kolację.

No i co z tego? Co go to obchodzi? Dlaczego tak bardzo się tym przejmuje?

Mięśnie na karku Sama stężały. Wyczyścił boksy dla koni staranniej niż zwykle, wymościł je świeżym sianem, posprawdzał uprząże - wszystko po to, by mieć coś do roboty i zagłuszyć natrętne myśli.

A jednak nie lubił Letsona. Nie lubił go, tak jak nie darzył sympatią Molly Cogan. Była ładna, owszem, ale poza tym psuła mu tylko krew.

Może powinien pomyśleć już o tym, aby ruszyć w dalszą drogę? Pracował na tym ranczu dłużej niż kiedykolwiek wcześniej, a nie był przecież człowiekiem, który dobrze się czuje w jednym miejscu. Znał adresy wszystkich większych rancz w okolicy, zaopatrzył się w nie przy okazji dzisiejszej wizyty w mieście. Czy nie warto by zmienić otoczenie, które zdążyło mu się opatrzyć? Czy nie znudziła mu się robota dla starego Wheatona?

Ano właśnie, sęk w tym, że mu się nie znudziła. Praca dla Walta Wheatona dawała mu satysfakcję. Stary go potrzebował, on zaś zdecydowanie potrzebował nie tylko pracy, ale też uznania, odrobiny szacunku, domu. Chciał czuć się użyteczny, chciał dokądś przynależeć, potrzebne mu było poczucie, że oto znalazł swoje miejsce. Choć nie przyszło mu to łatwo, jakiś czas temu zgodził się przyznać, że tym miejscem mogłoby być ranczo Wheatona.

Przez ostatnie pół roku nauczył się patrzeć na swoje życie z dystansem. Zniknął gdzieś gorzki smak gniewu. Teraz Sam potrafił zaakceptować fakt, że siedział w więzieniu, że był głupi i pił ponad miarę, że nie umiał pogodzić się z końcem kariery. Że tamtej nocy przed czterema laty sam szukał guza. Popęłnił błąd, zawinił - i musiał odpokutować.

Wiedział, że wciąż musi się pilnować, w każdej chwili. Kiedy w poszukiwaniu pracy dotarł do Sweetgrass, o mały włos znów nie wpakowałby się w tarapaty. Wystarczyło, że poszedł do baru na piwo, że dostrzegł kłócaącą się parę, że widział, jak mężczyzna uderzył kobietę w twarz. Nie zastanowił się, nie pomyślał. Zamiast wezwać

policej, sam wkroczył do akcji. Wywłókł pijaka na ulicę, spuścił mu baty i gdyby nie Walt, który widział to wszystko, bo gadał akurat w pobliżu z jakimiś staruszkami, to szeryf wpakowałby go do pudła jak nic.

Sam czuł wdzięczność do Walta, że ten zatrudnił go bez zadawania zbędnych pytań. Nie miał pojęcia, co skłoniło starego do zapłacenia kaucji. Starego ranczera interesowały wyłącznie umiejętności Sama, a kiedy przekonał się, że ten radzi sobie z robotą, zaproponował mu funkcję zarządcy. Czy gdyby wiedział, że jego kandydat spędził dwa lata w więzieniu w Waszyngtonie, również tak łatwo by mu zaufał?

Właśnie ze względu na to zaufanie Sam został na ranczu i pracował ile sił. Wolałby umrzeć, niż rozczarować Walta Wheatona. Troska o drugiego człowieka była dla niego uczuciem nowym, trudnym, jednak uczył się jej z cierpliwością i pokorą. W ciągu kilku miesięcy przywiązał się do tego zrzedliwego staruszka i coraz częściej myślał, że w jakiś przedziwny sposób pasują obaj do siebie. Coraz częściej też traktował sprawy rancza tak, jakby było jego własnością i jego dziedzictwem, jakby w osobie Walta Wheatona miał ojca, który zanim umrze, zechce przekazać dorobek swego życia w godne ręce.

Sam był zdecydowany ocalić ranczo za wszelką cenę. Robił, co mógł, by podreperować jego stan. Znał każdy centymetr ziemi. Zaczął się czuć tak, jak gdyby tu się urodził i tu miał pozostać. Marzył...

I to właśnie był błąd. Nie powinien był marzyć.

Nie powinien był wieczorami przechadzać się między budynkami i patrzeć z dumą na rosnące stado. Nie powinien wyobrażać sobie, że w domu czeka na niego kobieta, żona, że w sypialni na górze śpią w łóżeczkach jego dzieci.

Wiedział, co będzie, jeśli tutaj zostanie. Po śmierci Walta ranczo odziedziczy Molly oraz jej dwóch synów. Molly znajdzie sobie męża, a ten wyrzuci Sama na zbity pysk.

Otarł pot z czoła i odrzucił widły na bok. Podszedł do drzwi, otworzył je szerzej i dopiero wtedy zorientował się, że w stajni jest prócz niego ktoś jeszcze. Odwrócił się szybko. Pod jedną ze ścian ujrzał Toma, starszego z synów Molly. Chłopiec rozglądał się niepewnie, jak gdyby nie bardzo wiedział, czy wolno mu tu przebywać.

- Szukasz czegoś? - zapytał Sam. Zabrzmiało to niezbyt nieprzyjaźnie, więc zaraz uśmiechnął się, żeby złagodzić nieco ostry ton. Właściwie to nawet lubił Toma. Chłopak przypominał mu jego samego sprzed lat.

- Nie. To znaczy... pomyślałem, że nakarmię konie. Sam zauważył, że chłopiec trzyma rękę schowaną za plecami.

- A czym chciałeś je nakarmić? - spytał.

Tom wyciągnął dłoń, w której ścisnął kilka marchewek.

- Często miałeś do czynienia z końmi? Tom potrząsnął przecząco głową.

- No to pozwól, że udzielię ci kilku wskazówek. Dziadek spuściłby mi lanie, gdyby dowiedział się, że konie pogryzły jego wnuka.

Podeszli do jednego z boksów, z którego natychmiast wychylił swój łeb piękny, kruczoczarny Sindbad.

- Lubisz jeździć konno? - spytał Sam, pokazując chłopcu, jak trzymać marchewkę, nie ryzykując jednocześnie utraty palców.

- Nigdy nie jeździłem.

- Więc będziesz się chyba musiał nauczyć, prawda?

- Chciałbym. - Tom zerknął na Sama, jakby chciał mu zasugerować, że potrzebuje nauczyciela.

- A nie boisz się?

- Nie - odparł z przekonaniem Tom.

- Tak też myślałem. - Sam uśmiechnął się, otworzył boks i powoli wyprowadził konia. - Sindbad jest dość spokojny - zaczął opowiadać - Gus też, ale Sindbad bardziej. Uważaj, jak wsiądziesz - to robi wrażenie. Twoje stopy będą jakiś metr nad ziemią. Ale warto spróbować. Kiedy już człowiek się wyprostuje, wszystko wygląda piękniej. No i nie czuć już tego zapachu.

- E, tam - Tom uśmiechnął się ze zrozumieniem - mi nie przeszkadza.

- Kiedy siedzę na koniu, wszystko wydaje mi się prostsze - ciągnął Sam. - Kiedy jadę, czuję się szczęśliwy. Tego nie da się z niczym porównać.

Spojrzał na Toma i poklepał go po ramieniu. Chłopak słuchał go jak zahipnotyzowany. Przy tak wdzięcznym słuchaczu Sam mógłby opowiadać o jeździe konno cały wieczór.

- Najlepsza pora na jazdę to wiosna - mówił dalej. -Zwłaszcza po deszczu, kiedy twarz głaszcze ci ciepły wiatr, a wokół czuć zapach świeżej trawy. Puszczasz się w galop przez rozległe pastwiska i nie istnieje dla ciebie nic więcej - tylko ty, koń i pęd wiatru we włosach.

- Jak na filmach - westchnął chłopak.

- Lepiej - uśmiechnął się Sam. - Sam się kiedyś przekonasz.

- Często pan tak jeździ?

- Wołałbym częściej. Sindbad to koń do pracy - wyjaśnił Sam, żeby Tom nie pomyślał sobie, że znajdujące się w stajni konie przeznaczone są do rozrywek i zabawy. Jeśli chodzi o pozostające w gospodarstwie zwierzęta, to Walt i Sam zgadzali się ze sobą, że powinny one zapracować na utrzymanie. Dotyczyło to również psów i kotów.

- Co to znaczy „koń do pracy”?

- To znaczy, że służy do pilnowania stada. Do zaganiania cielaków, doglądania wołów. Ranczer jest tyle wart, co jego koń.

Tom z wahaniem podniósł dłoń, aby pogłaskać wałacha. Widać było, że nie chce okazać strachu przed wielkim zwierzęciem, lecz jednocześnie trudno było nie dostrzec, że wyciąga rękę z obawą.

- Sindbad to koń rasy quarter. To amerykańska rasa -odezwał się Sam. - Kiedyś quartery startowały w wyścigach, jednak moim zdaniem najlepiej sprawdzają się właśnie w pracy.

Tom poklepał konia po szyi.

- Czy ten drugi to też quarter? - zapytał.

- Gus? Nie, to inna rasa, morgan - wyjaśnił Sam. - Też doskonała. Morgany są wytrzymalsze i szybsze niż inne konie. Czy wiesz, że jedyny koń, który przeżył bitwę pod Little Big Horn, był tej właśnie rasy? Podejź, dotknij go. Jest bardzo łagodny.

- Cześć, Gus - powiedział Tom i podszedł, aby pogłaskać konia po aksamitnym łbie. - Naprawdę będę mógł wsiąść na któregoś z nich? - zwrócił się do Sama. - Kiedy? Może teraz? Mam trochę czasu...

Sam roześmiał się dobrodusznie.

- Zaczekaj, czy nie powinieneś najpierw zapytać matki? - Opanował pokusę i nie zapytał chłopca o ojca. Wiedział, że Molly jest rozwiedziona, ale czy utrzymuje kontakty z dawnym mężem, nie miał pojęcia. - Czy rozmawiałeś z nią o tym?

Na wzmiankę o matce Tom odwrócił swoje ciemne oczy.

- Ona... nie widzi przeszkód.

- Może jednak ją zapytaj. O, właśnie - dodał, widząc wchodzącą do stajni Molly - nadarza się okazja.

Zmrużył oczy, by lepiej widzieć jej twarz na tle wpadającego do wnętrza słońca. Wyglądała pięknie. Nic dziwnego, że Russell Letson zaprosił ją na kolację.

- Wiesz, mam, że Sam nauczy mnie jeździć konno? - odezwał się Tom na widok matki. - Opowiadał mi o koniach. Czy wiedziałaś, że...?

- Jak to cię nauczy? - przerwała mu Molly.
- Normalnie. Wsiądę na konia, on mi powie, co i jak... Możemy zacząć nawet dzisiaj. Możemy, prawda, proszę pana?
- Spojrzenie Molly przyszpiliło Sama do ściany.
- Chyba najpierw powinnam to przedyskutować z panem Dakotą
- odezwała się oficjalnym tonem.
- Ale mam... - Tom posłał błagalne spojrzenie w kierunku Sama.
- Nie przyszłam tu po to, żeby się z tobą kłócić. Dlaczegoś nie powiedział, dokąd idziesz? Czy zawsze muszę cię szukać? Marsz do domu, na górę!
- Na górę? Mam iść spać? - jęknął Tom. - Traktujesz mnie jak niemowlaka! Przecież jeszcze jest dzień! Chcesz mnie posłać do łóżka?
- Nie. Dziadek chce, żeby mu przynieść kilka rzeczy ze strychu. Nie może się wspinać.
- Ja je przyniosę - zaproponował Sam. Wiedział, że kiedy zostaną sami, Molly rozprawi się z nim za to, że obiecał nauczyć jej syna jeździć konno.
- Nie ma powodu, żeby się pan fatygował. Tom może to zrobić.
- Jak pani woli. - Sam zaprowadził Sindbada do boksu i zamknął bramkę.
- Mogę tu wrócić, prawda? - zapytał Tom, stojąc na progu.
- Jeśli pan Dakota nie ma nic przeciwko temu... Tom popatrzył na niego z nadzieją w oczach.

- Jasne - odparł Sam. - Zaczniemy od lonżowania, a kiedy się tego nauczysz, pokażę ci, jak osiodłać Sindbada.

- I to będzie wszystko na dzisiaj? - upewniła się z niepokojem Molly.

- Wszystko. Dzisiaj tylko lonżowanie - uspokoił ją Sam.

Tom wybiegł ze stajni. Molly odczekała chwilę, a potem odezwała się, patrząc w bok:

- Tom to mój syn, jestem odpowiedzialna za jego bezpieczeństwo. Będę wdzięczna, jeśli najpierw raczy pan uzgadniać ze mną tego typu sprawy.

Sam zdjął kapelusz. Skoro i tak miał przeproszać, mógł to zrobić w dobrym stylu.

- Ma pani słuszność - powiedział. - Obiecuję, że więcej to się nie powtórzy.

Uprzejme przeprosiny najwyraźniej ją zaskoczyły, gdyż zamilkła na dłuższą chwilę. Podeszła do boksu Sindbada i przejechała dłonią po jego długiej, lśniącej szyi.

- Czy cokolwiek, co powiedziałam wcześniej, uraziło pana? - spytała nieoczekiwanie. Jej głos był teraz miękki, łagodniejszy i nieco niepewny. - Może podczas naszej wyprawy do miasta?

- Uważa pani, że jestem obrażony?

Odwróciła się powoli i popatrzyła na niego swymi nieziemsko błękitnymi oczami.

- Dziadek bardzo się przejął, kiedy nie dołączył pan do nas na kolacji.

- Jesteście rodziną, mili państwo, ja do niej nie należę.

- Ale chyba niepotrzebnie gotował pan dla siebie, skoro i tak przygotowałam posiłek dla wszystkich.

- Lubię gotować.

- A jeść w samotności?

- Nie przeszkadza mi to.

- A mi tak. - W jej głosie usłyszał tłumiony gniew. - I ja, i dziadek chcemy, żeby jadał pan posiłki z nami. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - To dla niego bardzo ważne.

- A dla pani?

Speszyła się nieco, zaraz jednak wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Moim zdaniem nie ma sensu gotować oddzielnie. A czy pan skorzysta z naszego zaproszenia, zależy wyłącznie od pana.

No tak, pomyślał Sam z przekąsem, wnuczka spełniła swój obowiązek. Mógł się założyć, że to Walt poprosił ją, aby przekonała go do wspólnego jadańia posiłków.

- I co, przyjdzie pan? Muszę wiedzieć, ile mam ugotować.

- Jeszcze nie zdecydowałem.

- Kiedy więc już pan zdecyduje, niech pan łaskawie poinformuje mnie o tym, dobrze?

Zamiast odpowiedzieć Sam podszedł do niej, złapał ją bez zastanowienia za ramiona i dotknął wargami jej warg.

Zrobił to czysto instynktownie. Miał ochotę to zrobić, odkąd ujrzał ją po raz pierwszy, a przynajmniej od chwili, w której

dowiedział się, że Russell Letson zaprosił ją na kolację. Nie myślał o niczym, nie martwił się o konsekwencje - po prostu podszedł i pocałował.

Natychmiast odepchnęła go z całej siły.

- Niech pan przestanie! - Wytarła usta wierzchem dłoni i wbiła w niego wściekły wzrok. - Pamiętaj pan, panie zarządczo, nie próbuj tego nigdy więcej! Jak śmiesz! Dziadek z miejsca by cię zwolnił, gdybym mu o tym powiedziała!

- Więc mu powiedz - odparł Sam. W głowie wciąż czuł zamęt. Nie miał pojęcia, czemu zrobił coś równie szalonego.

Czuł się teraz jak idiota, za nic jednak nie przyznałby się przed nią do tego.

- Powinam. Dostałbyś nauczkę!

- Więc mu powiedz - powtórzył. Wiedział, że powinien ją przeprosić, lecz coś mu na to nie pozwalało.

- Doceniam to, co zrobił pan dla dziadka. Jeśli da mi pan słowo honoru, że to się więcej nie powtórzy, sprawa zostanie między nami.

Zaskoczony Sam wybuchnął głośnym śmiechem. Słowo honoru? Byli więźniowie nie słyną ze swojego honoru.

- Bawi to pana, panie Dakota? - Oczy Molly zwiężyły się niebezpiecznie.

Nie odpowiedział, więc odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z podniesioną głową ze stajni. Sam westchnął, przejechał dłonią po twarzy. Wcale nie było mu do śmiechu.

Rozdział piąty

Russell Letson był z pewnością najatrakcyjniejszym mężczyzną, z jakim Molly miała okazję wybrać się na kolację. Ustępował mu Daniel, ustępował Sam Dakota. O tym ostatnim trudno jej zresztą było, myśleć w kontekście ewentualnej randki.

Czy jednak Molly miała w ogóle ochotę na randki?

Niespecjalnie. Gdyby chciała ponownie wyjść za mąż - a nie chciała - wybrałaby zapewne mężczyznę podobnego do dziadka - silnego, odpowiedzialnego, prawego. Twardego, a zarazem obdarzonego wewnętrznym ciepłem. Światu przydałoby się więcej takich ludzi.

Nigdy nie mogła się nadziwić, dlaczego tak niewielu umiało się na nim poznać. Owszem, Walt Wheaton miał niełatwy charakter, lecz przecież trudno byłoby znaleźć człowieka równie uczciwego i sprawiedliwego. Natomiast jego miłość do żony była wręcz wzorcowa.

A jednak zarówno z rozmowy z kierownikiem banku, jak z nielicznych listów, które nadsyłał do niej dziadek w ostatnich latach, Molly wywnioskowała, że mało kto ceni towarzystwo tego „zrędy i dziwaka”. Czy tak trudno było zrozumieć, że to śmierć żony nastawiła go nieprzyjaźnie do świata? Czy o wszystkim miała przesądzać jego zgryźliwość i uparta natura? Molly miała nadzieję, że po jej przyjeździe dziadek trochę się zmieni. Chciałaby zobaczyć, jak mieszkańcy Sweetgrass mówią o nim z sympatią. Jeśli chodzi o

Russella, to dziadek zdawał się go aprobować. Nie skomentował w każdym razie jej wieczornego wyjścia, co Molly uznała za aprobatę.

Nie żałowała, że zgodziła się na spotkanie. Restauracja rzeczywiście była przyzwoita, a wieczór w towarzystwie Russella Letsona zapowiadał się intrygująco.

- Tak się cieszę, że zgodziłaś się ze mną spotkać -uśmiechnął się do niej, gdy usiedli i zaczęli studiować menu. - Wyglądasz jeszcze lepiej niż wczoraj.

Molly odwzajemniła uśmiech. Rzeczywiście, postarała się o swój wygląd. Nawet dziadek zauważył, że jego wnuczka stroi się przed lustrem dłużej niż zwykle. Rzucił jakąś żartobliwą uwagę, a ona poczuła się jak nastolatka, która wybiera się na pierwszą randkę.

Och, nie powinna się tak przejmować jego uwagami. W końcu jest dorosła. Nie może też przywiązywać zbyt dużej wagi do tego spotkania. Skoro ma mieszkać w Sweetgrass, powinna utrzymywać jakieś kontakty towarzyskie. To spotkanie jest po prostu pierwszym krokiem w tym kierunku.

- Słyszałem, że wywołałaś sporo zamieszania wśród miejscowych chłopaków - zagadnął Russell i zaczerwienił się lekko.

- Naprawdę wywołałam zamieszanie?

- Jasne. W Sweetgrass niewiele jest samotnych kobiet w twoim wieku, wiesz, co mam na myśli... - znów się speszył, jak gdyby powiedział więcej niż powinien. Nie spodziewała się po prawniku takiej nieśmiałości, ale wydało jej się to urocze. Już zdążyła go polubić. - Na pewno dzwoniło już do ciebie parę osób...

- Kilka - przytaknęła Molly. Dama z miejscowego kościoła baptystów oraz sekretarka ze szkoły. Mężczyźni nie dobijali się do drzwi Molly, ale zrobiło jej się niespodziewanie miło, że Russell tak właśnie sądzi.

Kelner przyniósł wino i zademonstrował Russellowi etykietę. Ten skinął głową, potem skosztował odrobiny trunku i polecił kelnerowi, by napełnił kieliszki.

Molly umiała docenić dobry wybór. Kalifornijski merlot smakował wybornie. Szybko wysączyła kieliszek i pozwoliła, aby Russell uzupełnił jego zawartość.

Tak, tego właśnie jej było trzeba - relaksu, chwili dla siebie, odpoczynku po tygodniu ciężkiej pracy. Miała za sobą długą drogę z Kalifornii do Montany, sprzątanie domu, gotowanie, pranie i codzienne łagodzenie sprzeczek, które raz po raz wybuchały między jej synami. Dobrze, że znalazł się ktoś, kto może jej towarzyszyć w tych dwóch, trzech godzinach prawdziwego relaksu.

Po złożeniu zamówienia wdali się w przyjacielską pogawędkę. Russell przetykał swoje opowieści inteligentnymi komplementami pod jej adresem, a Molly doskonale bawiła się w jego towarzystwie. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni spędziła tak miły wieczór z tak atrakcyjnym mężczyzną.

Około dziewiątej swój występ rozpoczęła orkiestra. Nie grała country, tak jak oczekiwała Molly, lecz łagodne taneczne melodie. Muzyka nie przeszkadzała w rozmowie, raczej stanowiła sprzyjające

jej tło. Kilka par zaczęło tańczyć, a i Molly zaczęła rzucać tęskne spojrzenia w kierunku zapełniającego się parkietu.

- Masz ochotę? - zapytał Russell i wyciągnął dłoń w geście zaproszenia.

- No pewnie - odparła i pozwoliła poprowadzić się na środek sali.

Kiedy objął ją w talii i przyciągnął do siebie, poczuła nagle rozczarowanie. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, w czym rzecz. Oto ostatnim mężczyzną, który trzymał ją w ramionach, był Sam Dakota. Jego dłonie były silne, męskie, wręcz brutalne, lecz pocałunek zadziwiająco delikatny. Choć minęły dwadzieścia cztery godziny, wciąż nie mogła zapomnieć tego uścisku i tego pocałunku.

Zamknęła oczy, aby czym prędzej wyrzucić z pamięci Sama Dakotę. Chciała myśleć o Russellu. O Russellu, który był przystojny, wykształcony, inteligentny; nie tylko uroczy i miły, ale też, jak mówił dziadek, ze znaczącymi sukcesami w swoim zawodzie. Takiego mężczyznę pragnęła poznać. Z takim chciała spędzać wieczory - a nie z surowym, szorstkim milczkiem, o którego życiu nic nie wiedziała.

Niestety, choć bardzo się starała, trudno jej było przestać o nim myśleć. Bezpieczniej będzie nie tańczyć, pomyślała i ucieszyła się, kiedy orkiestra przestała grać, a oni mogli znów zasiąść przy swoim stoliku.

- Może nie pamiętasz, ale jest coś, o czym chciałem z tobą porozmawiać - odezwał się Russell, rozkładając z powrotem serwetkę na kolanach.

Uniosła wzrok znad talerza i spojrzała na niego, zaniepokojona nową, nie słyszaną wcześniej nutą w jego głosie. Odniosła wrażenie, że Russell chciałby już mieć tę rozmowę za sobą. Obracał nerwowo kieliszek wina, marszczył czoło. Nie wyglądał już tak, jakby jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność.

- Ciekawi cię pewnie, co to za sprawa...

- Oczywiście - odparła, udając, że z zapartym tchem czeka na kolejne słowa. W rzeczywistości było jej wszystko jedno, co usłyszy. Najważniejsze już wiedziała: Russell zaprosił ją tutaj nie dla niej samej, lecz żeby załatwić jakieś swoje sprawy.

- Wiem, że jest na to nieco za wcześnie - zaczął mówić.

- Osobiście wolałbym poczekać, ale mojemu klientowi zależy na czasie. Właściwie to go rozumiem... - Jego oczy pociemniały, spojrzał na nią niepewnie. - Wybacz, Molly, jeśli poczujesz się urażona, ale...

- Czy rozmawiasz ze mną teraz w imieniu tego klienta? - zapytała.

- Owszem.

Hm, a więc było jeszcze gorzej niż myślała. Jeszcze przed chwilą skłonna była przypuszczać, że zaczną dyskutować na temat testamentu dziadka, tymczasem w „sprawę” zaangażowany był ktoś jeszcze - klient.

- O co więc chodzi temu klientowi?

- Chciałby wiedzieć, jakie są twoje zamiary po śmierci dziadka.

Molly odłożyła widelec i popatrzyła ponuro na Russella. Ten skrzywił się, jakby cała ta rozmowa napawała go niesmakiem

- Poproszono mnie, aby zaproponować ci sprzedaż -dodał szybko. - Oczywiście mój klient jest gotów poczekać, aż nadejdzie odpowiedni moment.

Czyli do śmierci i pogrzebu dziadka, dodała w myślach Molly i poczuła nagły przypływ gniewu.

- Odpowiedni moment - powtórzyła głucho. - Czy twój klient dodał, dla kogo miałby być odpowiedni?

- Przykro mi, Molly, naprawdę. Mówiłem ci już, że niezręcznie mi o tym mówić, jednak klient nalegał, że powinienem uczynić to szybko. Chciałem poczekać, ale widzisz, istnieją obawy, że ktoś inny zwróci się do ciebie z podobną propozycją. Ja jednak jestem pewien, że kiedy wszystko przemyślisz, uznasz, że nasza oferta jest całkiem przyzwoita.

- Możesz powiedzieć swojemu klientowi, że nie sprzedam rancza - odpaliła bez chwili namysłu. Nie wiedziała, skąd jej się wzięła ta nagła determinacja, była jednak pewna, że postąpiła słusznie. Nie pozwoli sępom zadziobać ofiary, nie odda Złamanej Strzały!

- Mówisz teraz pod wpływem emocji, prawda? - Russell popatrzył na nią z niepokojem. - To taki pierwszy odruch, ale kiedy się zastanowisz...

- Nie! - przerwała mu. - Powiedziałam, że go nie sprzedam - i nie sprzedam.

- Więc co zamierzasz z nim zrobić?

Molly nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Dotychczas najważniejsze było dla niej spotkanie z dziadkiem. Zamiast jednak zastanawiać się teraz nad przyszłością, sama zapytała:

- Kto cię zatrudnił? Kto może być tak wyrachowany, zimny i nieczuły, żeby narzucać się z ofertą kupna przed śmiercią dziadka? I to na dodatek za pośrednictwem prawnika, jakby nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy. Kto?

- Nie mogę ci tego powiedzieć. On... chce pozostać anonimowy.

- Więc i ja nie dam ci żadnej odpowiedzi.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to prędzej czy później będziesz musiała sprzedać te ziemie.

- Kto mnie do tego zmusi?

- Życie. Jakie masz doświadczenie w prowadzeniu gospodarstwa?

- Nauczę się - wzruszyła ramionami - z czasem.

- Posłuchaj, Molly - tym razem na twarzy Russella pojawił się pobłażliwy uśmiech - rozumiem, że ta rozmowa jest dla ciebie nieprzyjemna. Wierz mi, że nie chciałem podnosić tego tematu na tym etapie naszej znajomości. Gdyby to zależało ode mnie... Zresztą, nieważne. Ważne jest to, że samotna kobieta z dwójką dzieci nie poradzi sobie z ranczem.

- Dziadek twierdzi, że Sam Dakota to doskonały zarządca.

Russell zgniótł serwetkę i położył ją na stole.

- Zarządca to osobna kwestia - powiedział. - Jak dobrze go znasz?

Molly speszyło nieco to pytanie.

- Zatrudnił go dziadek - odpowiedziała po chwili namysłu. - To mi wystarczy.

- No dobrze, założmy zatem, że Sam Dakota zgodzi się pracować u ciebie jako zarządca. Czy mogę jednak wiedzieć, jak zamierzasz mu płacić?

- Nie rozumiem...

- Ja też nie rozumiem, skąd ten twój niepoprawny optymizm. Mam nadzieję, że pamiętasz, że to ja pomagałem Wallowi zmienić testament, więc znam stan jego finansów. Będę z tobą szczery, Molly: jest fatalnie, a będzie jeszcze gorzej. Nawet jeśli dogadasz się jakoś z Dakotą, nie ma żadnej gwarancji, że zdołacie wyżyć z hodowli bydła. Ceny mięsa spadają. Farmy bankrutują. Jest coraz mniej gospodarstw takich, jak Złamana Strzała. Speculanci wykupują ziemię poniżej cen rynkowych, a ranczerzy nie mają innego wyjścia, jak tylko sprzedawać kolejne hektary, zadowolając się byle groszem. Nie chcę, żebyś i ciebie spotkał podobny los.

- Dziękuję ci, że we mnie wierzysz.

- Zrozum, że to ogólny proces, na który nie masz wpływu, choćbyś nie wiem jak się starała! Nie jest mi łatwo mówić takie rzeczy - dodał po chwili przerwy. - Uważam jednak, że to mój obowiązek. Za pół roku, kiedy ranczo pójdzie pod młotek... po prostu nie chcę, żebyś miała pretensję, że cię nie ostrzegłem.

Molly wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała zdecydować o przyszłości rancza, nie spodziewała się

jednak, że temat wypłynie już w pierwszym tygodniu po przeprowadzce. I to na randce, która wcale nie była randką!

- Posłuchaj mnie jeszcze raz, Molly - Russell ujął jej dłoń w swoje ręce - rozumiem, że to dla ciebie bolesne. Każdy czułby na twoim miejscu to samo. Ale to właśnie teraz musisz pomyśleć o sprzedaży, zawczasu, kiedy nie jest jeszcze za późno. Później, gdy Walter umrze, nie będzie warunków do podejmowania tak istotnych decyzji. Chcę, żebyś zastanowiła się nad tym wcześniej.

Molly wiedziała, że Russell ma rację, ale nie chciała jeszcze o tym myśleć. Oparła łokcie na stole i objęła rękami czoło.

- Ta ziemia należy do naszej rodziny od czterech pokoleń.

- Wiem o tym.

- W tym domu urodził się dziadek, mój ojciec...

- Wiem.

- Przez wszystkie te lata, mimo wojen, kryzysów, spadków koniunktury... - nie dokończyła, wzruszenie ścisnęło jej gardło.

Perspektywa utraty ojcowizny stała się dla niej nagle tak straszna, jak gdyby wraz ze sprzedażą ziemi miała pozbyć się swojej tożsamości.

Nie, nie może być tak źle, pomyślała. Wheatonowie nie opuścili swojej ziemi w gorszych czasach, bywało, że ceny bydła wzrastały i spadały niczym na huśtawce, a oni przeszli przez trudny okres, przetrwali. Teraz także dadzą sobie radę. Z pomocą boską i ona da sobie radę, Molly, córka Adama Wheatona, wnuczka Walta i Molly Wheatonów. Musi to zrobić dla nich wszystkich. Musi to zrobić dla siebie i dla swoich synów.

Zamknęła na chwilę oczy. Była zła na Russella, choć właściwie wyświadczył jej przysługę. Dzięki niemu uświadomiła sobie, jak wiele jest winna dziadkowi, rodzinie i sobie samej.

- To bardzo trudne - odezwała się, wzięwszy głęboki oddech - jednakże...

- Wiedziałem! - ucieszył się Russell. - Wiedziałem, że mnie posłuchasz. Zobaczysz, że nie będziesz żałować - mówił szybko, nie pozwalając jej dojść do słowa. - Musisz wiedzieć, że mój klient godziwie płaci. Te pieniądze rozwiążą twoje kłopoty. Obiecuję, że pomogę ci wynegocjować korzystną cenę.

- Chciałam powiedzieć, że nie sprzedam ziemi - oznajmiła Molly, kiedy Russell zakończył swoją przemowę. - Dopóki żyję, nie pozbędę się jej.

- Ale przecież...

- Tak właśnie postanowiłam i nic nie zmieni tej decyzji. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby utrzymać ranczo.

Wystarczyło, że wypowiedziała te słowa - mocno, z przekonaniem - a od razu poczuła się lepiej. Russell miał rację co do jednego: na pewno będzie potrzebowała pomocy. Trudno. Jeśli będzie musiała poprosić Sama Dakotę, aby przy niej został, przełknie upokorzenie i go poprosi.

- Utrzymać ranczo - zachnął się Russell - łatwo powiedzieć. Niby jak zamierzasz to zrobić? Kto ci pomoże?

- Chociażby Sam Dakota.

Russell poprawił się na krześle i przez dłuższą chwilę patrzył jej prosto w oczy, szukając słów, których powinien użyć.

- Nie miałem zamiaru ci o tym mówić, ale widzę że będę musiał - odezwał się wreszcie. - Jak dobrze znasz Sama Dakotę, Molly?

- Już drugi raz o to pytasz. Skoro zatrudnił go dziadek...

- Nie chce, żeby stosunek dziadka do pana Dakoty wpłynął na twoją opinię - przerwał jej. - Chcę znać twoje zdanie.

- Nie mam zdania. Poznałam go raptem kilka dni temu.

- Bo też trudno o jakiegokolwiek zdanie, nawet jeśli zna się go dłużej. Sam Dakota to obcy, wędrowiec, włóczęga. Nikt nie wie, skąd pochodzi ani co robił wcześniej. Pewnego dnia po prostu zjawił się w tym mieście i mieszka tu do dziś.

- Czy coś w tym złego?

- Nie, poza kilkoma wydarzeniami, które miały miejsce z jego udziałem...

- Co takiego się stało? - zapytała natychmiast Molly.

- Och, nie minęła godzina, a już wdał się w bójkę w knajpie u Williego.

- A o co poszło?

- Najlepiej będzie, jeśli jego poprosisz o wyjaśnienia. Molly zawahała się i popatrzyła nieufnie na rozmówcę.

Nie lubiła Sama Dakoty, jeszcze przed kilkoma minutami myślała o nim jako o całkowitym przeciwieństwie czarującego i przystojnego Russella Letsona, a jednak teraz miała ochotę bronić tego „obcego włóczęgę” przed oskarżeniami prawnika.

- Zdaje się, że faceci w Sweetgrass często biorą się za czuby.
- Daj spokój, Molly, naprawdę nie ma powodu, żeby go usprawiedliwiać. To podejrzany typ. Nie wiem, czy powinnaś mu ufać.

- Nie bądź śmieszny.
- Uważasz, że jestem śmieszny? Proszę cię tylko, abyś była ostrożna.

- Wcale nie. Snujesz jakieś insynuacje. Próbujesz mnie do niego zniechęcić. Powiedz, co wiesz, Russell, bez owijania w bawełnę. Chyba mam prawo znać prawdę.

- Nie mogę, Molly. I tak nie powinienem był ci powiedzieć tego, co usłyszałaś. Ujmę to tak - odwrócił wzrok i wypuścił powietrze z płuc - tam, gdzie pojawi się Dakota, pojawiają się kłopoty. Ostatnio w naszej okolicy miało miejsce kilka niewyjaśnionych wypadków. Dziwnych wypadków. Czy Walt wspominał ci o nich?

Molly pokręciła głową.

- Widocznie nie chciał cię martwić - westchnął Russell. -
Wszystkie one zdarzyły się po przybyciu Sama Dakoty.

- O jakich wypadkach mówisz?
- Zapytaj dziadka. Nie jestem szczególnie podejrzliwy, ale wydałoby mi się dziwne, gdyby Sam nie miał z nimi nic wspólnego.

W pierwszym odruchu Molly pomyślała o dzieciach. Póki są z dziadkiem, nic im nie grozi, próbowała się uspokoić. Tylko że dziadek jest stary i z każdym dniem coraz słabszy. Do licha, co też Russell usiłuje jej przekazać?

- Nie mogę powiedzieć więcej, Molly - powiedział, jakby wyczytał pytanie w jej myślach. - Chyba w ogóle nie powinienem być ci o niczym mówić, ale uznałem, że mam obowiązek cię ostrzec.

- Boże, jakie to straszne wypadki mogą mieć miejsce w Montanie? - zirytowała się Molly. - Jeśli powiesz mi zaraz, że Sam Dakota doi potajemnie cudze krowy...

- Nie kpij ze mnie, Molly.

- No więc co takiego się stało, na miłość boską?

- Na przykład to, że dwa dni temu ktoś zniszczył skrzynkę pocztową Walta. To już trzeci raz w tym miesiącu. Ginny Dougherty, która złożyła w tej sprawie oświadczenie, też ma kłopoty.

- To wszystko?

- Bynajmniej.

- Co jeszcze?

- Zapytaj Ginny.

- Co to znowu za Ginny?

- I tak już powiedziałem więcej, niż powinienem.

- W takim razie dziękuję za rozmowę, Russell. I za miły wieczór. Już dawno tak świetnie się nie bawiłam.

Tego samego wieczora Tom siedział na werandzie z psem u boku i wpatrywał się w czerwony od zachodzącego słońca horyzont. Natasza, młoda suka rasy collie, była w ciąży. Chłopiec z westchnieniem pogłaskał ją po jedwabistej sierści. Słyszał o ludziach na odwyku, ale nie miał pojęcia, że kiedyś sam będzie musiał przez to przejść. Nie chodziło o narkotyki - nie był aż tak głupi, żeby brać to

świętstwo. Gdy jednak któryś z kolei dzień musiał się obyć bez telewizora, czuł, że rozumie, jak się czują narkomani na głodzie. On też oddałby wszystko za kolorowy telewizor z pilotem i dwudziestopięciocalowym ekranem.

Dziadek miał telewizor, ale czarno-biały, który na dodatek odbierał tylko jeden kanał. Tom nigdy by nie przypuszczał, że w Stanach Zjednoczonych można spotkać jeszcze takie muzealne odbiorniki. Czy dziadek nie mógł przynajmniej kupić anteny satelitarnej albo wykupić kablówki? Jasne, mógł. Ale nie chciał, bo nawet tego jednego kanału, nadawanego z jakiegoś miasteczka w Kanadzie i pełnego reportaży oraz innych nudziarstw, nie oglądał. Żał mu go było. Dziadek nie wiedział, co traci. Nie słyszał nigdy o MTV i najwyraźniej nic go to nie obchodziło. Zgroza!

Jedyna stacja radiowa w Sweetgrass była równie beznadziejna. Każdego ranka o dziesiątej trzydzieści całe miasto entuzjasmowało się relacją na żywo z gry w bingo. Potem, gdzieś od południa, recytowano niczym litanie listy cen najrozmaitszych surowców i produktów. Nie chciał sprawić przykrości dziadkowi, który słuchał cierpliwie tych monotonnych wyliczanek, ale zupełnie nie interesowały go ceny wieprzowiny, wołowiny albo pszenicy. Następnie w radiu wygłaszano pogadankę na temat uprawy roślin i hodowli bydła. A kiedy w końcu Tom doczekał się jakiejś muzyki, usłyszał straszne ramoty z lat pięćdziesiątych albo i starsze! Basta, przecież musieli je nagrać, zanim urodziła się jego matka!

Co do matki, to właśnie poszła na jakąś randkę. Mama na randce - niezły numer. Tom nie był pewien, czy mu się to podoba, uznał jednak, że powinien podejść do sprawy spokojnie. Bez paniki, skoro tak strasznie chciała się gdzieś wyrwać, proszę bardzo. Mogła tylko poprosić, żeby Sam gdzieś ją zabrał, a nie wyprawiać się na bal z jakimś obcym.

Tom lubił Sama. Clay także. Za to żaden z nich nie wiedział, kim właściwie jest ten Russell Letson, który przyjechał wieczorem po mamę. Podobno prawnik, tak powiedział dziadek. Jak prawnik, to pewnie niezły cwaniaczek. Tom widział podobnych gości, kiedy oglądał relacje z procesu ojca.

Sam był inny niż oni, inny niż ojciec i wszyscy faceci, których spotkał w San Francisco. Trochę taki jak dziadek. Wiedział wszystko o koniach, nie zgrywał ważniaka, dało się z nim pogadać. Nie to co ojciec, który miał dla niego jedną tylko gadkę: „Nie przeszkadzaj, teraz nie mam czasu”. Zresztą, kumple z klasy mówili, że mają w domu to samo.

Tak, Sam był inny. Dwa ostatnie wieczory gadali sobie po kolacji o koniach. Tylko dzisiaj chyba coś go ugryzło, bo wydawał się jakiś rozkojarzony. Może z winy Claya? Fakt, Clay był nieznośny, ale Tom zdążył już do tego przywyknąć. Sam pewnie nie.

Jedno na pewno można było o nim powiedzieć i choćby tylko za to warto było z nim trzymać - Sam nigdy nie odzywał się do nich z wyższością. Nie kpiał z nich, nie traktował jak debili, ale gadał z nimi jak równy z równym.

Tom westchnął ciężko i wszedł z werandy do domu. Clay dawno już spał, ale jemu nie chciało się jeszcze kłaść do łóżka, więc usiadł po ciemku w salonie i czekał na powrót matki. Kumple, którzy mieli starsze rodzeństwo, opowiadali, że ich matki nie położą się spać, zanim ich dzieciak nie wróci z randki. Kurcze, nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że to on będzie czekał na swoją starą. No ale co miał zrobić? Dziadek spał, Clay spał. Ktoś musiał czekać.

Gdy w oddali ukazały się dwa małe światełka, wiedział, że samochód jest jeszcze daleko. W ciemnościach, jakie panowały nocą w Montanie, widać go było na drodze już z odległości paru kilometrów. Kiedy Tom po raz pierwszy spojrział nocą w okno, był zdumiony tą ciemnością oraz panującą tu ciszą.

Samochód podjechał od tyłu. Tom chciał wyjść mamie na powitanie, ale w ostatniej chwili zrezygnował. A może będą się całować? Głupio by było wyskoczyć w takim momencie. Poza tym wcale nie był pewien, czy ma ochotę oglądać podobne scenki i czy nie zareagowałby zbyt gwałtownie na widok obcego faceta obejmującego jego mamę.

Ponownie zapatrzył się w niebo. Tu, z dala od świateł miasta, iskrzyło się gwiazdami i zdawało się na wyciągnięcie ręki. O rany, nie miał pojęcia, że tych gwiazd jest tak dużo.

- Dziadziu, nie śpisz? - usłyszał głos matki, a zaraz po nim odgłos odjeżdżającego samochodu. - Dziadziu, jesteś tu?

Oho, była poirytowana. Najwyraźniej wkurzył ją czymś ten Letson i postanowiła poskarżyć się dziadkowi.

- Dziadziu, nie chcę cię budzić, ale muszę zadać ci kilka pytań.

Tom już miał odejść, ale powstrzymał go wyraźnie słyszalny niepokój w jej głosie. To ważna sprawa, pomyślał. Musi o niej wiedzieć. Nie żeby był wścibski, ale być może przyda mu się ta wiedza, gdyby przyszło rozprawić się z tym Letsonem.

- Już wróciłaś, Molly? - Tom usłyszał ziewnięcie pradziadka. - I jak było? Dobrze się bawiłaś?

- Musimy porozmawiać.

- Porozmawiać? O czym? Właśnie teraz? Spostrzegł, jak mama siada na otomanie, nachyla się nad dziadkiem i dotyka dłonią jego czoła.

- Co wiesz o swoim zarządcy? - zapytała.

- O Samie? - Dziadek podrapał się po głowie. - Poszłaś na kolację z Letsonem, a chcesz rozmawiać o Samie?

- Powiedz mi, co o nim wiesz.

- Niby czemu?

- Ponieważ muszę wiedzieć, czy możemy mu ufać.

- Możemy.

Matka odrzuciła głowę do tyłu i wbiła wzrok w sufit, jakby liczyła do dziesięciu. Robiła to czasami, kiedy za wszelką cenę starała się uspokoić.

- Sprawdziłeś jego referencje? - zapytała cicho.

- Nie przypominam sobie, żeby mi jakieś dostarczył.

- No to dlaczego go zatrudniłeś?

- Bo potrzebowałem pomocy.

Tom uśmiechnął się pod nosem. On też często rozmawiał z mamą w ten sposób. Jemu takie wyjaśnienie by wystarczyło, wiedział jednak, że matka nie popuści, dopóki nie dowie się tego, co chce.

- I nigdy nie miałeś żadnych wątpliwości?

- Sam Dakota to dobry człowiek, Molly.

- Jesteś tego pewien?

- Nie potrzebuję kawałka papieru z tuzinem nazwisk poprzednich pracodawców, jeśli o to ci chodzi, moje dziecko. Dwie godziny w obejściu powiedzą mi o człowieku wiele więcej niż jakieś tam referencje.

- Przekonałeś się więc, że Sam Dakota świetnie jeździ konno - skomentowała kpiąco.

- I że fachowo obchodzi się z bydłem - dodał dziadek. - Od lat nie pracowałem z kimś równie solidnym. A teraz wyjaśnij mi, czemu zadajesz te wszystkie pytania. Russell ci nakładł do głowy jakichś mądrości?

Matka zawahała się, po czym wzruszyła ramionami i odparła:

- Russell Letson powiedział mi, że odkąd przybył tu Sam, w Sweetgrass zdarzyło się wiele niewyjaśnionych incydentów. Ludzie w miasteczku mówią...

- Jeśli jeszcze raz usłyszę z twoich ust te słowa, to zrobię ci awanturę - przerwał jej dziadek. - „Ludzie w miasteczku mówią...” Niech mówią! Ja nie słucham plotek. A ty rozczarujesz mnie, Molly, jeśli będziesz nadstawiać na nie uszu,

- Nie rozumiesz mnie, dziadziu. Sam spędza wiele czasu z moimi synami.

- I bardzo dobrze. Do licha, widzę, że ten złotousty prawnik na dobre cię przekabacił!

- Myślałam, że go lubisz.

- Niby za co?

- To twój adwokat.

- Niestety. Właściwie to powinienem go zwolnić. Nie pozwolę, żeby nabijał ci głowę jakimiś bzdurami.

- A skąd wiesz, że nie mówi prawdy? I dlaczego nie powiedziałeś mi o tych wypadkach?

- Bo to bzdury, którymi nie warto sobie głowy zawracać.

- Dziadziu, proszę cię, bądź rozsądny. To, co mówi Russell Letson, ma ręce i nogi. Wszystko w Sweetgrass jest w porządku, aż tu nagle zjawia się Sam Dakota i przewraca miasto do góry nogami.

- Przydałoby się to tej zacofanej dziurze. Nie wiem, Molly, jak to się stało, ale w ciągu jednej nocy cała dorosła ludność Sweetgrass zamieniła się w nawiedzonych fanatyków. A jeśli chodzi o Sama, to powiem ci, jeśli tak bardzo chcesz, że on nie jest winny tej bójki. Czy Russell mówił ci o niej?

- Bez szczegółów.

- A ja widziałem wszystko na własne oczy. Zrobiłbym na jego miejscu dokładnie to samo.

- O co więc poszło?

- Nie wystarczy ci to, co powiedziałem?

- Wolałabym wiedzieć więcej.

- Poczekaj no, moja panno - staruszek uniósł się na łokciu - nie podoba mi się twoja postawa. Pamiętaj, że gdyby nie Sam Dakota, już dawno bym nie żył. Podziękowałaś mu chociaż za to?

Po tych słowach zapadła głucha cisza.

- Ale, dziadziu...

Tom widział, jak matka unosi dłoń dziadka i przyciska ją do policzka. Mógłby przysiąc, że dziękuje teraz w duchu za ocalenie staruszka od śmierci. On sam cieszył się z tego powodu i czuł łyzy cisnące się ze wzruszenia do oczu.

- Powiem ci coś jeszcze - odezwał się burkliwie dziadek, wyrywając suchą dłoń z uścisku wnuczki. - Sam Dakota był mistrzem rodeo. Przytrafił mu się kiedyś fatalny wypadek i długo dochodził do siebie. Wie, co to cierpienie i ból, zna cenę marzeń. Jedynie dzięki niemu to ranczo jeszcze jakoś prosperuje. Jeśli więc chcesz mu cokolwiek powiedzieć, to najlepiej zacznij od „dziękuję”.

Rozdział szósty

Teraz, kiedy w domu Walta zamieszkała jego rodzina, Sam wstępował doń każdego ranka bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności. Nie musiał już sprawdzać stanu zdrowia swego pracodawcy, a jego wizyty stały się czysto kurtuazyjne - pytał oczywiście o zdrowie Walta, następnie przedstawiał mu plan zajęć na dany dzień, tak naprawdę jednak zależało mu na tym, by choć przez chwilę popatrzeć na człowieka, któremu tak wiele zawdzięczał.

Podczas drugiego tygodnia pobytu Molly na ranczu, natknął się na nią któregoś ranka, kiedy stała boso w szlafroku obok ekspresu do kawy. Jego reakcja na kobietę - zasnąłą, pachnącą snem i łóżkiem, ze zmierzwionymi włosami - zaskoczyła go i zakłopotwała. Poczł podniecenie tak nagłe i tak silne zarazem, że nie był pewien, czy zdoła je przed nią ukryć.

- Dzień dobry - wykrztusił cicho i dotknął palcami brzegu kapelusza.

- Cześć, Sam - odparła, najwyraźniej zakłopotana nie mniej niż on. Poprawiła odruchowo poły szlafroka i potarła jedną bosą stopą o drugą, a potem zapytała: - Masz ochotę na kawę?

Sam na co innego miał ochotę. Wciąż pamiętał pocałunek sprzed przeszło tygodnia i choć zdawał sobie sprawę, że wyczyn ten trudno zaliczyć do najbardziej błyskotliwych posunięć w jego życiu, wcale nie żałował swojego postępk. Molly Cogan była śliczna - znacznie

ładniejsza niż na zdjęciu, które kiedyś dostrzegł w salonie Walta - i pocałunek z nią wart był każdej ceny.

Jednak nie tylko uroda tej kobiety zwracała jego uwagę. Podobały mu się jej ruchy, gesty, mowa ciała. A także gust, który przejawiał się choćby w tym, jak szybko i skutecznie zamieniła ponurą norę, jaką był przed jej przyjazdem dom Walta, w miłe i przytulne mieszkanie. Posiłki, które przygotowywała, również nie były zwyczajne i banalne. Każdy z nich umiała wzbogacić jakąś niespodzianką - czasem bukietem świeżych kwiatów na stole, czasem niskokalorycznym deserem przygotowanym specjalnie dla dziadka. Od niedzieli Sam również uczestniczył w tych kolacjach i bardzo to sobie chwalił.

Nie rozmawiali wprawdzie ze sobą, ale lubił słuchać jej głosu, kiedy tłumaczyła coś chłopcom albo przekomarzała się z dziadkiem. Lubiał też jej śmiech, głośny i zaraźliwy; wzruszała go czułość, jaką Molly okazywała dziadkowi; wyczuwał, że jest dobrą matką. Jakby zaś i tych zalet było mało, Molly okazała się kobietą zaradną i bardzo praktyczną. Wraz z chłopcami wykonała wiele drobnych prac, które on sam z powodu braku czasu odkładał na później - przybiła obluzowane schodki na werandzie, pomalowała wejściowe drzwi, naoliwiła skrzypiące zawiasy.

- Chcesz kawy? - usłyszał ponownie jej pytanie.

- Dziękuję, już piłem.

Pracował od prawie dwóch godzin i jeszcze przed wschodem słońca wypił niemal pół dzbanka zaparzonej pospiesznie lury.

Zazwyczaj wstawał około czwartej, żeby uporać się z papierkową robotą, potem zaś szedł do stajni. W zeszłym tygodniu najął jednak dwóch pomocników, więc mógł pozwolić sobie na więcej snu.

Chłopcy przychodzili na rancho wczesnym rankiem, a do domu wracali pod koniec dnia. Pete podkuwał konie, naprawiał ogrodzenia i urządzenia mechaniczne, Charlie zaś przez pół dnia pracował jako pomocnik, a następnie strzegł pasącego się stada. Opiekował się także końmi i radził sobie z nimi całkiem nieźle. Ciekawe, czy starszy syn Molly będzie chciał przejąć tę robotę, zastanawiał się Sam. On też miał dobrą rękę do koni i szybko się uczył.

Spojrzał na Molly i w pierwszym odruchu chciał ją o to zapytać, zaraz jednak powstrzymał się i zrezygnował z nawiązania rozmowy. Pewnie by go zbyła albo odcięła się jakąś złośliwą uwagą. Lepiej nie wchodzić jej w drogę.

Ruszył do salonu, gdzie wypoczywał Walt, lecz Molly zatrzymała go, zanim zdołał wyjść z kuchni.

- Sam? - usłyszał za sobą jej głos. Odwrócił się.

- Chciałabym ci zadać jedno pytanie. Nie masz nic przeciwko temu? - spytała, nie patrząc mu w oczy.

- Proszę, pytaj.

- Rozmawiałam o tobie z dziadkiem - zaczęła, obejmując kubek obiema dłońmi. - Powiedział, że kiedy przyjmował cię do pracy, nie przedstawiłeś mu żadnych referencji...

- Nie prosił mnie o to. - Sam wzruszył ramionami. - Chcesz, żebym przedstawił je teraz?

- Nie, nie - odparła pośpiesznie, choć bez przekonania. - Skoro dziadek ich nie potrzebował...

Uśmiechnął się, słysząc sceptyczny ton w jej głosie. Molly mu nie ufała, wiedział o tym. I zapewne nigdy mu nie zaufa. Postanowił zaproponować jej, by porozmawiali otwarcie o jego przyszłości na ranczo, kiedy uprzedziła go kolejnym pytaniem:

- Jak ci się podoba w Sweetgrass?

- W porządku. - Sam znów wzruszył ramionami.

- Pytam, bo... bo słyszałam, że zdarzyło się tu kilka tajemniczych wypadków, odkąd zacząłeś pracować u dziadka.

- Tajemnicze wypadki? - Sam uniósł w zdziwieniu brwi.

Ciekawe, kto jej o tym powiedział. Pewnie Letson. Owszem, było ostatnio kilka incydentów, ale zdarzały się one przecież także przed jego przybyciem: zniszczona skrzynka pocztowa, wyrwane paliki od ogrodzenia, śmiecie i zgniłe jaja wywalone obok stajni. Nie mówił o wszystkich tych zdarzeniach Waltowi, by go niepotrzebnie nie niepokoić, sam zresztą nie przejmował się tym zbyt. Ot, głupie żarty ze strony jakichś złośliwców.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

- Wiem, wiem - odparł. - Moim zdaniem to drobiazgi.

No, może poza tym, co zdarzyło się w ubiegłym tygodniu, dodał w myślach. Ktoś uszkodził pompę przy poidłach dla bydła.

Początkowo Sam sądził, że sama się zepsuła, ale po bliższym przyjrzeniu się zniszczeniom dostrzegł, że zrobiono je celowo.

Naprawiali ją potem przez pół dnia.

- A moim zdaniem sprawa jest podejrzana - odezwała się Molly.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Jeszcze nie wiem. Dziadek powiedział, że skoro tak bardzo się tym przejmuję, to powinnam zapytać ciebie. Ma rację. Powinieneś mieć szansę, aby się bronić.

- Bronić się? - Sam popatrzył na nią podejrzliwie. -A niby przed czym? Sugerujesz, że to ja jestem odpowiedzialny za te głupie kawały?

- Tego nie powiedziałam. Chcę jedynie znać prawdę. Jeżeli coś się za tym kryje...

- Coś? - przerwał jej. - A może ktoś? Czy nie tak właśnie myślisz? Czy nie chciałaś zapytać, czy to nie ja jestem odpowiedzialny za te „tajemnicze wypadki”? Mówmy otwarcie, Molly, nie lubię takich podchodów!

- Dobrze, mówmy otwarcie. To ty?

- Bzdura! Czemu miałbym kasać rękę, która mnie karmi?

- Żeby wykazać, jak bardzo jesteś tu potrzebny.

Sam roześmiał się głośno. Najwyraźniej pani Cogan długo myślała nad ewentualnymi motywami.

- Bzdura - powtórzył. - Nie muszę szukać dodatkowej roboty, żeby wykazać, że jestem tu potrzebny. Rozejrzyj się wokół siebie - machnął ręką - to ranczo jest w opłakanym stanie. I tak nie daję rady ze wszystkim. Miałbym przyczyniać sobie dodatkowej roboty?

Patrzyła na niego uważnie, jak gdyby usiłowała ocenić, ile prawdy kryje się w jego słowach. Po chwili skinęła głową i powiedziała:

- Dziękuję, Sam. To mi wystarczy. Przepraszam, jeśli cię obraziłam

- Nie ma sprawy - odparł. Wkurzyła go, ale zarazem doceniał jej troskę o sprawy rancza. Była nieufna, miała odwagę zapytać go wprost, stawić mu czoło. Innej na jej miejscu albo by nie zależało, albo nie bawiłaby się w dochodzenie tylko po pierwszym podejrzeniu wyleciałby stąd, nie wiedząc nawet dlaczego. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym porozmawiać chwilę z twoim dziadkiem.

- Oczywiście, że nie - odparła. - I jeszcze raz przepraszam.

Kiedy Sam wszedł do salonu, spostrzegł, że Walt jest wyjątkowo blady. Staruszek usiadł na jego widok, lecz wysiłek, jaki musiał w to włożyć, zdawał się ponad jego siły.

- Witaj, Sam - powitał go cichym głosem.

- Jak się masz, Walt? - Sam zdjął kapelusz i zajął miejsce przy łóżku.

- W porządku. Ale ty chyba nie za bardzo. Moja wnuczka sprawia ci kłopoty, co?

- Dam sobie radę - uśmiechnął się Sam.

- Też tak myślę. - Głowa Walta opadła na sofę. - Udało ci się kupić stetsona dla chłopca?

- Tak, wczoraj w mieście. Ale z trudem. Nie mają takich małych kapeluszy.

- Ile kosztował? Stówę? Oddam ci...

- Nie trzeba.

- Tom trochę się zdziwi, nie? - Walt uśmiechnął się szeroko, co zdarzało się rzadko nawet wtedy, gdy był zupełnie zdrowy.

- Na pewno.

- To dobrze. Zobaczysz, że się ucieszy. Co poza tym?

- Wysyłam Pete'a i Charlie'ego do Samotnej Doliny. Muszą...

- Dobrze, dobrze, zrobisz, jak zechcesz - przerwał mu Walt i niecierpliwie machnął ręką. - Chciałem spytać, jak sobie radzą Tom i Clay. Molly mówi, że łążą za tobą krok w krok.

Rzeczywiście, chłopcy chodzili za nim niczym dwa cienie i pytali go dosłownie o wszystko. Sam nie miał nic przeciwko temu. Byli chętni do słuchania i do nauki, a wiele razy rzeczywiście okazywali się przydatni, zwłaszcza Tom.

- Starszy dobrze sobie radzi na koniu - powiedział. - Chciałbym go niedługo zabrać na objazd pastwisk.

- Rób, jak uważasz - powtórzył Walt i uśmiechnął się lekko. - A młodszy?

- Dla niego jeszcze za wcześnie na konie. Najpierw musi nabrać trochę śmiałości.

Walt pokiwał głową.

- Nabierze, to dzielny dzieciak. A jak Natasza? Oszczeniła się?

- Dwa dni temu. - Sam uśmiechnął się na te słowa. - Clay siedzi z nią całymi dniami i pilnuje szczeniąt.

- To dobrze. Niech sobie wybierze jednego. Nauczy się odpowiedzialności.

- Dopilnuję tego.

Nagle na zewnątrz dał się słyszeć tętent kopyt. Sam wyrzwał przez okno i natychmiast rozpoznał znajomą postać. Przygryzł wargę. Wiedział, że wizyta Ginny Dougherty może oznaczać tylko jedno - kłopoty. Zerwał się na równe nogi i pobiegł w kierunku kuchni, omal nie wpadając po drodze na Molly, która cofnęła się w ostatniej chwili, straciła równowagę i gdyby Sam nie złapał jej instynktownie za ramiona, pewnie by upadła.

Nie upadła. Stała tuż przed nim, a on wciąż nie mógł ochłonać po tym, jak jego ręka przelotnie dotknęła jej piersi; miękkiej piersi, bujnej, rozkołysanej. Kontakt był przelotny i zupełnie nie zamierzony, ale Sam znów poczuł tak gwałtowne pożądanie, że nie bardzo wiedział, jak się zachować.

Chciał ją przeprosić, lecz ona potrząsnęła tylko głową, że nic się nie stało, i pierwsza wybiegła na werandę.

- Sam... - wydyszała Ginny na jego widok - dobrze, że cię zastałam... Wasze ogrodzenie... znowu zniszczone. Wyjechałam, żeby doglądać stada i wtedy to zauważyłam... Bydło biegnie w kierunku rzeki, od północnej strony. Trzeba je zawrócić.

Sam zaklął cicho. Zdążył już wysłać w objazd swoich pomocników, ale ci pojechali w przeciwnym kierunku. Bez ich pomocy nie da rady zawrócić stada, a to może zdeptać pole lucerny, którą niedawno wysiał w tamtym miejscu.

- Dzięki, Ginny. Już jadę. - Ruszył w stronę stajni. Może cokolwiek uda się uratować.

- Ginny? Co za diabeł cię znowu sprowadza? - zapytał Walt, który stanął właśnie na progu. Jeszcze chwilę wcześniej zdawał się słaby i osowiały, teraz zaś w jego oczach iskrzyło się życie.

Sam przystanął i odwrócił się do niego.

- Znowu mamy dziurę w ogrodzeniu.

- Psiakrew!

- Ale to nie wszystko - mruknęła Ginny.

- Nie wszystko? - wykrzyknął Walt. - Nie mogłabyś, kobieto, choć raz przywieźć jakiejś dobrej wiadomości?

- Nie moja wina, stary capie, że masz tylu wrogów! - odcięła się Ginny. - Trzeba było nie kłócić się ze wszystkimi. Jakbyś miał choć jednego przyjaciela, może by ci pomógł!

- Dajcie spokój! - przerwał im Sam. - Że też macie ochotę się teraz kłócić. W tym wieku...

- Co ma piernik do wiatraka? Kiedy ją widzę, gotuje się we mnie krew!

- To nie patrz, stary capie, tylko słuchaj! - Ginny przeniosła spojrzenie z Walta na Sama. - Ktoś zrobił to celowo, Sam - dodała. - Druty były przecięte.

Od niespodziewanej wizyty Ginny Dougherty minęły trzy dni, a Sam wciąż nie wracał. Molly zadzwoniła do biura szeryfa, aby złożyć doniesienie o przestępstwie, ale poza tym, że zapewniono ją o przyjęciu zgłoszenia, nie dowiedziała się niczego. Może niszczenie

ogrodzeń jest dla tutejszej policji tym samym, co włamania do samochodów w San Francisco, myślała. Zdarza się tak często, że nie wywołuje u stróżów prawa większych emocji.

Martwiła się opieszałością policji, martwiła się o los stada, jednak najbardziej niepokoiła ją przedłużająca się nieobecność Sama Dakoty. Charlie i Pete wozili mu podobno coś do jedzenia, ale gdzie był, gdzie sypiał i kiedy się pojawi, nie miała pojęcia. Ku swemu zdziwieniu spostrzegła, że myśli o nim niemal nieustannie i - to było chyba najdziwniejsze - że brakuje go jej.

Dziadek także był niespokojny. Zasypywał ją pytaniami, złościł się, gotował w środku, co z pewnością nie pomagało jego choremu sercu. Molly obawiała się zostawić go samego nawet na chwilę. Chłopcy całymi dniami kręcili się wokół stajni i wypatrywali Sama co wieczór, jednak i im zaczynało brakować cierpliwości. Napięcie, które czuło się w domu, Molly starała się rozładować pracą w ogrodzie i jedynie to pozwalało jej choć na chwilę zapomnieć o kłopotach.

Wreszcie, w sobotę wieczorem, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, Tom dostrzegł Sama jadącego powoli w stronę domu.

- Mamo! Mamo! - Podbiegł do Molly na swoich szczupłych nogach, a ona odłożyła motykę i otarła dłonią spocone czoło. Wciąż jeszcze nie przywykła do widoku syna w kowbojskim kapeluszu. Prawdziwy stetson, który musiał kosztować fortunę, czekał na chłopca przy łóżku w tym samym dniu, w którym dowiedzieli się o zniszczonym ogrodzeniu. Jedynie Sam mógł go tam położyć. Tom

ucieszył się z niespodziewanego prezentu i nie rozstawał się z nim ani na chwilę, a kiedy szedł spać, kładł kapelusz obok łóżka.

- Widzę, skarbie - powiedziała, patrząc z zapartym tchem na jeźdźca i konia, których połączone sylwetki odcinały się wyraźnie na tle różowawego nieba. Widok ten był taki piękny, taki... klasyczny, że mógłby stać się ilustracją westernu. Oto kowboj wraca pod swój dach...

Jednakże ten kowboj w ciągu ostatnich dwóch dni spał byle gdzie i jadł byle co. Przez cały zaś czas pracował, co zdradzała jego przygarbiona sylwetka. Dopiero kiedy zbliżył się do Molly i chłopców, wyprostował się i przybrał pogodny wyraz twarzy.

Nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, podeszła po prostu do niego i rzuciła krótkie „cześć”. Zabrzmiało to jednak tak głupio, że natychmiast pożałowała tego zdawkowego i beznamiętnego powitania. Przecież tak bardzo na niego czekała, tyle chciała się dowiedzieć, o tak wiele chciała zapytać.

- Witaj - odparł i uśmiechnął się, zadowolony mimo wszystko, że ktoś na niego czeka. Popatrzył przez chwilę w oczy Molly, potem przeniósł spojrzenie na Toma i jego uśmiech stał się szerszy. - Ładnie ci w tym stetsonie, synu.

„Synu” - tak właśnie powiedział, a słowo to przeszło mu przez gardło naturalnie i bez najmniejszego trudu. Chłopiec zdziwił się nieco, lecz widać było, że jest zadowolony.

- Znalazłeś bydło? - zapytała Molly.

- Tak. Ostatnie dwie sztuki utknęły w bagnie, ale udało się je wydostać. Charlie i Pete już wrócili?

- Jakaś godzinę temu - odparł Tom.

- To dobrze.

Dopiero teraz Molly zauważyła, że ubranie Sama oblepione jest błotem. Twarz również miał brudną i umazaną.

- Zaprowadzę Pioruna do stajni - zaofiarował się z pomocą Tom.

- Dobrze go wyszoruję i dam mu dodatkową porcję owsa. Zasłużył na nią.

- Zostaw. Charlie powinien się tym zająć. Za to mu płacimy.

- Charlie i Pete poszli już do domu - wtrąciła się Molly.

- Nie dziwię im się. Nie sędzę, żeby spodziewali się tak ciężkiej roboty podczas wakacji.

- Chyba nikt się nie spodziewał.

Sam zdjął siodło z Pioruna i na moment oparł się o koński grzbiet.

- O rany - jęknął - padam z nóg. Potrzebuję prysznic, czegoś do jedzenia, a potem łóżka. W takiej kolejności.

- Zostało mnóstwo jedzenia po kolacji - zapewniła go Molly, podczas gdy Tom z Clayem już prowadzili konia w stronę stajni.

- Nie martw się, Sam! - zawołał starszy brat. - Dobrze się nim zajmę.

- Jak Walt? - zapytał Sam, gdy zostali sami.

- Na pewno będzie chciał z tobą porozmawiać. Bardzo się denerwował. Ale najpierw odpocznij, wiem, że jesteś zmęczony.

- Zdam mu raport natychmiast, jak skończę jeść. Molly zastanawiała się, czy dziadek wytrzyma tak długo, nie śmiała jednak namawiać Sama do pośpiechu. Weszli do domu, ona przeszła do kuchni, a Sam zniknął w łazience.

Kiedy wrócił w czystym ubraniu i z mokrymi, świeżo przyczesanymi włosami, wyglądał wspaniale. Uśmiechnęła się do niego, starając się, by nie spostrzegł, jak wielkie wrażenie wywarł na niej jego wygląd, on zaś odwzajemnił uśmiech, po czym zamknął oczy i oparł dłonie o blat. Molly wystraszyła się, że mężczyzna jest tak zmęczony, iż za chwilę upadnie, jednak on wciągnął po prostu z lubością zapachy dochodzące od kuchni i powiedział:

- Pachnie wspaniale. Jestem tak głodny, że mógłbym zjeść konia z kopytami.

- Dobrze, że Piorun tego nie słyszy - zażartowała.

- Albo Tom - odpowiedział, po czym odsunął krzesło i zasiadł przy stole.

Molly postawiła przed nim talerz, a obok położyła list, który przyszedł poprzedniego dnia pod jego nieobecność. Sam szybko zerknął na kopertę i nie otwierając listu, wepchnął go do kieszeni. Molly wiedziała, dlaczego nie chciał czytać przy niej. Wcześniej dokładnie obejrzała kopertę i rozpoznała adres zwrotny - list wysłano z dużego rancza na drugim końcu stanu.

Zanim Sam zdążył uporać się z połową posiłku, do kuchni wkroczył podekscytowany dziadek.

- A więc wróciłeś.

- Wróciłem.

- Nie słyszałem cię, bo zasnąłem. - Dziadek odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko zarządcy. - Masz za sobą kilka ciężkich dni.

Sam pokiwał głową i sięgnął po kolejny biszkopt, który posmarował grubo masłem i ugryzł z wyrazem błógiego zadowolenia na twarzy. Molly przyniosła obu mężczyznom po kubku kawy, po czym usiadła obok nich.

- Molly ciężko pracowała przez ten czas - odezwał się dziadek. - Umie dbać o ogród, zupełnie jak moja Molly. - Potrząsnął z niedowierzaniem głową. - Do licha, będzie z niej chyba dobra gospodyni.

Molly zaczerwieniła się na te słowa. Jeszcze kilka dni wcześniej przydomowy ogród porośnięty był niemal wyłącznie chwastami, jednak ona przy niemałej pomocy synów wyrwała je wszystkie, spulchniła ziemię, a potem starannie zasadziła warzywa i kwiaty. Czowała w kościach godziny pielienia i była z siebie dumna, jednak krępowało ją takie publiczne chwalenie.

- Poczekajmy, dziadziu. Zobaczymy, czy coś z tego wyrośnie.

- Wyrośnie, wyrośnie. - Dziadek pogłaskał ją po policzku, po czym znów zwrócił się do Sama: - Muszę jednak coś zrobić, żeby ta dziewczyna nie łąziła mi po dachu. Czy wiesz, że ona uważa, że może sama załatać tę dziurę? Psiakrew, zaczyna się zachowywać tak samo, jak Ginny. To nie do pomyślenia, żeby baba sama sobie dała radę ze wszystkim.

- Wiem, od dawna się zbieram, żeby naprawić ten dach.

- Teraz Sam zaczerwienił się po słowach dziadka. - Wciąż odkładam to na później.

- I tak masz za dużo pracy - zaprotestowała Molly. Nie cieszyła jej wprawdzie perspektywa łatania dachu, wiedziała jednak, że gdyby miał to zrobić Sam, zaniedbałby inne obowiązki.

- Nie szkodzi - odparł. - Dziadek ma rację. Nie powinnaś wchodzić na dach. Postaram się załatwić jakiegoś majstra przed nadejściem deszczy, a ty nie ryzykuj niepotrzebnie.

- Och, jakie to ryzyko...

- Pamiętaj, że jesteś nam wszystkim potrzebna do innych rzeczy - przerwał jej i popatrzył na nią przenikliwie.

- Masz nie włączyć na dach. Zrozumiano?

- Tak - odburknęła niechętnie, zdziwiona, że tak łatwo dała się przekonać.

Nie podobało jej się to, co czuła. Dlaczego nie miała ochoty się z nim kłócić, obrażać, dąsać? Przecież nie lubiła Sama Dakoty, przecież miała go za aroganta i szowinistę. Czyżby cieszyła się, że mężczyzna zabrania jej czynności zarezerwowanych, w jego przekonaniu, dla przedstawicieli innej płci? Czyżby tak łatwo dała się przekonać do tradycyjnego podziału ról, w którym kobiety mają gotować, prac i pielnić grządki, a mężczyźni zajmować się „poważniejszymi” pracami? Boże, co za upadek!

Czy jednak nie było miło choć raz dać się przekonać? Daniel z reguły wszystko miał w nosie i wszystkie ważne decyzje pozostawiał jej. Miała prawo czuć się tym trochę zmęczona.

- Był do ciebie telefon po południu, Sam - usłyszała głos dziadka i nadstawiła ciekawie uszu.

- Do mnie? - Sam uniósł głowę.

- Dzwonili z Rancza Curly Q. Słyszałeś kiedyś o nim? Sam poprawił się na krześle.

- Czego chcieli? - zapytał z zakłopotaną miną, a Molly dopiero teraz zrozumiała, dlaczego dziadek przez całe popołudnie chodził podirytowany i bez przerwy dopytywał się o zarządcę.

- Twierdzą, że dostali od ciebie list z zapytaniem o pracę.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Wysłałeś im list?

Sam odłożył nadgryziony biszkopt na talerz.

- Wysłałem.

- Psiakrew! Jeszcze nie umarłem! - Dziadek huknął pięścią w stół.

- Wcale na to nie czekam - Sam odsunął talerz na bok - ale wiem, że Molly i tak sprzeda ranczo. Chcę się zabezpieczyć na przyszłość, czy to takie dziwne? Wiesz jednak, że dopóki będę ci tu potrzebny...

- Nie sprzedam rancza - wtrąciła się w rozmowę Molly.

- Nie? - Sam popatrzył na nią z powątpiewaniem. - Och, wiem, teraz nie chcesz go sprzedać. Ale kiedy napłyną oferty...

- Już zdążyłam jedną odrzucić. I nie rozsyłam wokoło listów tak jak ty! - dodała z dumnie podniesioną brodą.

Była na niego wściekła. Dostrzegł zbliżające się sępy, więc postanowił zwać przy najbliższej okazji. A przecież ona oparła swoją decyzję o pozostaniu na ziemi ojców na założeniu, że Sam zostanie i pomoże jej zarządzać ranczem. Nie знаła się na tym w ogóle, była kompletną nowicjuską, bez jego rady i wsparcia rzeczywiście nie pozostanie jej nic innego, jak tylko wrócić do Letsona i oświadczyć, że zmieniła zdanie.

- Co tak na mnie patrzycie? - warknęła, widząc zdumione spojrzenia obu mężczyzn.

- Powiedziałaś, że ktoś proponował ci kupno rancza?

- zapytał dziadek. - Kto?

- Klient Russella Letsona. Nie wiem, w czyim imieniu mnie pytał.

- I Letson wystąpił z taką propozycją? - Twarz dziadka przybrała kolor purpury, a zaraz potem staruszek wybuchnął potokiem najgorszych przekleństw.

- Dziadziu! Chłopcy mogą usłyszeć - zbeształa go, jednak on nie zamierzał się uspokoić.

- O, psiakrew! - powtarzał. - Nie można wierzyć temu sukinsynowi! Co za popapraniec!

- Powiedziałam mu, że nie sprzedam Złamanej Strzały

- powtórzyła Molly - nie masz powodu, żeby się denerwować.

Pamiętaj o swoim sercu, dziadziu. A jeśli chodzi o Sama... - spojrzała na Dakotę nienawistnym wzrokiem.

- A jeśli chodzi o mnie, to zostanę tu tak długo, jak będę ci potrzebny, Walt - dokończył za nią. — Przykro mi, że mogłeś pomyśleć, że cię zostawię. Wiesz doskonale, że możesz na mnie liczyć. Na wszelki wypadek chciałem pomyśleć o przyszłości, dalekiej przyszłości - dodał. - To wszystko.

Molly nie miała wątpliwości, jak ma rozumieć te słowa. Dziadek mógł liczyć na Sama, ona nie. To zaś oznaczało, że wszystkie jej plany legły w gruzach. Jak mogła być tak naiwna, żeby sądzić, że Sam jej pomoże, kiedy na ranczo zostanie sama? Niby dlaczego miałby jej pomagać? Przecież sam powiedział, że gospodarstwo ma się nie najlepiej. Przecież to egoista, zwykły najemnik, a na dodatek cham!

- No widzisz, dziadziu - powiedziała z przekąsem - możesz na niego liczyć. Dopóki żyjesz, Sam łaskawie zostanie z nami.

Wstała gwałtownie i pozbierała naczynia ze stołu, z hałasem rzucając na nie sztućce, a potem odwróciwszy się plecami do obu mężczyzn, zaczęła szorować talerze tak energicznie, jak gdyby zamierzała zetrzeć z nich wzorek w kwiatki.

Sam wyszedł, a dziadek poczłapał z powrotem do salonu. Molly przymknęła oczy i podziękowała w duchu za to, że zostawili ją w spokoju. Oparła ręce o zlew i kilka razy głęboko odetchnęła, po czym znowu zabrała się do zmywania.

Mężczyznom nie można ufać, myślała. Już wcześniej nauczyła się tej bolesnej prawdy. Sam Dakota zwiódł ją swą troską o dziadka i ojcowskim podejściem do jej synów, jednak i on nie był lepszy niż inni.

I jeszcze ten pocałunek w stajni. Czy to za tym samolubnym jaskiniowcem tak tęskniła, czy to o niego się martwiła w ciągu tych trzech dni? Co za upokorzenie!

Posprzątała kuchnię i wyszła na zewnątrz, żeby dojść do siebie na świeżym, nocnym powietrzu. Niebo było już ciemne, nad jej głową zapalały się kolejne gwiazdy, lecz Molly daleka była od romantycznego nastroju. Powoli jednak mijał jej gniew, zaś jego miejsce zajmował chłodny, zdrowy rozsądek.

Czy Sam miał jakikolwiek powód, aby pracować na ranchu po śmierci dziadka? Nie było to przyjemne pytanie, a odpowiedź zdawała się jeszcze trudniejsza do zaakceptowania. Nie miał. To ona założyła, że mężczyzna chętnie tu zostanie, choć nie miała ku temu żadnych podstaw. Swoje pobożne życzenia wzięła za rzeczywistość.

Pod ścianą stajni znalazła motykę. Przeszła do sadu, licząc na to, że kilka minut intensywnej pracy pomoże jej zapomnieć na chwilę o kłopotach. Wbiła motykę w twardą ziemię i zaczęła karczować ją z dzikiego wina, które rozkrzewiło się wokół drzewek, zagłuszając niższe gałęzie.

To nieważne, mówiła sobie. W końcu nie pierwszy raz w swoim życiu źle oceniła sytuację, źle oceniła mężczyznę, którego los postawił jej na drodze. Niby czemu Sam Dakota miałby różnić się od Daniela czy innych znanych jej mężczyzn? Wszyscy byli tacy sami, wszyscy z wyjątkiem dziadka.

I pomyśleć, że pozwoliła sobie na naiwne marzenia.

I pomyśleć, że już zaczynała go lubić!

Łajdak! Zaprzyjaźnił się z jej dziećmi, choć przecież wiedział, że wkrótce odejdzie i wszystkich zostawi. Pozwolił jej uwierzyć, że mu zależy nie tylko na dziadku, ale też na ranczu i na jej synach. Russell Letson ostrzegał ją przed nim, lecz ona była głucha na przestrogi. Powinna była posłuchać. Powinna była...

- Mamo! Mamo! - w jej myśli wdarł się radosny głos Claya, który wypadł właśnie ze stajni i biegł teraz co sił ku matce, trzymając w ramionach jakieś niewielkie zawiniątko. - Popatrz! - krzyknął i wyciągnął przed siebie popiskującego, ślepego jeszcze szczeniaka.

- Skąd go masz? - zapytała niepewnie.

- Od Sama! - oznajmił triumfalnie Clay. - Pamiętasz, jak mówiłem ci, że Natasza urodziła szczeniaki? Sam powiedział, że mogę wybrać jednego dla siebie! O rany, mammo! Nigdy nie miałem psa, a teraz sam mogłem sobie wybrać! Sam mówi, że muszę go wyszkolić, zajmować się nim i w ogóle...

„Sam powiedział, Sam mówi...”

Molly czuła, że jeszcze chwila, a zrobi Bogu ducha winnemu dziecku dziką awanturę.

- Więc Sam dał ci szczeniaka? - zapytała, siląc się na spokój.

Clay skinął głową. Wyczuł niezadowolenie matki i patrzył teraz na nią, jakby spodziewał się, że za chwilę spotka go rozczarowanie. Przycisnął do piersi maleńkiego pieska i cofnął się o krok.

Molly odrzuciła na bok motykę i szybkim krokiem skierowała się do stajni. Chciała jak najszybciej rozmówić się z Samem.

- Poczekaj, mamó... - Clay zrównał z nią krok. - Co chcesz zrobić? Powiedz... Ja... ja jestem już duży, mogę się nim zająć, naprawdę.. Będę wszystko robił sam, obiecuję. Będę go karmił i czesał, i nauczę go pilnować stada...

Molly żał było syna, ale to nie łagodziło jej gniewu. Dlaczego ten człowiek we wszystko się wtrąca? Dlaczego ma czelność podejmować decyzje dotyczące jej dzieci, nie pytając jej nawet o pozwolenie? Najpierw Tom, teraz Clay... Obiecał przecież, że więcej tego nie zrobi! Czy zanim odejdzie, postanowił skomplikować im życie?

- Ostrzegałam cię, żebyś więcej tego nie robił! - warknęła, wchodząc energicznym krokiem do stajni.

- Czego? - zapytał Sam, cofając się na jej widok. -

- Powiedziała ci, że zanim zrobisz coś podobnego, skonsultuj się najpierw ze mną.

Popatrzył na nią zdumiony, potem zaś zaczął tłumaczyć spokojnym tonem:

- Posłuchaj, Molly, jeżeli chodzi ci o tego szczeniaka...

- A niby o co może mi chodzić!? To moje dzieci!

- Mamó, ja już jestem duży, naprawdę! - wtrącił się Clay płaczącym głosem. - Sam się nim zajmę, obiecuję.

- Tu nie chodzi o szczeniaka, sama dobrze o tym wiesz - powiedział cicho Sam, patrząc jej prosto w oczy. Miał rację, nie była w stanie zaprzeczyć. - Chodzi o ten telefon, który odebrał Walt,

prawda? O to, że pomyślałaś, że chcę odejść. Cholera - przetarł ręką spocone czoło - człowiek chciałby coś czasem włożyć do gęby.

- A nie mogłeś najpierw mnie zapytać, co zamierzam zrobić z ranczem? - wypaliła Molly.

- Mogłem. Ale nie spodziewałem się usłyszeć radosnych wieści.

- Mamo! - Clay złapał Molly za koszulę w desperackiej próbie zwrócenia na siebie uwagi.

- Już dobrze, synku - spojrzała na chłopca - możesz go zatrzymać. Chodziło mi o to, że...

Och, sama nie wiedziała, o co jej chodziło. Czują się okropnie. Nawrzeszczała na Sama, doprowadziła do łez własne dziecko. Powinna bardziej panować nad sobą. Postanowiła złagodzić jakoś atmosferę, nie zdążyła jednak nic powiedzieć, bowiem dziadek zawołał ją nagle z werandy, a zaraz potem przywołał Sama.

Pomyślała, że coś musiało się stać, i co sił w nogach pobiegła do domu.

- Muszę z wami porozmawiać - obwieścił dziadek, kiedy oboje dopadli do werandy.

- To chyba nie jest najlepszy moment - odparła - słabo wyglądasz, dziadziu.

- Wy nie lepiej - obruszył się staruszek i nie czekając, ruszył do kuchni. - Każdy moment jest dobry, żeby wam o tym powiedzieć.

- O czym?

- Wymyśliłem rozwiązanie - oświadczył, uśmiechając się szeroko.

- Jakie znowu rozwiązanie? - zapytał Sam niecierpliwie.

- Rozwiązanie, które zakończy wszystkie problemy. Problemy, które dotyczą was i które dotyczą rancza. - Znow się uśmiechnął, popatrzył z namysłem na wnuczkę, potem na zarządcę, wreszcie zachichotał radośnie i oznajmił: -Wyklóćacie się, moi drodzy, jak byście byli już po ślubie. Moim zdaniem najpierw powinniście się pobrać.

Scandalous

Rozdział siódmy

Pearl czuła zmęczenie. Miała za sobą długi, pracowity wieczór, a stali klienci okazali się bardziej wymagający niż zwykle. Trudno jej było wykrzesać z siebie entuzjazm do wykonywanej profesji, wszyscy jednak powtarzali jej, że jest dobra, jedna z najlepszych. Odkąd skończyła szesnaście lat, niemal co noc słyszała podobne słowa.

Nigdy nie miała szansy być zwyczajną dziewczyną. Wujek pozbawił ją dziewictwa, kiedy ledwie odrosła od ziemi i nie do końca rozumiała, co się z nią dzieje. Później zaś ofiarowywał ją hojnie swoim spragnionym łatwych uciech koleżkom.

Pearl szybko nauczyła się, na czym to polega, i umiała posługiwać się ciałem w taki sposób, aby zawsze dostać to, czego akurat chciała. Seks był w jej życiu wszystkim i służył do wszystkiego, także do wyrażania uczuć. Jej szczęście bądź smutek, ból albo gniew odzwierciedlał się w tym, w jaki sposób dogadzała temu czy innemu chętnemu.

Nigdy nie zamierzała zostać prostytutką, jednak umiejętność zaspokajania mężczyzn stanowiła jedyny jej talent. Na początku nawet ją to bawiło. Była młoda i na tyle ładna, żeby wzbudzać powszechne zainteresowanie. Kolacje w restauracjach, szampan lejący się strumieniami - wszystko to schlebiało jej i uderzało do głowy. Przynajmniej przez kilka godzin mogła oszukiwać się, że jest na randce z ukochanym. Kiedy udawała rozkosz, była nawet gotowa

uwierzyć, że naprawdę jest jej jak w niebie. Jęczała, wzdychała, wyginała ciało w łuk, a kiedy klient zrobił swoje, przytulała go i uśmiechała się do siebie z zadowoleniem. Choć jednak tylu mężczyzn poznało jej ciało, żaden nie dotarł do jej serca. Żaden z wyjątkiem Russella.

Z Russellem było inaczej. Od samego początku. Kiedy po raz pierwszy do niej przyszedł, wydawał się zdenerwowany i z lekka onieśmielony. O dziwo, wielu mężczyzn tak się czuło w towarzystwie prostytutek. Niektórzy przychodzili, gdyż mieli - jak mówili - „kłopot”, który tylko ona mogła rozwiązać. Już sam fakt, że przychodzili z „kłopotem”, wyjaśniał, dlaczego są spięci. Inni denerwowali się na myśl, że mogliby zostać przyłapani - ale to właśnie ten strach potęgował podobno ich rozkosz.

Pearl miała nad swoimi klientami pełną kontrolę. Kusila ich, prowokowała, drażniła, uwielbiała wzbudzać w nich niepewność i niepokój. Dopiero gdy gotowi byli podkulić ogon i uciec, zmieniała ton i spełniała ich najskrytsze marzenia. To właśnie ta gra podniecała ich najbardziej. To dla niej powracali wiernie do domu rozpusty. To za nią gotowi byli płacić dużo i regularnie.

Russell był pierwszym klientem, z którym wszystko niemal od początku wyglądało inaczej. Pearl" miała być jego prezentem urodzinowym, nagrodą za jakąś przysługę. Monroe dał jej wyraźne instrukcje, a ona miała uszczęśliwić cnotliwego prawnika przez całą noc, za co otrzymała wcześniej sowite wynagrodzenie. Oczywiście z

zadowoleniem przyjęła tę ofertę - jeden facet, a mogła zarobić jak przy pięciu.

Gdy stanął na progu jej domu, bardzo się zdziwiła. Oczekiwała kogoś, kto nie potrafi wzbudzić zainteresowania płci przeciwnej, tymczasem jej klient był na tyle przystojny, że mógłby zdobyć każdą kobietę, która wpadłaby mu w oko. Z pewnością nie potrzebował usług prostytutki - mógł spać z którą chciał i gdzie chciał. Przy tym wszystkim zdawał się sztywny i niepewny siebie, toteż Pearl zaproponowała, aby najpierw wypili po kieliszku wina. Nie musieli się spieszyć, skoro mieli całą noc dla siebie.

Russell pierwszy zaczął rozmowę. Rozmawiał z nią tak, jak gdyby była jego przyjaciółką, osobą, na której mu zależy, a nie zwykłą dziwką. Traktował ją z szacunkiem, zdradzał szczere zainteresowanie jej opiniami, jej losem. Szybko zorientowali się, że lubią te same filmy i słuchają tej samej muzyki - nowoorleańskiego jazzu. Ona, do której zadań należało rozluźnienie klienta i zapewnienie mu rozrywki, czuła się tak, jakby to on postawił sobie za cel zabawić ją i zrelaksować.

Wkrótce śmiała się i żartowała. Powierzyła mu największe tajemnice, jak przyjacielowi, którego znała od lat. Zachwycała się jego niepospolitą umiejętnością prowadzenia rozmowy i zgryźliwym poczuciem humoru. Russell tymczasem czuł się coraz swobodniej. Ściągnął buty, oparł nogi o stolik, rozluźnił krawat. Oznajmił, że nie jadł wcześniej kolacji i zaproponował, żeby zamówili pizzę. Po raz pierwszy klient zamówił posiłek do jej domu!

Kiedy jedli, znalazł w programie telewizyjnym jeden z ich ulubionych filmów i zapytał, czy może włączyć telewizor. Przytulili się potem do siebie na sofie niczym dwoje zakochanych nastolatków, a Pearl oparła głowę o jego ramię. Nigdy wcześniej nie zetknęła się z taką czułością. Nie miała okazji siedzieć obok mężczyzny i nie czuć jego rąk błądzących po piersiach, udach i pośladkach. Najdziwniejsze zaś w tym wszystkim było to, że za taką wspaniałą noc otrzymała więcej pieniędzy niż za obsłużenie tabunu uczestników kawalerskiego przyjęcia.

Prawdę mówiąc, żałowała, że skończyło się tylko na jednym pocałunku. Russell zrobił to tak delikatnie, z taką słodyczą, że później na samą myśl o tym łzy napływały jej do oczu. Mógł ją wziąć w każdej chwili, a jednak tego nie zrobił, choć z radością przyjęłaby jego ciało.

Gdyby opowiedziała komukolwiek, co zdarzyło się tamtej nocy - lub ściślej: co się nie zdarzyło - ludzie wyciągnęliby zapewne błędne wnioski. Jedni twierdziliby, że Russell to homoseksualista, inni że impotent. Wiedziała, że to nieprawda. W tych sprawach Pearl miała szósty zmysł. Russell Letson był prawdziwym mężczyzną, lecz przy tym -dżentelmenem.

Sweetgrass było małym miasteczkiem, więc jakiś czas potem wpadła na niego w supermarkecie. Robiła akurat zakupy, a kiedy go dojrzała, serce na chwilę zamarło w jej piersi, po czym zaczęło bić tak szybko, że zrozumiała, iż jest zakochana. Wiedziała oczywiście, że jako prostytutce nie wolno jej przywitać się z nim publicznie.

Wiedziała też, że dopuściła się czegoś, co w jej zawodzie było absolutnie niedopuszczalne - zakochała się w kliencie.

Unikając wzroku Russella, przeszła obok niego bez słowa. Było to trudniejsze niż się spodziewała. Kiedy zaś znalazła się na parkingu, wybuchłaby płaczem, gdyby tylko wolno jej było złamać kolejną zasadę - że dziwki nigdy nie płaczą.

Russell wyszedł za nią, dogonił ją i chciał rozmawiać. Tłumaczyła mu, że lepiej będzie, aby nikt nie widział ich razem, on jednak uparł się, że nic go to nie obchodzi. Chciał się z nią ponownie zobaczyć, mówił, że może zapłacić za jej usługi, jeśli taki będzie warunek. Prosił, błagał i przekonywał.

Pearl odmówiła. Po raz pierwszy w życiu odrzuciła klienta z pieniędzmi.

Jednakże Russell na tym nie poprzestał. Opowiedział jej o swoim domku nad jeziorem Giles, oddalonym o jakieś siedemdziesiąt kilometrów od miasteczka, i wyjaśnił, jak tam dotrzeć. Zapowiedział, że będzie na nią czekał w niedzielne popołudnie.

Nie umiała mu odmówić. Gdy w wyznaczonym terminie dotarła na miejsce, Russell wyszedł jej na spotkanie i uśmiechnął się tak, jak gdyby jej przyjazd znaczył dla niego więcej niż cokolwiek na świecie. Od tej pory każde niedzielne popołudnie spędzali razem i z każdym kolejnym spotkaniem poznawali się coraz lepiej.

W obecności Russella Pearl wreszcie mogła być sobą. Ba, dopiero teraz przekonała się, że dotychczas była kim innym. Tutaj, z dala od miasta i klientów, nie nosiła makijażu ani erotycznej bielizny.

Wiązała włosy w koński ogon, zakładała obcisłe dżinsy i luźny podkoszulek, a Russell mówił wtedy, że taka Pearl podoba mu się najbardziej.

Kiedy zniknęły między nimi wszelkie bariery, ośmieliła się wyznać mu swój największy sekret. Powiedziała Russellowi, że nigdy nie nauczyła się czytać i że w całym swoim życiu nie podpisała ani jednego czeku i nie przeczytała żadnej książki. Kiedy to z siebie wyrzuciła, wybuchnęła płaczem i ukryła twarz w dłoniach, lecz Russell - w przeciwieństwie do innych, którzy nazywali ją głupią - scałował łyzy z jej twarzy i obiecał, że wszystkiego sam ją nauczy.

Zanim zostali kochankami, upłynęło wiele czasu. Przez kilka pierwszych tygodni poprzestawali na pocałunkach i pieszczotach. Kiedy zaś po raz pierwszy poznali własne ciała, Pearl była zdumiona nie tylko czułością, ale i fantazją partnera - dotychczas myślała, że to ona wie wszystko o seksie.

No tak, ale to przecież dopiero teraz, dopiero z nim, po raz pierwszy kochała się, a nie uprawiała seks. Świadomość tego niezwykłego faktu wycisnęła łyzy na jej oczach. Gdy minęły spazmy rozkoszy, Pearl ukryła się w jego ramionach i zapłakała, a on płakał wraz z nią.

Nigdy nie rozmawiali o tym, co Pearl robi nocami. To był zakazany temat, podobnie jak przyszłość.

Czy to, co czuła do Russella, rzeczywiście było miłością? Pearl nie miała pojęcia. Wiedziała jedynie, że z nikim nie czuła się tak dobrze i za nikim tak bardzo nie tęskniła. Gdyby nie te niedzielne

spotkania, jej świat nic nie byłby wart. Dla Russella gotowa była do poświęceń. Uczyła się czytać, starała się mniej palić, nauczyła się gotować i co tydzień wypróbowywała nowe przepisy. Lubiła wtedy udawać przed sobą, że to właśnie jest jej prawdziwe życie - te kilka godzin, spędzone z dala od Sweetgrass - że wszystko inne to tylko zły sen, z którego w końcu zdoła się obudzić:

Całe szczęście, że już piątek, pomyślała, sięgając spod prysznicza po szlafrok. Jeszcze tylko jeden dzień, a potem znów zobaczy swojego Russella. Ledwie jednak zdążyła okryć ciało i przewiązać pasek, usłyszała, że ktoś otwiera drzwi z tyłu domu. Poczowała nagły przypływ adrenaliny i zeszywniała ze strachu. Tylko jedna osoba miała klucz i tylko jedna osoba mogła przyjść tak późno - człowiek, którego nienawidziła, Monroe, kuzyn Russella.

Ci dwaj mężczyźni różnili się we wszystkim. Russell był kulturalny, Monroe wciąż upokarzał ją swoim chamstwem; Russell był niewinny, Monroe trudnił się sutenerstwem - to on kontrolował kobiety takie jak ona w małych miasteczkach północno-zachodniej Montany. To on napędzał jej klientów, zaopatrywał ją w prezerwatywy i sam chętnie korzystał z jej ciała.

- Pearl? - wybełkotał, wchodząc do korytarza. - Gdzie jesteś, Pearl?

Zamknęła oczy i zadrżała. Monroe znów był pijany. Gdy przychodził do niej odurzony alkoholem, stawał się szczególnie brutalny. Wiązał ją do łóżka, bił, a siniaki goiły się potem całymi

tygodniami. Bywało jednak i tak, że łagodniał niespodziewanie i zachowywał się jak spragnione mamusinych pieścizot dziecko.

- Pearl! - zawołał znowu, niecierpliwy niczym mały chłopiec, który nie może znaleźć ulubionej zabawki. Pearl odetchnęła z ulgą. Z małym chłopcem mogła sobie poradzić - brutalny pijak ją przerażał.

- Tu jestem, kochanie - odparła, wczuwając się natychmiast w często odgrywaną rolę. - Czekam na ciebie...

Słyszała, jak sunie przez ciemny korytarz, potykając się po drodze o schody. Kiedy stanął w drzwiach sypialni, zmusiła się do uśmiechu.

- Chcesz, żeby mamusia cię pocieszyła? - zapytała ze współczuciem.

Pokiwał potulnie głową, rozpinając pasek u spodni.

- No to chodź. Całą noc na ciebie czekałam - wyrecytowała dobrze znaną kwestię, rozchylając poły szlafroka.

- Wiesz, ile dla mnie znaczysz, malutki. Chodź do mamusi, to cię pocieszy.

- O tak, Pearl. Po to przyszedłem. Pociesz mnie, pociesz...

Ponownie zdołała się uśmiechnąć, Monroe natomiast zrobił kilka kroków w jej stronę i zwalił się na nią, przygniatając ją swoim cielskiem. Pachniał alkoholem i papierosami. Ledwie zdążyła założyć mu prezerwatywę, a już zaczął wic się na niej i jęczeć.

Pearl odwróciła twarz.

Miała nadzieję, że nie potrwa to długo. Zamknęła oczy i zaczęła myśleć o dniu, kiedy uwolni się od niego i podobnych mu mężczyzn.

Walt uśmiechnął się na widok zaskoczonych min Molly i Sama. Gdyby nie mówił poważnie, wybuchnąłby gromkim śmiechem, że udało mu się powiedzieć tak dobry żart. On jednak wcale nie żartował. Pomysł, aby jego wnuczka wyszła za jego zarządcę wydawał mu się bardzo rozsądny. Dziwne, że przyszedł mu do głowy dopiero teraz.

- Posłuchaj, Walt... - Sam popatrzył na niego, jakby chciał dać do zrozumienia, że jego zdaniem starszemu panu szwankuje nie tylko serce. Oczy Molly miały błyskawice.

- Dobrze, dobrze - uspokoił ich ruchem ręki. - Zanim zaczniecie na mnie wrzeszczeć, usiądźmy sobie na werandzie, popatrzmy na słońeczko, wyrównajmy oddech...

Rozsiadł się wygodnie w swoim bujanym fotelu i czekał, aż któreś z nich zajmie miejsce obok niego, jednak ani Sam, ani Molly nie kwapili się do tego. Zachichotał cicho, widząc, że wciąż patrzą na niego z osłupieniem.

- Uważasz, że to zabawne? - spytał Sam grobowym głosem.

- Właśnie, dziadziu, nie rozumiem, co ciebie tak bawi.

- Wy, moi drodzy - westchnął Walt. Z zadowoleniem pomyślał o tym, że jego ukochana Molly patrzy pewnie teraz na niego z nieba i również nie może się nadziwić, co też strzeliło do głowy jej szalonemu mężowi. Gdyby mógł jej wytłumaczyć... Już niedługo wytłumaczy, czuł, że jego czas jest bliski. Żał było się rozstawać z Molly i jej synami, ale przecież nic na to nie mógł poradzić.

- Wybacz, dziadziu, ale chyba nie do końca zdajesz sobie sprawę z tego, co powiedziałeś - odezwała się nieco łagodniej Molly.

- Uważasz więc, że jestem stetryczalym starcem z postępującą demencją? - zapytał zadziornie. - Rozumiem, że moja propozycja jest... hm, dość niekonwencjonalna, ale pamiętaj, Molly, że musisz być realistką. Wkrótce mnie zabraknie, a wtedy...

- Nie mów tak! - przerwała mu natychmiast.

- Dlaczego nie?

- Ona ma rację - wtrącił się Sam. - Przykro mi, Walt, ale gadasz bzdury.

Walt wciąż czuł rozbawienie. Nie oczekiwał, że od razu zaakceptują jego pomysł. Gdy po raz pierwszy przyszedł mu do głowy, sam go odrzucił jako wprawdzie ciekawy, lecz całkowicie niewykonalny. Gdy jednak dłużej się nad tym zastanowił, dostrzegł pewne szanse jego realizacji, a przede wszystkim znaczące korzyści wynikające z tego rodzaju układu. Oby tylko młodzi zechcieli się z nim zgodzić.

- Mówmy konkretnie - odezwał się zadziwiająco mocnym głosem. - Przyjmiesz tamtą ofertę, Sam?

- Tę z innego rancza? Powiedziałem ci już. Dopóki mnie zechcesz, jestem do dyspozycji. Ale... - zawahał się, westchnął, po czym dokończył, nie patrząc na Molly: - ale nie bawię się w dobroczynność i nie oczekuję tego od innych.

- Dobrze. Musisz jednak wiedzieć, że Molly nie da sobie rady z tym ranczem - ciągnął Walt. - Chcę cię teraz zapytać, Sam, szczerze -

czy planujesz zostawić Molly i chłopców, jak tylko zakopiecie mnie w ziemi?

Sam milczał, jednak Walt wcale nie miał mu tego za złe.

- Nie potrzeba mi do szczęścia takiego zarządcy - oświadczyła dumnie Molly.

- Poczekaj, dziecko. Ta twoja duma wpędzi cię tylko w kłopoty - skomentował trzeźwo Walt. - Bez fachowej pomocy stracisz to ranczo w ciągu miesiąca. Naprawdę chcesz zaprzepaścić pracę czterech pokoleń Wheatonów? Czy twoja duma jest tego warta?

- Dobrze. Zdaję sobie sprawę, że będzie potrzebny mi zarządca, ale naprawdę obejdę się bez męża.

- Ja też nie szukam żony - parsknął Sam. Skrzyżował ręce i oparł się o balustradę, po czym wbił wzrok w świeżo wycyklinowaną drewnianą podłogę.

- A czy ja powiedziałem, że musicie szczebiotać do siebie, trzymać się za rączki i cmokać jedno drugie na powitanie? Nie proponuję wam prawdziwego małżeństwa.

- Jak to? - zapytali niemal jednocześnie.

- Zaraz to wam wyjaśnię...

Oczywiście domyślał się, że może nie zainteresować ich „prawdziwe małżeństwo”, więc przygotował argumenty na rzecz związku opartego na wspólnocie interesów. W skrytości ducha liczył wszakże, że to małżeństwo z rozsądku przerodzi się z czasem w szczerą miłość. Niby dlaczego miałyby być inaczej? Przez te kilka miesięcy Walt zdołał naprawdę polubić Sama. Chłopak był uczciwy,

pracowity, rozsądny i przystojny. Po co Molly miałyby tęsknić za innym?

- Mówisz o małżeństwie z rozsądku? - spytała z niedowierzaniem Molly. — Naprawdę myślisz, że w dzisiejszych czasach to możliwe?

- A dlaczego nie? Taki układ ma wiele plusów.

- Na pewno nie dla mnie - sprzeciwił się Sam. - Jeśli kiedykolwiek się ożenię, to na pewno nie z powodu rancza, spadku czy innych interesów. Nie wyobrażam sobie, żeby moja żona była tylko... partnerem, współnikiem. Ona musi dzielić ze mną wszystko - także łóżko.

Molly popatrzyła na niego niespokojnie, po czym oznajmiła stanowczo:

- W ogóle nie warto o tym dyskutować. Małżeństwo jest poza dyskusją.

- Boże, co za uparte osły - westchnął Walt. - Gdybyście oboje zechcieli mnie wysłuchać, porozmawiać, może przemówiłbym wam do rozumu. Ludzie powinni ze sobą rozmawiać, a nie od razu „nie ma dyskusji”. Po pierwsze, Sam, musisz zrozumieć gniew Molly. Ona troszczy się o przyszłość tego rancza, a jak wiemy, postanowiłeś zatrudnić się gdzie indziej. Już rozpocząłeś poszukiwania...

- Właśnie! - Molly wbiła w Sama oskarżycielskie spojrzenie.

- Dajcie spokój - zasepił się Sam - przecież wiecie, że nie zostawiłbym was na lodzie.

- Wiemy - odparł Walt - ale sam powiedz, czy czujesz się tu dobrze? Ja wiem, że nie. I rozumiem cię, chłopcze. Chciałbym to zmienić...

- A ja nie rozumiem, dlaczego akurat ślub z Molly miałby cokolwiek zmienić.

- Dlatego że miałbyś żywotny interes w utrzymaniu tego rancza.

- Sugerujesz, że teraz nie daję z siebie wszystkiego?

- Nie sugeruję. Wiem, że ciężko harujesz. I właśnie dlatego jestem gotów złożyć ci taką ofertę.

- Jaką ofertę? - oburzyła się Molly. - Co chcesz przez to powiedzieć, dziadziu? Czy to ja mam być może tą ofertą? Nie jestem świniakiem ani krową!

Walt uśmiechnął się ugodowo. Lubił we wnuczce to, że nie owija słów w bawełnę. Jego własna Molly również była bezpośrednia, choć może w nieco bardziej subtelny sposób. W każdym razie stać go było na wyrozumiałość względem tej dziewczyny, która już raz się sparzyła i przeżyła bolesny rozwód. Ale czy z powodu jednej błędnej decyzji ma pokutować przez resztę życia?

Tak, musi przekonać ją do tego małżeństwa, zabezpieczyć jej przyszłość. Teraz Molly nie chce o tym słyszeć, ale z czasem na pewno nie będzie żałować. Zbyt wiele w życiu widział, by się pomylić w ocenie Sama Dakoty. To porządny chłop, odpowiedni kandydat i na ranczera, i na męża, i wreszcie na ojca jej dzieci. Tych, które już ma, i tych, które mu urodzi.

- Przepraszam, Molly - odezwał się cicho - wiem, że twoje zdanie jest ważne, może najważniejsze. Po prostu... czułbym się lepiej, gdybym zostawił cię z kimś, komu ufam.

- Mówiłam ci już, dziadziu, że nie potrzebuję opieki. Jestem dorosła, dałam sobie radę sama przez tyle lat, więc i teraz obejdę się bez męża.

- Wiem, myślałem jednak...

- Proszę cię, dziadziu, daj spokój. Jesteś zmęczony, chory.

Odpocznij...

- Odpocznę w grobie, Molly - spojrzał na nią z irytacją. - Daj mi powiedzieć, zamiast bez przerwy mi przerywać. Może mówię wolno, ale z sensem. Zechciej tylko posłuchać.

- Dobrze - westchnęła - załóżmy, że zgodzimy się teraz na ten nedorzeczny pomysł. Czy pomyślałeś o tym, co powstrzyma Sama od odejścia, nawet po zawarciu małżeństwa, jeśli ty pożegnasz się z tym światem?

- Jeśli dostanie coś w zamian, nie odejdzie - odparł Walt i spojrzał na zarządcę.

- Niby co? - bąknął Sam, zły, że rozmowa toczy się obok niego.

- Pięćset akrów ziemi i pięćdziesiąt sztuk bydła. Molly jęknęła, a jej twarz przybrała złowrogi wyraz.

- Chcesz mu dać ziemię i bydło, byle tylko się ze mną ożenił? - zapytała z niedowierzaniem. - Nie potrzebuję takiej łaski! Jeśli to ma być posag, to wiedz, dziadziu, że w dzisiejszych czasach się tego nie praktykuje.

- Żaden posag i żadna łaska - przerwał jej gniewnie. - Daję Samowi to, na co zapracował, i to, czego zawsze pragnął. Taka jest prawda, prosta i jasna. Wiem, że mężczyzna taki jak on da się zabić za ziemię i bydło.

- Da się zabić - parsknęła Molly i popatrzyła kpiąco na Sama. - Może i tak. Taki... kowboj gdzieś ma żonę i dzieci. Liczy się tylko bydło.

- Ktoś ci wyrządził krzywdę, Molly - odpowiedział spokojnie Sam - że masz tak złą opinię o mężczyznach. Nie rozgniewałaś mnie, jeśli taki miałaś zamiar. Raczej mi cię żal.

Walt znał ten ton i to spojrzenie. Na twarzy Sama nie malowały się żadne emocje, lecz on dobrze wiedział, że zarządca aż gotuje się w środku z wściekłości.

Cóż, Molly nie знаła Sama tak dobrze, jak on. Nie wiedziała, że powiedzenie „cicha woda brzegi rwie” pasuje do niego jak ulał. Nie wiedziała też, że ten skryty człowiek o nieznannej przeszłości opiekował się nim jak ojcem, że choć wielokrotnie miał okazję okraść swego pracodawcę lub go oszukać, to nigdy tego nie zrobił, że pracował ciężiej niż pracowałby ktokolwiek za te pieniądze, i że wreszcie miał dobre serce.

Mówiąc krótko, Sam Dakota był dobrym człowiekiem. Gdyby to właśnie on poślubił Molly, Walt byłby spokojny o przyszłość wnuczki, wnuków i rancza.

- Cóż, moi drodzy, od was zależy, czy się pobierzecie i co uczynicie z tego małżeństwa - powiedział. Poczuł nagle słabość, więc

przymknął oczy. Do licha, chyba naprawdę musi zbierać się z tego świata. Ostatnio coraz częściej zapadał w tę czarną otchłań, z której jakoś tam udawało mu się jeszcze wypływać. Jeszcze się udawało...

Czy dożyje dnia, w którym młodzi dojdą w końcu do porozumienia? Molly na pewno będzie walczyć do upadłego, podobnie jak Sam. Mógłby jednak postawić cały swój roczny dochód, że jeśli tylko zgodzą się na proponowany im układ, nie upłynie miesiąc, może dwa, a tych dwoje zakocha się w sobie.

Najbardziej żałował tego, że nie ujrzy ich dzieci i nie przyciśnie ich do serca...

- Walt? - Ton głosu Sama sprawił, że starzec szybko otworzył oczy.

- Jesteś zmęczony - powiedziała cicho Molly, a jej głos był tak łudząco podobny do głosu jego żony, że przez chwilę Walt nie był pewien, czy nie trafił już na łono Abrahama.

- Zaprowadźmy go do środka - usłyszał.

- Tak, do sypialni...

Chwilę później poczuł, jak prowadzą go do pokoju.

- Jazda stąd - odezwał się resztką sił, kiedy usadzili go na łóżku.

- Sam umiem się rozebrać. Wy idźcie porozmawiać.

Popatrzył w oczy Molly. Czuł, że to ją będzie trudniej przekonać.

- Przemów jej do rozsądku, chłopcze - przeniósł wzrok na Sama.

- Chyba obaj powariowaliście! - zirytowała się Molly. - W takim momencie... Wyjaśnijmy to sobie od razu, panie Dakota. Nie wyjdę za pana! Byłabym idiotką, gdybym zgodziła się na coś tak.

- Idiotycznego - podsunął jej Sam.

- Właśnie, idiotycznego. Jeśli pomyślę, że coś takiego zaproponował mi mój dziadek...

- Może jednak pozwólmy dziadkowi odpocząć - przerwał jej Sam i chwycił za łokieć, by wyprowadzić z sypialni.

Walt uśmiechnął się do siebie. Trzeba było niezwykłego człowieka - silnego, uczciwego i upartego - aby poradził sobie z jego wnuczką. Na szczęście Sam Dakota posiadał wszystkie te cechy.

- Chcę, żebyś z góry wiedział, że nic nie zmieni mojej decyzji - oznajmiła Molly, gdy tylko wyszli za próg.

- Nie powiedziałem jeszcze, że interesuje mnie ślub - odparł Sam.

- Nie musisz mówić. - Molly wmaszerowała do kuchni, chwyciła czajnik i podstawiła go pod kran z wodą. - Wystarczy, że ja nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż.

- W porządku, rozumiem. - Sam nie był w nastroju do kłótni. Rozumiał zdumienie Molly, choć nie podzielał jej oburzenia. On sam zdobył się na zdrowy rozsądek, o który prosił Walt, i był gotów przyznać, że przemawia do niego perspektywa posiadania pięciuset akrów ziemi i pięćdziesięciu sztuk bydła. Byłby skończonym kłamcą, gdyby temu zaprzeczył.

Jeżeli jednak pragnąłby się ożenić, zrobiłby to już dawno. Jego małżeństwo zaś - co wyraźnie, powiedział Waltowi - byłoby zaś prawdziwą wspólnotą, nie zaś jedynie wspólnotą interesów.

Owszem, czuł pokusę, by odstąpić od swych zasad. Zienia i bydlę to było coś. Na szczęście druga strona - czyli Molly - nie dawała żadnych szans na realizację dziwaczego planu starego Walta.

Chcąc uniknąć niepotrzebnej dyskusji z jego wnuczką, Sam wyszedł na dwór i skierował się do stajni. W połowie drogi natknął się na Toma, który wyszedł mu na powitanie wraz z Borisem, potężnym wilczurem, ojcem potomstwa Nataszy. Tom zahaczył kciukami o pasek dżinsów, podszedł rozkołysanym krokiem do Sama i zapytał spod ronda swojego nasuniętego zawadiacko na głowę stetsona:

- Co wam powiedział dziadek?

- Miał pewien pomysł.

- Na co?

Sam uśmiechnął się do siebie.

- Zapytaj mamę - odparł.

- Mama mi nie powie. Myślałem, że ty to zrobisz.

- A dlaczego tak myślałeś?

- Bo ty o wszystkim mówisz wprost.

Sam stanął tuż obok chłopca i oparł mu dłoń na ramieniu.

Spojrzał na ciągnącą się po horyzont ziemię i westchnął ciężko. Stary miał rację - bez fachowej pomocy, bez kogoś takiego jak on, z tego rancza nic nie będzie.

W oddali krzyknął kojot. Tom poruszył się niecierpliwie, zaniepokojony przedłużającym się milczeniem.

- Pewnie jakaś parszywa sprawa, co? - zagadnął. Sam parsknął śmiechem.

- „Parszywa sprawa”? Chyba oglądasz za dużo telewizji, synu.

- Bo co? - nastroszył się Tom, a uśmiech momentalnie zniknął z jego twarzy. Sam zrozumiał, że uraził chłopca i zrobiło mu się głupio. Tom chciał pogadać z nim jak mężczyzna z mężczyzną, a on potraktował go jak dzieciaka.

- Wybacz, Tom - poklepał go po ramieniu - jestem padnięty i nie bardzo chce mi się tłumaczyć. Tak czasem bywa. Wracaj do domu, bo już późno. Zobaczymy się rano, to pogadamy, zgoda?

- Zgoda - odparł udobruchany chłopiec i posłusznie ruszył w stronę werandy.

- A swoją drogą - Sam zatrzymał go na chwilę - to byłbym dumny, gdybym mógł nazywać cię swoim synem.

Na werandzie zapaliło się światło i Tom nie zdążył odpowiedzieć. Molly zawołała go domu, on zaś pomachał tylko ręką na pożegnanie i zniknął z oczu Sama. Molly stała jeszcze chwilę, patrząc na skrytą w mroku sylwetkę zarządcy, wreszcie i ona zamknęła drzwi.

Molly Cogan. Ładna kobieta, piękna. I uparta jak cholera. Nie mniej niż on. Mimo to na pewno ponownie wyjdzie za mąż. Szybko znajdzie się jakiś chętny, który oczaruje ją swoim wdziękiem. Może

Letson? Cóż, nie sposób zaprzeczyć, że z Russella Letsona byłby dla niej lepszy mąż niż z Sama Dakoty.

Molly nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, wierciła, odkrywała i przykrywała na przemian - wszystko na nic. W końcu westchnęła zrezygnowana, włączyła stojącą przy łóżku lampkę i zmrużyła oczy, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do jasności. Zerknęła na zegarek zamontowany w radiu - trzecia w nocy, męczy się tak już od czterech godzin. Czy naprawdę warto tak bardzo się przejmować kolejnym szalonym pomysłem dziadka?

Nie robi tego. Nie robi i już. Małżeństwo nie może być transakcją. Najgorsze było to, że Sam nie wydawał się już temu taki przeciwny, odkąd dziadek powiedział mu o ziemi i bydłe. Wciąż podrzucało ją ze złości na wspomnienie wyrazu jego twarzy, kiedy usłyszał, jaka jest cena za zgodę pozostania na ranczo i wsparcia Molly w jej próbach utrzymania rodzinnego dziedzictwa.

Niestety, dziadek miał powody, żeby się o nią martwić. Gdyby nawet Sam pozostał w Sweetgrass po jego śmierci, nie było żadnej gwarancji, że nie odejdzie, gdy tylko otrzyma korzystniejszą propozycję z konkurencyjnego gospodarstwa. Wtedy zaś Molly musiałaby się sama uczyć wszystkiego. Co by na przykład zrobiła, gdyby ktoś znów zniszczył ogrodzenie, a stado poszłoby w szkodę?

Cóż, przykro było myśleć o tym, co będzie, kiedy dziadka zabraknie, ale przecież nie sposób uciec od prawdy. Prawda zaś była taka, że dziadek umierał. Z każdym dniem czuł się coraz słabiej, kurczył się w sobie, tracił pamięć. Już dwukrotnie zdarzyło mu się

pomylić wnuczkę ze swoją nieżyjącą żoną. Wyglądał tak, jakby wycofywał się krok po kroku z tego świata, a swoje myśli, westchnienia i tęsknoty przenosił w inny. Starał się bardzo, to prawda, nie mógł jednak ukryć swojego stanu. Najbardziej zaś chyba dręczył się niepewnym losem wnuczki i swych prawnuków. Tak bardzo chciał zabezpieczyć ich przyszłość, że przychodziły mu do głowy najbardziej niedorzeczne pomysły - jak ten, by wyszła za Sama Dakotę.

Och, nie, przecież musi istnieć inne rozwiązanie. Nowy zarządca? Tak, zaraz po śniadaniu zadzwoni do miejscowej gazety i poprosi o wydrukowanie oferty pracy dla zarządcy Rancza Złamana Strzała. Oczywiście najpierw przedyskutuje to z dziadkiem. Powinien pochwalić jej inicjatywę. Oto wnuczka w końcu weźmie sprawy w swoje ręce.

Po podjęciu tej decyzji Molly przewróciła się na bok i zgasiła lampę. Nie miała pojęcia, o której godzinie zapadła w sen. Obudziły ją dopiero poranne hałasy dobiegające z kuchni. Usiadła na łóżku, przetarła zaspane oczy, po czym sięgnęła po szlafrok i zbiegła na dół po schodach.

Dziadek siedział już przy stole, a Tom i Clay przygotowywali dla niego śniadanie. Na stole porozrzucone były płatki, obok pustej miseczki widniała spora kałuża mleka.

Molly ziewnęła przeraźliwie.

- Już wstaliście? Dopiero szósta - odezwała się, zerknąwszy na kuchenny zegar.

- Tak, musieliśmy omówić pewną sprawę. Uważamy, że powinnaś się zgodzić, mamó - odpowiedział jej Tom.

Molly zmarszczyła czoło. Bała się zapytać, co też jej syn ma na myśli, mogła się jednak tego domyślać. Czyżby dziadek powiedział chłopcom o jej potencjalnym ślubie z Samem? Jak mógł to zrobić?

- Na co powinnam się zgodzić? - zapytała na wszelki wypadek, a jej spojrzenie przeniosło się na dziadka.

- Na to, żeby nauczyć się jeździć konno - odparł Clay. - Sam ci wszystko pokaże.

- Ja też mogę - dodał Tom z niezachwianą pewnością w głosie.

- Jeździć konno? - spytała, starając się, by ulga w jej głosie nie była zbyt wyraźna. - Hm, niezły pomysł. Jeśli zaś chodzi o Sama...

Nie zdążyła dokończyć, bowiem dokładnie w połowie zdania drzwi od kuchni otworzyły się nagle i na progu stanął Sam Dakota. Jego spojrzenie natychmiast powędrowało ku Molly, która odruchowo otuliła się szlafrokiem i poprawiła wiązanie paska.

- Dzień dobry, Sam - powitał go Tom.

- Dzień dobry. - Sam zdjął kapelusz i położył go ostrożnie na blacie. - Słuchajcie, trzeba zrobić zakupy, Mam listę, ale nie wiem, kiedy zdołam pojechać do miasteczka.

- Ja pojedę - zaproponowała Molly, zanim zdążył ją o to poprosić.

Skinął głową z uśmiechem i wręczył jej zapisaną niestarannym pismem kartkę. Zmrużyła oczy, próbując odczytać kolejne słowa, a

wówczas on wyjął ją z jej rąk i zaczął po kolei objaśniać, co powinna kupić, poprawiając jednocześnie pismo na bardziej czytelne.

Kiedy skończył, Molly zorientowała się, że zostali sami. Dziadek i chłopcy wyszli, ona jednak była tak przejęta listą zakupów, że nie zwróciła na to uwagi. Cóż, w końcu nie codziennie kupowała dotychczas takie rzeczy, jak smar do łożysk, gwoździe czy witaminizowane dodatki dla krów.

- Dobrze spałaś? - zapytał Sam.

- Jak niemowlę - skłamała i odrzuciła włosy z twarzy. Nie chciała, żeby dowiedział się, jak niespokojna była ta noc i jak intensywnie myślała o złożonej przez dziadka propozycji.

- Gratulacje - odparł, lecz z jego wąpiącego uśmiechu wywnioskowała, że z pewnością jej nie uwierzył.

- No dobrze. Do trzeciej nie zmrużyłam oka - przyznała. - A ty?

- Nie miałem kłopotów z zaśnięciem. Za to obudziłem się wcześniej niż zwykle.

- Ja zasnęłam.

- Widzę. — Obrzucił spojrzeniem jej szlafrok oraz bosc stopy.

Molly odwróciła się, by nalać sobie kawy. Drugi kubek podała jemu. Już po pierwszym łyku Sam skrzywił się z obrzydzeniem.

- Domyślam się, że nie ty to parzyłaś?

- To Tom - uśmiechnęła się. - Nie wiedział, że zamiast pięciu łyżek wystarczy jedna.

- Chciał dobrze - dodał Sam i już bez mrugnięcia okiem wychylił kubek do końca.

Molly znów uśmiechnęła się lekko. Sam lubił chłopców, a oni jego. Był dla nich wyrozumiały, lecz zarazem umiał stawiać wymagania. Gdyby tylko nie był taki...

No właśnie, jaki? Co jej w nim przeszkadzało?

I dlaczego się go bała?

Musiał odgadnąć jej myśli, bowiem odstawił kubek na stół, przysunął się do niej bliżej i powiedział:

- Nie bój się mnie, Molly. Niezależnie od tego, jak się to wszystko skończy, nie bój się...

Wstrzymała oddech. Widziała, że patrzy na jej usta i domyślała się, czego pragnie. Przypomniała sobie tamten pocałunek, kiedy objął ją w stajni i pocałował z zaskoczenia, i zdała sobie sprawę, że chce, by Sam znów to zrobił, by zdecydował za nią, by wziął ją w ramiona i przycisnął usta do jej ust.

Wszystko dlatego, że pozwoliłam podejść mu tak blisko, powiedziała do siebie w duchu i poruszyła się, by odejść. Jednak on przytrzymał ją lekko, a ten ledwie zauważalny gest wystarczył, by pozostała w miejscu.

- Poczekaj, porozmawiajmy...

- O czym? - zapytała i szybko spuściła wzrok.

- O nas.

- Tej nocy wiele myślałam - westchnęła. - Chcę być z tobą szczerą, Sam. Mimo wszystko należy ci się to. Myślę.

- Tak?

- Myślę, że nam nie wyjdzie. Pomysł dziadka jest... Zawahała się i to wystarczyło. Sam przysunął się jeszcze

bliżej, po czym nachylił ostrożnie głowę i po chwili poczuła na wargach jego gorące usta.

Czekała na to. Pragnęła tego. Była zaskoczona, że jej ciało reaguje tak szybko, tak ochoczo. Sam całował ją spokojnie, niespiesznie, delikatnie pieścił jej usta językiem, a ona nawet nie próbowała mu przeszkodzić.

Nie wiedziała, które z nich jęknęło pierwsze. Ona zarzuciła mu ramiona na szyję, on objął ją w talii i przycisnął mocniej do siebie. Molly poczuła rozkosz płynącą w żyłach, słodycz w sercu, słabość w nogach. Rozsądek podpowiadał jej, żeby natychmiast przestała, lecz zmysły nie chciały słuchać głosu rozsądku. Poddawała się tej cudownej pieszczocie jakby bezwiednie, niesiona jakimś silniejszym od jej woli porywem. Pragnęła, by pocałunek wciąż trwał, trwał bez końca...

I nie wiadomo, co jeszcze by się zdarzyło, gdyby nie wyrwał ich z tego błogostanu hałas, który dobiegł nagle z salonu.

Molly i Sam odskoczyli od siebie niczym para przyłapanych na gorącym uczynku nastolatków. Dopiero po chwili uświadomili sobie, że to dziadek włączył radio, jak zwykle głośniejsze niż trzeba.

Sam popatrzył na nią speszony.

- W porządku? - zapytał z niepokojem.

Nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa, więc skinęła tylko głową.

- To dobrze... - Nachylił się nad nią, poczuła na szyi jego gorący oddech. - To dobrze - powtórzył - że już to ustaliliśmy.

- Co?

- Potem, Molly. Teraz muszę wracać do Pete'a i Charliego.

- Sam! - zdążyła zawołać, zanim zniknął za drzwiami.

- Tak? - zapytał od progu.

- Co ustaliliśmy?

Włożył kapelusz na głowę i popatrzył na nią intensywnym spojrzeniem swych niepokojąco ciemnych oczu.

- Przecież wiesz - odpowiedział.

Rozdział ósmy

- Bingo! - wrzasnął Clay, po czym skoczył na równe nogi i odtańczył triumfalny taniec wokół salonu.

- Pośpiesz się i zadzwoń, zanim ktoś zgłosi się po twoje trzynaście dolarów - poradził mu rozsądnie Walt i wskazał na telefon.

Radiowe bingo było jedną z niewielu rozrywek, które wciąż sprawiały mu przyjemność. Molly zgodziła się zbierać kupony do gry od kupców w mieście i każdego dnia o ósmej rano oraz pół godziny przed południem Walt słuchał, jak spiker odczytuje kolejne numery. Główna nagroda wynosiła trzysta osiemdziesiąt pięć dolarów, ale by je wygrać, należało odgadnąć pierwsze pięć numerów. Kilka razy mu się prawie udało. Prawie.

- Zajęte - powiedział niezadowolony Clay ze słuchawką przy uchu.

- A co, myślałeś, że to takie łatwe? Ktoś cię uprzedził, chłopcze. Nie martw się, jeszcze wygrasz. Następnym razem będziesz szybszy.

Kolejna lekcja w życiu Claya, pomyślał. Działać szybko i niczego nie odkładać na później. Od czasu do czasu podejmować ryzyko, ale nie uzależniać się od niego. Być cierpliwym, lecz nie czekać bez końca. Do licha, wszystkie te nauki powinna przyswoić sobie, także Molly!

- Ale przecież miałem bingo - upierał się Clay. - Powiniennem móc odebrać nagrodę.

- Powinienem... - powtórzył za nim Walt. - Nie wystarczy mieć prawidłowe numery, trzeba zadzwonić jako pierwszy. Liczy się szczęście i refleks. Tłumaczyłem ci to przecież. Ktoś inny też miał bingo, ale zadzwonił przed tobą.

- O co te krzyki? - W salonie pojawiła się Molly z naręczem brudnych koszul przeznaczonych do prania.

- Miałem bingo, ale za późno zadzwoniłem! - Clay poskarżył się matce.

- I właśnie to jest takie straszne?

- A nie?

- Nie rozpaczaj, to nie potop - uspokoił chłopca Walt. - Ja już od trzech tygodni nie trafiłem z numerami ani razu. Chcesz moje kupony? Mam jeszcze trochę. - Wskazał na kopertę po karcie świątecznej leżącą na rogu stołu. Zazwyczaj trzymał kupony na swoim biurku, lecz obecnie zavalone było ono rachunkami i fakturami. Cholera, utrapienie z tymi papierami, pomyślał. Sam nie ma czasu na całą tę buchalterie.

Na szczęście ostatnio zaczęła pomagać mu Molly. Co wieczór zagłębiała się w księgi podatkowe i pliki rachunków, uznała bowiem, że skoro ma odziedziczyć ranczo, to powinna poznać stan jego finansów. Święta racja, tylko że owe finanse znajdowały się w wyjątkowo kiepskim stanie. Ceny bydła wciąż spadały, a działa się tak od lat. Walt z trudem wiązał koniec z końcem, płacenie rachunków jedynie go przygnębiało, więc starał się tego unikać. Kiedy zaś Molly

pytała go czasem o to czy owo, denerwował się tylko, bo rzadko która odpowiedź mogła poprawić jej humor.

- Wyprzedaż bydła ze stada Millera odbędzie się w piątek, sobotę oraz w niedzielę na ulicy Orzechowej 204, między ósmą a piątą... - odezwał się spiker w radiu.

- Millerowie reklamują wyprzedaż w radio? - zapytała za zdumieniem Molly.

Walt wyciągnął rękę i szybko wyłączył odbiornik.

- Robią to codziennie - wyjaśnił. - Trudno im znaleźć kupca.

- Nie ma chętnych?

- Są, ale wiedzą, że Millerowie i tak muszą pozbyć się stada.

Czekają, aż spuszczą z ceny.

- Pamiętam Millerów - wyznała Molly po chwili zadumy.

- Nic dziwnego, są tu niemal tak długo, jak my - odparł Walt i ze smutkiem pokręcił głową. - Sprzedali już ziemię, a teraz wyzbywają się bydła.

Bolało go to, że Brady Miller poddał się naciskom z zewnątrz. Brady twierdził, że sprzedał ziemię z powodu kłopotów finansowych, mówił, że interes nie przynosił zysku, ale Walt był przekonany, że maczali w tym ręce ci fanatycy od Lojalistów. Lojaliści chcieli także jego ziemi, ale on, póki żyje, nie zamierzał jej im sprzedać.

- Wiesz, mamó, dopóki nie przeprowadziliśmy się do Montany, nie wiedziałem, że istnieją stacje radiowe, które w ogóle nie grają muzyki - włączył się do rozmowy Clay. - Straszna nuda. Zobaczcie,

nawet mój pies usnął. - Wskazał na szczeniaka, który drzemał smacznie, wyciągnięty na miękkim fotelu.

Walt uśmiechnął się z zadowoleniem. Podarowanie psa było starym, dobrym, sprawdzonym sposobem na nauczenie chłopca troski i odpowiedzialności. Tak on wychowywał Adama. Będzie musiał powiedzieć Clayowi, jak uczyć szczeniaka służby, żeby pies w przyszłości mógł zarobić na swoje utrzymanie.

- To małomiasteczkowa rozgłośnia - wyjaśniła synowi Molly.

- Wiem - odparł - tylko czy oni muszą ciągle gadać? Bingo jest fajne, ale potem znów plotą o cenach lucerny, pszenicy, drewna... Ile można? I dlaczego nie ma żadnego rapu albo grunge'a?

- Grają muzykę nocą, przez dwie godziny - Walt wziął w obronę miejscowe zwyczaje. - To dobre dla dzieciaków.

- No właśnie! - roześmiał się Clay.

- No właśnie - powtórzył Walt i potargał małego po czuprynie.

To, czego słuchali wnukowie, nie było w jego opinii muzyką. Pewnego wieczoru, kiedy Tom słuchał którejś ze swoich płyt, Walt miał okazję przekonać się, co to za dziwo. Żadnej melodii, dziki rytm, zaś jęki, które miały być śpiewaniem, bardziej przypominały ryczenie chorych cieląt. Nie mógł słuchać tego jazgotu, więc wepchnął sobie w uszy papierowe chusteczki, na co i Molly, i Tom zareagowali śmiechem. Nie rozumieli, że człowiek musi dbać o słuch?

- Podobno wybierasz się do miasta - zagadnął wnuczkę. - Nie kupiłabyś mi żyletek?

- Kupię - obiecała, a on podziękował jej uśmiechem i podrapał się po nieogolonym policzku. Jego żona prosiła go zawsze, żeby nie zapomniał się ogolić, więc weszło mu to w nawyk. Niejedno zresztą robił, byle uszczęśliwić swoją ukochaną Molly. Teraz trudno mu było zrezygnować z nabytych przyzwyczajzeń.

Ech, młodzi nie, zawsze są gotowi zrozumieć, że życie wymaga czasem poświęceń. Gdyby Sam i Molly to pojęli, może łatwiej by im było przystać na małżeństwo z rozsądku. Martwił się o nich. Minął już tydzień, odkąd zaproponował im, żeby się pobrali, a rezultatów jak nie było, tak nie ma.

Oczywiście, oboje ciężko pracowali, więc nie mieli czasu na rozmyślenia. On jednak za dużo lat przeżył, by się nie domyślać, że nie o pracę tu chodzi przede wszystkim -i Sam, i Molly starali się po prostu wzajemnie unikać. Sam rzadko pojawiał się na kolacji, odgrzewał swoją porcję i zjadał samotnie na werandzie. Zdarzało się, że pojawiał się w domu dobrze po zapadnięciu zmroku, wtedy zaś dziwnym trafem znikła Molly.

- Śpisz, dziadziu? - zapytał cichutko Clay.

- Tylko pozwalam odpocząć oczom, chłopcze.

Do licha, te jego popołudniowe drzemki zaczynały się coraz wcześniej i trwały coraz dłużej. Jeśli Walt nie przespał się co dwie, trzy godziny, czuł takie zmęczenie, że nie był w stanie utrzymać otwartych oczu. Podobno lekarz powiedział, że trzeba by znowu zbadać jego serce. Bzdura. Szkoda czasu i pieniędzy na takie fanaberie. Ceny leków były wysokie, a Walt nie uznawał żadnych

zniżek. Miał swoje zasady - albo go stać, albo obejdzie się smakiem. To prawda, pozwolił, aby opieka społeczna zapłaciła za jego rozrusznik, ale i na to nie powinien się zgodzić. Jak się ma swoje lata, to człowiek zaczyna się sypać i nie ma co robić z tego tragedii. Nie zamienisz starego woła w skaczącego byczka.

- Wiesz, dziadziu, że Sam idzie z nami na paradę z okazji Czwartego Lipca? - Clay usiadł na otomanie wraz ze szczeniakiem i pogłaskał Walta po dłoni.

- Tak? To dobrze. Mama też?

- No pewnie.

Może wreszcie Sam i Molly spędzą trochę czasu razem, pomyślał. On nigdy nie przepadał za paradami, a jak zna Sama, to i on nie jest ich entuzjastą. Za to jego Molly zawsze świetnie się na nich bawiła i tylko dlatego na nie chodził.

- Skąd wiesz, że Sam z nami pójdzie? - spytała Molly syna, najwyraźniej zaskoczona tą nowiną.

- Bo nam obiecał - odparł Clay - a on zawsze dotrzymuje słowa.

Walt otworzył jedno oko i zerknął ukradkiem na wnuczkę. Była speszona, jakby słowa te zbiły ją z tropu. To dobrze. Jeśli już się nie wścieka, lecz zaczyna peszyć, to znak, że sprawy idą w dobrym kierunku.

Molly nigdy nie prała równie brudnych ubrań. Dzinsy jej synów były oblepione błotem i smarem, a koszule pachniały końską sierścią. Wiedziała, że to od uganiania się po ranczu. Tom spędzał większość czasu u boku Sama, Clay zaś zabierał się z nimi wszędzie tam, gdzie

było mu wolno. Co więcej, obaj chłopcy usiłowali mówić i poruszać się tak jak Sam i bez przerwy relacjonowali jego opinie. „Sam powiedział to, Sam zrobił tamto...” - podobne słowa słyszała niemal codziennie. Prawdę mówiąc, nieraz miała ochotę zatkać uszy albo wrzasnąć do któregoś z chłopców, by wreszcie się zamknął.

Pralka wypluła z siebie kolejną porcję brudnej wody, co oznaczało, że trzeba będzie zrobić jeszcze jedno płukanie. Ile razy trzeba by płukać głowy Toma i Claya, by wreszcie wyprać z nich wspomnienie Sama Dakoty?

A ona? Czy jej myśli były wolne od tego człowieka? Ach, gdyby mogło tak się stać... Tymczasem im bardziej starała się o nim nie myśleć, tym natrętniej pojawiał się w jej wspomnieniach i wyobrażeniach. Co sobie wyobrażała? Hm, kolejne pocałunki, niestety...

„Cieszę się, że to ustaliliśmy” - powiedział do niej tydzień temu, a kiedy zapytała, co zostało ustalone, odparł: „Przecież wiesz.” Czy rzeczywiście wiedziała?

Jedyne, co wiedziała na pewno, to że nie wygasły w niej seksualne pragnienia. Owszem, nigdy nie przestała o sobie myśleć jak o normalnej kobiecie, która ma swoje potrzeby, jednak jej zmysły pozostawały długi czas w pewnym uśpieniu. Sam rozbudził je na nowo, lecz ona wcale nie była pewna, czy jest z tego powodu szczęśliwa. Czowała się teraz rozdrażniona i bezradna. Zakłopotana. To właśnie dlatego starała się go unikać.

On także jej unikał. Mogła tylko domyślać się, dlaczego

- zapewne żałował tego incydentu równie mocno, jak ona. Gdyby jednak postanowiła go mimo wszystko znienawidzić, nie byłaby w stanie. Sam był dobry dla dziadka, dobry dla jej synów, wreszcie - dobry dla niej. Nie narzucał się jej ze swoją obecnością, był taktowny, niczego nie komentował i nie czynił żadnych aluzji do tego, co się stało. Gdy trzeba było coś wyjaśnić - wyjaśniał, gdy potrzebowała pomocy - pomagał. I to właśnie było najgorsze.

O ileż łatwiej by jej było, gdyby miała do czynienia z egoistą, arogansem i natrętem. Teraz, choćby starała się zobaczyć w Samie te cechy, nie byłaby w stanie ich dostrzec.

Oczywiście, daleka była od zachwyty nad jego osobą, w przeciwieństwie do chłopców, a zwłaszcza Toma, który wręcz czcił ziemię, po której stąpał Sam Dakota. Właściwie to była nawet z tego powodu nieco zazdrosna. Z pewnością nie zamierzała pozbawiać syna kontaktu z mężczyzną, który był dlań prawdziwym autorytetem, brakowało jej jednak dawnej zażyłości, która łączyła ją z dzieckiem.

Tyle że ta zażyłość wygasła jakiś rok temu, kiedy to zaczęły się z Tomem pierwsze trudności wychowawcze. Czy nie powinna więc być zachwycona nagłą przemianą zbuntowanego syna? Tak, była zachwycona. Tyle że znacznie lepiej by się czuła, gdyby to ona zdołała wyrzeć na chłopca taki pozytywny wpływ. Ona, może dziadek, może sam pobyt na ranczo w Montanie - cokolwiek, byle nie Sam.

Łzy, który napłynęły jej do oczu, zaskoczyły ją i zakłopotwały. Och, nic dziwnego, że płacze, mówiła sobie, zawsze przykro przyznać

się do porażki. Moje życie to nieustanne pasmo porażek, jestem na nie skazana. Przecież czego bym nie zrobiła, przegram. Przegram ranczo, jeśli pozwolę odejść Samowi Dakocie; przegram swój honor, jeśli zachowam ranczo za cenę ślubu z tym człowiekiem; jeśli spróbuję ocalić ranczo, zatrudniając nowego zarządcę - przegram szacunek i miłość ze strony syna...

Wiedziała, że Sam zgodziłby się na ślub. Wiedziała, że ma ochotę nie tylko na ziemię i bydło, ale też na jej ciało. W ciągu minionego tygodnia kilkakrotnie odniosła wrażenie, że obserwuje ją z ukrycia, a świadomość tego, że jego spojrzenie przesuwają się po niej łakomie, sprawiała jej zaskakującą przyjemność. Nie znosiła tych własnych odczuć, wstydziała się reakcji własnego ciała, lecz nie była w stanie zaprzeczyć, że coś popycha ją ku temu mężczyźnie. Gdy zaś myślała o tym, że on może być świadom jej pragnień, robiło jej się gorąco - ze wstydu i podniecenia.

Nastawiła pralkę na kolejne płukanie i zdjęła ze sznurka suchą już koszulę, która należała do Sama. Wcześniej zacerowała w niej dziurę na łokciu, a kiedy trzymała na nagich kolanach ten kawałek materiału, czuła się tak, jakby robiła coś nieprzyzwoitego, zakazanego.

Wciąż zła na siebie, przeszła przez podwórko do małego domku, w którym mieszkał zarządcę. Tak niewiele o nim wiedziała - tak mało o sobie mówił. Russell Letson uważał, że nie należy wierzyć Dakocie; sugerował, że jest w posiadaniu informacji, których wprawdzie nie może wyjawiać, ale które przemawiają na jego niekorzyść. Dziadek

wściekł się wprawdzie, że Molly daje posłuch takim plotkom, ale on był gotów bronić Sama jak własnego syna i nigdy nie dałby powiedzieć o nim złego słowa.

A co podpowiadał jej instynkt? Nie była pewna. Słyszała w sercu mocny głos, który przekonywał, że wolno jej zaufać temu mężczyźnie; rozum natomiast przypominał, że już kiedyś zaufała komuś bez reszty, gdy zaś odkryła o nim prawdę, było za późno, by się wycofać. Jednakże wtedy była młodsza, mniej doświadczona, naiwna...

W domku Sama nie była po raz pierwszy. Już wcześniej zdarzało jej się zanosić mu pranie. Weszła do małej, zastawionej sprzętami sypialni, położyła zacerowaną koszulę na łóżku, po czym odwróciła się i skierowała do wyjścia. W drzwiach przystanęła jeszcze i ogarnęła całe pomieszczenie uważnym spojrzeniem. Dopiero po chwili zrozumiała, że zatrzymała się, by poszukać wzrokiem... zdjęcia. Sam mieszkał w tym pokoju od ponad siedmiu miesięcy. Gdyby miał kogoś bliskiego, pewnie ustawiłby obok łóżka fotografię.

Nie znalazła żadnego portretu, za to niemal natychmiast wpadł jej w oko kawałek papieru, wciśnięty niedbale w róg lustra. Wiedziała, że nie powinna go oglądać, a jednak nie mogła się powstrzymać. Szybko przeszła przez pokój i przebiegła wzrokiem wymięty świsstek.

Rachunek z lombardu w Sweetgrass. Na górze nazwisko Sama, pod spodem nazwa artykułu, który zastawił - „srebrna sprzączka”.

Sądząc z sumy, na jaką wyceniono ten przedmiot, nie była to zwyczajna srebrna sprzączka. Może trofeum z rodeo?

Dziadek twierdził, że Sam występował kiedyś w rodeo i odnosił znaczące sukcesy, zanim nie przytrafił mu się poważny wypadek. Musiał być rzeczywiście poważny, skoro kariera jeźdźca dobiegła końca, a on sam zmuszony został do zastawienia w lombardzie pamiątki z dawnych czasów.

To wszystko utwierdziło ją tylko w przekonaniu, że człowiek ten nie ma nic do stracenia i że gdyby zgodziła się wyjść za niego, odkułyby się na tym małżeństwie. Nic dziwnego, że postanowił ją uwieść.

Czy jednak przejęcie Złamanej Strzały było naprawdę tak lukratywnym interesem? Pewnie, lepszy rydz niż nic, ale z drugiej strony Sam musiał wiedzieć, że trudno mu będzie liczyć na kokosy. Molly spędziła wystarczająco dużo czasu nad księgami rachunkowymi, by się przekonać, że kondycja gospodarstwa jest zatrważająca i że jeśli wkrótce nie zacznie przynosić ono dochodów, popadną w długi, z których trudno będzie się wydostać. Co wtedy? Woląca nie zastanawiać się nad odpowiedzią.

Jedno było pewne - jeśli znikną pieniądze, zniknie i zarządca. Przecież Sam tak właśnie powiedział. Perspektywa takiej sytuacji przerażała ją, tym bardziej że na zamieszczoną w lokalnej gazecie ofertę pracy nie nadeszła jak dotąd ani jedna odpowiedź, a pomocnicy mieli wrócić do szkoły wraz z końcem wakacji.

Z ręką na klamce rozejrzała się po raz ostatni po wnętrzu, po czym całkowicie zatopiona w myślach, zamknęła drzwi. Kiedy zaś odwróciła się, by odejść - wpadła prosto na Sama.

- Czemu się tak zakradasz? - fuknęła, wściekła, że przyłapała ją na gorącym uczynku.

Sam nie skomentował w żaden sposób jej obecności, lecz popatrzył na nią poważnie i powiedział:

- Szukałem cię, Molly. Zdarzył się drobny wypadek. Tom zranił rękę o drut, więc przywiozłem go do domu. Nie zastałem cię na miejscu...

- Wypadek? - Molly wstrzymała oddech. Rana musiała być groźna, skoro Sam przywiózł chłopca z pastwiska.

- Boże, powinniśmy go zawieźć do miasta, prawda? Trzeba będzie założyć szwy. I zrobić zastrzyk...

- Nic z tych rzeczy - zapewnił ją Sam i położył uspokajająco dłoń na jej ramieniu. - Skaleczenie wygląda paskudnie, ale dzieciakowi nic nie będzie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- A bandaż, opatrunek, woda utleniona?

- Już to zrobiłem.

- Och, dziękuję - westchnęła z ulgą. To ona zawsze zajmowała się opatrywaniem ran, masowaniem siniaków i całowaniem guzów, teraz więc poczuła, jak to dobrze mieć kogoś, z kim można dzielić troskę o poszkodowane dziecko. Zaraz jednak odezwał się w niej

przekorny głos, który nakazał odepchnąć rękę Sama, a zamiast wdzięczności wyrazić pretensje pod jego adresem. - Jak to właściwie się stało?

- Przypadek.

- Trzeba było od razu mnie zawołać. Sama dałabym sobie radę.

- Wiem - odparł spokojnie. - I jestem pewien, że będziesz chciała oczyścić ranę, a potem ponownie ją zabandażować - odparł i znów dotknął jej ramienia. - Wiem, co czujesz, Molly...

Wiedział? Chyba jednak nie. Nie mógł wiedzieć, że od dotyku jego dłoni robi jej się gorąco, że serce podchodzi jej do gardła, jak zawsze kiedy Sam jest zbyt blisko.

Spojrzała na niego spłoszona. A jednak wiedział! Odgadł z jej oczu, że zamiast o dziecku pomyślała przed chwilą o szorstkiej skórze na jego palcach, o śniadej karnacji odcinającej się na tle jej białej szyi, o ustach, które tak chętnie poczułaby na sobie...

Boże, nie! Pragnęła go i widziała, że on także jej pragnie. Nie był w stanie ukryć swego pożądania. Była pewna, że ze wszystkich sił usiłuje z nim walczyć. Cofnął dłoń, jakby jej skóra nagle zaczęła go parzyć, Molly zaś odwróciła szybko wzrok i spytała:

- Gdzie on jest? Gdzie jest mój syn?

- W domu.

- Idę do niego.

Skinął głową i odsunął się, by pozwolić jej odejść.

Molly pobiegła w kierunku domu, wdzięczna losowi, że zdołała uciec i uniknąć hańby. Tym razem się udało, lecz jak długo jeszcze

będzie w Stanie uciekać? Czy kiedy znów spojrzy w te ciemne, lśniące oczy, zdoła zdusić w sobie głód rozkoszy? A czy gdy ulegnie wreszcie pokusie i skapituluje, nie stanie się taka jak jej chłopcy - uzależniona od Sama Dakoty, bez reszty mu posłuszna i powolna wszystkim jego sugestiom?

Tom czekał na nią w salonie. Nie wyglądał na cierpiącego, bo też i rana, choć wyglądała groźnie, nie była zbyt głęboka. Chłopiec był bardziej zły niż wystraszony swoją sytuacją.

- Gdzie Sam? - zapytał. - Jeszcze nie pojechał, prawda?

- Nie mam pojęcia. - Molly ponownie przemyła ranę, a potem najstaranniej jak umiała, zaczęła owijać bandażem zranioną dłoń.

- Nie musiał mnie tu przywozić. To nic strasznego.

- Może nie chciał, byś poplamiał mu siodło. Zobacz, zakrwawiłeś sobie całe spodnie.

- Dla niego to normalka. Sam często styka się z krwią.

- No proszę...

- Sam po prostu nie chciał, żebyś się na niego wściekała.

- Ja?

- Tak - wyjaśnił cierpliwie syn. - Jesteś moją matką. Wszystkie matki martwią się o swoje dzieci. Czasem nawet bardziej niż trzeba. Byłabyś wściekła, gdyby pozwolił mi pracować i nie opatrzył tej głupiej rany.

- Tu akurat miał rację. Gdyby poczekał z tym do końca dnia, mógłbyś dostać zakażenia.

- E, tam - mruknął Tom i wywrócił oczyma. - O rany, mamó, jeszcze nie zawiązałaś? Pośpiesz się! Sam na mnie czeka!

Ledwie skończyła bandażować, poderwał się na równe nogi niczym byczek uwolniony z postronka i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, był już za drzwiami. Wybiegła za nim na werandę, kiedy jednak się na niej znalazła, ujrzała jedynie, jak Sam i Tom pędzą konno na południe, a kurz spod kopyt znaczy szlak, którym właśnie przebiegli.

Co to, pomyślała, western? John Wayne i jego towarzyszy odjeżdżają w nieznane?

Pokręciła głową i wróciła do kuchni, gdzie przy stole zastała dziadka.

- Kiedy cię nie było, dzwonił szeryf Maynard - oznajmił na jej widok.

- Tak? - Odrzuciła z twarzy kosmyk włosów, udając zainteresowanie. Miała nadzieję, że dziadek nie zauważy jej podłego nastroju. - I co mówił?

- Niewiele. Powiedział, że zgłosiłaś mu zniszczenie ogrodzenia na naszym ranczo. Nie wspominałaś, że do niego dzwoniłaś... - Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

- Och, nie chciałam cię martwić.

- No to szeryf mnie zmartwił - odparł dziadek zgryźliwym tonem.

- Domyślałam się, że nie znaleźli winnego.

- Podobno nie mają dowodów, ale biorąc pod uwagę to, że w ubiegłych miesiącach zdarzyła się cała seria takich incydentów... E, głupie gadanie! - Dziadek przerwał nagle, a jego twarz ściągnął ponury grymas.

- O co chodzi? - zapytała.

W odpowiedzi potrząsnął jedynie głową.

- Dziadziu, przecież prędzej czy później będę musiała się dowiedzieć.

- Ten głupiec twierdzi, że Sam to zrobił - wyrzucił z siebie dziadek ze skwaszoną miną.

- Sam? To jakiś nonsens - zdziwiła się Molly. - Przecież Sam uganiał się potem trzy doby za bydłem, które uciekło. Nikt przy zdrowych zmysłach nie skazywałby się na tego rodzaju robotę.

- I ja mu to powiedziałem - przytaknął dziadek, wyraźnie zadowolony, że wnuczka bez namysłu ujęła się za jego zarządcą.

- Jakie więc ma powody, żeby tak twierdzić?

- Powtarza tylko, że Sam to obcy. Jaki tam obcy? - zirytował się staruszek. - Jeśli o mnie chodzi, to już się sprawdził. Nie jest obcym. Wierzę mu i modłę się do Boga, że poślubi kiedyś moją jedyną wnuczkę.

- Dziadziu!

- Co, dziadziu? Powiedz wreszcie, czy to zrobisz, bo moje słabe serce może się nie doczekać.

Molly odetchnęła głęboko, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wiedziała, że dziadek nie ustąpi, dopóki jej nie uzyska.

- Chyba nie - odparła po długim namyśle. Dziadek nie uniósł się gniewem, jak się spodziewała, ani

nie zaczął przekonywać jej do swoich racji. Przygarbił się tylko jeszcze bardziej, a potem wymamrotał pod nosem:

- Szkoda. Naprawdę szkoda.

- To moje życie, dziadku. Sama podejmuję decyzje.

- I sama popełniasz błędy.

- To też.

- Twoje prawo, moja mała Molly. Pamiętaj tylko, że potrzebny ci mężczyzna.

- Dziadziu...

- Choćby dlatego że mieszkasz na ranczu. Jeśli nie Sam, to kto?

- Dziadziu, naprawdę jesteś staroświecki.

- Dobrze, nie chcesz męża, ale co z chłopcami? Pomyślałaś o tym? Widzisz, jaka w nich zaszła zmiana? Tom i Clay traktują go jak ojca. On jest dla nich prawdziwym autorytetem.

Molly z trudem przełknęła ślinę. Oczywiście, że o tym myślała. Myślała nieustannie. Byłaby ślepa, gdyby nie widziała tego, o czym powiedział jej dziadek.

- Powiem ci jeszcze coś, dziewczyno - usłyszała - on też kocha te dzieciaki. Zobacz, mógł je zignorować, nie zawracać sobie nimi głowy. Przecież tylko przeszkadzają mu w robocie. Nie zrobił tego. A wiesz dlaczego? Bo traktuje ich jak synów. Jeśli chcesz wiedzieć, to moim zdaniem Sam jest dla nich lepszym ojcem niż Daniel był przez całe życie.

- Wystarczy, dziadziu. Wiesz, że przykro mi tego słuchać - przerwała mu Molly i wzięła do ręki listę zakupów, którą Sam przygotował przed śniadaniem. - Jadę do miasta. Chcesz, żebym ci coś kupiła?

Dziadek odburknął coś pod nosem i włożył nos w starą gazetę. Wiedziała, że go zirytowała, ale przecież nie mogła dłużej prowadzić tej rozmowy. Rozmowa z nim była niemożliwa. Po prostu niemożliwa.

Było już dobrze po kolacji - i tuż przed burzą - kiedy Sam i Tom wrócili z pastwiska do domu. Chłodniejsze powietrze zapowiadało deszcz, duszny dzień dobiegał wreszcie końca. Napracowali się dzisiaj oboje, ale przy pomocy Charlie'ego oraz Pete'a udało im się przegonić całe stado na nowe pastwisko. Boris także się umęczył ciągłym bieganiem i ujadaniem, kiedy więc Sam zszedł w stajni z konia, - pochylił się, żeby poklepać psa i podziękować mu za włożony wysiłek. Na każdy kilometr, który przeszedł człowiek, Boris przebiegł dwa.

W pobliżu huknął piorun, pierwsze krople zastukały w kryty gontem dach.

- Uciekliśmy przed burzą - powiedział z dumą Tom, prowadząc spoconego Sindbada do boksu. - O rany, ale leje!

- dodał, kiedy ponownie zagrzmiało, a z nieba lunęły strugi deszczu.

- Teraz burze będą coraz częstsze - odezwał się Sam.

- Trzeba na nie uważać. Czasami potrafią narobić niemałych szkód.

- Aha, słyszałem - mruknął Tom i zdjął siodło z grzbietu konia. - Ciekawe, co mama ugotowała na kolację. Umieram z głodu.

- Ja też.

- Pewnie chilli. To moje ulubione danie. Uwielbiam chili ze świeżą tortillą, taką prosto z pieca, żeby masło mogło się rozpuścić. Pycha!

Sam poczuł, jak burczy mu w brzuchu. Od takiej rozmowy jeszcze bardziej chciało mu się jeść. Do licha, minie trochę czasu, zanim wreszcie nasyci swój głód. Najpierw zjedzą Walt, Molly i dzieci. Owszem, mógł usiąść z nimi do stołu, ale wiedział, jak bardzo Molly skrepowana jest jego obecnością. Nie chciał jej peszyć, nie chciał na nią wpływać. Wiedział, że wbrew pozorom wnuczka Walta rozważa perspektywę małżeństwa i zamierzał zaczekać, aż będzie miała całkowitą pewność - na tak bądź na nie.

Czy on ożeniłby się z nią, gdyby się zgodziła? Tak, ale nie z miłości - nie zamierzał tego ukrywać. Chciał być dobrym mężem, dobrym ojcem dla jej synów, dobrym ranczerem. To była jego szansa i gotów był z niej skorzystać. Miłości obiecać nie mógł, bo też nikt rozsądny nie jest w stanie jej obiecać. Miłość przychodzi sama - i to do niektórych. On, zdaje się, nie należał do tych wybrańców.

Tak, gdyby dała mu szansę, udowodniłby, że umie być dobrym mężem, postarałby się o to. Przydałby się i jej, i chłopcom. Poza wszystkim lubił tę upartą dziewczynę. Mało tego, Molly Cogan go

pociągała, a zdaje się, że i on budził w niej co najmniej zainteresowanie. Dlatego też, jeśli rzeczywiście się pobiorą, nie zgodzi się na to, żeby sypiali osobno. Już przy pierwszym pocałunku zrozumiał, że do siebie pasują. Po co odmawiać sobie nawet tego? W końcu większość małżeństw zaczynała z mniejszym dorobkiem.

- Idź do domu, Tom, umyj się - polecił chłopcu. - Ja tu wszystko dokończę.

- Naprawdę? - zawahał się Tom, wyraźnie rozdarty między pokusą gorącej kolacji a poczuciem obowiązku, który nakazywał dopomóc mężczyźnie, który traktował go jak równego sobie partnera.

- Naprawdę. Widzę, że skrećasz się z głodu.

- Ary?

- Ja też zaraz przyjdę.

Tom poprawił kapelusz na głowie, po czym otworzył drzwi i puścił się pędem w kierunku domu. Srebrzysta błyskawica przecięła niebo na pół. Sam przypomniał sobie słowa ojczyma, który zwykł mawiać, że noc i burza to złośliwa para.

Wspomnienie rodziny sprawiło mu nieoczekiwany ból. Poczul nagłe pragnienie, aby ponownie nawiązać z nią kontakt. Może któregoś dnia...?

Tak, któregoś dnia. Kiedy będzie gotowy.

Wziął szczotkę i zaczął nacierać wierzchowca, żeby go rozgrzać i osuszyć. Czy on i Molly byliby szczęśliwą rodziną? On miał popapraną - jak by powiedział Walt - przeszłość. A ona? Właściwie nie wiedział o niej nic. Jak żyła w San Francisco? Kim był jej mąż?

Chłopcy nigdy go nie wspominali, więc zapewne niewiele czasu z nimi spędzał. Jego strata.

Walt o Danielu Coganie mówił jedno - że to skończony dureń. Pewnie miał rację. Ktoś, kto odszedł od Molly i jej synów, musiał być zdrowo stuknięty. Najgorsze było to, że ona musiała go kochać. Musiała, skoro rozpad małżeństwa uczynił ją taką zgorzkniałą.

E, tam, dlaczego zaraz „najgorsze”? Czyżby był o nią zazdrosny? Przecież jeszcze przed chwilą uznał, że nie może obiecać jej miłości.

Żeby odgonić myśli od Molly, zaczął wspominać swoją rodzinę. Cholera, jedyne, co go dobrego spotkało w życiu, to że miał porządną rodzinę. No i Walt, ale to potem. Ciekawe, co u nich słyhać?

Jakiś czas temu dowiedział się z gazety, że jego ojczym zmarł dwa lata wcześniej. Do dziś czuł tępy ból w piersi, gdy uświadamiał sobie, że nie miał okazji podziękować Michaelowi Dakocie za to, że ten był dlań tak dobrym i wyrozumiałym ojcem. Matka Sama zaszła w ciążę jeszcze jako nastolatka. Trzy lata później wyszła za Michaela, który adoptował chłopca, pokochał i wychował jak własnego syna. W wieku kilkunastu lat Sam, jak wszyscy, przechodził okres buntu i przysparzał rodzinie samych zmartwień, lecz ojczym miał do niego ogromną cierpliwość, mimo że Sam uparcie go odrzucał.

Ech, głupi był, smarkaty, przez swoją niedojrzałą dumę zranił najbliższych sobie ludzi.

Wtedy pragnął jedynie ujeżdżać byki. Wstyd mu było teraz to przyznać, ale lata, które nadeszły potem, były wyłącznie stratą czasu.

Co zyskał? Nic, jedynie połamane kości, chory kręgosłup, blizny na całym ciele i przyprawiające o mdłości wspomnienia pijackich imprez.

Drzwi od stajni otworzyły się nagle. Sam uznał, że to wiatr, więc nawet nie spojrzał w tamtą stronę.

- Mamy nie ma! - usłyszał za sobą i dopiero wtedy odwrócił głowę. Oczy Toma były szeroko otwarte z przerażenia. Stał na progu, cały mokry, i powtarzał z przejęciem: - Nie ma jej, nie ma... Pojechała do miasta po południu... nie wróciła... miała być o trzeciej...

Sam spojrzał na zegarek. Była siódma piętnaście.

- Nie dzwoniła?

- Nie. Też myślałem, że może postanowiła przeczekać burzę w mieście, ale przecież by zadzwoniła. Na pewno by zadzwoniła.

- Którym samochodem pojechała?

- Ciężarówką dziadka.

Sam wręczył chłopakowi szczotkę, a sam wyszedł szybko ze stajni. Samochód Walta nadawał się tylko na złom. Nie powinna była go brać. Pewnie uznała, że zakupy nie zmieszczą się do jej forda.

- Dokąd idziesz? - dogonił go Tom.

- Szukać twojej mamy.

- Gdzie?

- Nie wiem. Nie wrócę, póki jej nie odnajdę.

Pięć minut później jechał już drogą prowadzącą do miasteczka. Mimo że wycieraczki pracowały na pełnych obrotach, widoczność była fatalna. Miał nadzieję, że Molly okaże się na tyle sprytna, aby

poszukać kryjówki przed deszczem. Możliwe też, że woda zalała silnik, a ona siedzi w kabinie gdzieś na poboczu i czeka, aż ją odnajdą. Najgorzej, jeśli ciężarówka się zepsuła, a Molly zostawiła ją, żeby sprowadzić pomoc. Każdy kto tu mieszkał, wiedziałby, że to błąd, lecz przecież Molly pochodziła z miasta.

Boże, jeśli stanie się jej nieszczęście, Walt tego nie przeżyje. Tylko dzięki niej jako tako się trzymał. Dzięki niej i chłopcom.

Właśnie, są jeszcze chłopcy. Molly jest ich matką...

A on? Do licha, co robi on, jeżeli straci Molly Cogan? Nie należała do niego, nawet nie zdążył jej dobrze poznać, a przecież bał się, że ją straci!

Dojrzał w oddali jakiś pojazd zaparkowany na poboczu drogi i wyteńczył wzrok. To ona! Nietrudno było poznać starego gruchota. Dwudziestoparoletni Chevrolet Walta Wheatona znajdował się w równie opłakanym stanie, co jego serce.

Zahamował tuż przed pojazdem i wyskoczył na jezdnię. Wtulił głowę w ramiona i potykając się, pobiegł co sił w kierunku zamkniętej kabiny. Osłonił dłońmi twarz i zajrzał przez szybę od strony pasażera.

Nie było jej tam.

Zaklął i odwrócił się, rozglądając się wokół siebie. Najgorzej, jeśli stąd poszła, myślał, jeśli postanowiła piechotą wrócić na ranczo. Nie wie, co to wezbrane gwałtownie rzeki, nie wie, jak szybko woda zalewa wąwozy. Utonie.

Na miły Bóg, utonie!

- Molly! - krzyknął ile sił w płucach. - Molly!!! Przypomnił sobie wystraszoną twarz Toma. Powiedział chłopcu, że nie wróci bez matki, i zamierzał dotrzymać obietnicy. Znajdzie ją. Musi znaleźć.

Kolejna błyskawica rozświetliła ciemne niebo i właśnie wtedy Sam ujrzał kolorowy kształt przy pniu olbrzymiego dębu, który stał pośrodku pola lucerny.

- Molly? - powiedział do siebie ze zdumieniem. Nie rozumiał, dlaczego siadła pod drzewem, na mokrej ziemi, skoro mogła się schronić we wnętrzu samochodu.

Dopiero kiedy podszedł bliżej, zorientował się, że Molly wcale nie siedzi. Leżała twarzą w błocie.

Rozdział dziewiąty

Molly słyszała, jak ktoś bezustannie powtarza jej imię. Od tego natarczywego głosu rozboleła ją głowa.

Nie, bolała ją już wcześniej. Usiłowała usiąść, ale nie mogła. Kiedy zaś postanowiła unieść rękę, okazało się, że nie jest w stanie się ruszyć.

Coraz wyraźniej słyszała swoje imię. Kto tak ją nawołuje? Sam? Co tutaj robi? Tutaj? Czyli gdzie dokładnie?

Przesunęła dłonią po ziemi i poczuła przeciekające między palcami błoto. Powoli, z największym wysiłkiem, który sprawiał jej koszmarny ból, uniosła głowę i wtedy znów usłyszała:

- Molly!

Tak, to był Sam Dakota. Tym razem wypowiedział jej imię z wyraźną ulgą, a potem wziął ją pod ramiona i odwrócił ku sobie. Na twarzy poczuła zimne krople deszczu, otworzyła oczy. Na tle rozświetlonego błyskawicą nieba ujrzała znajomą twarz.

- Nic ci nie jest? - zapytał Sam, ocierając wilgotną szmatką jej ubłocone usta.

Molly potrząsnęła głową, bowiem dotyk sprawiał jej ból, jednak wówczas głowa rozboleła ją jeszcze bardziej.

- Proszę, nie... - wyszeptała, lecz Sam zignorował te błagania.

- Co się stało? - Odgarnął włosy z jej czoła i natychmiast obejrzał swą dłoń.

- Czy to krew? - zapytała. - Moja?

Albo jej nie usłyszał, albo nie miał ochoty odpowiadać. Zaczął w milczeniu badać jej czoło, nie bacząc na jej zniecierpliwienie i irytację.

- Przewróciłaś się, upadłaś na głowę, prawda? - zapytał. Te słowa przywróciły jej pamięć. Molly przypomniała sobie, że gdy wracała z miasta, silnik starego samochodu nagle zakaszłał i zgasł. Sprawdziła, czy jest benzyna, odłączyła, a potem na powrót przyłączyła akumulator, jednak nie była w stanie zrobić nic więcej. Silnik nie dał się uruchomić, więc wsiadła z powrotem do kabiny i cierpliwie czekała na pomoc. Po kilku godzinach, w czasie których na drodze nie pojawił się żaden samochód, nadciągnęła burza. Deszcz zadudnił w blaszany dach pojazdu, a wraz z nim zniknęła nadzieja na rychły ratunek. Kiedy po pół godzinie wciąż lało, wyszła z samochodu, żeby sprawdzić, czy samochód nie ugrzęźnie w błocie, a wówczas...

- Widziałam światło - powiedziała. - Widziałam wyraźnie. Byłam pewna, że w pobliżu jest jakaś posiadłość. Chciałam do niej dojść.

Wiedziała, że popełniła błąd i że Sam ma pełne prawo uważać ją za nierozsądną idiotkę. Nie powinna była opuszczać samochodu. Widziała w telewizji liczne relacje z klęsk żywiołowych i zdawała sobie sprawę, że gwałtowna burza w tutejszych warunkach może okazać się bardzo niebezpieczna. Jednak światło wydawało się tak blisko...

- A nie pomyślałaś o tym, że... - Machnął ręką. Nawet nie chciało mu się kończyć pytania.

- Bałam się, że chłopcy zaczną się martwić. I dziadek...
Chciałam przejść przez to pole, a potem... Wołałam umazać się w błocie niż pozwolić, żeby Tom i Clay się niepokoiли.

- Upadłaś...

- Tak, udało mi się przejść kawałek, ale gdy błoto zaczęło sięgać do kostek, potknęłam się chyba...

- Chyba?

- Potem pamiętam już tylko ciebie. Jak się nade mną pochylasz.

- Czy nikt ci nigdy nie mówił, kobieto, że w taką burzę...? -
znów nie dokończył zdania. Molly była mu za to wdzięczna. W tej chwili zupełnie nie miała ochoty na pouczające wykłady.

- Wiem, to było głupie - przyznała, czując wstyd, poczucie winy i wściekłość jednocześnie. Była przemoczona, zziębnięta, utaplana w błocie, a liczyć mogła tylko na niego - mężczyznę, któremu tyle razy zamierzała udowodnić, że ze wszystkim da sobie radę sama. Dobrze, że chociaż deszcz zaczął padać mniej intensywnie.

Sam objął ją w talii i pomógł stanąć na nogi. Molly wyprostowała się, lecz wówczas świat przed jej oczami zaczął gwałtownie falować, więc musiała przytrzymać się Sama, żeby nie upaść. Zacieśnił uścisk, jednak i to nie pomogło - nie była w stanie iść o własnych siłach.

Niewiele myśląc, Sam wziął ją w ramiona i zaczął nieść do samochodu.

- Zostaw! - zażądała i natychmiast zamknęła oczy, czując, jak ból rozsadza jej czaszkę. - Daj mi odpocząć, pójdę sama - dodała szeptem.

- Przestań! Nie dasz rady zrobić nawet kroku - sapnął zniecierpliwiony i zaczął brnąć przez grząski teren, klnąc co chwila, gdy błoto wlewało mu się do butów. - Cholera, ile ty ważysz? - jęknął, kiedy pokonali mniej więcej połowę odległości.

- Od czerwca schudłam trzy kilo.

- Szkoda, że nie dziesięć.

- Postaw mnie, jak ci za ciężko!

- Cicho bądź. I nie szarp się tak, bo zaraz oboje upadniemy.

Molly zamknęła oczy i oparła czoło o jego ramię. Było jej zimno i źle, przy każdym kroku Sama czuła tępy ból z tyłu głowy.

Wiedziała, że powinna dać odpór jego impertynencjom, jednak w jego ramionach czuła się... tak pewnie, tak bezpieczne. Była na niego wściekła, ale przecież przepełniała ją także wdzięczność. Uratował ją. Wkrótce znajdą się w domu, w domu...

- Molly, nie śpij!

- Co...? - Uniosła powieki. - Co się stało?

- Nie zasypiaj. Nie wolno ci. Musisz być przytomna. Zdaje się, że masz wstrząs mózgu.

- Wiem...

- Musimy się stąd wydostać, złap mnie mocniej.

- Sam...

- Cholera, Molly! Otwórz oczy!

Tak trudno było trzymać uniesione powieki, tak ciężko...

- Ja... przepraszam - wyjąkała. - Nie chciałam... Wreszcie dotarli do drogi. Sam zaniósł ją do swojego samochodu i ze zdumiewającą łagodnością usadowił w fotelu pasażera. Molly zerknęła na swoje odbicie w lusterku i jęknęła ze zgrozą. Mokra włosy przyklepione były do głowy, woda spływała z nich na kark i ramiona, a na czole widniał olbrzymi, zakrwawiony guz.

- Cholera - Sam zasiadł za kierownicą - to nawet krowy wiedzą, że jak pada, to się nie łązi po polu!

Molly milczała, Odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. Czy musi się na nią tak wściekać? Przecież nie dla siebie jechała po te cholerne zakupy. Nie dla siebie wpakowała się w to błocko. Nie dla siebie przyjechała do Montany!

Może rzeczywiście powinna skontaktować się z Letsonem i sprzedać całe to ranczo?

Nie, na pewno nie. Nie zrobi tego dziadkowi. To tylko chwilowe zniechęcenie.

Spojrzała na Sama, żeby sprawdzić, dlaczego wciąż stoją z wyłączonym silnikiem. Siedział wyprostowany, z palcami kurczowo zaciśniętymi na kole kierownicy, i patrzył przed siebie wzrokiem pozbawionym wyrazu. Gdy wyczuł jej spojrzenie, westchnął głęboko i odezwał się łagodnie:

- Przepraszam. Nie powinienem był tak mówić.

- Nie ma sprawy. Zasłużyłam na ostre słowa. Sama jestem sobie winna. - Oparła policzek o szybę i uśmiechnęła z wysiłkiem. -

Dziękuję.

- Drobiazg. Jak się czujesz?

- Kiepsko. Ale przejdzie mi, jak wrócimy do domu. Wezmę kąpiel, aspirynę... Tak, jedźmy do domu.

- Do domu - Sam powtórzył powoli jej słowa, a ona w tej właśnie chwili uświadomiła sobie, że po raz pierwszy pomyślała o starym drewnianym budynku, wzniesionym na ranczo w Montanie, jak o własnym domu. Nie o domu dziadków, domu swego dzieciństwa, domu wakacyjnych wspomnień - lecz o własnym, swoim domu.

Czy podobnie pomyślał Sam? Możliwe. W każdym razie wiedziała już, że chce tu zostać, chce utrzymać to ranczo. Z nim.

Tom z przyzwyczajenia udawał, że nie jest zainteresowany paradą, w istocie jednak czekał z utęsknieniem na czwarty dzień lipca i ekscytował się myślą o czekających go atrakcjach. W San Francisco kumple z klasy zajmowali się w to święto głównie odpalaniem nielegalnie kupionych petard. Co innego mieli robić, skoro nawet tego dnia ich starzy nie mieli dla nich czasu? On sam też zresztą nie pamiętał, kiedy ostatnio był z ojcem i matką na pikniku albo na paradzie.

Gdyby jednak teraz przyznał się, że czeka na to święto, matka potraktowałaby to jako typowe zachowanie małego chłopca. A przecież Tom nie był już chłopcem, był mężczyzną. No, prawie. W

każdym razie pracował z Samem, a ten zapewniał go, że jest mu bardzo przydatny. Dla Toma było to źródłem radości i dumy. I pomyśleć, że kiedy opuszczali San Francisco, myślał, że nie spodoba mu się Montana. Teraz nie wyobrażał sobie lepszego życia niż życie na ranczu. Jazda konno, całe dni spędzane poza domem, jedzenie fasolki podgrzanej na ognisku - to były tylko niektóre przygody i wyzwania.

Jego brat też dobrze się tutaj czuł. A na wieść o tym, że czwartego lipca pójdą na paradę, a potem urządzą piknik, ucieszył się tak, jak ten jego głupiutki piesek. Teraz biegał z wywieszonym językiem, nosząc z kuchni do samochodu prowiant przygotowany wcześniej przez mamę. Tyle tego było, że mogliby piknikować cały tydzień.

Ta zapobiegliwość wcale nie denerwowała Toma. Przeciwnie - cieszył się, że mama tak bardzo się postarała. Domyślał się, że chce w ten sposób zaimponować Samowi, a skoro tak, to znaczy, że zaczyna go lubić. Zależało mu na tym, by go lubiła. Sam był w porządku. Harował jak wół, choć był na ranczu dziadka tylko zarządcą. Odkąd przyjechali, nie miał chyba ani dnia wolnego. Jeśli ktokolwiek na tym świecie zasługiwał na uznanie, na odpoczynek, wreszcie na sympatię mamy - to właśnie Sam Dakota.

Jak na razie mama specjalną sympatią go nie darzyła, choć odkąd Sam uratował ją w czasie burzy, jakby życzliwiej traktowała jego osobę. Wcześniej oboje byli wobec siebie strasznie sztywni, ostatnio natomiast zdarzało im się uśmiechnąć albo zażartować.

Nareszcie zachowywali się jak ludzie. Tom miał swoje nadzieje odnośnie tego, co mogłoby połączyć ich w przyszłości. Mówiąc wprost, gotów był przyznać, że dobrze by było mieć takiego ojca jak Sam.

Czy Sam lubił mamę? Chyba tak. Przejął się bardzo, gdy nie wróciła z miasta, odnalazł ją, a potem przywiózł do domu i od razu zadzwonił do doktora Shavera. Bał się o nią, to było widać. Choć sam był przemoczony i zmarznięty, dopilnował, aby mama wzięła gorący prysznic i położyła się do łóżka. Potem zaś nawet dziadek śmiał się, że z Sama byłaby niezła pielęgniarka.

Czemu nie, pomyślał Tom. Sam znał się na wszystkim i dotrzymywał słowa, zawsze. Tamtego wieczora, kiedy waliły pioruny, a on czekał w ciemnym pokoju na ich powrót, nie narobił w gacie ze strachu chyba tylko dlatego, że Sam obiecał mu, że nie wróci bez mamy. Clay nie wiedział, co się stało. Nie warto było mu mówić - jeszcze by się dzieciak poryczał. No i kiedy Tom ujrzał wreszcie na podwórku światła samochodu, a potem ujrzał, jak Sam niesie mamę, uznał, że gdyby mama miała jeszcze raz wyjść za męża, nie powinna szukać innego-kandydata. Nie było kwestii, że najlepszy ze wszystkich jest Sam. Dziadek zresztą myślał tak samo.

- Tom? Gotowy jesteś, kowboju? - usłyszał z dołu wołanie matki.

- Już lecę! - odkrzyknął i zbiegł po schodach, niemal zderzając się na dole z Clayem.

- Poczekajcie, wezmę jeszcze poduszkę - oznajmił mały i prześliznął się obok niego na górę.

- Nie wiedziałem, że jeszcze musisz leżakować.

- Wcale nie! - obruszył się Clay. - Ale jak zaczną się fajerwerki, położę się na plecach i będę sobie patrzeć...

- W Sweetgrass nie będzie żadnych fajerwerków -mruknął sceptycznie Tom. Miasteczka, w którym ukazuje się jedna gazeta tygodniowo, z pewnością nie stać na kosztowne pokazy, pomyślał. Clay jednak nie zwrócił najmniejszej uwagi na jego słowa i pobiegł po swoją poduszkę.

- Który samochód bierzemy? - spytał Tom matki.

- Nasz - odparła, wkładając kolejny słoik ogórków do kartonowego pudła.

- Wasza mama pozwoliła mi prowadzić. - Sam pomachał kluczykami i puścił oko do Toma. - Ale wkrótce i ty zasiądziesz za kierownicą.

- Daj spokój, Sam. On ma tylko czternaście lat - zaprotestowała mama, wyjmując z szafki spray przeciw komarom.

- Najwyższy czas, żeby zacząć go uczyć. Zasiądzie za kierownicą szybciej niż się spodziewasz - przekonywał ją Sam.

Tom ukrył uśmiech. Mama jeszcze o niczym nie wiedziała, ale Sam już od dwóch tygodni dawał mu lekcje jazdy. Pokazał mu już, gdzie jest gaz, a gdzie hamulec i pozwolił dwa razy poprowadzić na pustej drodze swój wóz.

- Dziadziu - mam zwrócić się do dziadka - jesteś pewien, że nie chcesz z nami pojechać?

Dziadek pokręcił przecząco głową i wymamrotał coś na temat marnowania pieniędzy podatników.

- Twoja strata, Walt. - Sam poklepał go po ramieniu, a potem dźwignął ostatni karton i zaniósł go do samochodu.

Tom z Clayem usiedli z tyłu, a mama z Samem z przodu. Zazwyczaj to on siedział z przodu obok matki, jednak tym razem nie przeszkadzało mu to, że będzie jechał na tylnej kanapie wraz z młodszym bratem. Może się poświęcić, jeśli dorośli mają ze sobą pogadać i bardziej się zżyć.

Mamie chyba nie było źle w tym towarzystwie, bowiem w drodze do miasta zaczęła śpiewać dziecinne piosenki, jedyne, do których знаła słowa. Zawsze się tak zachowywała, kiedy była szczęśliwa.

Do Sweetgrass dotarli na tyle wcześnie, że udało im się jeszcze zająć dobre miejsca do podziwiania parady. Usiedli na wolnej ławeczce na skraju parku i zaczęli rozpakowywać pakunki z jedzeniem. Sam też był w znakomitym humorze. Przekomarzał się z nim i z Clayem i opowiadał im tak głupie kawały, że aż rozboleły ich brzuchy ze śmiechu. Kiedy zaczęli jeść, przysunął się do mamy tak, że ich ramiona się zetknęły. Mama nie protestowała.

O rany, pomyślał Tom, chyba jest nieźle...

Parada miała się właśnie rozpocząć, kiedy stało się coś, co popsuło humor im wszystkim. Oto Sam, który jeszcze przed chwilą

śmiał się głośno z jakiegoś żartu, umilkł nagle i spojrzał przed siebie gniewnym wzrokiem. Kiedy Tom podniósł wzrok znad kawałka kurczaka, ujrzał, że na wprost nich stoi szeryf Maynard, zasłaniając im widok na ulicę.

Tom również się rozgniewał. Wolał patrzeć na paradę niż na wielki brzuch, który zwisał szeryfowi znad paska. Jednak Maynard nie zamierzał się odsunąć. Stał z rozstawionymi szeroko nogami i wpatrywał się w nich prowokująco, szczególnie zaś intensywnie wbijał wzrok w Sama oraz w matkę.

- Widzę, Dakota, że wybrałaś się z panienką na piknik - odezwał się zaczepnie.

- Czy to przestępstwo, szeryfie?

- Nie, ale obcy na naszej paradzie? - odparł szeryf i poklepał znacząco dłonią po pałce. - Słyszałem, że w Złamanej Strzale znów były jakieś kłopoty - dodał, a Sam zacisnął pięści na te słowa

- Nic, z czym nie dałbym sobie rady - odparł po chwili i popatrzył na szeryfa wyzywającym wzrokiem.

Tom zastanawiał się, co takiego zrobił Sam, że Maynard traktuje go z taką wrogością. Pewnie nic. On sam nie raz przekonał się w San Francisco, że pełno jest takich, co to lubią przyczepić się do człowieka bez powodu. Tak czy inaczej, nie miał okazji przekonać się, o co poszło szeryfowi, bowiem Maynard odwrócił się bez słowa i odszedł powoli w stronę ulicy, oni zaś zostali na ławce - cała czwórka ze skwaszonymi minami i w podłym nastroju. Mama i Sam starali się nawet udawać dawną wesołość, ale z marnym skutkiem.

Sam nie skomentował potem tego incydentu. Nie tłumaczył, dlaczego szeryf go zaczepił, nie starał się odsunąć domysłów, które mieli prawo snuć na jego temat po tej dziwnej scenie. Jeśli chodzi o Toma, to Sam nie musiał niczego tłumaczyć. Tom ufał mu i był gotów go bronić przed oszczerstwem. Jeszcze długo potem gotował się z gniewu na wspomnienie słowa, którego użył Maynard - „obcy”.

Sam nie był obcy, Sam był jego przyjacielem i jedynym mężczyzną, którego byłby w stanie zaakceptować w roli męża mamy.

Russell wymówił się od uczestnictwa w świątecznej paradzie. Nie była mu do niczego potrzebna. Wolał spędzić ten czas w swoim domku, z dala od ludzi, tylko z Pearl.

Wniósł kolejną porcję mrożonej herbaty na taras i spojrzał w dół ciągnącej się u jego stóp doliny. Kupił ten domek dwa lata temu, traktując go jako lokatę kapitału. Nie zamierzał nigdy spędzać tu wiele czasu, nie przepadał bowiem za tak zwanym „życiem na łonie natury”. To jednak ta właśnie chatka stała się jego miłosnym gniazdkiem.

Głupie słowa, pomyślał. Staroświeckie.

Usiadł przy ustawionym na tarasie stoliku, rozstawił figury na szachownicy i czekał, aż Pearl do niego dołączy. Nie trwało to długo. Po kilku minutach wyszła spod prysznic - w prostym stroju, z zaróżowioną po kąpieli twarzą i lśniąco oczami - i uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Znowu szachy?

- Żądam rewanzu - odparł i odwzajemnił uśmiech. Pearl wciąż twierdziła, że nie ma pojęcia o szachach, choć przecież zdążyła już się

nauczyć reguł i grała zdumiewająco dobrze. Ta niezwykła kobieta miała wyjątkowo chłonny umysł i wszystkiego uczyła się szybko. Z powodu nieumiejętności czytania uważała się za głupią, lecz on wiedział, że jest niewiarygodnie wprost inteligentna. Russell podziwiał subtelność jej umysłu, fotograficzną pamięć, umiejętność kojarzenia. Pearl fascynowała go z każdym tygodniem coraz bardziej, a niedziele, które spędzał w jej towarzystwie, były najciekawszymi dniami, na które czekał z utęsknieniem.

Zapytał ją kiedyś, czy w szkole nie poznano się na jej inteligencji, lecz Pearl wyznała, że wyrzucono ją na tyle szybko, że zapewne nikt nie zapamiętał nawet jej imienia. Wstydziła się tego. Kiedy postanowił nauczyć ją czytać, była z początku zażenowana brakami w edukacji. A jednak czyniła postępy z zadziwiającą szybkością. Uwielbiał te lekcje - jej podniecenie, ciekawość, radość, których nigdy nie ukrywała. Czuł się poniekąd jak Stwórca, który stwarza człowieka i obdarowuje go wiedzą. Teraz Pearl nigdzie nie ruszała się bez książki, a analiza przeczytanych przez nią lektur zdumiewała Russella swoją dojrzałością.

Czy to ta sama prostytutka, która miała być jego urodzinowym prezentem, pytał się nieraz. Kiedy poszedł do niej tamtego wieczora, czuł się okropnie. Miał wrażenie, że jest grzeszny i brudny - brudny jak Monroe, jego starszy kuzyn. Jednakże kuzyn nie miał pojęcia, że znajomość z dziwką, którą mu „zorganizował”, okazała się najwspanialszym prezentem, najwspanialszym darem, jaki Russell kiedykolwiek otrzymał.

Odkąd ją poznał, dręczyło go nieustannie jedno pytanie - jak doszło do tego, że tak wspaniała kobieta prowadzi tak straszliwie upokarzające życie? Nigdy jej o to nie zapytał. Powstrzymywał go przed tym strach. Szybko się zorientował, że „kariera” jest dla Pearl tematem tabu. Kiedy raz próbował o to zagadnąć, natychmiast ucięła rozmowę i omal nie uciekła. Nie zamierzał ryzykować po raz kolejny.

A jednak nie przestawał o tym myśleć. Kim był jej alfons? Przecież miała alfonsa, jak każda prostytutka. Jak ją traktuje? Czym zmusza ją do pracy? Co ją z nim łączy?

Odrażające pytania. Męczył się z nimi przez cały tydzień, lecz gdy przychodziła niedziela, odsuwał je na bok. Udawał, że ich nie ma, że wszystko jest w porządku, że ich związek jest najzupełniej zwyczajny. Pearl mówiła, że go kocha, a on jej wierzył. On też ją kochał.

Czasem czuł się tak, jak gdyby miał do czynienia z dwiema Pearl. Jedna z nich była fachową prostytutką o zimnych oczach i wyuczonych gestach, aktorką, która ze swoim głosem, spojrzeniem, ciałem umiała zrobić wszystko, byle tylko zadowolić towarzyszącego jej mężczyznę.

Była też inna Pearl, prawdziwa. To właśnie z nią spędził tamten pierwszy wieczór.

Nie pamiętał już, dlaczego zaproponował, żeby zamiast kochać się, po prostu porozmawiali. Może dlatego, że był spięty i zdenerwowany? Pewnie tak. Z natury był nieśmiały, a Monroe naopowiadał mu o niezwykłych umiejętnościach i niezwykłej urodzie

„takiej jednej dziwki". Russell zgodził się na spotkanie, choć ani nie zamierzał się z nią przespać, ani też odwiedzać jej ponownie. Jednakże ten pierwszy wieczór był po prostu cudowny. Russell z radością odkrył, że przy Pearl może być sobą, podczas gdy w towarzystwie innych kobiet czuł niepewność i wstyd. Owszem, wiedział, że jest atrakcyjny, mimo to odkąd pamiętał, miał trudności w nawiązaniu kontaktu.

Potem Monroe zasypał go pytaniami, chciał wiedzieć, jak było. Russell kłamał, starał się mówić niewiele, więc kuzyn poklepał go protekcjonalnie po ramieniu i roześmiał się ze zrozumieniem, a potem zniżył głos i spytał, czy „braciszek spróbował specjalności słodkiej Pearl, dla której klienci tak chętnie do niej wracają". Z trudem pohamował się, by nie wyrznąć go w szczękę.

Jakiś czas później Russell wpadł na Pearl w sklepie i tak zaczęły się ich spotkania. Nie miał wątpliwości, że nikt o nich nie wie. Tak było najlepiej. Tajemnica chroniła jego reputację, a jej zapewniała bezpieczeństwo.

Choć jednak Pearl nie była kobietą, którą chętnie przedstawiłoby się mamie, Russell ożeniłby się z nią natychmiast, gdyby się tylko zgodziła. Och, prosił ją o rękę co najmniej dziesięć razy, a przestał tylko dlatego, że odmowa najwyraźniej sprawiała jej ból. Łzy wypełniały wówczas jej oczy, ona zaś szeptała, że Russell nie wie, o co prosi. Myliła się, dobrze wiedział. Mimo to nie poruszał więcej tego tematu i po prostu starał się udowodnić jej, że ją kocha i że nic poza tą miłością nie ma dla niego znaczenia.

Westchnął i położył dłoń na jej dłoni. Gdyby ktoś widział w tej chwili Pearl, nigdy nie domyśliłby się, jak ta piękna kobieta zarabia na życie. Włosy spięte miała w koński ogon, obszerny podkoszulek skrywał pełne piersi, z nogawek spranych dżinsów wystawały bezpretensjonalnie bosa stopy. Żadnego makijażu, żadnych perfum, żadnych koronek.

- Twój ruch - powiedziała i uśmiechnęła się do niego triumfalnie.

Zerknął na szachownicę i zorientował się, że znów zapędziła go w kozi róg. Cóż, zamyślił się zamiast skoncentrować na grze. Kolejne ruchy wykonywał machinalnie, kiedy zaś Pearl przeprowadziła swoją rozgrywkę, jego figury znalazły się w sytuacji bez wyjścia. Najlogiczniejsze na oko posunięcie naraziłoby go na szach, inne zaś wystawiłoby hetmana na niebezpieczeństwo. Pearl zwyciężyła. Mogą rozegrać partię do końca, jeśli będzie nalegała, ale wynik nie pozostawiał wątpliwości.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

- Chodź do mnie, Pearl.

- Twój ruch - przypomniała.

- Wiem - odparł i wyciągnął do niej rękę.

Domyśliła się, czego pragnął i zarumieniła się wstydliwie. Kiedy po raz pierwszy ujrzał ten rumieniec, był przekonany, że to jedna z jej sztuczek. Przecież ona musi wiedzieć wszystko o seksie, myślał. Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że łączące ich uczucie jest

równie nowe i nieoczekiwane dla niego, jak dla niej. Oboje zakochali się po raz pierwszy w życiu.

- Nie spróbujesz się bronić? - zapytała, wskazując na szachownicę. - Może się uda.

- Nie uda się - odparł, patrząc w jej oczy. - Jesteś zbyt piękna, Pearl, bym mógł się przed tobą obronić.

Zachichotała niczym nastolatka, po czym westchnęła i podała mu dłoń.

W piątkowy poranek Sam przekazał Molly i Waltowi kolejną niepomyślną nowinę dotyczącą rancza - zatruto wodę w wodopoju. W największym stawie znaleziono zdechłą krowę, a wszystko wskazywało na to, że ktoś wrzucił ją tam celowo. Dziesięć sztuk bydła już zdechło, kolejne trzydzieści rozchorowało się poważnie.

- Mam tego dosyć, dziadziu! - zirytowała się Molly. - Musimy wreszcie coś z tym zrobić!

Nie była pewna, w jaki sposób dziadek mógłby tu pomóc, wiedziała jednak, że przynajmniej powinna z nim porozmawiać. Z ksiąg rachunkowych dowiedziała się, że Złamana Strzała znajduje się na skraju bankructwa, kolejne zaś akty sabotażu oraz to, co usłyszała od Letsona, utwierdzało ją w przekonaniu, że ktoś pragnie upadku rancza. Tylko kto?

- Podejrzewasz, kto tak się na nas uwziął? - zapytała.

- Gdybym znał odpowiedź na to pytanie - odparł dziadek - nie siedziałbym tu beczynn timer. A tak - wskazał na karty, które od godziny układał na stole - zostaje mi tylko pasjans.

- Dla mnie to jasne. Ktoś usiłuje nas stąd wyrzucić. Może powinniśmy zapytać Letsona, kto jest jego klientem?

- Sam już to zrobił.

- O, naprawdę? - Nie była zadowolona, że nie raczyli jej o tym poinformować, ale pretensje postanowiła zgłosić do Sama, nie do dziadka.

- Nie obrażaj się. Dopiero co przyjechałaś, nie chcieliśmy wciągać cię w te sprawy.

- Więc wiecie, kto złożył ofertę?

- Nikt stąd. Żaden człowiek ze Sweetgrass nie pragnie tej ziemi aż tak bardzo, żeby wyrządzić nam krzywdę.

- No więc kto?

Dziadek westchnął i podrapał się w głowę.

- Podobno ktoś z Hollywood, jakiś aktor.

- Bzdura!

- Dlaczego? Słyszałem, że to teraz modne. Ranczo, preria, wiatr we włosach i mały domek gdzieś na horyzoncie. Romantyczne brednie. Ci ludzie myślą, że cofną czas, a na pastwiskach znów pojawią się bizona.

- Więc Letson powiedział, że to aktor z Hollywood? - Molly nie mogła wyjść ze zdumienia.

- Nie wprost. Wiesz, jacy są prawnicy. - Dziadek wywrócił oczami. - Sam pogadał z Letsonem, Letson nie mógł zdradzić, kto chciał kupić ziemię. Nie zaprzeczał jednak, kiedy Sam wspomniał o plotkach, że zgłosił się jakiś gwiazdor. Żaden ranczer nie sprzedałby

ziemi, ot, tak, gdyby dowiedział się, że kupiec jest z Hollywood. Każdy chciałby podbić cenę, więc gwiazdor wynajął ponoć Letsona. Chociaż jakoś ciężko mi wyobrazić sobie aktora z grubą forszą, który rozwała skrzynki pocztowe i wrzuca zdechłą krowę do stawu.

- No właśnie - zgodziła się Molly. - Czy Sam powiadomił już szeryfa? - spytała, gdy jednak dziadek machnął tylko ze zniecierpliwieniem ręką, powiedziała: - Ach, tak, rozumiem, chyba nie są w najlepszych stosunkach.

- Ano nie są.

- Wiesz dlaczego?

- Powiedzmy, że się domyślam.

- Czy ma to jakiś związek z Samem?

- Molly, dziecko, dajże spokój. Znowu zaczynasz przesłuchanie?

- Zrozum, dziadziu, tu dzieje się coś, co budzi mój niepokój.

- Niby co?

- W zeszłym tygodniu szeryf pogawędził sobie z nami tuż przed paradą.

- Naprawdę?

- Nie był szczególnie sympatyczny, zwłaszcza dla Sama.

- Naprawdę?

- Wydaje mi się, że wie o nim coś, czego my nie wiemy.

- Naprawdę?

Westchnęła i policzyła w myślach do dziesięciu. Jeszcze jedno „Naprawdę?”, a zrobi awanturę.

- Dziadku, wiem, że lubisz Sama - odezwała się najspokojniej, jak umiała. - Ja też go lubię, podobnie jak chłopcy. Ale z nim coś jest nie tak. Dlaczego Maynard go zaczepia? Czemu Sam chodzi jak struty po spotkaniu z szeryfem?

- Zapytaj go o to.

Molly sapnęła ze zniecierpliwieniem. Dałaby głowę, że dziadek coś ukrywa. Czy nie ufa swojej wnuczce? Najwyraźniej nie ufa, skoro nie chce powiedzieć prawdy o Samie Dakocie.

- Doskonale - odparła. - Wobec tego zapytam. Nie rozumiem tylko jednego - jak to możliwe, że chcesz, abym wyszła za człowieka, na którego lokalny przedstawiciel prawa patrzy jak na złoczyńcę. Czy tak bardzo we mnie wątpisz, że chcesz, żeby poślubił mnie ktokolwiek... byle kto?

- Starczy tego, moja panno! - Dziadek odepchnął od siebie talie kart. - Pytasz mnie, co wiem o Samie Dakocie. Otóż wiem to, co najważniejsze: że jest skromny i uczciwy. Że interesuje się twoimi synami i że byłby dobrym mężem. To właśnie wiem. A jeśli chodzi o jego konflikt z szeryfem, to możesz myśleć, co ci się żywnie podoba, ale wiedz, że Sam nie zrobił nic złego.

- Sama interesuje jedynie ziemia, którą mu zaproponowałeś.

- Czy osobiście ci to powiedział? Że ożeni się z tobą tylko wtedy, gdy podaruję mu ziemię i bydło?

- Nie - przyznała. — Ale nie musiał tego mówić - dodała sarkastycznie - to widać.

- I naprawdę wierzysz, że chcę, abyś wyszła za człowieka, któremu nie ufam?

- Wiem, że mu ufasz. Ale dlaczego akurat on ma być moim mężem? Uważasz, że sama nie zdołam znaleźć sobie lepszego? A jeśli Sam się ze mną ożeni, wyciśnie z tego rancza co najlepsze, a potem mnie zostawi?

- Nie, Molly - westchnął dziadek, jakby męczyła go coraz bardziej ta rozmowa. - Mówiłem ci już, że tak się nie stanie.

- Skąd ta pewność?

- Mam pewność. - Dziadek odwrócił wzrok. - Bez Sama już zimą straciłbym ranczo.

- Niekoniecznie. Może inny zarządca też by je uratował - sprzeciwiła się Molly.

- Nie - dziadek pokręcił głową - nie uratowałby. Owszem, sprzedałby bydło, żeby spłacić moje długi. To mógł zrobić każdy zarządca. Ale Sam zrobił więcej.

- Co?

- Zastawił swoją sprzączkę, żeby zapłacić zaległe podatki. Srebrną sprzączkę z diamentami, swoje trofeum, jedyną pamiątkę z przeszłości. To o czymś świadczy, nie sądzisz?

- Zastawił ją w lombardzie? - Molly przypomniała sobie kartkę papieru wetkniętą za ramę lustra.

- Tak. Pamiętasz? Mówiłem ci, że był mistrzem rodeo. Potem uległ Wypadkowi, stracił wszystko, została tylko ta sprzączka. Oddał ją, aby ratować moje ranczo. Ba, wcale mi o tym nie powiedział!

Dowiedziałem się, kiedy poszedłem do prawnika, żeby negocjować przesunięcie terminu spłaty. Wtedy właśnie dowiedziałem się, że Sam zapłacił już wszystkie rachunki. Przyznał się potem tylko dlatego, że naciskałem.

Molly poczuła, że musi usiąść. Czyżby Sam Dakota zrobił to wszystko? Oddał swój skarb za zdrowie, a może i za życie dziadka?

- Miałem kłopoty - ciągnął staruszek. - Staralem się o tym nie myśleć, ale kiedy zaczęły przychodzić listy ponagląjące, zrozumiałem, że to koniec. Wtedy zaczęło nawalać mi serce...

- Powiedziałeś Samowi?

- Nie! - zaprotestował gwałtownie. - Sam znalazł kopertę z urzędu skarbowego i domyślił się, o co chodzi. Znał w końcu księgi rachunkowe, bo częściowo je prowadził,

- Ile musiałeś zapłacić?

- Sporo - odparł oględnie. - A on, żeby mi pomóc, zastawił najcenniejszą rzecz, jaką posiadał. Wbrew temu, co myślisz, Sam Dakota to dobry człowiek, Molly. Daj mu tylko szansę, aby mógł to udowodnić. Kiedy tu się pojawił... był rzeczywiście dziwny, jakby wciąż nieprzytomny. Gdy jednak zaczął pracować, zmienił się. Ziemia go zmieniła, uleczyła. Ciebie też uleczy, jeśli na to pozwolisz.

Molly nie bardzo wiedziała, jak rozumieć te słowa, nie zastanawiała się jednak nad tym. Wciąż była pod wrażeniem tego, co usłyszała na temat Sama.

- Dziwny człowiek - westchnęła.

- Dobry człowiek - odparł dziadek. - Nie popełnisz błędu, jeśli za niego wyjdiesz. Będzie dla ciebie dobry, Molly, dla twoich dzieci również. Ja niedługo już zabawię na tym świecie. Nie płacz... - Wyciągnął rękę. – Szkoda łez. Pomyśl lepiej o małżeństwie. Obiecuję ci, że nie pożałujesz.

Resztę wieczoru Molly spędziła na rozmyślaniach. Cały dom pogrążył się we śnie, ona zaś leżała z otwartymi oczyma, patrzyła w sufit i układała w głowie odpowiedzi na kolejne pytania. Kim naprawdę jest Sam? Dlaczego zapłacił podatki dziadka, nic mu o tym nie mówiąc? Co dziadek zrobiłby bez niego i co ona zrobi bez Sama, gdy zabraknie dziadka? Czy może mu zaufać? Czy rzeczywiście powinna go poślubić?

Jeśli nie chciała, by przegnano ją z ziemi ojców, powinna była poszukać sprzymierzeńca. Jeśli kiedykolwiek go potrzebowała, to właśnie teraz. Ale czy to, że ona i Sam stoją po tej samej stronie barykady, wystarczy do zawarcia małżeństwa?

Zeszła na dół. W domu było zupełnie cicho. Zegar w kuchni wskazywał dwadzieścia minut po północy. Wyrzała przez okno i dostrzegła, że w domku Sama pali się światło. Bez namysłu chwyciła sweter, założyła buty i popędziła przez podwórze.

Zapukała cicho do drzwi i po chwili usłyszała jego kroki.

- O co chodzi? - Stał w drzwiach i spojrzał na nią zdziwiony.

- Myślałam, że jeszcze nie śpisz - odparła, speszona jego zaspanym spojrzeniem.

- Zdrzemnąłem się przed telewizorem. - Przeczesał palcami włosy i uśmiechnął się nieznacznie, nie zaprosił jej jednak do środka.

- Mam dwie sprawy - zaczęła Molly, starając się mówić spokojnym, opanowanym głosem. - Po pierwsze, chciałam się dowiedzieć, co myślisz o propozycji dziadka.

Popatrzył na nią poważnie.

- Czyżbyś zmieniła zdanie na ten temat?

- Tak - odpowiedziała i energicznie pokiwała głową. -A ty?

- Ja? Ja już dawno uznałem, że powinniśmy się pobrać. Z wielu powodów.

- W takim razie zrobmy to.

- Myślałem, że podejmiemy tę decyzję... hm, w innych okolicznościach.

- Doskwiera ci brak romantyzmu? Przecież to układ.

- Wiem - kiwnął szybko głową - czasami tylko...o tym zapominam. Mówiłaś, że masz dwie sprawy - zauważył zmienionym, bardziej praktycznym tonem.

- Tak, chciałabym, żebyś odpowiedział mi uczciwie, czy zgodziłbyś się na ślub, gdyby dziadek nie zaproponował ci bydła i ziemi.

- Nie - odparł krótko, patrząc jej w oczy. No cóż, sama prosiła o szczerłość.

- Tak myślałam - powiedziała, po czym odwróciła się i odeszła.

Rozdział dziesiąty

Kiedy następnego dnia Molly zeszła na dół do kuchni, Sam siedział już przy stole i popijał powoli kawę. Podeszła do ekspresu i również naląła sobie filiżankę, później zaś usiadła obok niego. Wciąż nic nie mówił, a to milczenie działało jej na nerwy. Ziewnęła ukradkiem. Źle spała - bez przerwy się budziła, a kiedy usypiała, śniły się jej straszne rzeczy. Jedną z nich był ślub z jej udziałem - panem młodym okazał się Daniel, a księdzem szeryf Maynard.

Spojrzała ukradkiem na Sama. On również spał marnie, co zdradzały głębokie cienie pod oczami. Uśmiechnęła się smutno. Jak na dwoje ludzi, którzy postanowili się pobrać, niewiele mieli sobie do powiedzenia.

- Zmieniłaś zdanie? - zapytał Sam, gdy Molly zdążyła już wypić ponad pół filiżanki.

- A ty?

- Ja pierwszy zapytałem.

- Nie - odpowiedziała. - Jeśli chcesz, możemy się pobrać, ale...

- Chcę - przerwał jej, po czym odsunął krzesło, wstał i sięgnął po kapelusz. - Bez żadnych „ale”.

- Ale - ciągnęła Molly, jak gdyby jej nie przzerwano - wolałabym, żeby to była umowa, układ handlowy.

- Myślę, że znasz moje zdanie na ten temat - zmrużył oczy - nie wiem więc, po co to wszystko mówisz. Albo będziemy mężem i żoną

w pełnym znaczeniu tego słowa, albo nici z interesu. Nie chcę białego małżeństwa.

- Powiedziałaś, że nie zgodziłbyś się na ten układ, gdyby dziadek nie zaproponował ci ziemi.

- Potraktuj to jako zabezpieczenie.

- Zabezpieczenie? - powtórzyła.

- Tak, zabezpieczenie, gwarancję. Muszę myśleć także i o tym, co będzie, jeśli urobię sobie ręce po łokcie, a ty po kilku latach wystąpisz o rozwód i spróbujesz wykopać mnie stąd na zawsze.

- A ja powinnam myśleć o tym, czy ty nie sprzedasz bydła i nie uciekniesz z pieniędzmi.

Popatrzyli na siebie wrogo.

- Nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybyśmy potrafili sobie zaufać?

- zapytał wreszcie Sam, przerywając nieprzyjemną ciszę. - Jediną osobą, która wierzy w nasze małżeństwo, jest Walt. Jeśli już nawet nie dla siebie, to dla niego odsuńmy na bok wszystkie wątpliwości i postarajmy się współdziałać.

- Pytanie tylko, czy nas na to stać.

- Tak, to dobre pytanie. No więc?

Odpowiedź była trudniejsza niż Molly początkowo sądziła. Po tym, co ją w życiu spotkało, zaufanie i wiara nie przychodziły jej łatwo.

- Dobrze - westchnęła w końcu.

- Cieszę się, że się zgadzamy. - Sam również odetchnął. - Powiem Pete'owi i Charlie'emu, co mają dzisiaj robić, a potem pojedziemy do miasta ustalić termin ślubu.

- Tak szybko?

- A na co chcesz czekać?

Zawahala się. Przecież jak dotąd nikt prócz nich o niczym jeszcze nie wiedział, nawet dziadek i chłopcy. Molly musiała porozmawiać najpierw z nimi. Mieli prawo wyrazić swoje opinie czy zastrzeżenia. Podejrzewała, że żaden z nich nie ma nic przeciwko takiemu rozwiązaniu, powinna jednak ich uprzedzić, choćby dla zasady.

- Muszę powiedzieć rodzinie. Zadzwoń do matki w Australii. - Nerwowo odgarnęła włosy z twarzy. - Ale poza tym... rzeczywiście nie ma powodów, żeby czekać.

- Oboje musimy zrobić badanie krwi. Molly mocniej ścisnęła pasek od szlafroka.

- Po co? - rzuciła, nie patrząc mu w twarz.

- Wiesz, po co. Mamy być mężem i żoną. Pojedziemy do miasta, zrobimy test, a potem pójdziemy do urzędu, żeby umówić się na najbliższy wolny termin, najlepiej na jutro.

Molly pokręciła głową i schowała twarz w dłoniach. To wszystko było takie... zimne, wykalkulowane. Owszem, mieli zawrzeć małżeństwo z rozsądku, ale mimo to pragnęła, aby jej ślub wyglądał inaczej. Przede wszystkim - aby odbył się w kościele.

- Może to duchowny powinien udzielić nam ślubu? -Spojrzała na niego, odsunawszy dłonie od twarzy.

- Ślub w kościele? - Sam uniósł brwi. - Zważywszy nasze motywy, przysięga przed Bogiem zakrawa co najmniej na hipokryzję, nie sądzisz? Jeśli nie na świętokradztwo...

Oczywiście miał rację, a Molly nie była w stanie wymyślić przekonującego kontrargumentu. Z nieszczęśliwą miną pokiwała posłusznie głową i dopiła ostatni łyk kawy.

- To będzie piękny dzień - powiedziała z przekąsem.

- Uśmiechnij się, Molly. - Sam nachylił się nad nią, udając zatroskanie. - Mogło być gorzej,

Wcale nie była tego pewna. Oto miała spędzić życie z człowiekiem, który jej nie kochał, który otwarcie deklarował, że żeni się z nią tylko dla pięciuset akrów ziemi i pięćdziesięciu sztuk bydła, a ona zgadzała się na to małżeństwo z czysto pragmatycznych pobudek. Potrzebowała fachowej pomocy, żeby móc utrzymać ranczo - i to było jedyne uzasadnienie ich przyszłego związku. Och, będzie dobrze, jeśli ten związek przetrwa dłużej niż pół roku...

Sam nie powiedział już nic więcej. Wyszedł, a Molly została sama, pochylona nad pustą filiżanką.

Kilka minut później w kuchni zjawili się Tom i Clay. Molly milczała, patrząc, jak napełniają miseczki płatkami, a potem zalewają je mlekiem. Dopiero gdy usiedli przy stole i zaczęli jeść, odezwała się pozornie beztroskim głosem:

- Co byście powiedzieli, gdybym postanowiła ponownie wyjść za mąż?

- To zależy za kogo. - Tom popatrzył na nią podejrzliwie.

- Za Sama - powiedziała po krótkim namyśle.

- O rany... Tak! - Tom uśmiechnął się szeroko i z radości walnął pięścią w stół. - Wiedziałem, że coś się święci!

- A ty, Clay?

- Super!

- Żaden z was nie ma nic przeciwko temu? - zapytała dla formalności.

- Pewnie, że nie! Ja tam lubię Sama - odparł bez wahania Clay.

Tom wciąż uśmiechał się szeroko, gdy zaś matka przeniosła na niego swoje spojrzenie, powiedział poważnym tonem:

- Gdybym miał prawo sam sobie wybrać ojca... na pewno byłby to Sam.

Molly nie była zaskoczona ich reakcją. W końcu zażyłość Sama z chłopcami była jednym z powodów, dla których zdecydowała się na to małżeństwo.

- Co to za wrzaski? - W drzwiach kuchni pojawił się dziadek.

- Mama się żeni! - krzyknął Clay.

- Wychodzi za mąż, baranie - poprawił go brat. - Za Sama - dodał, patrząc w stronę dziadka. Bardzo się starał zachować powściągliwość, jednak nic nie było w stanie zgasić blasku, jakim było jego spojrzenie.

- To prawda, Molly? - spytał w końcu dziadek, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Gdy zaś Molly skinęła głową, klasnął dłonią o udo i wzniosł oczy ku niebu. - Bogu Najwyższemu niech będą dzięki! Od piętnastu lat nie słyszałem radośniejszej nowiny! Nie pożałujesz tego, Molly, przekonasz się!

Molly już żałowała, lecz nie zamierzała psuć najbliższym radosnego nastroju. Trudno, poświęci się. Popełniła straszliwy błąd, godząc się na małżeństwo z człowiekiem, o którym wiedziała tak mało, ale przynajmniej dzieci będą szczęśliwe. Przynajmniej dziadek nie będzie się zamartwiał o jej przyszłość. Trudno, dała słowo. Będzie musiała jedynie dopilnować, aby się lepiej poznali. Trudno...

Gdy godzinę później Sam wrócił do domu, Molly była już ubrana i gotowa do wyjścia.

- Zajedziemy najpierw do sklepu. Muszę kupić parę rzeczy - oznajmił, jak gdyby formalności przedślubne mieli załatwić jedynie przy okazji.

Zamknął za nią drzwi samochodu i ledwie zdążyła zapiąć pasy, ruszył ostro przed siebie, wzniecając spod kół chmurę pyłu. Śpieszył się tak bardzo, jak gdyby chciał mieć ten „kłopot” jak najszybciej z głowy. Przez dziury i koleiny przejeżdżał z szybkością, która z pewnością nie była bezpieczna, raz po raz naciskał na hamulce, potem znów przyśpieszał i ścigał się z wiatrem.

- Zatrzymaj się! - poleciła Molly, tuż przed wyjazdem na główną drogę.

Sam posłusznie wcisnął hamulec.

- O co chodzi? - zapytał ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

- Zwolnij trochę. Dlaczego jesteś taki wściekły?

- Nie jestem.

- To dlaczego pędzisz jak wariat?

Milczał przez chwilę, potem skrzywił się i odpowiedział:

- Nie mam czasu. Trzeba załatwić to jak najszybciej, a potem wracać do roboty.

Molly poczuła, że za chwilę się rozpłacze. Powstrzymała łzy ostatkiem sił i oznajmiła słabym, łamiącym się głosem:

- Zdaję sobie sprawę, że nie jesteśmy zakochani. Chciałabym jednak... żebyśmy traktowali ten ślub jako coś więcej niż tylko interes. Nie musisz być taki... bezduszny.

Sam poruszył się niespokojnie w fotelu, jednak ona nie widziała tego, bowiem ukryła twarz w dłoniach, by nie widział jej wilgotnych oczu, a potem dokończyła:

- Ślub to jednak nie to samo, co sprzedaż krowy. Skoro nalegasz, aby to było prawdziwe małżeństwo... ja też czegoś pragnę.

Powiedziałeś o testach krwi... dobrze, zgadzam się na twój warunek. -

Spojrzała na niego niepewnie. Naprawdę się zgadzała. Była gotowa z nim sypiać, może nie od razu, ale potem, kiedy się lepiej poznają.

Była gotowa zrobić wszystko, aby to małżeństwo zdało egzamin. Nie umiała być tak cyniczna, tak wyrachowana. Jak spójrzałyby w oczy sobie, dziadkowi, swoim dzieciom? - Sama jednak także mam warunek - dodała.

- Jaki?

- Prawdziwy ślub.

- Chcesz prawdziwego ślubu? - zapytał osłupiały.

- Tak.

- Co przez to rozumiesz?

- Sakrament. Ślub w kościele.

- Dobrze - zgodził się, choć nie był chyba zachwycony jej żądaniem. Nie szkodzi. Musi przystać na jej warunki, skoro ona przystała na jego.

- Zgadzasz się więc?

- Tak. - Spojrzał na nią z ukosa. - Możemy już jechać?

- Nie. - Musiała jeszcze powiedzieć mu o Danielu. Chciała, żeby Sam znał prawdę. Przecież będzie jej mężem.

- Nie?

- Myślę, że powinieneś wiedzieć - zacisnęła dłonie - że moje pierwsze małżeństwo nie należało do udanych.

- Domyśliłem się.

- Wiesz coś o ojcu chłopców? Mówili ci?

- Tak - odpowiedział. - Nie wiem tylko, czy o tym właśnie teraz chcesz rozmawiać.

- Daniel siedzi w więzieniu.

Sam milczał. Milczał tak długo, że zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle ją usłyszał.

- Tego mi nie powiedzieli - odparł cicho. - Za co siedzi?

- Za oszustwo. Okradł wielu ludzi z ich pieniędzy. Starszych ludzi, rencistów, emerytów...

- Nieładnie - skrzywił się Sam. - Ile dostał?
- Dużo. To była głośna sprawa.
- Ile?
- Dwadzieścia lat, bez możliwości zwolnienia warunkowego.

Proces ciągnął się miesiącami. Chłopcy bardzo to przeżyli. Adwokat zadawał im kłopotliwe pytania, w szkole wytykano ich palcami.

- Biedne dzieciaki - westchnął.
- Na szczęście to już przeszłość. Pomyślałam jednak, że powinieneś o niej wiedzieć.

- Lepiej się teraz czujesz? - zapytał i spojrzał na nią życzliwiej. - To właśnie na tym tak bardzo ci zależało? Żeby mi powiedzieć o byłym mężu siedzącym w więzieniu?

- Tak.

Sam ruszył powoli i prowadził już spokojnie, lecz w dalszym ciągu milczał, podobnie jak Molly. Dwukrotnie przyłapała go na tym, że przygląda się jej uważnie. Uśmiechnęła się doń, pragnąc, by atmosfera w szoferce choć trochę się ociepliła, jednak mimo jej wysiłków Sam nie sprawiał wrażenia rozluźnionego. Co więcej, stracił gdzieś niedawną pewność siebie i swoje zimne opanowanie.

Kiedy zbliżali się do miasta, zwolnił znacznie poniżej dozwolonej prędkości i zaczął zachowywać się tak, jak gdyby miał za dużo wolnego czasu. Zaczął postukiwać palcem o kierownicę, zmarszczył czoło, jakby zastanawiał się nad czymś intensywnie, wreszcie zwrócił twarz w jej stronę i powiedział:

- Zanim to zrobimy, powinniśmy chyba pomówić o mnie.

- Oczywiście - ucieszyła się Molly - chciałam cię nawet o to poprosić, ale skoro sam proponujesz...

- Przez trzydzieści sześć lat żyłem sam - nie pozwolił jej dokończyć.

- Domyśliłam się. To prawie tak jak ja.

- Prowadziłem... nieuporządkowany tryb życia.

- Bardzo nieuporządkowany? - spytała.

- Bardzo. Występowałem na rodeo, byłem dość popularny.

Miałem okazję poznać wiele kobiet i...

- Nie mów mi o tym - przerwała. Nie miała ochoty wysłuchiwać opowieści o kobietach, które kochał i z którymi się kochał. I bez tego miała wystarczająco dużo wątpliwości odnośnie ich przyszłego małżeństwa.

- Nie chcesz słuchać. - Pokiwał głową.

- Nie.

- Ale jest kilka spraw, o których powinnaś wiedzieć; spraw, przez które możesz zmienić zdanie. Trudno byłoby mnie nazwać świętym...

- Mnie również.

- Jednak ja ani trochę nie jestem dumny z mojej przeszłości. Ty wychowałaś dzieci, ja natomiast... Mi nie zostało nic z tych trzydziestu paru lat.

- Na pewno przesadzasz.

- Nie, naprawdę nic. Uważam... że moja przyszła żona ma prawo wiedzieć, w co się pakuje.

- Posłuchaj, Sam, nasza sytuacja jest na tyle wyjątkowa, że twoja przeszłość nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

- Też tak myślałem, ale teraz... po tej rozmowie... Molly spojrzała na niego uważnie. Rzeczywiście był przejęty, zrobiło jej się go nawet żal, taki był blady, sztywny i nieruchomy.

- Dobrze, powiedzmy sobie wszystko - zebrała w sobie odwagę - jesteś śmiertelnie chory? A może masz jakieś dzieci na utrzymaniu i musisz płacić alimenty? Albo kochankę, która cię szantażuje?

- Nie - uśmiechnął się, widząc, jak bardzo stara się być otwarta i szczerą. - Jestem zdrowy, zrobiłem wiele badań i wiem, że nie mam AIDS, jeśli o to chciałaś zapytać. O ile wiem, nie mam też żadnych dzieci, a kochanki... stałej kochanki... nigdy nie miałem. Jednak moja przeszłość...

- Niech pozostanie przeszłością - dokończyła za niego. - Zaczniemy z czystym kontem, dobrze? To, co zdarzyło się w przeszłości, nie będzie mieć żadnego wpływu na naszą przyszłość. Odpowiada ci ta zasada?

Sam długo milczał, zanim usłyszała jego odpowiedź:

- Tak, odpowiada. Jesteś pewna, że wolisz nie wiedzieć?

- Najzupełniej - uśmiechnęła się do niego, choć jeszcze tak niedawno chciała wiedzieć o nim wszystko. Teraz jednak przestraszyła się poważnego tonu Sama, przestraszyła tego, co mogłaby usłyszeć w trakcie spowiedzi, którą najwyraźniej zamierzał przeprowadzić w jej obecności, i dobrowolnie zrzekła się tej wiedzy. Może jednak nie warto zrzekać się wszystkiego? - O wielu sprawach z

twojego życia, chciałabym usłyszeć - dodała. - O rodzinie, o dzieciństwie, może o rodeo, albo o tym, co robiłeś później. Ale jeżeli z jakiegoś powodu wolisz zachować coś dla siebie, nie musisz mi o tym mówić.

Dotknął jej ręki, przesunął niepewnie palcami po nadgarstku, a następnie ścisnął mocno jej drobną dłoń.

- Będę dobrym mężem, Molly - powiedział. - Rozumiem, że okoliczności nie są sprzyjające, ale jeśli oboje się postaramy, to nasze małżeństwo nie musi być nieszczęśliwe.

Trzy dni później, o godzinie piątej po południu, Sam i Molly stanęli przed obliczem Wielebnego Pastora Ackerby z Kościoła Baptistów w Sweetgrass. W uroczystości uczestniczyli prócz państwa młodych Tom, Clay, Walt oraz żona pastora, pani Ackerby, która wraz z Waltem tworzyła parę świadków.

Molly miała na sobie długą suknię w delikatnym odcieniu różu, z ozdobnymi guzikami i szerokim paskiem. Biżuterię stanowiła gustowna kamea, która niegdyś należała do jej babki, oraz kolczyki z perłami. Świeżo podcięte, rude włosy zawijały się na jej karku, z przodu natomiast były szesane na bok i zebrane cieniutką spinką. Sam nigdy wcześniej nie widział jej tak eleganckiej, tak pięknej i tak pełnej wdzięku. Nie skomentował jej wyglądu, widać jednak było, że jest dumny z żony i że cieszy się, iż panna młoda tak poważnie podeszła do ceremonii. To dobrze wróżyło ich małżeństwu.

Źle wróżyło co innego - to, że Molly nie wiedziała o jego pobycie w więzieniu. Kiedy zaproponowała, by nie mówił jej o tym,

co dla niego niewygodne, Sam poczuł ulgę. Rzeczywiście, wolał nie mówić. Bał się, że jeśli Molly pozna prawdę, nie zgodzi się za niego wyjść. Teraz jednak dręczyły go wyrzuty sumienia.

Dla uspokojenia powtarzał sobie, że pewnego dnia opowie jej o swej niechlubnej przeszłości, nawet jeśli nie będzie chciała go słuchać. Pewnego dnia - na pewno nie teraz. Kiedy poznają się lepiej, przyzwyczają do siebie; kiedy Molly będzie w stanie zrozumieć, że między dawnym a obecnym Samem Dakotą nie ma żadnych podobieństw.

Czy jednak kiedykolwiek on i Molly zbliżą się do siebie na tyle, by nie mieć przed sobą żadnych tajemnic? Sam karmił się taką nadzieją, wiedział wszakże, że może się zawieść. Oboje zgodzili się na małżeństwo, oboje pragnęli, by było udane, jednak naiwnością byłoby twierdzić, że prędzej czy później rozkwitnie między nimi wielkie uczucie. Molly zgodziła się na ślub, bo chciała ratować ranczo; on pragnął zabezpieczyć swoją przyszłość. Wciąż było między nimi więcej rezerwy niż bliskości, więcej podejrzliwości niż zaufania. Czy to jest mocny fundament dla małżeńskiego szczęścia? Na pewno nie.

Spojrzał na stojącą obok niego kobietę i uśmiechnął się lekko, widząc jej skupioną twarz. Starła się, bardzo się starała. Chciała, by wszystko - ślub, przysięga, ich stroje - wyglądało „poważnie” i uroczyście. Do licha, powinien uszanować jej potrzeby i nie zaprzętać sobie głowy wątpliwościami, przynajmniej w takiej chwili. W końcu znał Molly na tyle dobrze, by wiedzieć, że uwaga, którą

przywiązywała do należytej oprawy uroczystości, nie wynika z jej próżności. Molly była osobą odpowiedzialną, traktowała swoje obowiązki serio. To, że ma być jego żoną, uznała za kolejny obowiązek do wypełnienia i najwyraźniej zamierzała wypełnić go jak najlepiej. Powinien być jej za to wdzięczny.

Kiedy więc nadszedł czas na złożenie małżeńskiej przysięgi, Sam mówił głosem donośnym i pewnym. Wypowiedane słowa - że będzie wierny, uczciwy, wytrwały - płynęły z głębi jego serca. To, że ślubował też miłość, uznał za konieczność wynikającą z takiej, a nie innej treści przysięgi, by jednak być w porządku wobec własnego sumienia, w którym nie było pragnienia miłości, dodał w duchu kilka własnych obietnic - że zawsze będzie chronił Walta, że chłopcy będą dla niego synami, że póki żyje ich nie opuści i postara się, by nie zostali bez wsparcia po jego śmierci.

Zabrzmiało to wszystko bardzo poważnie, zapewne tak jak chciała Molly, ale też Sam nie zamierzał lekko traktować danego słowa. Wystarczy już tej lekkości w jego życiu, braku zobowiązań i romantycznej samotności. Po trzydziestu sześciu latach czas wreszcie stać się mężczyzną, prawdziwym mężczyzną, który bierze odpowiedzialność za rodzinę i któremu zależy nie tylko na sobie, lecz przede wszystkim na szczęściu najbliższych. Bliski był mu Walt, bliscy byli chłopcy; Sam chciał, by i Molly stała się częścią jego życia.

Molly również złożyła małżeńską przysięgę głosem silnym i pewnym. Podziwiał ją za tę jej odwagę. Oto odważyła się porzucić

wygodne życie w wielkim mieście i przyjechać do Montany, odważyła się poślubić go i dzielić z nim zmartwienia i troski w walce o ranczo. Zrobiła to z miłości. Tak, z miłości - kochała dziadka, kochała swoje dzieci i z całych sił starała się być dobrą matką i wnuczką. Oni chcieli tego małżeństwa, potrzebowało go ranczo - więc Molly poświęciła się i została żoną Sama Dakoty.

Z początku nie był skłonny widzieć w tej ich wspólnie podjętej decyzji ani odrobiny romantyzmu. Teraz jednak Sam dostrzegł szczególne piękno, trudne piękno, zawarte w heroicznym geście tej kobiety. Do licha, takie właśnie jest życie. Nie wszystko jest w nim proste i oczywiste, nie wszystko układa się jak w romansie - on ją kocha, ona kocha jego, oboje nie mają żadnych wątpliwości. Jego matka była nastolatką, kiedy on przyszedł na świat. Czy było jej łatwo? Na pewno nie. A jednak dała miłość dziecku, które z pewnością skomplikowało jej życie. A jej mąż, Michael Dakota, który adoptował Sama i traktował jak rodzzonego syna? On też mógłby powiedzieć, że marzył o czym innym, a jednak podjął wyzwanie i stał się dla niego prawdziwym ojcem. Tak, w życiu raz świeci słońce, raz pada deszcz - to właśnie jest jego smak, prawdziwy smak.

On też podejmie wyzwanie. Będzie uczciwym mężem, dobrym ojcem. Adoptuje Toma i Claya, jeśli tego zechcą. A gdy wszystko już trochę się ułoży, skontaktuje się z rodziną. To źle, że nic o nim nie wiedzą.

Ceremonia dobiegła końca. Sam i Molly złożyli podpisy na stosownych dokumentach, zaraz po nich uczynili to Walt oraz pani

Ackerby. Rozpromieniony staruszek uściskał dłoń Sama, poinformował, że rozmawiał już z Letsonem, który obiecał zalegalizować małżeństwo także od strony prawa cywilnego a potem zapytał:

- Co z weselną kolacją? Jeśli nic wcześniej nie ustaliliście, zapraszam was do restauracji. Stawiam - dodał, bardzo z siebie zadowolony.

- Co pani na to, pani Dakota? - Sam uśmiechnął się do Molly. Odwzajemniła uśmiech i skinęła lekko głową.

Pani Dakota. Gdy zapytał ją wcześniej, czy nie powinna zachować poprzedniego nazwiska ze względu na synów, Molly odmówiła. Wyjaśniła, że w Montanie panują inne zwyczaje niż w San Francisco, a poza tym nie czuła się w jakikolwiek sposób związana z byłym mężem, by nazywać się Cogan.

- Wszystkiego najlepszego dla nowożeńców! - powitała ich na progu właścicielka restauracji, co skłoniło Sama do podejrzeń, że zaproszenie Walta wcale nie było spontaniczne i że dużo wcześniej zaplanował tę wizytę. - Na powitanie i szczęśliwy start w nowe życie, spełnijmy toast szampanem! Zdrowie młodej pary!

- Dziękujemy - wymamrotała Molly, zdejmując z tacy napełniony kieliszek, i popatrzyła spłoszona na Sama.

Sam wzruszył tylko ramionami, potem zaś, kiedy po toaście zajęli honorowe miejsca przy stole, zapytał szeptem:

- Skąd oni wiedzą?

- Nie mam pojęcia - odparła i spojrzała na dziadka, który zastukał właśnie widelcem w kieliszek i oznajmił:

- Powiem wam szczerze, zamówiłem dla was wcześniej mały poczęstunek. W końcu nie codziennie się zdarza wydawać za męża wnuczkę.

- Dziadziu... - Molly spojrzała na niego z wyrzutem pomieszanym z wdzięcznością.

- A tak, tak. Zadzwoiłem nawet do rozgłośni, żeby podali przez radio tę radosną nowinę.

- Nie! - jęknęła Molly, a jej policzki przybrały teraz barwę purpury.

- Dlaczego nie? Wszyscy powinni się dowiedzieć.

- To w tym naszym radiu mówią też o ślubach? - Tom z niedowierzaniem pokręcił głową.

- A jakże! Między relacją o cenach wołowiny a informacjami o wyprzedażach - zachichotał dziadek. - Zaraz po bingo - dodał i spojrzał w stronę Claya.

- Wiedziałam, że was tu znajdę! - usłyszeli nagle radosny głos z głębi sali i zaraz potem ujrzeli przy stole podnieconą Ginny Dougherty. - Jak się miewa młoda para?

- Wspaniale - odpowiedział za nowożeńców Walt. - Rozumiem, że próbujesz wprosić się na wesele - zażartował. - Cholerni sąsiedzi, zawsze gotowi napchać brzuch za darmo.

Pstryknął palcami i po chwili kelnerka przyniosła kolejną butelkę szampana. Huknął korek, spieniony płyn polał się do

kieliszków, wzniesiono nowy toast. To tylko przedstawienie, powtarzał sobie Sam, nie przestając uśmiechać się szeroko niczym prawdziwy pan młody na prawdziwym weselu. Kiedy jednak zerknął na Molly i ujrzał błysk w jej oczach, zbeształ się za swój sceptycyzm i postanowił bawić się co najmniej tak, jak Walt.

- Mmm, dobry szampan - mruknął Walt i zerknął na etykietę okiem znawcy. - Skąd to pochodzi?

- I tak nie widzisz bez okularów - przygadała mu Ginny, siadając obok niego na krześle.

- Jak to nie? Widzę, że z Karoliny!

- Z Kalifornii - poprawiła go Ginny i sięgnęła po menu.

- A co za różnica? - zirytował się Walt.

- Spora. Jeśli kiedyś będziesz miał okazję spróbować, jakie wino pija się w Karolinie...

- A dajesz mi spokój! Co za uprzykrzona kobieta!

- Dziadziu! - Molly obrzuciła go karcącym wzrokiem.

- Kiedy to prawda. Nikt jej tu nie zapraszał.

- Ja ją zapraszam.

- Kiedy?

- Właśnie teraz. Przepraszam, Ginny. Dziadek bywa złośliwy, ale...

- Co? - jęknął Walt. - Ty przepraszasz Ginny za moje zachowanie? A kto się wstawiał za tobą przed babką, kiedy wlałaś do beczki po ropie w niedzielnej sukience?

- Dajcie spokój - roześmiała się Ginny. - Przyniosłam wam prezent ślubny.

- O! - ucieszyła się Molly.

- Od Freda i ode mnie...

Sam poczuł zakłopotanie. Drań z niego, idiota! Najpierw dziadek zaprosił ich na weselną kolację, teraz Ginny daje im prezent. Wszyscy potraktowali uroczystość poważnie, tylko nie on. Przecież powinien był kupić coś Molly. Choćby drobiazg, który upewniłby ją, że nie jest dla niego jedynie dodatkiem do ziemi i bydła.

- Uznałam, że ani Walt, ani Sam z pewnością nie będą zawracać sobie głowy miesiącem miodowym - ciągnęła tymczasem Ginny - więc sama postanowiłam się o to zatroszczyć.

Teraz zrobiło mu się jeszcze bardziej głupio. Zwłaszcza kiedy Molly uśmiechnęła się z wyraźnym zakłopotaniem i oznajmiła, że „wspólnie z mężem postanowili odłożyć tę kwestię na później, kiedy pracy na ranchu będzie mniej”. Do licha, oczywiście, że nic takiego nie ustalali. W ogóle nie poruszyli tematu miesiąca miodowego, a winę za to ponosił wyłącznie on. Był w końcu jej mężem, żonatym mężczyzną, powinien myśleć nie tylko o ranchu i krowach. Czy nie stać go było na jakiś drobny romantyczny gest?

- Wiem, że macie dużo pracy - mówiła Ginny. - Dlatego też otrzymacie od nas namiastkę miesiąca miodowego.

- Sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyjęła z uśmiechem niewielki kluczyk. Okręciła go kilkakrotnie wokół palca, po czym podała Samowi z tajemniczą miną.

- Co to jest? - zapytał.

- Klucz do pokoju hotelowego - wyjaśniła. - Zarezerwowałam najlepszy apartament. Będziecie mieli dla siebie chwilę intymności. No, powiedzmy, że więcej niż chwilę - całą noc w królewskim łożu ze śniadaniem podanym do łóżka na srebrnej tacy.

- Nie zamierzałem nakręcić wideo z ich nocy poślubnej, jeśli o to ci chodziło. - Dziadzia popatrzył z przekąsem na sąsiadkę.

- Dziadziu!

- Dobrze, już dobrze - mruknął.

- A jeśli chodzi o wideo - odcięła się Ginny - to tylko ty mogłeś mieć taki pomysł, Walt Czy naprawdę nie wiesz, czym młoda para zajmuje się w sypialni?

Molly dostrzegła na sobie spojrzenie Sama i natychmiast opuściła wzrok. Przypomniała mu się rozmowa w kabinie samochodu, kiedy to jego obecna żona powiedziała, że zgadza się dzielić z nim łożo. Czy teraz bała się nocy poślubnej? Nie zdziwiłby się, gdyby tak było. On też nie był wolny od obaw. Już od tak dawna nie kochał się z kobietą.

Na szczęście kelnerka przyniosła półmisek z przekąskami i temat nocy poślubnej sam się rozplynął. Wyglodniali biesiadnicy rzucili się na tartinki z krewetkami i łososiem, szybko pochłaniając jedną po drugiej. Walt i Sam narzekali na nikczemnie małe rozmiary kanapeczek, za to chłopcom odpowiadał taki rozmiar, szczególnie zaś wykwintny smak tych przysmaków.

- Ale dobre - mruknął Tom.

- Nooo, zawsze lubiłem łososa. Dziadziu, czy możemy na drugie danie zamówić homara? - zapytał Clay, kiedy na stole został jedynie pusty półmisek.

- Nie dzisiaj - odparł dziadek. - Zamówisz go, kiedy Sam będzie stawiał, nie ja.

- Ale ja nic innego nie lubię. - Clay zamknął kartę dań.

- Na pewno coś się znajdzie - odezwała się Molly.

- No dobra, ostatecznie może być ciasto czekoladowe i placek z wiśniami.

- Deser po przystawkach? - zdziwił się Sam.

- Strasznie lubię placek z wiśniami, mogę?

- Czemu nie?

- Oczywiście że nie! - odparła w tej samej chwili Molly.

- To w końcu jak? Mogę zamówić deser czy nie? - Clay spojrzał na nowożeńców ze zdezorientowaną miną.

- Raczej nie - odpowiedział szybko Sam. — Mama wie lepiej.

- To znaczy - wpadła mu w słowo Molly. - Jeden raz nie powinien ci zaszkodzić...

Spojrzeli po sobie znacząco i po chwili obydwójce wybuchnęli śmiechem. Wkrótce na stole pojawiły się główne dania. Dziadek zamówił kolejną butelkę szampana i wzniosł kolejny toast. Życzył młodej parze równie udanego i szczęśliwego małżeństwa, co jego własne, a Molly, która słuchała z przejęciem jego słów, raz po raz ocierała ukradkiem łzy. Sam miał nadzieję, że są to łzy wzruszenia.

Nie tylko Ginny przyszła złożyć im gratulacje. Do stolika podchodzili nieznajomi mężczyźni, aby uścisnąć rękę Sama i życzyć mu wszystkiego dobrego. Wheatonowie mieszkali w Sweetgrass od pokoleń i ślub dziedziczki rodu z pewnością był lokalnym wydarzeniem. Sam życzliwie przyjmował okazaną mu sympatię. Teraz nie był już obcym, człowiekiem bez korzeni. Stał się częścią wspólnoty i miał nadzieję, że ludzie zaczną patrzeć na niego w inny sposób. W końcu zamierzał pozostać tu na stałe, mieszkać wśród nich.

Gdy wrócili na ranczo, było dobrze po dziewiątej. Sam szybko zmienił garnitur i krawat na wygodne dżinsy i koszulę. Postanowił, że przeniesie swoje rzeczy z domku zarządcy do sypialni nowo poślubionej żony następnego dnia rano. Teraz miały mu wystarczyć przybory do golenia oraz parę osobistych drobiazgów. W końcu tę noc mieli spędzić w hotelu, w królewskim łóżu.

Wrzucił do samochodu swój niewielki bagaż, po czym poszedł po Molly. Była już gotowa, trzymała w ręku niewielką walizeczkę i patrzyła w zamyśleniu przez okno. Gdy ujrzała Sama, podeszła do dziadka, a ten uścisnął ją na pożegnanie. Przytuliła się do niego mocniej niż zwykle, wyszeptała mu coś do ucha i dopiero wówczas odważyła się spojrzeć na męża.

Pożegnanie z dziećmi także zajęło jej trochę czasu, jednak Sam czekał cierpliwie i nie próbował jej ponaglać. W końcu zasiedli w milczeniu w samochodzie i wyjechali z rancza na drogę.

Milczeli i nie patrzyli na siebie. Sam miał ochotę przerwać to kłopotliwe milczenie, lecz nie wiedział, w jaki sposób rozpocząć

rozmowę. Przecież i jego, i jej myśli krążyły wokół jednego tematu. Mówienie o czymkolwiek innym niż noc poślubna byłoby wysilone i sztuczne.

Kiedy zbliżali się do miasta, zwolnił nieco, by nie przekroczyć dozwolonej prędkości. Na wszelki wypadek. Wolał nie oglądać zadowolonej gęby Maynarda, który z radością pakuje go za kratki w noc poślubną.

Hotel znajdował się kilka kilometrów za miasteczkiem. Neon był stary, litera „W” w fantazyjnie ułożonym napisie „Wolne pokoje” przepalona. Molly zaczekała w furgonetce, a Sam poszedł do recepcji, by załatwić niezbędne formalności.

- Witam - powitał go zza kontuaru Bob Jenkins, kiedy Sam znalazł się w przestronnym holu. - Słyszałem, że należy składać gratulacje.

- Zgadza się - odparł krótko.

- Pokój już czeka, szampan się mrozi.

- Doskonale. Dziękujemy.

- Nie musicie martwić się o sąsiadów. - Jenkins zmrużył znacząco jedno oko. - Ostatnio niewielu mamy gości. Jeśli ktoś się pojawi, umieszczę go w drugim końcu korytarza.

Sam skinął głową, wpisał swoje nazwisko do księgi i pośpieszył do Molly. Siedziała skulona w fotelu i z zaszępią miną słuchała radia, w którym podawano właśnie prognozę pogody - na przemian deszcze i przejaśnienia.

- Chodźmy, wszystko gotowe - odezwał się, starając się, by jego głos brzmiał radośnie i wesoło. - Pokój czeka, szampan się mrozi.

- Już. - Wyłączyła radio i sięgnęła dłonią do klamki.

- Nie denerwujesz się, prawda? - zapytał.

- Nie - odparła szybko. Za szybko, by mógł jej uwierzyć.

- To dobrze.

- Ładny mamy pokój?

- Jeszcze nie wiem. Zaraz zobaczymy.

- Sam?

- Tak? - Zatrzymał się przed wejściem do hotelu.

- A może... nie będziemy się dzisiaj kochać?

- Dlaczego?

- Jeszcze nie dziś. Ledwie się znamy...

- Jesteśmy małżeństwem, Molly - powiedział cicho. -Ja obiecałem, że będę dobrym mężem...

- No właśnie - przerwała, nie patrząc mu w oczy.

- A ty obiecałaś, że zostaniesz moją żoną w pełnym tego słowa znaczeniu - dokończył. - Wiem, że zgodziłaś się... bez entuzjazmu. Ale nie wyobrażam sobie, żeby nasze małżeństwo miało być niepełne.

- Tak, wiem - westchnęła. - Myślałam tylko... wierzyłam... że zrozumiesz. Chciałam, żebyśmy się najpierw oswoili.

- Jesteśmy małżeństwem, Molly - powtórzył z naciskiem. - Zamierzam kochać się z moją żoną w noc poślubną.

- Niezależnie od tego, co ona czuje?

- Dlaczego mamy zakładać, że będzie źle? Podniosła na niego zmieszany wzrok.

- Przecież sam mówiłeś, że mnie nie kochasz.

- Ale... - zawahał się, przełknął ślinę - ale cię pragnę, Molly. Lubię i szanuję. Ty też mnie pragniesz, wiem o tym. Czy to nie wystarczy?

Molly spuściła wzrok.

- Nie - wyszeptała.

Scandalous

Rozdział jedenasty

Pearl zastanawiała się czasem, na ile popularność jej zawodu zależy od żon, które odmawiają rozkoszy swoim mężom. Klienci, którzy ją odwiedzali, opowiadali najczęściej, że korzystają z jej usług, bowiem szanowna małżonka skarży się nieustannie na „migreny” i odmawia czynienia małżeńskiej powinności.

Czy mówili prawdę? Zapewne tak, co najmniej połowa spośród nich wolałaby zostać w domu, gdyby tylko żona tego czy innego częściej zgadzała się na seks.

Mężczyzna przy barze był doskonałą ilustracją tej tezy. Wyglądał, jak gdyby lada chwila miał rozplakać się do swojego kufla z piwem. Jako profesjonalistka Pearl potrafiła bezbłędnie odczytać wszystkie znaki - złota obrączka, nieogolone policzki, zaczerwienione oczy. Scenariusz wyglądał zazwyczaj podobnie: pokłócili się, on trzasnął drzwiami, poszedł pić i nie wrócił na noc. Niejeden taki odwiedził Pearl, by „się pocieszyć” i wyplakać przed nią swoje żale. Gotowi byli nawet płacić, byle znaleźć odrobinę zrozumienia i czułości, choćby nawet udawanej, fałszywej. Byli też i tacy, którzy wpadali rozzłoszczeni do mieszkania prostytutki i na niej próbowali wyładować swą wściekłość. Takich jednak starała się unikać.

Ech, gdyby tak któryś z nich spróbował wykonać jakiś gest, nawet drobny, świadczący o woli pojednania; gdyby ta czy inna żona

zdobyła się na odrobinę dystansu i życzliwiej spojrzała na mężowskie fanaberie - mniej byłoby rozwodów i klientów domów publicznych.

Trudno jej było powiedzieć, czy kowboj siedzący przy barze jest z kategorii tych, którzy się mażą, czy też rzucają o ścianę krzesłami.

Podeszła do niego, usiadła na stołku przy barze i powiedziała wyćwiczonym głosem:

- Witaj, kochanie. Widzę, że dokucza ci samotność. Zignorował ją, lecz ona była przyzwyczajona do tego rodzaju reakcji. Wiedziała, jak dalej prowadzić rozmowę.

- Może chciałbyś po prostu pogadać? Milczenie.

- Nie pozwolisz sobie pomóc, kochanie? Znów brak reakcji.

- Al, daj jedną Krwawą Mary. - Skinęła do barmana, który mrugnął do niej konspiracyjnie. Wiedział, że w drinku ma nie być wódki. - Kłopoty w domu, kowboju? - zapytała łagodnie nieznanego.

Zerknął w jej kierunku - dobry znak. Uśmiechnęła się zachęcająco i dyskretnie upewniła, czy mężczyzna patrzy na jej atuty z właściwej perspektywy. Szybko dokończył swoje piwo, gdy zaś odstawił szklanę, Pearl spostrzegła, że drżą mu ręce. Kolejny dobry znak. Była pewna, że małżeńska kłótnia dotyczyła seksu i że facet jest napalony. Czują niemal bijący od niego żar.

- Chcesz o tym pogadać? - zapytała i powolutku polizała kolorową słomkę.

- Nie.

- A może coś z tym zrobić? - Położyła mu lekko dłoń na ramieniu.

Teraz przyglądał się jej zupełnie otwarcie. Znow polizała słomkę, a potem wciągnęła do ust odrobinę soku. Kowboj zeszywniał, czuła, jak napinają mu się mięśnie ramion i była pewna, że zaczyna mu się robić ciasno w kroku.

- Nazywam się Pearl - szepnęła. - Nikt nie zajmie się tobą lepiej.

Mężczyzna zamknął oczy i odetchnął głęboko. Bitwa wygrana, pomyślała i uśmiechnęła się do siebie, jednak kowboj ku jej zdumieniu wstał, położył pieniądze na barze i zaczął zbierać się do wyjścia. Zrobił dwa czy trzy kroki, zawahał się jeszcze, lecz zaraz znow zaczął się oddalać.

Zachęcił ją ten moment wahania. Domyśliła się, że jego opór słabnie, więc wyszła za nim na zewnątrz. Znow uśmiechnęła się do siebie. To nie potrwa długo. Tacy jak on gotowi byli do finiszu, zanim ściągnęli spodnie.

- Mieszkam za rogiem - powiedziała, zrównawszy z nim krok.

- Nie jestem zainteresowany.

- Jesteś, przecież widzę. A ja jestem dobra, kochanie, naprawdę dobra. Przy mnie zapomnisz o kłopotach. Pearl wie, jak cię pocieszyć.

- Jak dobra jesteś, Pearl? - zapytał nieoczekiwanie, kładąc dłoń na kłance zaparkowanego przy chodniku samochodu.

Często zadawano jej to pytanie. Zmrużyła oczy i przesunęła opuszką palca po jego koszuli.

- Najlepsza. Nie będziesz żałował, mój kowboju. Roześmiał się krótko, nieprzyjemnie.

- Mmm, będzie nam słodko - szepnęła. - Pearl lubi to robić z takimi przystojniakami.

Mężczyzna przetarł twarz drżącą dłonią.

- Chciałem spytać... czy jesteś wystarczająco dobra, żeby zadowolić pana młodego w noc poślubną? - zapytał.

Słyszała już w życiu różne kawały, ale to było coś nowego.

- Jasne, skarbie, cokolwiek sobie zażyczysz. - Dotknęła palcem klamry jego paska. - Pearl ukoj twój ból, kochanie.

Objęła go w pasie i przycisnęła do siebie, by mógł poczuć zapach jej perfum i dotyk pełnych piersi.

- Przykro mi - westchnął, kładąc dłonie na jej ramionach i odsuwając ją od siebie. - Naprawdę nie jestem zainteresowany.

Pearl nie była na niego zła. Już prędzej poruszona szczerym żalem, jaki słyszała w jego głosie. Znała takich i szanowała. Mieli cholerną ochotę na dobry seks z kuszącą ich profesjonalistką i nie wypierali się tego przed nią - ale zarazem wzbraniali się przed zdradą i umieli zachować lojalność wobec żony czy partnerki. Zanim Pearl poznała Russella, nie miała pojęcia, że człowiek zdolny jest do takich zachowań, że dla kogoś może zrezygnować z rozkoszy.

Z drugiej strony, jej fach nie lubił takich sentymentów. Zapewniała swoim klientom pewnego typu usługi i powinno jej było zależeć, by faceci przychodzili do niej i zdradzali swoje żony. Ba, jeśli przychodzili regularnie, dawała im nawet specjalne zniżki. Monroe

wprawdzie o tym nie wiedział, ale bez takiej zachęty niektórych klientów pewnie już by straciła.

Chciała, by ten kowboj przychodził do niej regularnie. Gdyby raz z nią poszedł, potrafiłaby go przekonać, że warto wrócić, była tego najzupełniej pewna. Zawahała się jednak, widząc ból w jego oczach. To było prawdziwe cierpienie, głębokie, gnieźdzące się w najdalszych zakątkach serca, a nie chwilowa frustracja zawiedzionego mężulka. Przygodny seks nie spłynąłby po nim jak po kacze, ale stał się przyczyną kolejnego zawodu, stresu, wyrzutu sumienia.

- Kochasz ją? - zapytała cicho, zaskoczona, że odważyła się zadać to pytanie.

Uśmiechnął się smutno pod nosem.

- Chyba tak. Inaczej bylibyśmy już u ciebie.

- No to wracaj do niej. Pokręcił powoli głową.

- Ona nie chce, żebym jej dotykał.

- W ogóle?

- Ani trochę.

- Posłuchaj - Pearl pokiwała głową - nie jestem psychologiem, ale o ludziach trochę wiem. Skoro za ciebie wyszła, to na pewno...

- To nie jest zwyczajne małżeństwo.

- A które jest zwyczajne? - Pearl delikatnie ujęła go pod ramię. - Słuchaj, kowboju, nie interesuje mnie, dlaczego się pobraliście. Jeśli powiedziała „tak”, to cię pragnie, a w każdym razie dopuszcza myśl, że moglibyście pójść do łóżka. Choćby po to, żeby były dzieci.

- Twierdzi, że nie.

- Powiem ci coś: idź do niej i jeszcze raz z nią pogadaj. A jeśli nie załatwicie tego między sobą, wróć do mnie. Dam ci ulgową cenę.

Roześmiał się cicho, zaraz jednak spoważniał i zapytał:

- Mam wrócić?

- Oczywiście.

- No dobra - westchnął ciężko, otworzył samochód i usiadł za kierownicą. - Wątpię, czy to coś da, ale dzięki za dobre słowo.

- Nie ma sprawy - odparła, a potem patrzyła, jak jej niedoszły klient odjeżdża w noc.

Nie powinna była się cieszyć, że go straciła, a jednak była zadowolona. To zaś pozwoliło jej zrozumieć, że nie jest już w stanie żyć tak, jak dotychczas. Coś w niej się przesiliło, uległo zasadniczej zmianie. Coraz trudniej przychodziło jej grać rolę dziwki, wdzięczyc się do klientów, namawiać ich do grzechu. Tak, do grzechu - to co robiła, z pewnością nie było dobre.

Russell namawiał ją, by za niego wyszła. Chciała być jego żoną, przecież to miłość do niego tak ją odmieniła. A jednak nie mogła się zgodzić. Russell nie wiedział, w co jest uwikłana. Nie rozumiał, że jeśli zobaczą ich razem, on również znajdzie się w niebezpieczeństwie. W śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Lód w wiaderku z szampanem już dawno się rozpuścił. Molly siedziała na skraju łóżka i patrzyła w ciemne niebo za szybą. Nie była bardziej nieszczęśliwa od czasów rozvodu.

Przez ostatnie kilka dni zdążyła się przyzwycząić do myśli, że poślubi Sama Dakotę, nawet zaczęła się cieszyć z tego powodu.

Jednakże tego wieczoru opadły ją wątpliwości. Nie zastanawiała się wcześniej, co będzie, kiedy znajdą się sam na sam w hotelowym pokoju. Miała nadzieję, że tę pierwszą noc spędzą na ranczu. Skoro jednak Ginny i Fred uparli się podarować im noc w królewskim łożu, Molly nie mogła odmówić.

Stchórzyła. Przestraszyła się...

Czego? Mężczyzny, którego poślubiła? Siebie samej? Bólu? Wstydu? Swojej reakcji, nad którą nie umiałaby zapanować?

Bała się wszystkiego i dlatego odepchnęła Sama, kiedy próbował ją przytulić. Zaczęła panikować, jeszcze zanim dotarli do hotelu. Sam przypomniał jej złożoną obietnicę, ona pokiwała głową - a potem wybuchła kłótnia. Nie pamiętała wszystkiego, co powiedziała, w każdym razie żałowała swoich słów. Sam wypadł z pokoju, wyszedł na parking przed hotelem i odjechał z piskiem opon.

Martwiła się o niego. Martwiła się o ich małżeństwo. Czuła się przygnębiona, poniżona, pokonana.

Skrzyżowała ramiona i zaczęła chodzić po ciemnym pokoju. Usiłowała sobie wmówić, że nie obchodzi jej, dokąd poszedł Sam, ale przecież to była nieprawda. Sam był jej mężem, a ta noc była ich nocą poślubną. Pierwszy mąż zostawił ją dla innej, drugiego sama do siebie zraziła. To, co Danielowi zajęło cztery lata, Sam zrobił już po czterech godzinach - trzasnął drzwiami i zniknął.

Wiedziała, że z całą pewnością nie uda się jej zasnąć, lecz postanowiła przynajmniej odpocząć. Wśliznęła się pod chłodną kołdrę i przycisnęła poduszkę do piersi. Światła rzucane przez uszkodzony

neon tańczyły smutno na ścianie, na zewnątrz buczał klimatyzator. Musiała jednak usnąć, bowiem nie słyszała, jak ktoś wkłada klucz do zamka, by po chwili otworzyć po cichu drzwi. Dopiero gdy na podłodze zaskrzypiały kroki, Molly uniosła powieki i poderwała się niespokojnie.

- Kto to?

- To ja - usłyszała znajomy głos.

Zaląła ją nagle niespodziewana fala wdzięczności i ulgi. Omal nie wyskoczyła z łóżka i nie rzuciła mu się w ramiona. Powstrzymała się w ostatniej chwili i patrzyła w milczeniu na samotną sylwetkę, stojącą niepewnie pośrodku pokoju.

- Sam? - odezwała się wreszcie.

- Tak?

- Przepraszam. Westchnął w ciemności.

- Ja też.

- Nie dziwię się, że uciekłeś

Przeszedł przez pokój i usiadł obok niej na łóżku.

- Przykro mi, że trafił ci się taki mąż. Nie dziwię się, że nie chciałaś.

- To moja wina.

Odwrócił głowę i popatrzył jej w oczy w rozświetlanym neonowym światłem mroku.

- To moja wina - powtórzyła, widząc jego pytające spojrzenie. - Ja... boję się, Sam.

- Czego?

Cieężko było przyznać się do własnych obaw, ciężko było zdradzić własne słabości. Gdyby ją teraz odrzucił i wyśmiał, nie podniosłaby się z tego.

- Boję się, że znowu zostanę zraniona - wyznała. - Że znowu będę bezbronna i bezradna. Chyba nie miałam pojęcia, jak bardzo się boję, dopóki nie znaleźliśmy się w tym hotelu.

- Teraz też się boisz?

- Teraz trochę mniej - przyznała niepewnie.

Sam uniósł dłoń, jak gdyby chciał dotknąć jej twarzy, ale w ostatniej chwili zawahał się i zrezygnował.

- Chcesz przełamać ten strach? Kiwnęła głową.

- Teraz? Nie będę naciskał, jeśli stwierdzisz, że na to za wcześnie.

- A jeśli ucieknę... dasz mi następną szansę?

- Dam - zapewnił i pochylił się, aby delikatnie dotknąć wargami jej ust.

Molly przymknęła powieki, położyła dłonie na jego szerokich ramionach. To nie Daniel, powtarzała sobie w duchu, lecz Sam. Jej nowy mąż, dobry człowiek. Ożenił się z nią, złożył przysięgę, należeli do siebie...

Nie uciekła. Mało tego, sama zainicjowała kolejny pocałunek. Uklękła na łóżku, zarzuciła ręce na szyję męża i spróbowała śmielszej pieśczoty. Sam westchnął, przygarnął ją mocniej, poczuła, jak robi jej się gorąco. To było przyjemne, bardzo przyjemne.

Kiedy skończyła pocałunek, Sam popatrzył na nią z uśmiechem, po czym zaczął rozpinać powoli koszulę.

- Miała rację - powiedział.

- Kto?

- Poznałem dziś u Williego pewną kobietę.

- W barze?

- Tak. Byłem tam dopiero drugi raz, odkąd przyjechałam do Sweetgrass. Unikam tego miejsca, ale dzisiaj... fatalnie się czułem. W każdym razie rozmawiałem z nią przez chwilę i to ona skłoniła mnie, żebym wrócił.

Kimkolwiek była owa dama, ma u mnie dług wdzięczności, pomyślała Molly.

- To dobrze, że wróciłeś - powiedziała.

- Tak, ja też się cieszę. Nawet nie wiesz, jak bardzo. - Wsunął ostrożnie palce między jej włosy. - Potrzebuję cię, Molly. Wiem, że to wszystko jest inne niż w kobiecych marzeniach, ale zrobię, co będę mógł, byś była szczęśliwa. Połóż się... - Popchnął ją lekko i ułożył na materacu. - Połóż się... żono. Zaraz do ciebie przyjdę.

- Ja... dawno tego nie robiłam - odezwała się nieśmiało, patrząc, jak jej mąż zdejmuje spodnie i wsuwa się obok niej pod kołdrę.

- Ja też. - Przysunął się bliżej. - Ale wiem na pewno, że jak na pannę młodą w noc poślubną masz na sobie stanowczo za dużo ubrań.

Uśmiechnęła się, widząc żartobliwy błysk w jego oku. Tak, powinna się rozluźnić, nie traktować tego tak strasznie poważnie. Wtedy będzie jej łatwiej.

- Tak uważasz? - zapytała, kładąc dłoń na jego torsie.

- Serce mi to podpowiada - odparł i pocałował ją z gwałtowną namiętnością.

Molly zareagowała natychmiast. Jęknęła, jej ciało przeszło rozkoszny spazm, ze zdumieniem spostrzegła, że obawy, które czuła jeszcze przed chwilą, rozproszyły się nagle pod wpływem tej dzikiej pasji, z jaką całował ją Sam. Był niecierpliwy, wygłodniały, napięty. Jego ręce błędziły gorączkowo po jej ciele, a ona poddawała się im, czując, jak narasta w niej pożądanie.

Ona też była głodna jego dotyku. Jej ciało, zmysły wiedziało o tym od dawna, jednak Molly tłumiała w sobie to pragnienie. Teraz z uwielbieniem przesuwała palcami po szerokim torsie męża, gładziła jego gładką skórę, napawała się siłą ramion. Całowała go i oddawała pocałunki. Jęczała, kiedy zagarniał dłońmi jej pełne piersi, wiła się, gdy badał językiem najczulsze miejsca, przyciągała go ku sobie, gdy odsuwał się co jakiś czas, by nasycić wzrok widokiem jej odmienionej rozkoszą twarzy, a potem opaść na nią z jeszcze większym zapamiętaniem.

Kiedy znalazł się wreszcie na niej, wygięła ciało w łuk, aby przyjąć go jak najgościnniej.

- Molly... - wyszeptał, zatopiwszy zamglony wzrok w jej szeroko otwartych źrenicach. Na jego czole dojrzała kropelki potu i uniosła głowę, by sięgnąć po nie wargami, jednak właśnie wtedy poczuła kolejny przeszywający ją spazm. Sam wypełnił ją sobą, odczekał kilka

chwil, a potem zaczął poruszać się w niej, prowadząc ją szybko ku ostatecznej rozkoszy.

Długo nie mogli uspokoić przyśpieszonych oddechów. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, bo też żadne nie miało słów, które zdolne, by były wyrazić to radosne zaskoczenie, jakie przepelniało ich serca. Było im dobrze, cudownie, wspaniale. Ogarnęła ich bezgraniczna błogość i cudowne, ciężkie lenistwo zaspokojenia. Sam pierwszy wyrównał oddech.

- Jak się czujesz? - szepnął i przytulił ją do siebie.

- Cudownie.

- Ja też.

- Chcę być dobrą żoną, Sam. Wiem, że zaczęłam źle, żałuję tego.

- Daj spokój. - Położył palec na jej ustach. - Za nic mnie nie przeprasza, nie trzeba. Obiecuj tylko, że o wszystkim będziemy rozmawiać i że nie będziemy mieć przed sobą tajemnic. To nasza jedyna szansa.

- Postaram się, obiecuję.

Przytuliła się do niego mocno. Choć jeszcze przed kilkoma minutami dręczyła się i martwiła, teraz czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Wiedziała, że to nie miłość tak ją nastraja, a zaledwie udany seks, ale czy nie powinna już wyleczyć się ze swych pensjonarskich złudzeń? Już raz była zakochana, a miłość trwała nawet krócej niż jej małżeństwo. Owszem, zależało jej na Samie, szanowała go, potrzebowała, pragnęła, lecz na pewno nie kochała, Cóż, myślała, miłość jest luksusem. Nie każdy żyje w luksusach.

Dwa tygodnie, które nastąpiły po weselu, Molly skłonna była nazwać najszczęśliwszym okresem w swoim życiu. Chłopcy także byli zadowoleni. Obaj przystosowali się już do zmiany, jaka nastąpiła po przeprowadzce z Kalifornii, cieszyli się z obecności i przyjaźni Sama, a teraz zyskiwali w nim oddanego i kochającego ojczyma. Zwłaszcza Tom zdawał się czerpać korzyści z takiego biegu rzeczy. Wszędzie jeździł z Samem, słuchał go i szanował jego zdanie, a aprobatą ojczyma i jego przywiązanie do chłopca sprawiły prawdziwy cud - z kapryśnego, zbuntowanego i niedojrzałego nastolatka przekształcił się w odpowiedzialnego młodzieńca, zrównoważonego, rozsądnego, a przede wszystkim - zadowolonego z życia.

Clay, jako że był młodszy, trzymał się blisko domu, u boku dziadka i Molly. Całymi dniami tresował swojego pieska, z którym praktycznie się nie rozstawał. Od czasu do czasu pomagał matce w ogrodzie lub w drobnych domowych zajęciach, najczęściej jednak grywał w wolnych chwilach z dziadkiem w karty albo siadywał z nim na werandzie, pracowicie rzeźbiąc swój kawałek drewna i słuchając dziadkowych opowieści.

Dziadek także wydawał się wreszcie szczęśliwy - chociaż jego zdrowie podupadło do tego stopnia, że większość czasu spędzał na swoim fotelu i prawie w ogóle już nie chodził.

A Molly? Cóż, pogodziła się ze swoim losem i tylko czasem przez jej serce przemknął cień wątpliwości. Poza tym jednak miała pełne ręce roboty. Rano wyprawiała męża do pracy, potem pielęła, kopała grządki, podlewała rabaty, prała, gotowała, sprzątała. Gdy zaś

przychodził wieczór, czekała na Sama i Toma, a potem szła z nimi do stajni, by pomóc wyczerpanym po całym dniu pracy mężczyznom. Aż dziw, że po tym wszystkim mieli oboje siły, by cieszyć się sobą w sypialni.

W ciągu tych dwóch tygodni wzajemne pożądanie nie wygasło w nich ani trochę. Kochali się wciąż z tą samą radością i zapamiętaniem, później zaś Sam brał Molly w ramiona i długo rozmawiali. On opowiadał jej o latach spędzonych na rodeo, o wypadku, który zakończył jego karierę; ona wspominała niełatwe lata po rozwodzie i koszmar procesu byłego męża.

- Czy teraz jesteś szczęśliwy? - zapytała go pewnej nocy.

Sam zeszywniał, a ona od razu się domyśliła, czego się przestraszył. Nie chciała, by wyznał jej miłość. Nie o to jej chodziło. Wiedziała, że jeśli ją kocha, powie jej o tym w odpowiednim czasie.

- Nie chcę, żebyś powiedział nic więcej - uspokoiła go szybko. - Tylko „tak” albo „nie”.

- Tak, jestem szczęśliwy - odparł po namyśle, patrząc jej prosto w oczy.

- Ja też - wyszeptała.

- I niczego nie żałujesz?

- Na razie nie - zażartowała.

Innym razem, kiedy rozmawiali o Tomie i Clayu, Molly odważyła się wyznać, że zawsze chciała mieć trójkę dzieci.

- Powiesz mi więcej na ten temat? - zapytał.

- To znaczy?

- No, jak mam rozumieć to, że chciałybyś mieć trójkę dzieci.
- Powiedziałam, że kiedyś chciałam.
- Ale powiedziałaś. O trzecim dziecku.
- Myślę czasem o nim - wzruszyła ramionami. - I o nas...
- Molly - przerwał jej i popatrzył na nią z powagą. - Czyżbyś była...
- Nie - ucięła szybko. - Nie przejmuj się. Doskonale wiedziała, że przy obecnym stanie finansów i nierozwiązanych problemach na ranczu, jeszcze jedno dziecko byłoby tylko dodatkowym kłopotem, wolała więc odłożyć tę rozmowę na później.

Odwróciła się doń plecami i zasnęła. Obudziła się dwie godziny po północy, nie bardzo wiedząc, dlaczego. Za oknem świecił księżyc w pełni, w trawach cykały świerszcze. Molly usiadła na łóżku, tknięta trudnym do wyjaśnienia niepokojem, po chwili obudził się także Sam.

- Co się stało? - zapytał sennym głosem.
- Nie wiem.
- Usłyszałaś coś?
- Nie, tylko... - Wzruszyła ramionami.

Sam usiadł na skraju łóżka i sięgnął szybko po spodnie. Molly zarzuciła na siebie szlafrok i pośpieszyła na dół za mężem. Frontowe drzwi były otwarte, po salonie hulał wiatr. W gorące letnie noce dziadek otwierał czasem drzwi, aby przewietrzyć duszne wnętrza, ta noc była jednak chłodna i nic nie usprawiedliwiało zimnego przeciągu, który podrzucał firankami i zrzucał gazety z biurka.

Łóżko dziadka było puste, więc Molly wyszła na werandę i dopiero tam go znalazła. Dziadek zasnął w swoim bujanym fotelu.

- Dziadziu - powiedziała łagodnie i usiadła obok niego. - Obudź się, chyba idzie burza. Czas do domu.

Wyglądał tak spokojnie, tak łagodnie. Czy rzeczywiście spał, czy też słuchał jej z zamkniętymi powiekami, jak ostatnio mu się to zdarzało?

- Miałaś rację - odezwała się - Sam to dobry człowiek. Kocham go. Wiedziałaś, że tak się stanie, prawda?

Zdawało jej się, że się uśmiechnął. Chciała powiedzieć coś jeszcze, jednak w tym samym momencie na werandzie pojawił się Sam.

- Coś się stało? - usłyszała jego niespokojny głos.

- Nie - odezwała się cicho. - Chyba zasnął w swoim fotelu. Sam nachylił się nad staruszką i delikatnie potrząsnął jej ręką. Po chwili chwycił ją mocniej, uniósł i zbadał puls.

- Sam?

Ułożył dłoń dziadka na oparciu fotela, zamknął oczy. Później ukląkł przed wystraszoną nagle Molly i ujął jej rękę.

- Nie martw się, Molly. - Ucałował jej palce i przycisnął je do ust. - Twój dziadek usnął, ale już się nie zbudzi. Odszedł do nas, poszedł do swojej Molly.

Rozdział dwunasty

Tej nocy Molly już się nie kładła. Nawet nie próbowała zasnąć. Przez cały czas siedziała na werandzie i ścisnęła w dłoniach kameę, którą podarował jej dziadek w dniu pogrzebu babci. Chciała płakać, jednak łzy nie nadchodziły.

Wraz z nadejściem dnia Sam zajął się załatwieniem wszystkich formalności. Pierwszy przyjechał koroner. Porozmawiał krótko z Samem, a następnie zadał jej kilka pytań. Odpowiadała mechanicznie, nie zdołałaby pewnie odtworzyć żadnych szczegółów tej rozmowy. Po kilku godzinach odwiedził ich pan Farley, aby omówić szczegóły pogrzebu. W liście do niego dziadek zostawił szczegółowe instrukcje dotyczące pochówku - nie chciał marnować pieniędzy na niepotrzebne ceremonie, zażyczył więc sobie jedynie skromnej mszy z udziałem najbliższych oraz Ginny, gdyby sobie tego życzyła, a pochować kazał się w prostej trumnie z sosnowych desek.

Najtrudniejsze okazało się przekazanie smutnej informacji chłopcom. Nie budziła ich rano, by mogli spać jak najdłużej, kiedy zaś wreszcie Clay przybiegł jako pierwszy do kuchni i zapytał wesoło, gdzie dziadek, serce Molly ścisnęło się tak boleśnie, że omal nie upadła.

- Mamo, co się dzieje? - zapytał chłopiec, widząc jej zboląłą minę.

- Chodzi o dziadka - odparła. - Odszedł od nas. Umarł w nocy.

Na twarzy Claya pojawił się wyraz niedowierzania.

- Jak to umarł? Kiedy się kładłem, nic mu nie było. Siedzieliśmy razem na werandzie, opowiadał mi o babci.

Molly przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać jej drzenie.

- Przykro mi, kochanie, to prawda.

- Niemożliwe! - protestował Clay. - Sam, ty mi powiedz... - spojrzał na ojczyrna, który zajrzał do kuchni, zaniepokojony jego krzykami - powiedz, że to nieprawda. No, powiedz! Dziadek siedział ze mną na werandzie, o, tam... Opowiadał o babci, o wojnie, o lądowaniu w Normandii... Dziadek nie mógł umrzeć. Przeżył przecież wojnę... - zakończył i popatrzył błagalnie na Sama.

- Przykro mi, synu.

Po tych słowach Clay wybuchnął płaczem. Podszedł do Molly i przywarł do jej ramienia, szlochając tak mocno, że jego drobne ciało trzęsło się konwulsyjnie. Molly otoczyła jego chude ramiona, z trudem powstrzymując łzy, i oparła czoło o jego głowę. Milczała, bowiem żadne słowa nie byłyby w stanie pocieszyć jej syna.

- Co tu się dzieje? - Teraz w kuchni pojawił się Tom. Miał zapuchnięte od snu oczy i zmierzwione włosy. Stanął w progu i popatrzył na Sama pytającym wzrokiem.

Molly powiedziała mu pierwsza, kiedy zaś Tom usłyszał, że dziadek nie żyje, zacisnął tylko wargi i wybiegł z domu. Nie było go godzinę, a gdy wrócił, dołączył do siedzącej na werandzie matki, usiadł w pustym fotelu na biegunach i zapatrzył się bez słowa przed siebie. Molly szukała słów, które mogłyby ukoić jego ból, ale nic nie

przychodziło jej do głowy, milczeli więc oboje, porażeni pustką i ciszą, która zdawała się teraz wyzierać z każdego kąta pozbawionego - gospodarza domu.

- Jestem dumny, że miałem takiego dziadka - odezwał się wreszcie Tom.

Molly położyła dłoń na jego ramieniu i uściśniła je ostrożnie. Wiedziała, że jej syn nie lubi już tych „dziecinnych przytulaniek”, jednak tym razem Tom wstał z fotela i wtulił się mocno w matkę. Wyprostował się po chwili, ocierając łzy wierzchem dłoni, a ona rozplakała się na ten widok i płakała, aż zabrakło jej łez.

Na werandzie spędziła cały dzień. Sam przynosił jej kawę, jakieś kanapki. Molly nie miała ochoty na jedzenie. Z wdzięcznością patrzyła, jak Sam stara się zorganizować chłopcom jakieś zajęcia, aby ona mogła dojść do siebie w samotności. Do wieczora rzeczywiście wrócił jej spokój, choć wciąż trudno jej było uwierzyć, że nie usłyszy więcej znajomego zrzędzenia ukochanego dziadka.

Zastanawiała się, co też robi i gdzie przebywa teraz jego dusza. Dziadek nie był za bardzo religijny, ale wierzył w Boga i poważnie traktował sprawy wiary. Często siadywał wieczorami na werandzie ze zniszczoną Biblią w dłoni i czytał sobie Księgę Psalmów. Pewnego wieczoru, niedługo po wypadku z uszkodzonym ogrodzeniem, gdy spostrzegła, że trzyma w dłoni Pismo Święte, zagadnął do niej:

- Król Dawid wiedział, co to zmartwienia. Pisze, że nie powinniśmy starać się ich zrozumieć, ale ufać Bogu i w nim pokładać nadzieję.

Molly nie bardzo wiedziała, dlaczego jej to powiedział. Był to jedyny raz, kiedy dziadek komentował tekst Biblii.

Pierwsza kolacja bez dziadka przebiegła w ponurym nastroju. Molly przygotowała naprędce olbrzymią misę sałaty i postawiła ją na stole przed milczącymi chłopcami.

- A ty? Czemu nie siadasz, mamó? - zapytał Clay. - Nie będziesz jadła?

- Później, kiedy wróci Sam - odparła, choć wiedziała, że nic nie zechce przejść przez jej gardło. Gdyby zaś nawet zdołała cokolwiek przełknąć, ściśnięty żołądek natychmiast by się zbuntował.

Boże, wiedziała, że dziadek umiera. Nie miała złudzeń co do stanu jego zdrowia i zdawała sobie sprawę, że śmierć jest nieuchronna. Choć jednak starała się na nią przygotować, teraz, kiedy wreszcie przyszła, Molly zupełnie nie mogła się pozbierać. Zaskoczenie i ból było tym większe, że przez ostatnie tygodnie zajmowała się głównie sobą, swoimi problemami. A przecież przyjechała do Montany dla dziadka...

- Lepiej się czujesz, mamó? - zapytał Tom, odnalazłszy ją po kolacji na werandzie.

- Może ci jakoś pomóc? - Po chwili dołączył do niego Clay, poważny i milczący, z nieodłącznym szczeniakiem w ramionach. Boris i Natasza przycupnęli na wycieraczce przed drzwiami, jakby i oni chcieli pożegnać swojego pana.

- Miałam nadzieję, że uda nam się spędzić razem więcej czasu - westchnęła.

- Ja też - pokiwał głową Tom.

- Żałuję, że nie poznaliście go lepiej. To był... wspaniały człowiek.

- Cieszę się, że w ogóle go poznaliśmy.

Spojrzała na syna ze wzruszeniem. Tom wspomniał o tym, co zyskał, nie o tym, co utracił. Choć miał zaledwie czternaście lat, umiał w dojrzały sposób pogodzić się z losem.

- Mnie nauczył rzeźbić i grać w karty - włączył się Clay. - I opowiadał o dawnych czasach, o wojnie, o bohaterach...

- Tak - dodał Tom - wczoraj mówił nam o desancie w Normandii. O żołnierzach, którzy zginęli, zanim zdążyli dotrzeć do lądu, o pływających w wodzie trupach... On też był bohaterem.

- Był. - Molly zacisnęła dłoń na kamei. Przypomniała sobie, że dziadek miał ją ze sobą na wojnie i nazywał swoim amuletem. Podobno miała go chronić przed śmiercią. Kupił ją żonie, potem oddał wnuczce - i umarł.

- Dużo mówił o śmierci - Tom snuł dalej wspomnienia - o tym, że nie ma się czego bać. Raz mi powiedział, że do niektórych śmierć przychodzi jak dobry przyjaciel.

- Jak przyjaciel? - zdziwiła się Molly.

- Tak, dla tych, którzy są w zgodzie z Panem Bogiem, śmierć nie jest straszna - wyjaśnił poważnie Clay. - Tak właśnie powiedział. On chyba był w zgodzie, prawda, mamó?

- Na pewno - odpowiedział za nią Tom. - Wiecie co?

- Popatrzył przed siebie na zachodzące za horyzont słońce.

- On chyba wiedział, że umrze tej nocy. Wczoraj mówił o rzeczach, o których normalnie rzadko opowiadał. O wojnie, ale też o twoim tacie, mamó... No i o babci.

Molly poczuła, że do jej oczu znowu napływają łzy. Nie zamierzała płakać, ale...

- Mamusiu, nie płacz.

- Wiem, Clay. Przepraszam cię, kochanie, ale jakoś... nie mogę się powstrzymać.

- Przecież jesteśmy z tobą.

No właśnie, to było największe pocieszenie. Miała kochane dzieci, miała Sama. Kiedyś obraziła się na dziadka za to, że chciał, by wyszła za zarządcę rancza, teraz była mu wdzięczna, że zgłosił tę propozycję. Gdyby nie Sam, jej rozpacz, pustka i strach byłyby o wiele większe.

Wytarła chusteczką zapłakane oczy.

- Gdyby żył, toby pewnie huknął na nas, że się mażemy

- uśmiechnęła się przez łzy. - „Co to za mazgajstwo, ja wam dam, popaprańce!”

- No... - roześmiał się Tom - dziadek umiał zrobić awanturę. Ale lubiłem go, i to bardzo.

- Ja też - powiedział cicho Clay. - Nigdy nie traktował mnie jak małolata. Nawet jak się myliłem w kartach i płakałem, że przepadła mi wygrana w bingo.

- A wiecie, za co ja go kochałam? - odezwała się Molly.

- Że mnie traktował jak dziecko. Jak własne dziecko. Że umiał być dla mnie ojcem, kiedy zabrakło mojego taty.

Ceremonia pogrzebowa odbyła się trzy dni później. Odprawiono mszę, przeniesiono trumnę na cmentarz, a potem Sam, Molly, Tom, Clay oraz Ginny stanęli w milczeniu nad mogiłą i zmówili zainicjowaną przez pastora modlitwę. Pastor przytulił na chwilę Molly, ucisnął dłonie chłopców, a potem zamienił kilka słów z Samem.

- Będę tęskniła za tym starym draniem - powiedziała Ginny, przykładając do oczu chusteczkę.

- Wszyscy będziemy tęsknić - dodał Sam i objął ramieniem pochlipującą żonę.

- Przez trzydzieści lat byliśmy sąsiadami - ciągnęła Ginny. - Walt i Molly wspierali mnie, kiedy pochowałam Hankę. Może nie zgadzaliśmy się we wszystkim, ale zawsze wiedziałam, że gdybym potrzebowała pomocy, Walt by mi jej nie odmówił. Z kim ja się będę teraz kłócić?

Molly wysunęła się z objęć Sama i otoczyła Ginny ramieniem.

- Ja też będę bez niego strasznie samotna - powiedziała.

- W przyszłym tygodniu chłopcy pójdą do szkoły, więc cały dzień nie będę miała do kogo się odezwać. Może mogłabyś czasem wpaść na herbatę?

Ginny pokiwała głową i przytuliła Molly z wdzięcznością.

- Dziękuję, dziecko. Ja... nigdy nie miałam dzieci. Ale jeśli dane by mi było zostać matką, chciałabym... żeby moja córka była podobna

do ciebie. Muszę już iść. Fred został sam na ranczo. Zostańcie z Bogiem.

Rzuciła na trumnę grudkę ziemi, ucałowała Molly w policzek, po czym pośpieszyła do samochodu, który czekał na nią przy cmentarnej bramie.

Molly również sypnęła do mogiły garstkę piachu, po niej Sam, chłopcy i na końcu pastor.

- Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie... - zaczął ostatnią modlitwę. - Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, lecz ja cię wskreszę w dniu ostatecznym... Amen.

Ukryta w cieniu alejka za barem Williego była teraz zupełnie pusta. Monroe siedział w samochodzie z wygaszonymi światłami i czekał, aż pojawi się Lance. Nie dowierzał temu cwaniakowi, uważał go za chciwego i niebezpiecznego. Lance robił się coraz bardziej niecierpliwy, a przez to coraz bardziej nieprzewidywalny. Grał Monroe'owi na nerwach. Monroe najchętniej by go spławił, ale Burns nawet nie chciał o tym słyszeć.

Drzwi samochodu otworzyły się nagle i Lance usiadł na siedzeniu dla pasażera.

- Co tak się skradasz? - burknął Monroe, zły, że nie dojrzał go pierwszy.

- Zgodnie z przepisami - odparł Lance z wyzywającym uśmiechem.

- Spóźniłeś się. - Demonstracyjnie zerknął na zegarek.

- Tylko pięć minut.

- O pięć za dużo. - Spojrzał na niego nieprzyjaźnie.

Lance był nie tylko cwany, ale też brudny i nieogolony. Jego koszula śmierdziała starym potem, co było dowodem na to, że Lance wrócił właśnie z kolejnego rodeo.

- Rozumiem, że stary już wacha kwiatki od spodu? -zagadnął, nie zrażony chłodnym przyjęciem.

- Od kilku godzin - odparł Monroe.

- Czy twój kuzyn przekonał już tę cipeczkę, żeby sprzedała ziemię?

- Jeszcze nie. Będziemy musieli mocniej nacisnąć.

- Masz jakiś pomysł?

- Ja? - Monroe wydał wargi. - Myślałem, że to ty jesteś od pomysłów. Sprowadziliśmy cię z Idaho, żeby brudną robotą zajął się ktoś obcy. Lojaliści z Montany mają być poza podejrzeniem, jasne?

- Jasne. Muszę tylko wiedzieć, jak daleko wolno mi się posunąć.

Monroe zazgrzytał zębami, starając się pohamować irytację.

- Na razie ani o milimetr - warknął. - Siedź cicho i na razie trzymaj się z daleka od miasteczka. Jak jeszcze raz cię zobaczę, jak się tu szwendasz, to nie dam ci więcej żadnej dziwki!

- Spokojnie, kolego. Nie ma potrzeby się denerwować - mruknął Lance i otworzył drzwi. - Partyjka bilarda i parę piw w barze nie zagrozi naszej organizacji:

Wyszedł na chodnik i odszedł powolnym krokiem w stronę najbliższego zaułka. Monroe patrzył za nim z zaciętą miną, kiedy

nagle w jednej z bram zauważył jakiś podejrzany ruch. Gwałtownie wystrzył wzrok i pokręcił głową ze zdumienia.

Pearl? Cholera jasna, co ona tu robi? Przykucnęła za śmietnikiem, jakby chciała się ukryć, i rozglądała się niepewnie na boki. Może daje komuś po kryjomu, a on z tego nic nie ma?

A to suka! Tej głupiej dziwce należy się nauczka. Już on dopilnuje, żeby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. Będzie błagała go o wybaczenie.

Wyobraził sobie jej wykrzywioną strachem twarz i poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Ostatnio rzadko ją widywał, a ona najwyraźniej zapomniała lekcji, której jej udzielił. Taką robotę cenił sobie najbardziej - pokazywać kobiecie, gdzie jest jej miejsce.

- Kto ci to zrobił? - zapytał Russell na widok posiniaczonej twarzy Pearl. Przepelniał go gniew, z trudem panował nad głosem. Powtarzał sobie w duchu, że ktokolwiek ją pobił, słono za to zapłaci. - Powiedz, kto cię tak urządził.

- Nieważne, Russell...

- Powiedz, do diabła! Mam prawo wiedzieć!

- To tylko kilka sińców.

- Kto?! - wrzasnął ponownie i zacisnął dłonie w pięści. Nigdy dotąd nie zachowywał się przy niej gwałtownie, ale teraz gotów był rzucić się z gołymi rękami na uzbrojonego po zęby przeciwnika, gdyby ten okazał się prześladowcą Pearl.

Wiedział, że coś się stało, kiedy nie zjawiała się jak zawsze w jego domku w niedzielny poranek. Poczekał godzinę, a następnie

wyruszył na poszukiwania. Z początku sądził, że zepsuł się jej po drodze samochód, nie znalazł jej jednak, choć przejechał siedemdziesiąt kilometrów do miasta i z powrotem.

Kiedy wrócił do domku, zauważył, że podczas jego nieobecności ktoś nagrał wiadomość na automatycznej sekretarce. Odsłuchał jej natychmiast - to była Pearl. Wyjaśniła, że nie może przyjechać i że w następną niedzielę najprawdopodobniej również się nie pojawi. Jej głos brzmiał dziwnie, był stłumiony, ciężki, kiedy zaś Russell tknięty złym przeczuciem ponownie odtworzył wiadomość, wiedział już, że Pearl wyrządzono krzywdę.

Nie dbając o swoją reputację, pojechał prosto do jej domu. Początkowo nie chciała go wpuścić, ustąpiła jednak, kiedy narobił hałasu. Gdy tylko ujrzał jej posiniaczoną i zakrwawioną twarz, wziął ją w ramiona i długo nic nie mówił. Później wpadł w wściekłość i zaczął pytać.

- Proszę cię, Russell, wracaj do siebie - prosiła go, ignorując kolejne pytania. - Nic mi nie będzie. Za dwa tygodnie zapomnisz, że coś się stało. Będziemy... będziemy zachowywać się jak dotychczas...

Usiłowała nawet wypchnąć go za drzwi, ale nie pozwolił jej na to.

- Nie wyjdę, dopóki tego nie wyjaśnimy.

Widział, że mówienie sprawia jej ból. Na jej podbite oczy po prostu nie mógł patrzeć. Powinna była pójść do lekarza, może nawet do szpitala.

- Proszę cię, Russell...

- Gdybyś zgodziła się za mnie wyjść, już dawno nie musiałabyś pracować!

- Nie mogę...

- Wyjdź za mnie, słyszysz?

- Nie, nie mogę - powtarzała uparcie.

- Więc i ja nie mogę udawać, że nic się nie stało! Kto cię pobił?

- Przestań. Kręci mi się w głowie od tych pytań. Usiądź...

Siadł posłusznie, ale wciąż nie mógł opanować gniewu. Robiło mu się mdło na myśl o tym, jak bardzo jest w tej chwili bezradny.

- Naprawdę nie ma powodu do paniki - znów zaczęła go przekonywać. - Takie rzeczy zdarzają się w tym zawodzie. Niezbyt to przyjemne, ale czasami trzeba się z tym pogodzić. Ryzyko zawodowe. Gdybyś został w domu, nie musiałbyś się niepokoić.

Westchnął ciężko i wyciągnął dłoń, by pogłaskać ją po włosach. Pearl odsunęła się odruchowo, a wówczas kołnierz jej szlafroka rozchylił się nieznacznie, ukazując sine ślady na szyi i na ramionach. Wyglądały tak, jak gdyby jakiś oszalały klient usiłował ją udusić.

Russell poczuł, jak przeszywa go lodowaty chłód. Chłód nienawiści do jej prześladowcy. Zrozumiał zarazem, że kocha Pearl bardziej niż przypuszczał i że nie chce dłużej żyć w świecie iluzji. Miesiącami odsuwał od siebie myśli dotyczące jej profesji. Łatwiej było ignorować sposób, w jaki Pearl zarabia na życie, niż stawić czoło faktom. Łatwiej było koncentrować się na niedzielnej sielance i udawać, że reszty tygodnia nie ma, niż sprawić, by codziennie mogli być razem.

Wzjął głęboki oddech i spojrzał na nią, na jej siniaki i opuchliznę.

- Weźmiemy ślub. - Tym razem nie prosił, po prostu jej to oznajmił. Nie zamierzał dopuścić do tego, aby jeszcze choć raz ryzykowała życiem.

Pearl odchyliła się i oparła plecami o poduszkę. Wydawała się teraz mniejsza, bardziej krucha. Najpierw podkuliła bosc stopy i schowała je pod szlafrokiem, a potem objęła dłońmi kolana i oparła na nich czoło.

- Słyszałaś?

Uniosła głowę i spojrzała na niego spód oka.

- Słyszałam.

- No i co? - Popatrzył na nią wyczekująco.

- Nic - odparła cicho. - Mężczyźni nie żenią się z takimi kobietami.

- Ja tak.

- Wobec tego ujmę to w inny sposób - odparła nieco głośniejsz. - Kobiety takie jak ja nie wychodzą za mąż.

- Gdzie tak jest powiedziane? Kto ustalił tę zasadę? Nie odpowiedziała, więc zapytał ponownie, z błaganiem

w głosie:

- Pearl...?

- Już to przerabialiśmy - popatrzyła na niego poważnie - więc wiesz, że nie zmienię zdania. Nie mogę.

- Dlaczego nie?! - wybuchnął. - Popatrz tylko na siebie. Twoja twarz jest jak jeden wielki krwiał! Czy chcesz, żebym siedział z założonymi rękami i nic nie robił?! Jeśli nie powiesz mi, kto cię skrzywdził, pozwól, żeby przynajmniej chroniło cię moje nazwisko!

Uśmiechnęła się gorzko i natychmiast skrzywiła z bólu.

- Nie mogę i już.

- Nie rozumiem cię, Pearl. Wyłumacz mi to. Przecież wiesz, że cię kocham!

- Nie mów tak, Russell, nie wolno...

- Ależ wolno! Ja cię kocham, a ty kochasz mnie! To jest powód, dla którego warto się pobrać.

- Są powody, dla których nie warto.

- Jakie?

Popatrzyła mu prosto w oczy odmienionym spojrzeniem. To była inna Pearl - zimna, wyrachowana, cyniczna. Pearl-aktorka, Pearl-profesjonalistka.

- Nie wiesz? Jeśli zdążyłeś o tym zapomnieć, to ci przypomnę. Jestem kurwą.

- Nie oszukasz mnie - odwrócił wzrok - nie nabierzesz na te swoje sztuczki. Ja znam prawdziwą Pearl. I ty też wiesz, jaka jesteś naprawdę. Wiesz też, że cię kocham. Kocham od wielu miesięcy. Wyczekuję tylko tych niedziel, nie myślę o nikim innym. Masz rację, nie jesteś taka, jak inne kobiety, ale nic mnie to nie obchodzi.

Teraz ona odwróciła wzrok. Zauważył, że w jej oczach zalśniły łzy. Wiedział, że jego słowa musiały zapaść jej w serce, kiedy jednak

Pearl po chwili wyprostowała ramiona i uśmiechnęła się lekko, ogarnęło go zwątpienie.,

- Zawsze wiedziałam, że jestem dobra - powiedziała tonem uwodzicielki. - Widzisz, kochanie? Sprawiałam, że udany seks jest dla ciebie tym, czym miłość.

- Nie wierzę ci. Nie chcę nawet słuchać tego gadania.

Spotykaliśmy się przez wiele tygodni, zanim poszliśmy do łóżka, nie pamiętasz? - Uklęknął przed nią i ujął jej dłoń. Chciała ją wyrwać, lecz jej nie pozwolił. Ujrzał podłużny obrzęk na jej przegubie, na drugiej ręce spostrzegł podobny i zrozumiał, że ten łajdak musiał ją związać.

- Zabiję go! - syknął. - Kto to był, Pearl? Jeśli nie powiesz, to... to zabiję siebie, ciebie i wszystkich dookoła! Wszystkich!

Zdawało mu się przez moment, że Pearl gotowa jest zmienić ton, otworzyć się, wyznać prawdę. Jednak i to było jedynie złudzeniem.

- Posłuchaj, Russell - położyła mu dłonie na ramionach - jesteś dobrym człowiekiem. Lubię cię i szanuję. I dlatego właśnie muszę powtórzyć ci to, co już wcześniej mówiłam: nie mogę za ciebie wyjść, a to - wskazała dłonią posiniaczoną twarz - naprawdę nie ma znaczenia.

- To się jeszcze okaże. Zadzwońię do szeryfa.

- Do szeryfa? - zaśmiała się cicho. - Myślisz, że obchodzi go dziwka, którą nadwerężył napalony klient?

- Mnie obchodzi - wycedził. - Nie mogę siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak cię tłuką. Nie mogę cię kochać i wiedzieć, że jesteś wykorzystywana. I tak za długo na to pozwalałam.

Jej oczy błagały go, żeby przestał. W przeszłości Russell jej ustępował, ale teraz zamierzał być uparty. Tu chodziło o jej zdrowie, o przyszłość.

- Nigdy wcześniej nie prosiłem żadnej kobiety, żeby zechciała dzielić ze mną życie. Teraz proszę o to ciebie. Wiem, że w Sweetgrass byłoby nam ciężko. Dlatego wyprowadzimy się do innego stanu. Zaczniemy wszystko od początku, tylko we dwoje.

- Nie. - Pokręciła głową. - To niemożliwe.

- Nie wierzę, że teraz jesteś szczęśliwa.

- Mężczyźni tego nie rozumieją, większość kobiet też. A ja lubię to, co robię.

- Kłamiesz.

- Możesz mi nie wierzyć - ciągnęła. - Ale to nie zmienia faktu, że taka jest prawda. Czasami ktoś mi podbije oko. Trudno, niektórzy są gwałtowni w ruchach. Są jednak i miłe niespodzianki, premie. Na przykład ty.

- Przestań - skrzywił się z niesmakiem. - Nie chcę tego słuchać. Powiedziałem ci, że kłamiesz. Za dobrze cię znam, żeby wierzyć w te brednie.

- Sądzisz, że mnie znasz? - znów przybrała ton uwodzicielki. - Jak to więc możliwe, że nie przekonałeś się dotąd, jaka jest moja

specjalność? - Prowokacyjnie zwilżyła wargi. - Wiele kobiet nie chce tego robić, ale ja...

- Słyszałem o twojej specjalności. - Russell podniósł się gwałtownie i stanął na wprost niej.

- Naprawdę? - roześmiała się, jak gdyby rozbawił ją jego gniew. - To dlaczego ani razu nie poprosiłeś, żebym ci ją zademonstrowała?

- Między nami jest inaczej.

- Doprawdy? Jesteś tego całkiem pewien czy też miewasz wątpliwości?

- Obrałaś złą taktykę. Niezależnie od tego, jak bardzo będziesz ordynarna i jak bardzo będziesz próbowała obrzydzić mi swoją osobę, nie uwierzę ani jednemu twemu słowu. Wiem, co do mnie czujesz.

- Niby co?

- Kochasz mnie.

- Dlatego, że oddawałam ci się za darmo? - Znow wybuchnęła śmiechem. - Nie każda dziwka może pozwolić sobie na niedzielne lenistwo poza miastem. Jeśli można odpocząć w miłym towarzystwie za jeden darmowy numer, to czemu nie?

- Nie mów tak!

- Och, to nie moja wina, kochanie, że za mocno się zaangażowałeś. Jeśli ktoś pokocha kurwę...

- Przestań! Nie obrażaj tego, co nas łączyło!

- A ty nie udawaj, że to było coś więcej niż tylko...

- Milcz! - wrzasnął i podniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć. Rzeczywiście zamilkła, on zaś pomyślał, że musi uciekać, wiać stąd, zanim zrobi jakieś głupstwo.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Myślał, że nie będzie próbowała go zatrzymać, zdziwił się więc, gdy usłyszał jej głos:

- Russell?

- Tak? - zapytał, nie patrząc w jej stronę.

- Któregoś dnia podziękujesz mi za to - powiedziała. W jej głosie usłyszał żal, nie wiedział jednak, w co może wierzyć a w co nie, więc odparł tylko z dłonią na klamce:

- Mogę podziękować już teraz.

- Ja też. Nauczyłam się czegoś przy tobie... - zawahała się. - Nie będę więcej dawała za darmo.

Russell otworzył drzwi i wyszedł bez słowa z domu.

Wytrzymał bez niej dwa tygodnie. Każdego dnia miał nadzieję, że Pearl zmieni zdanie i zadzwoni, żeby go przeprosić, nie doczekał się jednak telefonu. Wciąż wspominał ich rozmowę. Był pewien, że kłamała, i starał się zbagatelizować słowa, które od niej usłyszał, lecz te wracały uparcie, raniąc jego serce.

Po raz pierwszy zwątpił w ich miłość. Kiedy mijały dni, a ona wciąż nie dzwoniła, myśl o utraconym szczęściu stawała się coraz bardziej gorzka. Pod koniec drugiego tygodnia był gotów uznać, że Pearl rzeczywiście zrobiła z niego głupca, a on dał się omamić jej zawodowym sztuczkom. Przecież gdyby cokolwiek do niego czuła, z pewnością by się odezwała.

Wkrótce ból przemienił się w gniew. Każdego ranka, patrząc na swoje odbicie w lustrze, Russell wyzywał się od idiotów. Gdy zaś złość stała się nie do wytrzymania, skontaktował się z kuzynem i poprosił, żeby ten załatwił mu schadzkę. „Z ta samą dziwką, co kiedyś” - zaznaczył, a teraz stał na progu jej domu i niecierpliwie naciskał przycisk dzwonka.

Zdumienie w jej oczach sprawiło mu przyjemność.

- Nie przejmuj się, nie będę robił kłopotów twoim klientom - mruknął. - W końcu niczym się od nich nie różnię.

Po dwóch tygodniach siniaki zdążyły już zniknąć, brzydkie rozcięcie w kącie ust się zagoiło, a pozostałe ślady pobicia Pearl zamaskowała umiejętnie przy pomocy kosmetyków. Miała na sobie czarne pończochy i skórzaną minispódniczkę. Wysokie obcasy dodawały jej około dziesięciu centymetrów, pełne piersi niemal wylewały się z obcisłego gorsetu. Mimo to wyglądała tak, jak gdyby nie bardzo wiedziała, co zrobić; jak gdyby nie była profesjonalistką, lecz debiutantką, dla której widok pierwszego klienta jest szokiem.

- Nie wpuścisz mnie? Zdecydowałem się skorzystać z twojej oferty.

- Co?

- Przyszedłem wypróbować twoją specjalność - oznajmił.

Popatrzyła na niego tak, jak gdyby przed chwilą uderzył ją w twarz.

- Ja... - chciała odpowiedzieć, lecz Russell nie pozwolił jej dojść do słowa. Wyciągnął portfel i wyjął z niego studolarowy banknot.

- Zdaje się, że nie dajesz już za darmo.

- Russell...

- Co, moje pieniądze są gorsze od innych?

Chciał powiedzieć coś jeszcze. Od kilku dni układał pełną złościwości przemowę. Nagle jednak zdał sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Nie może jej poniżyć i upokorzyć, gdyż w ten sposób poniżał i upokarzał sam siebie.

- Zapomnij o tym - powiedział, wpychając pieniądze do portfela.

- Russell!

Nie chciał słyszeć, co ma do powiedzenia. Odepchnął ją i uciekł, ścigany jej szlochem.

Sprzątanie sypialni dziadka było niczym podróż w kraj jego przeszłości. Kiedy Molly otwierała kolejne szuflady, przenosiła się w coraz to inne lata, jakby inne epoki długiego życia tego niezwykłego człowieka. W każdej z nich raz po raz natykała się na dowody miłości, jaką dziadek żywił najpierw do żony, potem do syna, potem wreszcie do Molly i jej synów. Swoje listy, które pisała do niego tak rzadko, znalazła wszystkie. Pochowane były w książkach, kieszeniach koszul, a liczne plamy i pozaginane rogi były dowodem, że dziadek czytał je po wielokroć.

Cały pokój pełen był zdjęć. Dziadek pieczołowicie przechowywał fotografie, w tym te, które mu regularnie posyłała. Był też każdy liścik i każdy rysunek wykonany dla niego przez chłopców. Jednakże to dopiero jego dziennik pozwolił jej się przekonać, jaki jej dziadzio był naprawdę.

W dniu, w którym jego ukochana żona spoczęła w grobie, zaczął pisać do zmarłej listy, które z czasem ułożyły się w prowadzony sumiennie pamiętnik. Opisywał w nim wszystko - swoją samotność, nadzieje i wątpliwości. Pisał o tym, jak bardzo kocha wnuczkę i jej synów i jak bardzo obawia się, że zadusiłby ich swoją miłością, gdyby zdecydowali się z nim zamieszkać. Wspominał też o bólu, jaki sprawiła mu ich decyzja pozostania w Kalifornii.

Molly czytała i płakała. Płakała nad zmarnowanymi latami, które spędziła w mieście, choć mogła je spędzić z dziadkiem; płakała nad jego osamotnieniem, nad trwalszą niż grób miłością, nad ranczem, które chyliło się ku upadkowi na jego oczach. W swych listach do Molly dziadek ani razu nie skarżył się na wnuczkę. Kochał ją miłością wyrozumiałą i pozbawioną egoizmu. A przecież ona - oddalona od niego o tysiące kilometrów - była najbliższą rodziną, jaka mu pozostała. Ona i jej dzieci.

- Mamo? - usłyszała głos Toma.

Machnęła ręką, chcąc mu pokazać, że chce zostać sama, lecz syn nie zamierzał odejść.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Pokiwała głową i nagle, nie mogąc się powstrzymać, wybuchnęła głośnym płaczem.

- Sam! - za jej plecami rozległo się podenerwowane wołanie syna. - Chodź szybko! Mama... coś jej się stało!

Sam wpadł po chwili do sypialni dziadka i zatrzymał się na progu.

- To tylko łzy, synu. Nie ma na nie rady.
- Rozchoruje się, jeśli będzie tak płakać.
- Nie, najbliższych ludzi długo się żegna. Łzami - dodał, po czym podszedł powoli do żony i przytulił ją do siebie. - Już dobrze, kochanie, już dobrze. - Delikatnie poklepał ją po plecach. - Dusisz ten płacz od dwóch tygodni. Popłacz sobie, wypłacz cały swój żal.

- Może coś przynieść? - zaproponował Tom. - Aspirynę? Albo chociaż chusteczkę?

- Nie trzeba... - odparła Molly przez łzy. - Po prostu... dajcie mi spokój.

- Dziadek chyba by na ciebie nakrzyczał, mamo.

- To po co zostawił ten dziennik?

- Co będzie na kolację? - Do pokoju wkroczył Clay, zaraz jednak zatrzymał się zaniepokojony i popatrzył na starszego brata. - Co się stało? Dlaczego mama i Sam znowu się całują?

- Jak to znowu? - Molly wyprostowała się gwałtownie.

- No... tak to - odparł Clay, a potem szybko zmienił temat: No to co będzie na tę kolację?

- Jedzenie, głąbie - odparł Tom i na wszelki wypadek wypchnął brata z pokoju.

Molly popatrzyła na męża, Sam na Molly, wreszcie oboje spojrzeli na Toma.

- Kiedy Clay widział, jak się całujemy? - zapytał Sam, a Molly spiekła raka.

- Jego zapytajcie. - Tom wzruszył ramionami.

- Pewnie wczorajszego ranka - dodała Molly, przypomniawszy sobie incydent z poprzedniego dnia, kiedy to podekscytowany perspektywą pierwszego dnia w nowej szkole, Clay obudził się wcześniej niż zwykle, wpadł do kuchni i ujrzał Molly siedzącą na kolanach męża. Wymamrotał coś pod nosem, wrzucił chleb do tosterka i wybiegł, pewnie jednak utkwiała mu ta scena w pamięci.

Może zresztą widział ich przy innej okazji, zastanawiała się Molly. Ostatnio podobnych scen było więcej. Odkąd się lepiej poznali, okazywali sobie z mężem coraz więcej czułości.

- Chodźmy do kuchni - powiedział Sam i mrugnął okiem do Molly - powinniśmy chyba poważnie porozmawiać. Muszę cię o coś spytać, synu - zwrócił się do Claya, którego zastali nad miseczką płatków kukurydzianych. - Czy masz coś przeciwko temu, żebym całował twoją mamę?

- Ja? Chyba nie - wzruszył ramionami chłopiec.

- A ty, Tom?

- Nie przeszkadza mi to. Możesz ją całować, ile wlezie. W końcu po to wzięliście ślub, no nie?

Molly przewróciła oczyma.

- Mógłbyś być bardziej... hm, subtelny.

- On ma rację - Clay stanął w obronie brata. - Pamiętasz, Sam? Kiedy zapytałeś nas, co myślimy o waszym małżeństwie, to powiedziałaś...

- Dobra, Clay, daj mi lepiej te płatki - zagadał go Tom, wyraźnie z niego niezadowolony. - Jak tam twoje bingo, wygrałeś coś dzisiaj?

Kiedy po kolacji dzieci poszły się myć, a dorośli zostali w kuchni sami, Molly zwróciła się do męża:

- Rozmawiałeś z chłopcami o naszym ślubie?

Sam spojrzał na nią znad drzwi lodówki, gdzie chował właśnie nie zjedzone produkty.

- Tak. Uznałem, że powinni mieć coś do powiedzenia w tej kwestii.

- Doprawdy? I co powiedzieli?

Uśmiechnął się szeroko i usiadł przy niej przy stole.

- Tom powiedział tak: „Fajnie, że ktoś chce się z nią ożenić. Straciłem już nadzieję.”

- Kłamczuch. Nie zaakceptowałby nikogo oprócz ciebie.

- Więc nie zgadzasz się, że trafiło się ślepej kurze ziarno?

Chciała odciąć mu się jakąś żartobliwą uwagą, lecz w tym samym momencie zadzwonił telefon. Sam zerknął na niego z niechęcią, po czym podniósł słuchawkę.

- Tak? - odezwał się rozbawionym jeszcze głosem. Molly widziała, jak jego oczy poważnieją, kiedy więc odłożył słuchawkę na widełki, spytała z niepokojem:

- Coś się stało?

Sam już zmierzał w stronę drzwi.

- Dzwoniła Ginny - odparł. - Trawa się pali. Możemy w jedną noc stracić wszystko. Zawołaj chłopców i chodźcie ze mną.

Rozdział trzynasty

Odpowiedź na pytanie o przyczynę pożaru stała się jasna, gdy Sam i Molly znaleźli pusty kanister porzucony na skraju drogi. Sam był przekonany, że ktoś wzniecił ogień niedawno, w ciągu ostatnich kilkunastu minut. Na nieszczęście w suchej trawie płomienie pochłaniały kolejne powierzchnie z ogromną prędkością. Na szczęście kierunek wiatru uchronił dom i stajnię przed nieuchronną zagładą. Teraz Sam, Molly, Ginny, Fred oraz członkowie ochotniczej straży pożarnej usiłowali ugasić pożar, zanim ten dotrze na pastwiska, gdzie wypasało się bydło. Nawet chłopcy pomagali jak mogli, dumni, że mogą dołączyć do ekipy ratunkowej.

Po dwóch godzinach walki z żywiołem można było powiedzieć, że są uratowani. Utrudzona do granic, śmierdząca dymem i pokryta sadzą, Molly powlokła się w kierunku domu, za nią zaś poszli Tom i Clay. Strażacy dawno się rozeszli, a Sam miał objechać traktorem resztę pastwisk, by upewnić się, że nic już im nie grozi.

Na podwórze przed domem dotarli jednocześnie. Sam zeskoczył z traktora i objął mocno żonę.

- Nic ci nie jest? - zapytał z niepokojem.

- Nie - odparła, kręcąc powoli głową. - Ile jeszcze takich przygód nas czeka, Sam?

Wzruszył bezradnie ramionami, nie mówiąc ani słowa, więc dodała:

- Chyba nadszedł czas, żebyś zadzwonił do szeryfa. Znów nie odpowiedział. Wziął ją za rękę i razem poszli w stronę domu. Gdy usiedli przy kuchennym stole, każde nad kubkiem gorącej kawy, Molly wróciła do niedokończonych rozmowy:

- Boję się, Sam. Podpalenie to zbyt poważna sprawa, by ją ignorować. Co innego zniszczyć skrzynkę pocztową albo ogrodzenie, nawet wrzucić padlinę do stawu, a co innego narazić na niebezpieczeństwo życie ludzi.

- Dobrze - odparł Sam i zacisnął wargi. - Złożę doniesienie u szeryfa. Nie sądzę jednak, żeby Maynard zrobił cokolwiek w tej sprawie.

- Dlaczego nie? - Molly wiedziała, że jej mąż i szeryf się nie lubią, lecz wątpiła, żeby osobiste antypatie miały jakikolwiek wpływ na służbowe postępowanie.

- Po prostu - odparł Sam, a powiedział to takim tonem, że nie pytała już o nic więcej.

Kiedy się wykapali i przebrali, Sam zadzwonił do szeryfa. Maynard przyjął zgłoszenie o podpaleniu, jednak na ranczu pojawił się dopiero następnego wieczora. Molly zmywała właśnie naczynia, kiedy usłyszała silnik jego samochodu. Pospiesznie wytarła ręce i pobiegła do holu, by otworzyć drzwi.

- Dziękuję, że pan przyjechał, szeryfie - powiedziała, czując ulgę na widok munduru.

- Podobno były tu wczoraj jakieś kłopoty? - spytał od progu Maynard.

- Owszem - przytaknęła. - Zaraz o wszystkim opowiemy. Clay - zwróciła się do syna - sprowadź Sama, dobrze?

Chłopiec skinął głową i pobiegł do stajni, tymczasem szeryf podszedł do okna, wyjrzał na werandę i powiedział:

- Odebrałem zgłoszenie o podpaleniu, skontaktowałem się więc z Laymanem, szefem straży pożarnej. Chciałby porozmawiać z panią, a także z pani... - chrząknął znacząco, by spojrzeć w jego stronę, a gdy to uczyniła, popatrzył na nią z dezaprobatą - a także z pani mężem - dokończył.

Molly nie wiedziała, skąd ta niechęć w jego spojrzeniu, postanowiła ją jednak ignorować.

- Napije się pan kawy? - zapytała.

- Z przyjemnością. - Poszedł za nią do kuchni, po czym usiadł przy stole i wyjął z kieszeni mały notesik.

Kiedy w kuchni pojawił się Sam, nie usiadł przy jednym stole z szeryfem ani nie podał mu dłoni. Szeryf również nie kwapił się do powitania. Nawet nie spojrział w jego stronę.

Molly nalala trzy kubki kawy i postawiła je na stole.

- Myśleliśmy, że już po nas - zagadnęła. - Gdyby nie wiatr, nie wiem, jak by się to skończyło. Nie rozumiem motywów tego, kto to zrobił.

- Podejrzewa więc pani, że ogień został celowo wzniecony? - odezwał się szeryf.

- Nie podejrzewam - odpowiedział za nią Sam. - Ja to wiem.

- Niby skąd? - Maynard zatopił w nim podejrzliwe spojrzenie.

Sam skrzyżował ręce na piersi i uśmiechnął się krzywo.

- Drogą dedukcji, drogi Watsonie. Nie trzeba być geniuszem, żeby na to wpaść. Pożar zaczął się przy drodze...

- To mógł być przypadek - przerwał mu Maynard. - Ludzie są bezmyślni. Być może ktoś wyrzucił niedopałek przez okno. Dlaczego uważasz, że to celowe działanie, Dakota?

- Może to był niedopałek - zgodził się Sam. - Albo zapałka. W każdym razie od niedopałka zapaliła się benzyna. Cały kanister.

- Skąd wiesz?

- Leżał przy drodze. Ten, kto to zrobił, zostawił po sobie kanister.

Szeryf zmarszczył brwi i zapisał coś w notesie.

- Ale właściwie nie stało się nic poważnego, prawda? - zapytał.

- Owszem, stało się - odparł twardo Sam, unosząc się nieco z miejsca. - Moim zdaniem to szantaż albo próba zastraszenia. Gdyby wiatr wiał w inną stronę, nie tylko stracilibyśmy wszystko, ale sami zginęli. Dlatego mówię ci - zacisnął zęby - że jeśli jeszcze raz.

- No, no, uważaj! - przerwał mu szeryf. - Nie podnoś głosu, kiedy ze mną rozmawiasz, Dakota, bo posadzę cię za kraty!

Rozmawiasz z przedstawicielem prawa!

Molly uznała, że czas na interwencję. Tych dwóch rzeczywiście nie czuło do siebie sympatii, a przy obecnym stanie emocji Sama łatwo było o kłopoty.

- Niech pan się nie obraża, szeryfie - wtrąciła ugodowym tonem
- Sam chciał tylko powiedzieć, że podobne rzeczy zdarzały się już w przeszłości. Pożar to ostatni z całej serii wypadków.

- Czy wszystkie zostały zgłoszone?

Sam uciekł wzrokiem w bok. Jego oczy pociemniały od gniewu.

- Dzwoniłam w sprawie uszkodzonego ogrodzenia -odparła Molly.

Szeryf skinął głową. Wciąż nie spuszczał oczu z Sama, wpatrując się w jego twarz niemal z obrzydzeniem. Kiedy ponownie się odezwał, mówił już tylko do niego:

- Tłumaczyłem już twojej żonie, Dakota, że Layman zada wam jutro kilka pytań. Przykro mi z powodu pożaru, ale powinniście być wdzięczni Bogu, że nikomu nic się nie stało. - Dopił resztkę kawy i wstał. - Będziemy prowadzić dochodzenie. Powiadomimy cię o wynikach. Nie pytaj kiedy, bo sam tego nie wiem.

Sam wstał bez słowa, sięgnął po kapelusz i wyszedł bez pożegnania. Trzasnął drzwiami, a Molly została z Maynardem sama. Chciała przeprosić go za zachowanie męża, ale stłumiła w sobie ten odruch. Niech Sam odpowiada za siebie. Ona też nie uważała szeryfa za uroczonego człowieka, ale reprezentował on prawo i został wybrany na swoje stanowisko przez większość mieszkańców Sweetgrass. Należał mu się szacunek choćby z tego tytułu.

Odprowadziła go do samochodu i podziękowała za wizytę.

- Przykro mi, że pan i mój mąż niespecjalnie za sobą przepadacie
- powiedziała, kiedy otwierał drzwi.

- Cóż - westchnął Maynard - nasza znajomość niezbyt fortunnie się zaczęła.

- Powie mi pan, co się stało?

- Ja? Chyba lepiej, żeby porozmawiała pani z mężem.

- Zapytam go o to. Ale chciałabym wiedzieć, jaka jest pańska wersja.

Uśmiechnął się i spojrzał na nią życzliwiej.

- To się stało od razu, kiedy tylko zjawił się w Sweetgrass.

Szukał rozróby. Oczywiście, jak szukał, to szybko ją znalazł. Szkoda, że taka ładna panna poślubiła... - przerwał nagle i podrapał się po głowie z zakłopotaniem. - Przepraszam, to nie moja sprawa.

- Niech pan dokończy, szeryfie - poprosiła. - Widzi pan, on jest... trudny, nieufny. Pod tym względem przypomina mi dziadka i pewnie dlatego za niego wyszłam.

Rzeczywiście, kiedy ostatnio odkryła to podobieństwo, z jednej strony się ucieszyła, z drugiej zaś ogarnął ją niepokój. Skoro Sam miał być częścią społeczności Sweetgrass, musiał nauczyć się żyć w zgodzie z ludźmi. Nie mógł być takim dziwakiem, taką czarną owcą o zawsze odmiennych poglądach, jak dziadek.

- Dziadek bardzo lubił Sama - dodała. - Cieszył się, kiedy wzięliśmy ślub.

- Właśnie - szeryf zmarszczył brwi. - Mam wrażenie, że Walter nie był świadom pewnych faktów.

- Jakich faktów?

- Dakota o niczym pani nie powiedział?

- Ale... - uśmiechnęła się bezradnie - nie bardzo wiem, o co pan pyta.

- Sukinsyn!

- Powie mi pan wreszcie, o co chodzi?

Zawahał się, a ona od razu odgadła, że nie usłyszy nic dobrego.

- Szkoda, że nie miał na tyle przyzwoitości, żeby powiedzieć to pani przed ślubem, skoro jednak tego nie zrobił, nie sądzę, aby teraz zmienił zdanie. Chce pani wiedzieć?

Molly kiwnęła głową.

- Pani mąż siedział w więzieniu - oznajmił szeryf. -Dwa lata, w stanie Waszyngton, za przestępstwo drugiego stopnia. Opuścił stan natychmiast po zwolnieniu warunkowym.

Molly zachwiała się i wysunęła rękę, aby się czegoś przytrzymać.

- Przykro mi - westchnął szeryf. - Pytałem, czy chce pani wiedzieć.

- Czy dziadek...?

- Tego nie wiem. Walter nie rozmawiał nigdy ze mną o swym zarządcy, więc nie mam pojęcia, czy znał jego przeszłość.

Musiła usiąść, gdyż nie była pewna, czy zdoła zachować równowagę.

- Mimo wszystko... dziękuję, że mi pan powiedział -wyjąkała z trudem.

Odwróciła się i powoli weszła na schodki. Kiedy dotarła do drzwi, poczuła się kompletnie wyczerpana. Weszła do kuchni, opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

Dwukrotnie wychodziła za mąż. Miała dwóch mężów i obaj okazali się przestępcami.

Złość i niechęć do Maynarda wprost rozsadzały Sama. Pot spływał mu z czoła, mięśnie bolały jak diabli, jednak on nie zwracał na to uwagi i wściekle wrzucał widłami siano do zagrody, bela za belą.

Wiedział, że nie powinni byli dzwonić do szeryfa. Wiedział, że wynikną z tego kłopoty. Gdyby stróżem prawa był kto inny, być może miałyby to jakiś sens, tymczasem Maynard był gotów zrobić wszystko, byle zaszkodzić Samowi Dakocie, toteż trudno było liczyć na jego pomoc. Skoro raz wyrobił sobie zdanie na czyjś temat, nigdy nie zmieniał opinii. Skoro kogoś nie lubił, nie będzie występował w jego interesie. Przeciwnie...

Sam też nie lubił szeryfa. Nie ufał mu. Maynard najchętniej by uznał, że zaproszenie ognia było przypadkowe, chociaż każdy, kto miał odrobinę zdrowego rozsądku, domyśliłby się, że zrobiono to celowo. W stosunku do poprzednich incydentów również nie przejawiał zbytniego zainteresowania, teraz zaś nie chciało mu się zapisać żadnych szczegółów. Zanotował jedynie, że przy drodze znaleziono pusty kanister.

Cholera, tego lata zdarzyło się wiele podobnych wypadków. Zbyt wiele, aby nie nabrać podejrzeń, że ktoś psuje im krew celowo.

Niewykluczone, myślał Sam, że ma to ścisły związek z tym, że ktoś chciał kupić ranczo od Molly i nawet złożył jej konkretną ofertę za pośrednictwem Russella Letsona.

Uśmiechnął się, wspominając testament Walta. Staruszek postąpił bardzo mądrze, zapisując mu pięćset akrów dokładnie pośrodku rancza. Gdyby nawet Molly zechciała sprzedać swoją ziemię, dwie należące do niej części byłyby przedzielone częścią należącą do niego. Nabywca chciałby zapewne dostać ziemię w jednym kawałku, ale swojej własności Sam sprzedać i nie chciał, i nie mógł, zabraniała mu tego bowiem umowa, którą zawarł wcześniej z Waltem Wheatonem.

Odłożył widły, wyszedł ze stajni i ruszył w stronę domu. Trochę obawiał się powrotu do kuchni. Przeczynał, że Molly nie puści mu płazem aroganckiego zachowania wobec szeryfa. Nie był ślepy, widział jak piorunowała go wzrokiem w czasie tego, pożał się Boże, przesłuchania.

Przystanął i popatrzył przed siebie na ciągnące się po horyzont pola wypalanej gdzieś trawy. Cholera, naprawdę mieli szczęście. Skończyło się na poparzonych dłoniach i osmalonych brwiach, a mogło się skończyć...

Otrząsnął się szybko, jakby poczuł nagle oddech śmierci. Nie przeżyłby, gdyby coś stało się Molly albo dzieciom. Nie teraz, kiedy zdążył się już z nią zżyć i poczuć częścią jej rodziny.

Kiedy Walt po raz pierwszy zasugerował małżeństwo; Sam był zaledwie zaintrygowany dziwną propozycją. Ale ziemia i bydło to

było coś. Nawet gdyby Molly przypominała jedną z sióstr Kopciuszka, musiałby rozważyć ten projekt. Czy mógł się wówczas domyślać, jak ważne stanie się, dla niego to małżeństwo?

Czasami budził się w środku nocy i długo patrzył na żonę. Patrzył z czułością i wdzięcznością. Przez większość życia nie zaznał takich uczuć. Najpierw dręczył własne ciało występami, piciem i nieumiarkowanym seksem; potem siedział w więzieniu, a później włóczył się z rancza na ranczo.

I nagle spotkał Waltera Wheatona, chorego staruszka, który był bliski utraty wszystkiego, co posiadał. Walt zaproponował mu pracę, gdy nikt inny nie chciał go zatrudnić, a wkrótce okazało się, że stary i młody nawzajem się potrzebują i są dla siebie niczym ojciec i syn. Dzięki Waltowi zyskał tak wiele - dom, żonę, rodzinę, ziemię.

I miłość.

Sam wiedział już bowiem, że kocha Molly.

Tak, to prawda, od początku było im ze sobą wspaniale. Ale tylko w łóżku. Teraz zaś czuł, że nie mógłby bez niej żyć i że dla niej, dla jej synów, gotów jest do największych poświęceń.

Ona też chyba go zaakceptowała. W każdym razie poza pierwszą nocą nigdy się nie pokłócili, choć wcześniej zdarzało im się to często. Cieszyło go, że żyją w zgodzie, bo nie miał pojęcia, jak zniósłby jej gniew.

Zerknął na zegarek, zastanawiając się, czy Molly ułożyła się już do snu. Możliwe. Wejdzie cicho po schodach, otworzy drzwi sypialni, położy się obok niej...

Kiedy jednak wszedł do domu, zastał Molly w kuchni. Stała przy blacie i szykowała kanapki do szkoły dla Toma i Claya.

- Gdzie chłopcy? - zapytał.
- Już na górze.
- Pewnie jak zwykle nie chcieli się kłaść?
- Chcieli.

Zaniepokoił go odmieniony ton jej głosu, więc podszedł bliżej i spojrzał na nią uważnie. Nie odwróciła wzroku w jego stronę. Z całych sił przygniotła jedną kromkę chleba drugą i zaczęła pakować kanapkę do torebki.

- Coś nie tak? - zapytał.
- To ty mi powiedz!

Westchnął i położył dłoń na jej ramieniu. Wciąż była wściekła za tę rozmowę z szeryfem. Faktycznie, może trochę przesadził.

- No dobrze, następnym razem będę grzeczny - odezwał się, próbując ją udobruchać.

- Nie wiem, czy będzie następny raz.

- Molly... - Odwrócił ją ku sobie i spojrzał zaskoczony w jej oczy. Ujrzał w nich gniew i ból. I coś jeszcze, czego nie umiał nazwać. - Co się stało? O co ci chodzi?

- Mogłeś mi powiedzieć!
- Co mogłem powiedzieć?

- Nie udawaj, że nie wiesz! - Wysunęła się z jego ramion, otworzyła lodówkę i wrzuciła do niej plastikową butelkę z keczupem.

Była wściekła, już to zauważył. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek zachowywała się w ten sposób.

- Nie wiem, Molly. Czego ci nie powiedziałem?

- Prawdy! Nie sądzisz, że miałam prawo wiedzieć, że siedziałeś w więzieniu?

Sam oparł się o blat. Wolałby, żeby ogarnęła go wściekłość - wściekłość na Maynarda, bo to on musiał jej o tym powiedzieć, i wściekłość na siebie za to, że był tak głupi i trzymał w tajemnicy tę gorzką prawdę. Zamiast wściekłości czuł jednak strach. Bał się, że utraci Molly.

- Wiesz, co mnie naprawdę boli? - mówiła. - To, że, wiedziałeś o Danielu. Wiedziałeś, jak trudno było mi wyznać, że mój były mąż trafił do więzienia, wiedziałeś, jak bardzo to przeżyłam, a mimo to nie powiedziałaś mi ani słowa! Pomyślałeś o chłopcach? Co zrobią, gdy się dowiedzą?

- Chciałem powiedzieć - zaprotestował. - Tamtego dnia...

- Przestań! - przerwała. - Przestań się tłumaczyć. Teraz już za późno.

- Nie — oświadczył mocnym głosem. - Nie jest za późno.

Przypomnij sobie dzień, w którym pojechaliśmy do miasta, żeby ustalić datę ślubu.

- Pamiętam go dobrze. Powiedziałaś ci o Danielu.

- Powiedziałaś coś jeszcze. Już zapomniałaś?

- Nie zapomniałam!

- Powiedziałaś, że jeśli są w mojej przeszłości sprawy wstydliwe i niewygodne, to nie chcesz o nich wiedzieć. Twierdziłaś, że tak będzie lepiej. Mówiłaś: zacznijmy wszystko od początku.

- Myślałam o dawnych kochankach, Sam. Dobrze o tym wiesz. Chyba nie sądzisz, że nie ma dla mnie znaczenia to, czy mój mąż siedział w kryminale. A może jest to tak drobny fakt w twoim życiu, że zapomniałaś mnie o nim poinformować.

- Nie zapomniałem - odparł spokojnie.

- Więc celowo to przede mną ukryłeś! - wybuchnęła. - Zastanawiam się, czego jeszcze nie wiem...

- Wiesz o mnie wszystko - powiedział tym samym tonem, który kosztował go wiele wysiłku, lecz który był jedynym, jakim mógł prowadzić tę rozmowę. - Wszystko z wyjątkiem tego, że siedziałem w więzieniu. Czy zamierzasz dać mi możliwość obrony, czy też będziesz cały czas wykrzykiwać swoje obraźliwe uwagi?

Po tych słowach zapadła cisza.

- Nie chcę słuchać twoich wyjaśnień - odezwała się

Molly po nieznośnie długiej chwili. - Powinieneś odejść, Sam.

- Odejść? - Musiała żartować. Najwyraźniej zapomniała, że ktoś usiłuje zrobić im krzywdę. Jeśli kiedykolwiek naprawdę go potrzebowała, to właśnie teraz. - Nie mogę odejść, Molly.

- Wiem - przyznała niechętnie. - Więc przeprowadź się z powrotem do domku zarządcy.

- Żartujesz, prawda?

- Nie żartuję.

- Co powiesz chłopcom? - Tego chyba obawiał się najbardziej.

- Jeszcze nie wiem.

- Molly, daj spokój - próbował ją przekonywać. -W porządku, przyznaję, że miałaś prawo o tym wiedzieć. Powinienem być ci powiedzieć, zanim za mnie wyszłaś, a nie godzić się na twoje zapewnienia, że lepiej będzie nie wracać do przeszłości. Głupio mi teraz i wstydę się, że nie dowiedziałaś się o wszystkim ode mnie, tylko od tego cholernego Maynarda. Przepraszam cię. Nie jestem dumny z tego wyroku i nigdy o nim nie zapomnę, bo to był dla mnie koszmar. Ale zrozum, że chciałem tylko... - wzruszył ramionami - oszczędzić ci zmartwień. Przepraszam, Molly....

Nie było to łatwe, ale kiedy zdołał wykrztusić z siebie te słowa, poczuł się lepiej. Niestety, jego żona nie sprawiała wrażenia zadowolonej.

- Wiesz, jak się czuję? - spytała. - Jak idiotka. Naiwna idiotka, która dała się oszukać. Dziadkowi też o tym nie powiedziałaś, prawda? Nie powiedziałaś - odpowiedziała za niego. - Gdyby wiedział, nigdy by nie pozwolił, żebym poślubiła przestępcę!

Teraz naprawdę był na nią wściekły. Jakim prawem go obraża? Dlaczego nie chce przyjąć jego wyjaśnień? Przecież sama go powstrzymała przed wyznaniem prawdy. Nie oszukał jej. Jej słowa są niesprawiedliwe.

Zrobił krok w jej kierunku, jednak po chwili się zatrzymał. Nie chciała jego przeprosin, były jej zbędne. Uczynił wszystko, co w jego mocy, by wyjaśnić tę paskudną sytuację, prosił o wybaczenie. Tyle

wystarczy. Nie zamierzał padać na kolana i czołgać się u jej stóp. Skoro chciała, żeby odszedł - odejdzie.

Sięgnął po leżący na blacie kapelusz i wyszedł bez słowa, trzaskając drzwiami. Podświadomie liczył na to, że Molly za nim wybiegnie i poprosi go, aby został, kiedy jednak odczekał w samochodzie kilka minut, a drzwi domu wciąż pozostawały zamknięte, Sam zaklął pod nosem i pojechał do znajomej knajpy. Tej samej, w której znalazł się kiedyś w noc poślubną.

Nie miał nastroju do whisky. To właśnie przez nią wylądował kiedyś w więzieniu. Usiadł na taborecie w najdalszym kącie baru, zamówił piwo i wbił smętny wzrok w mroczne wnętrze sali.

Knajpa Williego śmierdziała papierosami i rozlanym piwem. Muzyka grała za głośno, stukały bilardowe kule, a rozmowy przerywane były co rusz gromkimi wybuchami śmiechu. Wszyscy bawili się świetnie, tylko nie on.

Cholera, jak skłonić Molly do zmiany zdania? Co zrobić, żeby złagodniała? I dlaczego to wszystko zdarzyło się akurat teraz, kiedy sprawy między nimi zaczęły się wreszcie układać?

Siedział nad piwem dobrą godzinę, kiedy w końcu dostrzegł znajomą sylwetkę. Trudno zresztą było jej nie dostrzec. Zdziwił się nawet, że dopiero teraz zwrócił uwagę na tak bujny biust i prowokujący głęboki dekolt.

Uśmiechnął się na jej widok. To ona przekonała go wtedy, żeby wrócił do hotelu i spędził noc poślubną z własną żoną. Być może lepiej by zrobił, gdyby jej wówczas nie posłuchał.

Wyczuła chyba na sobie jego spojrzenie, bowiem odwróciła się powoli i napotkała jego wzrok. Rozpoznała go dopiero po chwili i wtedy uśmiechnęła się jak do starego znajomego. Opuściła towarzystwo jakiegoś zalanego gościa, który choć stroił tęgie miny, był najwyraźniej zbyt pijany, by skorzystać z jej usług, i podeszła do kąta, w którym siedział Sam.

- Jak się masz, kowboju?

Wzruszył ramionami i pociągnął łyk piwa.

- Wciąż żonaty?

- Jeszcze tak.

- A jak tam twoja pani?

- Szczęśliwa jak motylek.

- Tylko nie mów, że znów się pokłóciliście? - Uniosła pytająco brwi.

- Na to wygląda. - Zerknął z westchnieniem na puste dno kufła. - Ale tym razem to moja wina.

- Zamierzasz ją przeprosić?

- Już to zrobiłem, ale jest naprawdę wkurzona. Nie dziwię się jej.

- Po co więc tu przylazłeś?

- Pomyślałem, że dam jej trochę czasu, żeby ochłonęła. Może za mną zatęskni?

Kobieta uśmiechnęła się smutno, lecz nie zapytała o nic więcej.

- Jak ci idzie? - zapytał Sam, żeby podtrzymać rozmowę. Czuł się zagubiony, samotny. Nie przeszkadzało mu to zanim poślubił

Molly, ale teraz lepiej się czuł, gdy mógł z kimś pogadać. Choćby i z dziwką. - Nazywasz się Pearl, dobrze pamiętam? Skinęła głową.

- No to jak idzie?

- Tak sobie.

- Dużo klientów?

- Średnio.

- Mili?

- Zależy który. - Odrzuciła z czoła pasmo farbowanych blond włosów, a wówczas ujrzał zamaskowaną makijażem bliznę po rozciętej brwi.

- Może ci jakoś pomóc? - zapytał odruchowo i natychmiast ugryzł się w język. Powinienem uważać, pomyślał. Znow wpakuję się w kłopoty. Wtedy też chodziło o kobietę, którą ktoś pobił, a skończyło się aresztem w biurze Maynarda.

Z drugiej jednak strony było mu jej żal i nie potrafił myśleć o niej, jak o zwykłej prostytutce, które sama wie, w co się pakuje. Do licha, nie powinna dawać się tłuc. Wyglądała na inteligentną i na pewno nie była typem zahukanej dziewczyny, dla której burdel i klienci są jedynym światem. Czy taka zaproponowałaby kiedykolwiek klientowi, żeby wrócił do żony?

- Nie potrzebujesz pomocy? - zapytał ponownie.

- Nie. - Pokręciła głową. - Ale dziękuję, że pytasz. Drzwi knajpy otworzyły się i do środka weszło dwóch mężczyzn w mundurowych strojach. Natychmiast przykuli uwagę Pearl, która skuliła się na ich widok i odwróciła pospiesznie twarz. Może to ci ją leją, pomyślał

Sam. Chciał ją o to zapytać, lecz nie zdążył, bowiem Pearl ścisnęła go za rękę i powiedziała drżącym głosem:

- Zmieniłam zdanie, kowboju. Możesz mi pomóc, jeśli wciąż masz ochotę.

- W jaki sposób? - Sam postawił kufel na barze.

- Muszę się stąd wydostać - przygryzła wargę - nie mogą mnie zobaczyć.

- W porządku. - Sam objął ją ramieniem niczym świeżo poznaną dziewczynę, zasłonił własnym ciałem jej twarz i poprowadził spokojnie do drzwi. Barman popatrzył na nich ze zdumieniem, ale nie powiedział ani słowa. Natomiast mężczyźni w mundurach usiedli przy barze i jeśli nawet zauważyli Sama z wychodzącą w jego towarzystwie kobietą, nie zareagowali w żaden sposób na ten widok.

- Dokąd cię zawieźć? - zapytał na ulicy. - Do przyjaciółki?

- Nie - roześmiała się cicho. - Kobiety takie jak ja nie mają przyjaciół.

- Nie trzymacie się razem? - zdziwił się.

- Kto? Dziwki? Nie w tym mieście, kochany. Tu każda pilnuje własnego nosa.

- No dobrze - odezwał się Sam - w takim razie dokąd jedziemy?

- Otworzył drzwi samochodu, wpuścił ją do środka, a potem sam usiadł za kierownicą. - Przed siebie?

Skinęła głową i dopiero gdy przejechał przez całą Główną, udzieliła mu odpowiedzi.

- Do mnie. - Podała mu adres.

- Jesteś pewna, że to bezpieczne miejsce?

- Mam ochronę. Oni o tym wiedzą.

Sam chciał zrobić dla niej coś jeszcze, ale uznał, że lepiej się wycofać, zanim nadciągną prawdziwe kłopoty. Dobry uczynek już spełnił, reszta należy do niej. Nie chciała zresztą więcej.

Zanim otworzyła drzwi, żeby wyskoczyć na chodnik, zarzuciła mu ręce na szyję i cmoknęła go w policzek.

- A to za co? - spytał.

- Z wdzięczności - odparła. - A teraz wracaj do żony i jeszcze raz ją przeproś. Jeśli jest mądra, wybaczy. Zdaje się, że przyzwoity z ciebie facet.

Począł, aż bezpiecznie dotrze do wejścia, i dopiero wtedy ponownie włączył silnik. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, pojechał z powrotem na ranczo. Wtedy Pearl przyniosła mu szczęście, może i teraz się uda. A jeśli nie, to przynajmniej psy ucieszą się na jego widok.

Dom był cichy i pogrążony w mroku. Cieszył się z tego, gdyż wiedział, że łatwiej mu będzie rozmawiać z Molly w łóżku. Wszedł na palcach do oświetlonej przez księżyc sypialni i usłyszał spokojny oddech żony. Spała.

Sam rozebrał się szybko i wsunął do niej pod kołdrę.

- Wróciłem, Molly - szepnął i objął ją mocno od tyłu.

Westchnęła przez sen i przysunęła się bliżej.

- Tęskniłaś za mną, kochanie? - mruknął w jej ucho. - Chyba powinniśmy porozmawiać...

Nie odpowiedziała, lecz odwróciła się ku niemu i spojrzała na niego wzrokiem, w którym dostrzegł troskę, poczucie winy i miłość. Pocałował ją delikatnie, a ona przywarła do niego mocniej.

- A może poczekamy z tą rozmową do rana... — wyszeptał namiętnie i zamierzał właśnie rozsunać jej uda, kiedy Molly nagle zeszywniała i odepchnęła go z całych sił.

- Gdzie byłeś? - jęknęła. - Boże, byłeś... z inną! Czuję jej zapach!

Scandalous

Rozdział czternasty

Russell poczuł się tak, jakby serce stanęło mu w piersi.

Ponownie przeczytał nagłówek, jednak litery wciąż układały się w ten sam komunikat - Pearl nie żyje.

To nie może być prawda!

Zakrył oczy dłonią. Musiał pomyśleć, zrozumieć sens tych słów, dopiero później był w stanie uwierzyć i zaakceptować to, co się stało.

Ponownie przeczytał artykuł, który zajmował połowę pierwszej strony środowego wydania lokalnej gazety. W Sweetgrass rzadko zdarzały się morderstwa, więc gdy dziennikarze znaleźli wreszcie temat, starali się napisać o nim wszystko, co możliwe. Snuli przypuszczenia, sprawdzali poszlaki, konstruowali najrozmaitsze hipotezy. Wprawdzie ciała denatki nie odnaleziono, przekonywali, jednak pozostawione w mieszkaniu ślady potwierdzają, że najprawdopodobniej została zabita. Drzwi jej domu były otwarte przez kilka dni, a kiedy sąsiadka poszła sprawdzić, co się dzieje w środku, odkryła całkowicie zdemolowane wnętrze. Mówiła, że dom wyglądał tak, jakby nawiedziło go tornado - meble były poprzewracane, szkło potłuczone, na ścianach widniała krew. Na łóżku widziała olbrzymią krwawą plamę, która przesiąkła przez materac.

Russell złapał się za głowę. Boże, tyle krwi. Czy Pearl bardzo cierpiała?

Zmiał gazetę, odrzucił ją, zamknął oczy. Wziął kilka głębokich wdechów, by uspokoić przyspieszone bicie serca. Ku swojemu zdumieniu poczuł, że pod powiekami pieką go łzy. Boże, błagam, modlił się, powiedz mi, daj jakiś znak, pozwól mi wiedzieć, że nie cierpiała...

Kochał ją. Wiedział o tym na długo wcześniej, zanim zobaczył jej blizny i siniaki. Pearl odrzuciła go, a ból spowodowany odrzuceniem sprawił, że odwrócił się do niej plecami. A przecież wiedział, że Pearl kłamie. Niemal wszystko, co powiedziała mu, by go zniechęcić, było kłamstwem. Nie rozumiał jedynie, dlaczego nie chciała przyjąć jego miłości.

Ostatnia nadzieja, że Pearl zaufa mu i odpowie na jego błagania, prysła tamtej nocy, kiedy poszedł do niej i potraktował ją jak dziwkę. W jednej chwili zepsuł wszystko, co wydarzyło się między nimi. Pogrzebał własne szczęście.

Zawstydzony i przybity, unikał jej od tamtego czasu, nie mógł jednak o niej zapomnieć. Wciąż zastanawiał się, w jaki sposób może zasłużyć na jej przebaczenie. Planował porozmawiać z nią po raz ostatni, przekonać, że jeśli da mu szansę, on odmieni ich przyszłość.

Jednakże czekał zbyt długo - Pearl już nie żyła.

Za jakiś czas ktoś znajdzie jej rozkładające się zwłoki, porzucone na jakimś poboczu. A może zabójca będzie na tyle przyzwoity, żeby ją pochować. Russell modlił się, by tak właśnie było.

Kiedy pozbierał się na tyle, aby móc zadzwonić, wykręcił numer gabinetu szeryfa, chcąc wypytać go o szczegóły.

- Macie jakieś podejrzenia? - zapytał profesjonalnym tonem, jak gdyby chodziło o zwykłe morderstwo.

Szeryf nie wydawał się zachwycony jego telefonem.

- Jeszcze nie - odparł. - Ale prędzej czy później znajdziemy winnego.

Russell zacisnął dłoń na słuchawce. Nigdy wcześniej nie odczuwał tak palącej potrzeby wymierzenia sprawiedliwości. Zajął się prawem z rozmaitych powodów, głównie jednak dlatego, że chciał dobrze zarabiać. Teraz, po raz pierwszy w życiu, pomyślał o tym, że prawo jest nie po to, by można je było interpretować na rozmaite sposoby, zarabiając na tym fortunę, lecz by stać na straży sprawiedliwości.

- Czy zabójca zostawił jakieś ślady? - naciskał, mimo że rozmówca nie był skłonny do szczegółowych wyjaśnień. Mógł sobie na to pozwolić, znali się bowiem dobrze, a Maynard miał wobec niego dług wdzięczności.

- Zawsze są jakieś ślady.

- Wiadomo, kto był jej alfonsiem? Może to on?

- Słuchaj, Russell, nie mogę na razie rozmawiać o tej sprawie. Poznasz szczegóły, jak tylko czegoś się dowiem. A teraz przestań zawracać mi głowę... - Szeryf zamilkł na chwilę. - A właściwie skąd ta ciekawość? Nie powiesz chyba, że żal ci jakiejś dziwki?

- Nie chodzi o żal... - Russell przerwał, by przełknąć ślinę.

- Zaraz, zaraz. Jak dobrze ją znałeś?

No tak, ostatnie, czego potrzebował, to znaleźć się w kręgu podejrzanych.

- Znał ją chyba każdy facet w tym mieście, prawda?

- odparł szybko. - Ty chyba też.

Maynard roześmiał się głośno.

- Zależy, co znaczy „znał”. Ja „znałem” ją dobrze. Całkiem dobrze. Miała ładne ciało, wiedziała, jak się nim posługiwać. Rzadko się zdarza takie чудо. Dlatego właśnie

- szeryf zmienił nagle ton — ten przypadek jest taki ciężki.

Osobiście sędzę, że jeden z jej klientów trochę za bardzo się podniecił i stracił kontrolę nad sytuacją.

Russell przestał na chwilę oddychać. Przed oczyma stanęła mu Pearl i jakiś rozszalały potwór, który bije ją bez litości. Zobaczył strach na jej twarzy, krew na jasnej skórze. Boże, co czuła? Czy pomyślała o nim w ostatnich minutach swego życia?

- Musiała go nieźle podrajcować - mówił szeryf - w życiu nie widziałem tyle krwi.

- A co z ciałem? Jest jakaś szansa, że ona nadal żyje?

- Szansa jest - przyznał szeryf. - Chociaż to mało prawdopodobne. Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś stracił tyle krwi i przeżył.

- W takim razie po co zabójca ukrył ciało? Maynard prychnął ze zniecierpliwieniem, jak gdyby pytanie było zbyt naiwne, by na nie odpowiadać.

- Pomyśl przez chwilę. Przecież to dowód, kupa materiału do badania. Ciosy, rany, uszkodzenia - wyliczał, a Russell czuł, jak robi mu się słabo - odciski palców... Po co miałyby się narażać?

- Racja - przyznał głucho Russell.

- Dam ci znać, kiedy będę wiedział więcej. Widzę, że zainteresowała cię ta sprawa.

- Tak, chcę wiedzieć wszystko. - Nie dbał już, czy ciekawość naraża go na podejrzenia, dodał więc jeszcze: -Znajdź tego sukinsyna. Zrób wszystko, żeby go znaleźć.

Przez dwie kolejne doby Russell prawie nie spał. Gdy tylko zamykał oczy, widział Pearl; taką Pearl, jaką zapamiętał z ich ostatniego spotkania - z oczami pełnymi łez, ze zdumionym wzrokiem. Zawołała wtedy za nim, lecz on nie zatrzymał się i odszedł. Wiedział, że będzie żył z tym wspomnieniem do końca swoich dni.

Wciąż przychodził do biura, jednak nie umiałby odpowiedzieć na pytanie, czym właściwie się zajmuje. Nie pisał listów, nie przygotowywał raportów, nie rozmawiał z klientami. Sekretarce kazał odwołać wszystkie spotkania i godzinami siedział w bezruchu w swoim fotelu, wpatrując się tępo w przestrzeń. Sekretarka była pewna, że złapał grypę i stąd ten jego zły stan, on zaś nie wyprowadzał jej z błędu. Przynajmniej nie musiał wymyślać innych wymówek.

Kiedy więc któregoś dnia usłyszał jej uprzejmy głos, którym zapowiedziała kolejnego klienta, skrzywił się z niechęcią.

- Kto to?

- Pan Dakota. Chciałby się z panem widzieć - odparła dziewczyna. - Mówi, że to pilne.

Russell ze zmęczeniem potarł twarz. Miał szczerą chęć odesłać faceta do domu.

- Powiedz mu, że jestem zajęty.

- Przykro mi, panie Letson, on nie ustąpi. Próbowałam go z panem umówić na inny termin, ale on nalega. Mówi, że to sprawa najwyższej wagi i że musi rozmawiać z panem osobiście.

Russell opuścił głowę, jak gdyby konieczność podjęcia decyzji była dlań zbyt wielkim ciężarem.

- Dobrze. Wprowadź go - powiedział w końcu, zdecydowawszy, że wysłucha uprzejmie, co „pan Dakota” ma do powiedzenia, po czym oznajmi, że sprawa jest dla niego zbyt skomplikowana i odeśle go do innego prawnika.

Drzwi otworzyły się, sekretarka wpuściła klienta do gabinetu. Russell wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka, on zaś usiadł niepewnie i położył kapelusz na kolanach. Był blady, bardzo blady.

- Co mogę dla ciebie zrobić, człowieku? - zapytał Russell, kiedy Sam Dakota wciąż się nie odzywał. Jak na kogoś, kto dobijał się do jego drzwi, nie był zbyt rozmowny i energiczny.

- Nie wiedziałem, dokąd mógłbym pójść - zaczął powoli - albo z kim się skontaktować. Nie ufam szeryfowi, a barman i kilku klientów w knajpie Williego widziało mnie, kiedy... - Wstał i podszedł do okna.

- Podejrzewam, że wkrótce zostanę oskarżony o morderstwo - dokończył pewnym głosem.

- Morderstwo? - powtórzył Russell. Sam powoli odwrócił się w jego stronę.

- Przysięgam na wszystko, co jest mi drogie, że nawet jej nie dotknąłem.

- Kogo, na miłość boską?

- Pearl.

- Byłeś z Pearl tej nocy, gdy zginęła? - Głos Russella zadrżał niebezpiecznie.

- Spędziłem z nią jakieś pół godziny... Nie tak, jak myślisz - dodał szybko.

- Więc jak?

- Pokłóciłem się z żoną. - Sam zwiesił głowę. - Dowiedziała się, że siedziałem w więzieniu...

- Teraz? - Russell zmrużył oczy. Maynard mówił mu o więziennej przeszłości Dakoty tuż po tym, jak Wheaton zatrudnił na swoim ranchu nowego zarządcę. Zdziwił się, że Molly nie miała dotąd o niczym pojęcia. - Teraz się dowiedziała? - powtórzył.

- Wiem, powinienem był powiedzieć jej wcześniej.

- Sam popatrzył na niego zbolalym wzrokiem. - Kocham ją i bardzo mi na niej zależy.

- Może wrócmy do Pearl - powiedział szybko Russell.

- Znałeś ją?

- To za dużo powiedziane. Poznałem ją jakieś dwa miesiące temu. Ale nie zawodowo, że tak powiem...

Nie zawodowo, więc jak? Czyżby Pearl przyjaźniła się z innymi mężczyznami, tak jak z nim? Russell poczuł nagle potężne ukłucie zazdrości.

- Nie zawodowo, więc jak? — powtórzył głośno pytanie, które wcześniej zadał sobie w myślach.

- Poznałem ją tego samego dnia, w którym ja i Molly wzięliśmy ślub.

- W trakcie nocy poślubnej? - Russell popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Tak, poznałem ją w knajpie u Williego. Molly i ja...

Powiedzmy, że nie zgadzaliśmy się w pewnej kwestii. Rozstaliśmy się na kilka godzin. W nie najlepszym nastroju. Postanowiłem się napić i właśnie u Williego spotkałem Pearl...

Opowiedział mu dalej, jak Pearl próbowała go zaczepić, lecz zrezygnowała, gdy dowiedziała się, że trafiła na pana młodego w trakcie nocy poślubnej. Pocieszyła go i kazała wracać do żony. Tak, to było do niej podobne. Pearl miał dobre serce, ta jego Pearl, ta „niedzielna”.

Russell popatrzył czujnie na siedzącego przed nim mężczyznę. Instynkt podpowiadał mu, że to rzeczywiście nie on jest winien śmierci jego ukochanej. Gdyby to jednak Dakota okazał się mordercą, Russell gotów był udusić go gołymi rękami, nie czekając na wyrok sądu.

- Nigdy wcześniej jej nie widziałeś? - zapytał.

- Nigdy.

- A... co robiliście tej nocy, gdy została zabita?
- Odwiozłem ją do domu.
- Dlaczego? - Nie chciałem, by zabrzmiało to podejrzliwie, a jednak tak właśnie zabrzmiało.
- Wiem, że wydaje się to niewiarygodne, i nie ma żadnego powodu, dla którego miałbyś mi wierzyć, ale przysięgam, że mówię prawdę.
- Jaka jest ta prawda?
- Zaczniemy od tego, że gdy spotkałem ją u Williego po raz drugi, zdawała mi się już inna.
- Jaka? - Russell z napięciem wbił w niego wzrok.
- Zgorzkniała, przygnębiona. Wcześniej była dla mnie miła, polubiłem ją nawet, więc zapytałem, czy mógłbym coś dla niej zrobić. Z początku odmówiła, jednak później poprosiła, żebym odwiózł ją do domu.
- Miała konkretny powód?
- Do knajpy przyszło jakichś dwóch podejrzanych typów. Nie chciała, żeby ją zobaczyli.
- Przyjrzałeś się im?
- Nie. - Sam z żalem pokręciłem głową. - Światło było słabe, a ja koncentrowałem się na tym, żeby osłonić ją przed ich wzrokiem.
- Czy ktoś widział, jak wychodziliście?
- Cztery, może pięć osób.
- A na zewnątrz?
- Dwóch facetów na parkingu.

Russell przymknął oczy. Wyobraził sobie knajpę Williego. Nie był tam od miesiący, bo właśnie tam Pearl polowała na klientów.

- Czy szeryf już cię przesłuchiwał? - zapytał.

- Nie, ale wkrótce na pewno to zrobi. Będzie zachwycony, jeśli znajdzie sposobność, żeby mnie aresztować, Choćby tymczasowo.

- Ale ty tego nie zrobiłeś? - Russell popatrzył prosto w jego źrenice.

- Nie. Przysięgam, że to nie ja.

- Wierzę ci - odparł. - Mówiłeś o tym komuś poza mną? 1 Nie.

- A Molly?

Sam uśmiechnął się smutno, a Russell z łatwością rozpoznał wyraz jego oczu. Codziennie rano to samo widział w lustrze - ból, rozpacz, brak nadziei.

- Odzywa się do mnie, tylko kiedy musi.

- Wciąż obrażona?

- Wyczuła na mnie perfumy Pearl. Próbowałem wytłumaczyć jej, co się stało, ale nie chciała słuchać. Ty jesteś pierwszy...

- Słusznie zrobiłeś, że do mnie przyszedłeś - przerwał mu Russell.

- Czy to znaczy... że będziesz mnie reprezentował, gdyby przyszło co do czego?

- Nie zajmuję się sprawami kryminalnymi.

- Tylko tobie tu ufam.

Russell zawahał się. Nie chciał angażować się w tę sprawę. To byłoby... zbyt osobiste. I na pewno bardzo niebezpieczne.

- Będziesz? - powtórzył Sam.
 - Nie wiem. - Odwrócił wzrok. - Pogadamy, kiedy cię oskarżą.
- Sam pokiwał powoli głową.
- W takim razie niedługo pogadamy - powiedział.

Alejka za knajpą Williego była opuszczona i cicha. Monroe cierpliwie oczekiwał na Lance'a, myśląc jednocześnie nad tym, co spotkało Pearl Mitchell. Nie znaleziono ciała, toteż Monroe był niemal pewien, że winę za morderstwo ponosi Lance. Po tego rodzaju człowieku można się było spodziewać wszystkiego, nawet zabójstwa kobiety, która przynosiła Lojalistom tyle dochodu.

Tym razem Lance stawił się na czas. Otworzył drzwi samochodu i wśliznął się do środka.

- Słyszałeś o pożarze na ranchu Dakoty? - zapytał.
- Słyszałem - odparł Monroe. - Może masz jeszcze inne równie błyskotliwe pomysły?
- Co najmniej kilka.
- Więc podziel się nimi ze mną, zanim znów zrobisz jakieś kretyństwo.

Lance zmrużył oczy, jakby zraniły go te słowa.

- Uważasz, że sobie nie radzę? - zapytał. - To spróbuj sam.
- Niełatwo przekonać tych dwoje. Stary był twardy, ale oni nie mniej.
- Może niedługo spróbuję. - Monroe nie po raz pierwszy myślał o tym, aby wziąć sprawy we własne ręce. - Na razie ty kombinuj.
 - No to posłuchaj - Lance zniżył głos - zamierzam zaatakować ich najsłabszy punkt.

- To znaczy?

- To znaczy dzieci. - Lance uśmiechnął się z zadowoleniem. -

Dla dobra dzieci każdy zmięknie.

- Źle wyglądasz, Molly - westchnęła Ginny, siadając w ustawionym na werandzie fotelu ze szklanką zimnej lemoniady w dłoni. Wpadła właśnie z wizytą, tak jak prosiła ją o to Molly, kiedy wspólnie chowali do grobu dziadka

- Tak bardzo to widać?

- Jesteś jakaś smutna, przygaszona. Może potrzebujesz pomocy?

Molly uśmiechnęła się z wdzięcznością. Ginny miała niezwykle wycucie - jeśli Molly potrzebowała ostatnio przyjacielskiej pomocy, to najbardziej teraz.

- Nie czuję się najlepiej - przyznała Molly, lecz nie miała ochoty opowiadać o szczegółach. Trudno było przyznać się przed sąsiadką, że jej małżeństwo okazało się fiaskiem, że jej mąż ją okłamał, a potem zdradził. Drugi mąż w jej życiu - i drugie rozczarowanie.

- Nie chcesz powiedzieć, dlaczego? - zapytała łagodnie Ginny.

Molly pokręciła głową, czując, jak do oczu napływają jej łzy.

- Jeśli martwisz się cenami bydła - mruknęła Ginny i sięgnęła po ciasteczko - to mogło być jeszcze gorzej...

Och, jeszcze i to. Kłopoty najwyraźniej lubiły chodzić parami. Rzeczywiście, cena za kilogram mięsa ostatnio spadła, to zaś oznaczało, że zabraknie im pieniędzy na pokrycie bieżących wydatków. Wiadomo już było, że bez pożyczki czy kredytu bankowego sobie nie poradzą.

Westchnęła żałośnie i ukryła twarz w dłoniach. Starła się pohamować płacz, lecz nie mogła. Kiedy zaś Ginny pochyliła się ku niej i ujęła jej dłoń pocieszającym gestem, Molly zaczęła szlochać, a płakała tak rozpaczliwie, tak żałośnie, jak gdyby cały jej świat legł nagle w gruzach.

Na szczęście była przy niej Ginny. Tuliła ją do siebie jak córkę, słuchała jej przerywanej raz po raz opowieści i nie powiedziała żadnego niepotrzebnego słowa, kiedy Molly mówiła jej o sprzeczce, o tym, jak Sam wrócił do domu, przesiąknięty zapachem drogich perfum, jak ona oskarżyła go o zdradę, a on próbował temu zaprzeczyć; jak powiedziała, że nie wierzy ani jednemu jego słowu, i jak Sam odparł na to, że może wierzyć, w co chce, po czym trzasnął drzwiami i wyszedł.

- Naprawdę myślisz, że Sam mógłby cię zdradzić? -zapytała Ginny, gdy Molly zdążyła się nieco uspokoić.

- Sama nie wiem, co myśleć - wyznała Molly i popatrzyła na nią bezradnie.

- Moim zdaniem to bzdura. Ten facet świata za tobą nie widzi. Prędzej poderwałby węża niż jakąś inną kobietę.

- Ale... - Molly zawahała się. Ginny nie znała szczegółów, a ona nie mogła ich zdradzić. - Kłamał także w sprawach dotyczących przeszłości - dodała oględnie.

- Czy to ważna sprawa?

- Dla mnie bardzo ważna.

- I nigdy nie próbował ci o tym powiedzieć?

- Nie. To znaczy... twierdzi, że próbował. Owszem, mówiłam mu kiedyś, że nie musi przede mną się spowiadać, ale... ale co innego miałam na myśli.

- Co?

- Dobrze, powiem ci. — Molly zmięła trzymaną w rękę chusteczkę i odwróciła wzrok. - Myślałam, że rzecz dotyczy kobiet, które miał w swoim życiu, a dotyczyła czegoś znacznie poważniejszego. Sam był w więzieniu - wyznała, po czym popatrzyła na twarz Ginny.

Jednak Ginny nie wyglądała na przejętą tą rewelacją.

- Ach, o to chodzi. Wiem, Walt mi kiedyś powiedział...

- Jak to? To dziadek wiedział?

- Oczywiście. Myślisz, że pozwoliby ci wyjść za mężczyznę, nie wiedząc, co to za jeden?

- Ale ja myślałam...

- Powiedz mi lepiej, czy rzeczywiście nie chciał ci mówić o swojej przeszłości, a jeśli tak, to dlaczego.

- Mówił, że nie był święty... A ja mu powiedziałem, że ja też mam swoje grzechy.

- Byłaś zazdrosna o te jego kobiety?

- Ginny! Po prostu nie miałam ochoty słuchać, więc poradziłam mu, by dał sobie spokój ze zwierzeniami. Mi one nie były do niczego potrzebne.

- No i Sam skwapliwie przystał na twoją prośbę, nie mówiąc ci nic więcej o sobie.

- Oszukał mnie.

- W pewnym sensie. A wiesz, dlaczego to zrobił?

- Bo chciał mnie wykorzystać.

- Bo bał się, że jeśli dowiesz się o więzieniu, nie zechcesz za niego wyjść. Bo mu na tobie zależało. A jeśli mu na tobie zależy, to nie będzie przy pierwszej lepszej okazji cię zdradzał.

- Zależało mu na ziemi i krowach, a nie na mnie.

- Nieprawda. Przecież on cię kocha. Od początku wpadłaś mu w oko. Pamiętam, jak Walt opowiadał mi, że ile razy Sam do niego przychodził, tyle razy gapił się na twoje zdjęcie. Ziemia i bydło to był fortel twojego dziadka. Nie zostało mu wiele czasu, więc postanowił przyspieszyć bieg spraw. Zachęcił Sama, by ten poważnie zaczął myśleć o małżeństwie.

Molly desperacko pragnęła uwierzyć w to wszystko - że dziadek sam zaplanował taki scenariusz, że rzucił ją w ramiona Samą Dakoty nie z konieczności, ale z przekonania, i wreszcie - że Sam ją kocha. Chciała jego miłości. Te ubiegłe tygodnie - przed pożarem - były najszczęśliwsze w jej życiu. Zaczęła wierzyć, że jej los się wreszcie odwrócił i po deszczu zaświeciło w jej życiu słońce.

- I co - Ginny upiła potężny łyk lemoniady - nic na to nie powiesz?

- A co mam powiedzieć? - Wzruszyła ramionami.

- Nie bądź głupia, Molly, nie powtórz mojego błędu. Kochałam twojego dziadka - wyznała ze smutnym uśmiechem. - Kochałam dłużej niż przypuszczasz. Wiem, że lata po śmierci twojej babki

mogliśmy spędzić w szczęściu. Ale oboje byliśmy zbyt uparci, żeby jedno ustąpiło drugiemu. Wciąż się kłóciliśmy. Oboje wiedzieliśmy, że w chwili, gdy przestaniemy na siebie wrzeszczeć, zaczniemy się kochać, ale... Baliśmy się tej miłości.

- Och, Ginny...

- Nie rozczulaj się nade mną. Lepiej pomyśl o sobie. Zaufaj miłości, Molly.

- Myślisz, że nie chcę?

- Więc zaufaj mężczyźnie, którego kochasz. Walt mu zaufał - i się nie zawiódł.

Niedługo potem Ginny pożegnała się i odjechała, a Molly wyszła na ganek, żeby odprowadzić wzrokiem jej samochód. Na podjeździe, w pobliżu stajni, ujrzała półciężarówkę Sama, domyśliła się więc, że już wrócił. Nie mówił, dokąd wybiera się po południu, a i ona nie pytała. Ostatnio niewiele ze sobą rozmawiali.

Po zakurzonej drodze mknął ku ich ranczu szkolny autobus. Molly uśmiechnęła się na ten widok, spodziewając się wkrótce zobaczyć synów. Po kilku minutach już biegli ku niej roześmiani, a w ich radosne pokrzykiwania włączał się ujadający pies - tak szczeniak Claya witał swojego pana.

- Wciąż się kłócicie? - zapytał Clay już w kuchni, kiedy całą trójką zasiedli do kolacji.

- Wcale się nie kłócimy - odparła Molly. - Sam czyści w stajni konie.

- To może dobrze byłoby mu pomóc? - zaproponował Tom. - Ostatnio chodzi taki ponury. Ile jeszcze musi wycierpieć, abyś raczyła mu przebaczyć?

- Tom! - skarciła syna. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Jej dziecko po drugiej stronie barykady? - To, co dzieje się między mną a Samem, to nie twoja sprawa!

- Mamo, czy tak jest zawsze, kiedy ludzie biorą ślub? - zapytał niewinnie Clay. - Że najpierw się kochają i wszystko jest cacy, a potem zaczynają się kłócić?

Molly westchnęła głęboko, lecz nic nie odpowiedziała. Chłopcy mieli rację. Ginny również. Mażeńskie dąsy trwały zbyt długo. Czas, by wyjaśnić sobie wszystko jak dorośli ludzie i albo przestać się bocyć, albo rozstać się na zawsze.

Odstawiła pusty talerz, dopiła herbatę i wstała, po czym ruszyła do drzwi.

- Dokąd idziesz, mamo? - zawołał za nią Clay.

- A jak myślisz, baranie? - roześmiał się Tom. - Zostaw ich teraz w spokoju, muszą pogadać. A jak po powrocie będą mieli siano we włosach, nie pytaj dlaczego.

Odwróciła się, żeby spiorunować go wzrokiem, lecz Tom uśmiechnął się do niej, jakby chciał dodać jej odwagi, więc i ona odpowiedziała tym samym.

Sam czyścił boksy w stajni. Zauważył, że weszła, jednak nawet nie podniósł wzroku, by ją powitać.

- Chcę cię o coś zapytać i prosić, byś powiedział mi prawdę - zaczęła.

- Pytaj.

- Czy tamtej nocy byłeś z kobietą?

- To zależy, co przez to rozumiesz.

- Nie mam ochoty bawić się w niuanse. Wiesz, o co mi chodzi.

- Jeśli pytasz, czy spałem z kobietą, czy uprawiałem z nią seks, odpowiedź brzmi nie.

- Ale zapach.

- Jeśli zaś interesuje cię, co robiłem, to ci powiem - nie pozwolił jej dokończyć. - Pewna pani poprosiła mnie, żebym podwiózł ją do domu, a ja spełniłem jej prośbę. Była mi wdzięczna i cmoknęła mnie w policzek, przytuliła. To wszystko. Mogę przysiąc, że nie było nic więcej.

Molly bardzo chciała mu wierzyć. Popatrzyła mu w oczy, lecz jego spojrzenie było surowe, twarde.

- W swoim życiu kochałem tylko jedną kobietę - powiedział poważnie. - Ciebie.

Jej serce zabiło żywiej na te słowa. Uświadomiła sobie nagle, że słyszy je z ust Sama po raz pierwszy. Chciała mu wierzyć - i uwierzyła.

- A ja kocham ciebie - wyszeptała.

- Więc dlaczego wciąż stoisz tam, a ja tutaj? - zapytał, a przez jego twarz przemknął pierwszy nieśmiały uśmiech.

Molly ruszyła w jego stronę i po chwili padli sobie w objęcia. Sam przycisnął żonę do piersi, oparł głowę na jej ramieniu, odetchnął z ulgą tak wielką, że Molly w jednej chwili opuściły wszelkie wątpliwości. Wiedziała już, że Sam jej nie zdradził.

Dotychczas całowali się dziesiątki razy, żaden jednak z poprzednich pocałunków nie znaczył dla niej tak wiele. W pieszczocie tej była już nie tylko namiętność, lecz także oddanie, zaufanie, miłość.

- Czy teraz rozumiesz, jak bardzo cierpiałem, kiedy musiałem spać sam, z dala od ciebie? - wyszeptał, gdy zabrakło im tchu i musieli oderwać się od siebie.

- Udało ci się w ogóle zasnąć?

- Dopiero trzeciej nocy. - Pocałował ją ponownie. - Miałem i inne zmartwienia, choć to było największe.

- Co się stało? - zapytała z niepokojem.

- Szykują się nowe kłopoty.

- Znowu?

- Ta kobieta, którą podwiozłem... - zawahał się. - To była Pearl Mitchell.

- O, Boże - wyszeptała Molly i oparła głowę o jego tors.

Zaraz potem usłyszeli hałas nadjeżdżającego samochodu i ruszyli do drzwi, by zobaczyć, co się dzieje. Nie zdążyli jednak, wyjść na zewnątrz, bowiem drzwi do stajni otwarły się po chwili i stanął w nich szeryf Maynard.

- Przyjechałem po ciebie, Dakota - oświadczył z triumfalnym uśmiechem. - Zabieram cię do miasta na przesłuchanie w sprawie morderstwa Pearl Mitchell.

Scandalous

Rozdział piętnasty

Sam stracił rachubę czasu. Nie wiedział, ile godzin spędził w małej klitce za pokojem szeryfa - cztery, pięć czy może sześć. Oczy miał przekrwione i podkrążone, mięśnie sztywne ze zmęczenia, gardło suche. Wciąż bombardowano go pytaniami, on jednak na wszystkie miał jednakową odpowiedź:

- Nic wam nie powiem, dopóki nie zjawi się mój adwokat.

Szeryf Maynard twierdził, że nie może skontaktować się z Russellem Letsonem, lecz Sam mu nie wierzył. Na wszelki wypadek nie zgłaszał żadnych pretensji, nie protestował również w kwestii kajdanek, choć wiedział, że nie mieli prawa mu ich założyć. W tej rozgrywce chodziło także o to, by go sprowokować, a on tym razem zamierzał być mądrzejszy niż w przeszłości.

Och, tak, przeszedł już kiedyś przez to wszystko. Wiedział, że mundur nie jest gwarancją prawa, sprawiedliwości ani prawdy. Kiedy aresztowano go po burdzie w barze, przesłuchujący go policjant tak układał pytania, że w końcu udało się sprokurować odpowiednie oskarżenie. Z pozoru wszystko wyglądało uczciwie. Wziął udział w bójce? Wziął. Miał przy sobie nóż? Miał. Sporo wypił przy barze? Sporo. Te trzy odpowiedzi wystarczyły, by go aresztować, i nikt nie pytał potem ani o motywy, ani o to, kto zaczął.

Teraz nie miał zamiaru powtarzać tego samego błędu. Jego życie zaczęło się wreszcie układać. Zbyt wiele miał do stracenia, by pozwolić sobie na naiwność.

Kiedy za ścianą usłyszał głos Molly, na przekór wszystkiemu nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Chcę natychmiast widzieć się z mężem! - powiedziała, a on z rozbawieniem pomyślał, że ktoś się łudzi, iż uda mu się ją powstrzymać. Prawie zaczął żałować tego nieszczęsnego urzędnika. Jego żona była silna, uparta i umiała dbać o swoją rodzinę. Za to właśnie ją kochał.

Świadomość tego, że Molly jest w tym samym budynku, że po niego przyszła, dodała mu sił. Sam przetrzymał jeszcze jedną rundę pytań, a potem słuchał w milczeniu, jak szeryf i jego ludzie ponownie recytują listę dowodów, które miały potwierdzać, że to właśnie on, Sam Dakota, jest bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć prostytutki.

Godzinę później drzwi do pokoju otworzyły się nagle i do środka wszedł Russell Letson. Na widok kajdanek Sama zmarszczył brwi.

- Na jakiej podstawie przetrzymujecie mojego klienta? - zapytał.
- To wykracza poza wasze uprawnienia.

- Sam Dakota to ostatnia osoba, którą widziano w towarzystwie Pearl Mitchell - odparł szeryf i popatrzył wrogo na prawnika.

- Jeśli to jest jedyny dowód, to wypuście go natychmiast. W przeciwnym razie złożę doniesienie o przekroczeniu uprawnień i bezpodstawnym przetrzymywaniu mojego-klienta.

Sam uśmiechnął się z zadowoleniem. Nie doceniał Russella Letsona. Ten z pozoru łagodny człowiek umiał być twardy. Jego zdziwienie było tym większe, że przecież prawnik jeszcze wczoraj wcale nie był pewien, czy chce być adwokatem w tej sprawie. Ciekawe, czy sam się w końcu zdecydował, czy też może Molly pomogła mu podjąć tę decyzję.

Jeszcze bardziej zaskoczony postawą Letsona był szeryf. Patrzył na niego wybałuszonymi oczami, poczerwieniał na twarzy i sapał z niedowierzaniem, jakby nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Ci dwaj najwyraźniej dobrze się znali, a teraz jeden z nich wyłamał się z szyku.

- Grozisz mi? - warknął Maynard. - Mi grozisz, ty... ty gnojku?

- Ostrzegam cię - odparł Russell, lekko zbity z tonu. - Tym razem posunąłeś się za daleko. O wiele za daleko. Ty to wiesz, ja wiem i wie każda osoba w tym pomieszczeniu. Albo zatrzymasz się teraz, albo pójdziemy z tym do sądu. Decyzja należy do ciebie.

Przez dłuższą chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. Wreszcie szeryf mruknął coś pod nosem i niedbałym gestem nakazał policjantom, żeby zdjęli zatrzymanemu kajdanki.

Gdy tylko Sam odzyskał wolność, przedarł się między Maynardem a Letsonem do sąsiedniego pokoju, by czym prędzej zobaczyć Molly. Zerwała się z miejsca na jego widok, ich oczy spotkały się i bez słowa padli sobie w objęcia. Sam zacisnął powieki i z całych sił przytulił do siebie najdroższe ciało. Kochał ją teraz tak mocno, jak nikogo na świecie.

Nie wyrzekła się go. Przyszła po niego. Domagała się dla niego sprawiedliwości. Ufała mu.

- Nic ci nie jest? - zapytała drżącym głosem, dotykając palcami jego twarzy.

- Nie ma się czym martwić - odparł. Nie był pewien, czy to prawda, ale taką miał nadzieję. Zawdzięczał ją Russellowi Letsonowi.

Russell tymczasem wyszedł do nich z pokoju przesłuchań i zamienił z Samem kilka rutynowych zdań. Czy dobrze się czuje, czy nie był bity, czy nie nakłaniano go groźbami do złożenia zeznań. Przypomniał, żeby nie zeznawać bez jego wiedzy i zgody oraz konsultować się z nim w każdej sprawie, która może mieć związek z morderstwem Pearl Mitchell, a potem uścisnął dłoń Sama i uśmiechnął się do Molly.

- Dziękuję - popatrzyła na niego poważnie - w imieniu męża i swoim.

Spojrzał na nią smutno, potem przeniósł wzrok na Sama. Wyglądał tak, jakby zazdrościł im tej małżeńskiej solidarności i wspólnoty.

- Zrobiłem jedynie to, co do mnie należało - powiedział cicho. - Przepraszam, że tak długo trzeba było na mnie czekać.

- Warto było czekać - odparł Sam. - Jeszcze raz dziękuję.

- Idźcie teraz do domu, już trzecia. Musicie odespać tę noc.

Jednak ani Sam, ani Molly nie zmrużyli oka do świtu. Kiedy dotarli do domu, natychmiast skierowali się do sypialni i nie zapalając światła, zaczęli zdejmować z siebie ubrania. Tak długo czekali na

moment, kiedy wreszcie zostaną sami, że teraz nie chcieli czekać ani sekundy dłużej. Przywarli do siebie, spragnieni dotyków, szeptów i pieszczot, i cieszyli się swoją bliskością.

- Niedługo wstanie słońce - westchnął Sam.

- Wiem.

- Chcesz się zdrzemnąć?

Zamiast odpowiedzieć, Molly ucałowała jego tors, a potem przesunęła językiem w dół płaskiego brzucha. Sam jęknął, pochylił głowę, żeby odnaleźć w ciemnościach jej usta, lecz ona była szybsza. Objęła ostrożnie jego męskość i choć Sam był zmęczony do szpiku kości, w jednej chwili zapomniał o zmęczeniu, gotowy kochać się z nią choćby i do rana. Ukląkł obok niej, położył dłonie na jej nagich piersiach, a później ułożył ją wygodnie na miękkim materacu. Gdy wszedł w jej chętnie, gotowe na jego przyjęcie ciało, westchnął błogo i zamknął oczy. Znowu byli razem, u siebie, w domu...

Rozkosz, którą przeżyli tej nocy, była tak wielka, jak wielka była tęsknota dręcząca ich serca i zmysły w czasie ostatnich dni. Kiedy zaś dali już sobie wszystko - serce, duszę, wszelkie nadzieje i całą przyszłość - wtulili się w siebie i leżeli w milczeniu, patrząc, jak za oknem wstaje świt.

Molly zasnęła pierwsza, Sam przymknął powieki nieco później. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz usypiał w takim spokoju, z głową całkowicie wolną od jakikolwiek pytań czy wątpliwości.

- Powinieneś pójść do dyrektora, Tom. Pan Wilson chce cię widzieć w swoim gabinecie - oznajmiła pani Kirby, nowa nauczycielka angielskiego.

Tom spojrział na nią zaskoczony. Dyrektor? Dlaczego dyrektor chce z nim rozmawiać? Czy zrobił coś złego? Przecież w nowej szkole zachowywał się poprawnie. Wiedział już, kto w klasie lubi pakować się w kłopoty, i unikał towarzystwa takich koleśków. Akurat jemu nie mieli czym zaimponować. Przechwalali się swoimi „wyczynami”, ale on nie takie numery przerabiał w San Francisco..

W San Francisco on też był taki. Zgrywał twardziela i uważał, że im więcej krwi napsuje nauczycielom, tym bardziej będą go szanowali chłopaki w jego klasie. Dopiero tutaj zrozumiał, że w gruncie rzeczy chciał się podliznąć Eddiemu Riesowi, kiedy mazał z nim na ścianie sali gimnastycznej jakieś pierdoły. Do dziś czuł się głupio, że nie stać go było na własne zdanie, toteż w Sweetgrass postanowił, że zaczyna nową kartę. Nie musi być kujonem, okay, ale nie da się wpuścić w żaden kanał. W końcu teraz stać go na własne zdanie.

Przede wszystkim nie chciał narobić tyłów mamie. Gdy wspominał wyraz jej twarzy, kiedy przyszła po niego do gabinetu dyrektora jeszcze w San Francisco, ścisnęło mu się serce. Jak na matkę nie była taka zła. Nie zawsze się ze sobą zgadzali, ale nie stwarzała specjalnych trudności i liczyła się z nim, zwłaszcza ostatnio, po ślubie z Samem. Sam też nie powinien z jego powodu świecić oczami, więc Tom naprawdę się pilnował.

Co więc się stało?

- Czy pan Wilson powiedział, o czym chce rozmawiać? -
zapytał. Nauczycielka była sympatyczna, mniej więcej w wieku jego
matki. I choć nie udało jej się zaszczepić w nim miłości do literatury,
to przynajmniej była sprawiedliwa i omawiała lektury w sensowny
sposób. — Chyba nic nie zrobiłem...

- Nie wiem. Powiedział tylko, żebyś przyszedł. - Pani Kirby
popatrzyła na niego ze współczuciem.

- Jasne, kapuję. Dyro nie wzywa uczniów dla przyjemności -
mruknął pod nosem. - Mam pójść po lekcjach?

- Lepiej teraz. Na twoim miejscu nie czekałabym ani chwili.

Tom sięgnął po plecak i wyszedł na korytarz, odprowadzany
uwagnym wzrokiem całej klasy. Kiedy wszedł do sekretariatu,
sekretarka dyrektora, pani Kozar, uniosła wzrok, lecz nie uśmiechnęła
się do niego. Pani Kozar była ładną kobietą i miała sympatyczny,
zaraźliwy uśmiech. Dzisiaj jednak nie było po nim na jej twarzy ani
śladu. Do diabła, co on takiego zrobił?

- Pan Wilson już na ciebie czeka - powiedziała.

Skinął głową, a potem zapukał cicho i wszedł do gabinetu. Ku
swojemu zdumieniu ujrzał, że oprócz dyrektora są tam jeszcze Sam
oraz mama.

Mama rzuciła mu takie spojrzenie, że od razu miał ochotę
krzyknąć, że jest niewinny. Sam był nieco bardziej spokojny, lecz i na
jego twarzy widać było zakłopotanie.

- Usiądź, Tom - nakazał mu pan Wilson. Tom zajął krzesło obok
Sama.

- Czy coś się stało? - zapytał przejęty i spojrzał najpierw na pana Wilsona, a potem na rodziców.

- Dzisiaj rano znaleźliśmy wymazane sprayem bazgrały na ścianie sali gimnastycznej - odparł dyrektor.

Wszyscy spojrzeli na niego ciężkim wzrokiem i dopiero wówczas zrozumiał, że to on jest głównym oskarżonym.

- Chwileczkę! - Zerwał się na równe nogi. Ja tego nie zrobiłem!

Pan Wilson popatrzył wymownie na mamę, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie życzy sobie podobnego zachowania.

- Zapytajcie kogo innego! — gorączkował się Tom. -Dlaczego ja? Przyjechałem autobusem, jak zawsze...

- A wczoraj, po szkole? - przerwała mu matka. Tom spojrzał na nią ciężkim wzrokiem. Mógłby przysiąc, że jest bliska płaczu. Kurcze, to on powinien się rozplakać!

- Wczoraj zostałem po lekcjach, żeby pograć w piłkę - odparł, przenosząc wzrok na Sama. - Ale zaraz potem odwiózł mnie do domu Brian Tucker, pamiętacie?

Brian Tucker był gwiazdą drużyny futbolowej i jednym z najlepszych uczniów w szkole. Tom często opowiadał o nim w domu, licząc na to, że pochwalą go za to, że ma takiego przyjaciela.

- Posłuchaj, Tom - odezwał się dyrektor. - Kiedy przeniosłeś się do nas z San Francisco, poprosiliśmy o przesłanie twoich szkolnych akt.

- Rozumiem - wszedł mu w słowo Tom. - Uważa pan, że skoro pomalowałem ścianę w San Francisco, to w Sweetgrass nie mógł tego zrobić nikt inny. Logiczne, nie ma co... - zaśmiał się gorzko.

- Logiczne. - W głosie pana Wilsona zabrzmiała niezachwiana pewność. - Ty to zrobiłeś, kolego.

- Nie zrobiłem - zaprzeczył uparcie Tom.

- Pod tymi bazgrołami jest twój podpis - odezwała się nagle matka. Mówiła tym samym tonem, który słyszał już kiedyś w innym gabinecie. Tonem, który informował go, że oto ją zawiódł, a ona ponosi za to odpowiedzialność, bowiem jest kiepską matką, która nie potrafiła wychować porządnie swojego syna. Trele-morele!

- Mój podpis? - powtórzył z kwaśnym uśmiechem. - To dobrze się składa.

- Nie bądź bezczelny! - zirytował się dyrektor.

- Przepraszam pana uprzejmie - Tom skłonił się w jego stronę - ale to powinno chyba dać panu do myślenia. Mogę mieć rozmaite wady, ale idiotą nie jestem. Sądzi pan, że pomazałem ścianę, a potem sam się podpisałem, żeby łatwiej mnie było znaleźć?

- Nie mówię o twoim nazwisku.

- A o czym?

- O symbolach młodzieżowego gangu.

Krew odpłynęła nagle z twarzy Toma. Usiadł z powrotem na krześle, podczas gdy dyrektor nie przestawał mówić patrząc na niego oskarżycielskim wzrokiem:

- Takie same znaki namalowałeś na ścianie poprzedniej szkoły. Twoja matka potwierdziła, że wyglądały identycznie.

- Ale teraz tego nie zrobiłem! - zaprotestował. - Naprawdę!

- Nie kłam! - krzyknęła Molly. - Wiesz dobrze, jak nienawidzę kłamstw. Och, Tom, jak mogłeś zrobić coś podobnego?

Zacisnął zęby z bezsilnej wściekłości. Czuł, że jeszcze chwila, a chwyci z biurka Wilsona jakiś ciężki przedmiot i wyrzuci go przez okno.

- Przecież mówię, że tego nie zrobiłem! Nie i już! - wrzasnął. - Czy ktoś wreszcie mnie wysłucha?!

Zapadła cisza. Dopiero po kilkunastu sekundach odezwał się Sam, po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy:

- Słuchamy.

- Przysięgam na wszystko, co dla mnie ważne, że tego nie zrobiłem - powiedział Tom spokojnie i cicho.

- Na jakiej podstawie mielibyśmy ci wierzyć? - Dyrektor wciąż patrzył na niego z potępieniem.

- Przepraszam, dyrektorze. Chciałbym się wtrącić, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - ponownie odezwał się Sam. - Ja mu wierzę.

- Ponieważ?

- Ponieważ nigdy się nie zdarzyło, żeby Tom skłamał - odparł Sam. - Nie mówię, że ten dzieciak jest święty, ale w stosunku do mnie zawsze był uczciwy i szczery. Skoro mówi, że to nie on wymalował te znaki, to ja mu wierzę.

Tom spojrział na niego z wdzięcznością. W jego oczach pojawiły się łzy. Zawstydział się tego i ukradkiem otarł je rękawem, jednak naprawdę był wzruszony. Tylko jeden Sam się za nim ujął, tylko on. Zawsze wiedział, że na Sama można liczyć.

- Więc jak pan wyjaśni pojawienie się na murze znaków gangu?

- Być może Tom nie jest jedynym uczniem, który zna te znaki.

- Uczniowie w Sweetgrass znają znaki kalifornijskich gangów młodzieżowych? - spytał z niedowierzaniem dyrektor. - Pan wybacz...

- Czy sądzi pan, dyrektorze, że pańscy uczniowie nie znają świata poza Sweetgrass? Nie oglądają telewizji? Nie wyjeżdżają do innych stanów? Nie mają żadnych rodzin? - zapytał Sam. - Jeśli wolno, mam jeszcze jedno pytanie, dyrektorze. Czy od początku roku szkolnego Tom sprawiał jakiegokolwiek kłopoty?

- Nie, ale to dopiero początek...

- ...i kłopoty dopiero się zaczną - dokończył za niego Tom. - To się nazywa brak uprzedzeń!

Był z siebie dumny, że tak przygadał Wilsonowi, jednak Sam zmroził go wzrokiem i jednym spojrzeniem dał do zrozumienia, że powinien trzymać gębę na kłódkę. Tom uspokoił się natychmiast. Sam wiedział lepiej, jak go bronić.

- Jacy są jego koledzy? - zapytał dyrektora. Pan Wilson spuścił wzrok.

- No cóż, nie sprawiają kłopotów. Przyjaźni się z uczniami, którzy nie wymagają stosowania kar.

- Czy ktokolwiek widział, jak Tom maluje ścianę?

- Nie.

- Czy są jakieś inne dowody? Opakowanie po sprayu w szafce Toma? Ślady farby na jego butach lub ubraniu?

- Nie.

Sam uśmiechnął się lekko do Toma.

- Myślę więc, że najlepiej będzie zapomnieć o tym nieszczęsnym incydencie - powiedział.

- A kto odnowi ścianę? — Dyrektor wzruszył ramionami, jak gdyby dał się już przekonać. - To własność szkoły.

- Może poszuka pan ochotników?

- Ech... - dyrektor machnął ręką - sam pan poszukaj. Anulujemy twoją sprawę, Tom - zwrócił się do niego. - Możesz zapomnieć, że cię wzywałem.

- Z przyjemnością - odpowiedział zadowolony i popatrzył z radością na Sama. Od początku go lubił, ale gdyby nawet dotychczas go nienawdził i nie mógł mu darować małżeństwa z matką, teraz wszystko uległoby zmianie. Sam był nie tylko jego ojczymem. Był przyjacielem.

- Przepraszam, jeśli źle cię osądziłem - mówił tymczasem złagodniały nagle dyrektor. - Twój ojczym ma rację. Dotychczas dałeś się poznać jako dobry uczeń. Mam nadzieję, że wybaczysz mi pochopny osąd.

Wstał i wyciągnął do niego rękę. Tom uścisnął ją i spojrzał mu w oczy. To Sam go nauczył, że uścisk dłoni powinien być mocny i stanowczy, połączony ze szczerym spojrzeniem w oczy.

- Nic się nie stało, proszę pana - odparł. - Wszyscy popełniamy błędy. Jeśli dowiem się, kto pomazał tę ścianę, powiem panu. Mogą mnie sobie nazywać kapusiem.

- Dziękuję. A teraz wracaj na lekcję.

- Ja również dziękuję. - Był już w połowie drogi do drzwi, kiedy zatrzymał się i odwrócił. - Dzięki, Sam.

Mama, która siedziała obok, wyglądała na kompletnie załamana. Zrobiło mu się jej żal. Żałował, że nie stanęła po jego stronie, ale częściowo ją rozumiał. Jego ojciec, pierwszy ojciec, ciągle ją oszukiwał, więc nauczyła się nikomu nie ufać.

- Tobie też, mamó - dodał, a potem zamknął drzwi. Zdażył jeszcze zobaczyć, że matka ma w oczach łzy. No cóż, odrobina płaczu dobrze jej robi. Przynajmniej przez resztę tygodnia będzie przygotowywać jego ulubione dania. W sumie wyszło całkiem nieźle.

Molly czuła się wyczerpana. To był jeden z najbardziej stresujących okresów w całym jej życiu. Najpierw straciła wiarę w Sama. Ledwie zdołała ją odzyskać, aresztowano go i przeżyła chwile grozy, zanim udało się go uwolnić. Jednak już następnego dnia dowiedziała się, że jej syn znów rozrabia - i to w nowej szkole!

Na szczęście okazało się to nieprawdą, a cały incydent nauczył ją, że warto wierzyć swemu dziecku. Czy to możliwe, że ona, jego matka, bardziej skłonna była uwierzyć obcemu człowiekowi, a nie

synowi, którego znała tak dobrze? Teraz czuła wyrzuty sumienia z tego powodu.

Domyślała się, dlaczego Sam stanął w obronie chłopca. Akurat on dobrze wiedział, jak się czuje człowiek, którego fałszywie oskarżono.

Jakby mało było kłopotów rodzinnych, powodów do zmartwień dostarczał także stan rancza. Sam, podobnie jak kilku innych ranczerów, zmuszony został do sprzedania Części stada, mimo że cena była spadła na poziom najniższy od dziesięciu lat. Suma, którą uzyskali, nie wystarczyła oczywiście na pokrycie bieżących wydatków, na żaden dodatkowy dochód nie mogli zaś liczyć. Molly myślała wprawdzie o pracy w szkole, ale tam nie zamierzano w najbliższym czasie zatrudnić nauczyciela języków obcych.

Pocieszała się, że może za to całe dni spędzać z dziećmi, które nie miały nigdy wcześniej tak bliskiego kontaktu z matką, oraz że sama zajmując się gospodarstwem, prowadzi je oszczędniej. Nie zmieniało to jednak faktu, że brakowało im pieniędzy i musieli zaciągnąć kredyt na przetrwanie.

Na rozmowę do banku pojechali razem, gdy jednak Sam zaparkował samochód w bocznej uliczce, Molly spojrzała na niego przeproszająco i spytała:

- Będiesz zły, jeżeli nie pójdę z tobą do Burnsa?
- Skąd - odparł, choć trudno mu było ukryć zdziwienie.

Wcześniej ustalali, że wspólnie złożą wniosek.

Molly zerknęła na lombard po przeciwnej stronie ulicy. Sam nie wiedział, że od wielu tygodni odkładała drobne sumy zaoszczędzone na zakupach, żeby w przyszłości móc wykupić srebrną sprzączkę, zastawioną kiedyś przez męża. Chciała dać mu ją wcześniej, w prezencie ślubnym, nie spodziewała się jednak, że ten drobny przedmiot ma tak wielką wartość.

- Na pewno? - zapytała raz jeszcze.

- Jeśli mam być szczery, to nie cieszy mnie perspektywa tej rozmowy - mruknął Sam i otworzył drzwi po stronie kierowcy. - Niełatwo jest prosić o pożyczkę. Ale jeśli wolisz, bym poszedł sam...

- Tak będzie lepiej. - Molly położyła rękę na jego ramieniu. - Chcesz całusa?

- Może później?

Speszyła się nieco i sięgnęła do klamki po swojej stronie.

- Albo nie - poprawił się Sam i wyciągnął ku niej ramiona.

Pocałunek był tak namiętny, że gdy oderwali się wreszcie od siebie, Molly pomyślała, że wołałaby być na jakimś poboczu, a nie w centrum miasteczka.

- Może najpierw znajdziemy jakiś motel, który wynajmuje pokoje na godziny? - zażartował Sam. - Co tam, i tak mamy wziąć kredyt.

- Sam! - zachichotała. - Najpierw go weźmy. Jak wrócisz z podpisem Davida Burnsa, zaszalejemy.

- Chyba wołałbym iść do dentysty.

- Burns jest bardzo uprzejmy - znów się roześmiała. - Uśmiechaj się miło i mów spokojnie. Mamy argumenty, które go przekonają, że może bezpiecznie pożyczyć nam tę sumę.

- Nie wiem, dlaczego się uparłaś, żebym szedł sam. Ty zrobiłabyś to wszystko sto razy lepiej.

- E, tam. Kto zechce gadać z babą o finansach? W Montanie?

- No dobrze, idę. Spotkamy się tu za pół godziny - powiedział Sam i wyszedł na chodnik. - Chyba że od razu mnie spławi i wrócę po chwili. Trzymaj kciuki!

Molly uśmiechnęła się do męża krzepiąco, odczekała, aż zniknie za drzwiami banku, po czym sama przeszła na przeciwną stronę ulicy. Pchnęła drewniane drzwi, które uderzyły w przybity do framugi dzwoneczek. Chwilę potem z pomieszczenia na zapleczu wychylił się właściciel lombardu, Max Anderson, i skinął jej głową na powitanie.

- Czyżby kolejna rata? - zapytał.

- Tak. - Molly wyjęła portmonetkę i wysupłała z niej dziesięciodolarowy banknot. Wiedziała, że w tym tempie wykupienie nagrody Sama zajmie jej co najmniej kilka lat, ale musiała dopilnować tego, by Sam odzyskał swój skarb.

- Tylko dziesięć? - zapytał Anderson. - A nie chce pani czegoś zastawić?

- Gdybym miała co...

- Na przykład tę kameę.

Molly zacisnęła palce na wisiorku. Nosiła tę ozdobę codziennie, ku czci dziadka i na wspomnienie miłości łączącej jego i babcię.

- To pamiątka - odparła. - Nie przywiązuję wagi do błyskotek, ale ta ma dla mnie szczególne znaczenie.

- Można wiedzieć dlaczego?

- Dziadek dał mi ją kilka lat temu, po śmierci babci. Kamea należała do niej.

- Mógłbym rzucić okiem?

Molly zawahała się, ale po chwili rozpięła łańcuszek i położyła ozdobę na wyciągniętej dłoni. Anderson wziął ją ostrożnie, obejrzał, potem odwrócił.

- Musi być bardzo stara.

- Nawet nie wiem. Dziadek kupił ją podczas drugiej wojny światowej. Chyba we Francji.

- Albo we Włoszech. Zrobiono ją co najmniej sto lat temu. Jest śliczna.

- Dziękuję. — Wyciągnęła rękę po swoją własność, ale Max nie kwapił się jeszcze, by ją oddać.

- Proszę o nią dbać - powiedział wreszcie i zwrócił Molly kameę.

- Dbam - uśmiechnęła się, jakby powiedział rzecz oczywistą. Kamea, podobnie jak ranczo, stanowiła część jej dziedzictwa.

Któregoś dnia przekaze ją żonie Toma albo własnej wnuczce. Wtedy też opowie jej historię młodzieńca walczącego na wojnie w Europie i pięknej dziewczyny, która wiernie czekała na powrót ukochanego.

- Pewnie nie zamierza pani tego sprzedać. - Max przyjął wpłatę dziesięciu dolarów i odnotował ją w zeszycie, kiedy zaś Molly

pokręciła głową, powiedział: - Sprzączkę cały czas trzymam dla pani. Cieszę się, że chce pani ją wykupić. To ładny gest.

- Sam na to zasłużył.

- Tak - właściciel lombardu z aprobatą pokiwał głową - to dobry człowiek.

Pożegnali się przyjaźnie, po czym Molly wyszła na ulicę i wróciła do samochodu. Sama jeszcze nie było, więc postanowiła zajrzeć na chwilę do sklepu, gdy jednak wchodziła do środka, usłyszała jego krzyk:

- Molly! Zaczekaj...

- Tak szybko? - spytała zdumiona, gdy do niej podszedł.

- Jedziemy stąd - rzucił przez zaciśnięte zęby.

- Co się stało?

- Ta wizyta była niepotrzebna. - Otworzył przed nią drzwi samochodu. - Nie dostaniemy pieniędzy. Musimy znaleźć inny sposób na utrzymanie rancza. Nie wiem, co zrobimy, ale Burns na pewno nam nie pomoże.

Rozdział szesnasty

Molly jęknęła na dźwięk budzika i wypełzła z łóżka, by go uciszyć. Nie budząc Sama, otuliła się szlafrokiem i zeszła do kuchni, żeby przyrządzić kawę. Pod koniec października poranki były bardzo chłodne, więc bez gorącego kubka nie wyobrażała sobie początku dnia. Stała przed ekspresem i czekała cierpliwie, aż napelni się dzbanek, zanim to jednak się stało, usłyszała kroki na schodach, a zaraz potem zaspany głos męża:

- Już wstałaś? - Podszedł do niej i wtulił twarz w jej pachnące snem włosy. - Jeszcze mogłabyś pospać.

- Ty mógłbyś pospać - odparła. Nie wiedziała, o której się położył, ale z pewnością długo po niej, ona zaś zasnęła dopiero po północy. Sam przeglądał księgi rachunkowe i przygotowywał się do spotkania z miejscowymi ranczerami.

- Dzisiaj idę na spotkanie hodowców bydła - przypomniał jej. - Próbowałem wykombinować coś w związku z naszymi problemami.

- I co wymyśliłeś? - Molly oparła czoło o jego ramię.

- Na razie nic.

Pocałowała go w policzek. Mimo kłopotów, a może właśnie przez to, że je mieli, byli dla siebie coraz bardziej czuli i coraz częściej to sobie okazywali. Ciepło, fizyczna bliskość stały się palącą potrzebą, wręcz koniecznością. Co noc kochali się w swojej sypialni, jak gdyby miłość była narkotykiem, który pozwoli zapomnieć im o

zmartwieniach. Rano natomiast, tak jak teraz, schodzili do kuchni i rozmawiali, korzystając z błogich chwil ciszy, które trwały, dopóki Tom i Clay spali. Spokój poranka mijał bezpowrotnie, gdy tylko któryś z nich wpadał do kuchni i głodny zaczynał szukać czegoś do jedzenia.

Ekspres z kawą zabulgotał. Molly wysunęła się z mężowskich objęć, wyjęła kubki i napełniła je do połowy. Spodziewała się, że sam zapach postawi ją na nogi, jednak zamiast tego poczuła się dziwnie słabo. Co gorsza, zrobiło jej się mdło i wystraszyła się, że zaraz zwymiotuje.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Sam. - Jakoś dziwnie wyglądasz.

- Wszystko w porządku - skłamała. Nie chciała do licznych jego zmartwień dokładać następnego, więc z trudem zdobyła się na uśmiech. - Jeśli wrócisz do łóżka, zobaczysz, w jakiej jestem formie.

- Nie kuś. - Sam upił łyk kawy.

- Dlaczego nie?

- Bo nie zdążę - zerknął na zegarek - cholernie wcześniej wymyślili to zebranie. - Pocałował ją w policzek i razem z kubkiem zniknął w sypialni.

Molly oparła się o ścianę. Kiedy ostatnio przeszkadzał jej zapach kawy? Oczywiście - gdy była w ciąży z Clayem. Zmarszczyła brwi i zaczęła liczyć dni od ostatniej miesiączki. Czyżby teraz też...

Nie, na pewno nie. Lekarz uprzedzał ją, że stres wywołany śmiercią bliskiej osoby może zaburzyć jej miesięczny cykl, więc...

Ale w takim razie skąd te mdłości? Nigdy ich nie czuła. Boże, przecież byli ostrożni. Nie mogła być w ciąży! W każdym razie na pewno nie teraz. Nie dość, że mieli kłopoty z pieniędzmi, to jeszcze jej ubezpieczenie obejmowało jedynie podstawowe świadczenia.

Usłyszała znajome dudnienie na schodach i wyprostowała się gwałtownie. Wyjęła z lodówki jajka, by usmażyć chłopcom jajecznicę, po czym odwróciła się w stronę kuchenki.

- Co na śniadanie? - spytał Clay, gdy tylko znalazł się w kuchni. Tuż za nim przydreptał pies, który natychmiast usadowił się pod stołem. Clay włączył radio, gdzie po pięciominutowych wiadomościach podawano właśnie aktualny jadłospis szkolnej stołówki, najnowsze ceny bydła i wylosowane wczoraj numery bingo.

- W szkole mają dzisiaj hot dogi! - podekscytował się, słysząc słowa spikera. - Mogę sobie kupić lunch?

- Oczywiście. - Molly rozbiła jajka i roztrzepała je widelcem.

- Mamo, zapakowałaś już jego śniadanie? Jeśli tak, to ja je wezmę - poinformował od progu Tom.

- Chcesz dwa śniadania? - zapytała Molly, choć właściwie nie powinna się temu dziwić. Tom był w wieku dojrzewania. Przez lato urósł cztery centymetry, nabrał mięśni, głos mu się zmienił. I wciąż miał olbrzymi apetyt.

- Zjem drugie po szkole - wyjaśnił. - Mamy mecz.

- Z kim gracie? - spytał Sam, który zszedł do kuchni, zwabiony odgłosami rozmowy. Miał na sobie świeżo wyprane spodnie, koszulkę i krawat; pachniał wodą po goleniu.

- Z równoległą klasą. Taki mecz to prawie wojna.
- Jasne, domyślam się.
- Wybierasz się gdzieś, tato? - spytał Tom, patrząc na jego

odświętny strój.

- Mam spotkanie w Związku Hodowców.

- Chodzi o te ceny?

- Aha.

Molly uśmiechnęła się dyskretnie, słuchając tej „męskiej” pogawędki. Najbardziej cieszyło ją to, że Tom nazywał Sama „tata”. Po tym, jak Sam stanął w szkole w jego obronie, nie odzywał się już do niego inaczej. Sam przyjął to naturalnie i zdawał się nie zwracać na to uwagi, lecz ona wiedziała, jak wielką Tom sprawił mu radość.

Zasiedli całą rodziną do stołu i zaczęli jeść, lecz gdy głos w radiu oznajmił, że na drodze numer 32 odnaleziono ludzkie zwłoki, wszyscy znieruchomieli i w kuchni zapadła cisza. Spiker poinformował, że ciało należało do kobiety i że natrafiło na nie dwóch myśliwych w odległości dwudziestu kilometrów od miasta.

- Pearl Mitchell? - zapytała cicho Molly.

- Pewnie tak - odparł smutno Sam.

- Czy to ta pani, którą zabili? - zainteresował się Clay. - Nie wiedziałem, że w takich miasteczkach też zdarzają się morderstwa. W San Francisco tak, ale nie w Montanie.

Molly myślała podobnie. Od kiedy zamieszkała w Sweetgrass, ani razu nie przyszło jej do głowy, żeby zamknąć dom na klucz. Z początku zamykała starannie samochód, kiedy jednak dowiedziała się,

że ostatnia kradzież pojazdu miała tu miejsce trzy lata temu, zrezygnowała.

- Ciekawe, co teraz robi szeryf - odezwał się Tom.
- Wyśle pewnie zwłoki do laboratorium w Helenie -odparł Sam.
- Jeśli będą mieli szczęście, znajdą dowody, które pozwolą zidentyfikować mordercę.

Molly miała nadzieję, że tak się stanie. Od zniknięcia Pearl minęło kilka tygodni, a śledztwo wciąż nie posuwało się naprzód. Wprawdzie nikt oficjalnie nie oskarżał już Sama, wszyscy jednak milczeli i zachowywali się tak, jak gdyby zabójstwo prostytutki było tematem tabu. Gdyby schwytano mordercę, sprawa wreszcie by się wyjaśniła, a ludzie nie szeptałiby po kątach.

Właściwie jedynie Russell Letson przejął się tą śmiercią i podobno niestrudzenie tropił wszelkie ślady, które mogłyby pomóc w zidentyfikowaniu sprawcy. Niektórzy narzekali nawet i pukali się w czoło, nie rozumiejąc, dlaczego ogólnie poważany prawnik zajmuje się sprawą tak pogardzanej przez wszystkich kobiety. Molly też tego nie rozumiała, choć daleka była od łatwych sądów i pukania się w czoło.

Nie rozmawiali więcej na ten temat, bowiem za oknem zatrafił szkolny autobus i chłopcy wybiegli z domu, chwytając po drodze plecaki z książkami. Molly zaniósła talerze do zlewu i zaczęła je zmywać, natomiast Sam dopił szybko kawę, sięgnął po kapelusz i powiedział:

- Ja też już lecę. Aha - zatrzymał się na progu - przygotuj na wieczór chłopcom coś do odgrzania.

- A my?

- My jedziemy do miasta.

- Do miasta? - zdziwiła się. - Dlaczego?

- Idziemy na kolację i do kina.

- Sam... - zaczęła i pokręciła głową. Chciała powiedzieć, że nie stać ich na takie wyprawy, lecz on przyłożył palec do ust i szepnął:

- Cii... Nie protestuj. Należy nam się czasem wieczór dla siebie.

Molly poczuła, jak jej opór znika.

- Czy zamierzamy uczcić coś szczególnego? - zapytała.

- Owszem, tylko jeszcze nie wiem co. Może uczymy to, że cię kocham?

Uśmiechnął się jeszcze, a potem zniknął za drzwiami i po chwili usłyszała, jak odjeżdża. W oczach Molly zakręciły się łzy. Ogarnęło ją nagle wzruszenie, więc żeby nie rozbeczeć się jak dziecko, wyszła szybko na werandę i odetchnęła chłodnym powietrzem poranka. W oddali słońce powoli wspinało się nad szczyty gór, na niebie ścigały się jaskółki, znad kubka unosiła się smużka pary....

Kiedy tylko upiła kawy, ponownie poczuła mdłości. Odruchowo przycisnęła dłoń do brzucha i zgięła się w pół. Myślała, że jej przejdzie, jednak tym razem atak nudności był tak silny, że ledwie zdążyła do łazienki.

Tak samo było poprzednio. Gdy nosiła w łonie Toma, a potem Claya, nie narzekała na zdrowie i nic jej nie dolegało poza tym, że w

czasie pierwszych dwóch miesięcy miała częste i gwałtowne napady mdłości, a najbardziej mdliło ją od kawy. Musiała nawet z niej zrezygnować, gdyż sam zapach doprowadzał ją do wymiotów.

Za pierwszym razem, gdy poczęty został Tom, przez dwa tygodnie myślała, że to zatrucie. Jakiś kiepski lekarz polecił jej nawet zrobić gastroskopię. Dopiero od ginekologa dowiedziała się, że jest w ciąży.

Teraz nie musiała iść do lekarza.

Wiedziała już, że nosi w sobie dziecko.

Ich dziecko - jej i Sama.

Russell siedział samotnie w swoim letnim domku, trzymał w dłoni szklankę z bourbonem i wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Lód w szklance dawno już się rozpuścił. Choć Russell nalał sobie szklaneczkę dobre pół godziny temu, wciąż nie dopił jej do końca. Cóż, nigdy nie lubił alkoholu. Ostatnio tego żałował - gdyby umiał się upić, uciekłby od rozpaczki przynajmniej na kilka godzin. Może zdołałby zdrzemnąć się choć trochę, odpocząć, nie myśleć.

Niestety, odkąd dowiedział się o śmierci Pearl, noce stały się dla niego koszmarem. Nie mógł usnąć, a gdy mu się to udało, budził się po chwili, słysząc we śnie przerażające krzyki Pearl.

Oficjalnie nie uczestniczył w śledztwie, jednak szeryf informował go o swoich posunięciach. Dziwne, zawsze traktował go z pobłażaniem, a teraz nagle zaczął się z nim liczyć. Może po incydencie z Samem Dakotą zaczął się go bać?

Poinformował go też oczywiście o znalezieniu ciała. Russell pojechał natychmiast we wskazane miejsce i w tępych odrętwieniu oglądał zwłoki. Dzikie zwierzęta rozkopały płytki grób i rozwlekły szczątki w promieniu kilometra, jednak on nie miał wątpliwości - w tym grobie pochowano Pearl, jedyną miłość jego życia.

Prosto stamtąd przyjechał tutaj, do swojego domku nad jeziorem, w którym spędzał kiedyś z Pearl każdą niedzielę. Nie był tu od dnia, w którym popełniono morderstwo. Z miejscem tym łączyło się zbyt wiele wspomnień - czyli zbyt wiele bólu. Teraz zrozumiał, że już nigdy od tych wspomnień nie ucieknie, że musi się z nimi oswoić, aby móc wreszcie zaakceptować stratę.

Gdyby los dał mu jeszcze jedną szansę, wiedziałby, jak ją wykorzystać. Gdyby Pearl nagle ożyła...

Nie, już nigdy jej nie zobaczy, nie zostawiła po sobie nawet zdjęć...

Podniósł szklanekę do ust i desperacko wypił ją jednym haustem. Zrobiło mu się ciepło, gorąco. A zaraz potem leniwie i sennie. Zamknął oczy, próbując usnąć, jednak po chwili uznał, że alkohol nie oszołomił go w wystarczającym stopniu, więc postanowił połknąć tabletkę.

Jeden ze znajomych, chcąc mu pomóc przetrwać najtrudniejszy okres, zaopatrzył go w tabletki nasenne, lecz

Russell dotąd z nich nie skorzystał. Teraz poczuł pokusę. Wyciągnął z kieszeni brązową buteleczkę i wytrząsnął z niej dwie kapsułki. Sen...

Oddałby duszę za jedną spokojną noc.

Bez namysłu połknął obie kapsułki, powlókł się do sypialni, po czym ściągnął ubranie i legł na łóżku. Pociągnął kołdrę, by się nią otulić, lecz wówczas jego stopy wyczuły chłodny i śliski kawałek materiału.

Jedwabna koszula Pearl.

Musiała zostawić ją po ostatniej wizycie.

Sięgnął po nią i przycisnął ją do serca.

Zamknął oczy. Usnął.

Gdy się obudził, w pokoju było zimno i ciemno. Tak ciemno, że nie widział wokół siebie dosłownie niczego. Odrzucił koszulę Pearl, potarł oczy. Nagle poczuł zapach róż, a właściwie zapach kosztownych francuskich perfum, których Pearl używała. Wiedział, że to złudzenie, jednak wcale nie chciał wrócić do rzeczywistości, leżał więc nieruchomo, rozkoszując się tą iluzją i wyobrażając sobie, że ukochana śpi obok niego.

Co też by jej powiedział, gdyby rzeczywiście dane mu było spotkać ją raz jeszcze? Jak ona zareagowałaby na takie spotkanie?

- Przepraszam - wyszeptał drżącym głosem. - Naprawdę mogło nam się udać...

Zapach róż wciąż drażnił jego nozdrza. Zdawało mu się nawet, że stał się bardziej intensywny. Russell wciąż nie otwierał oczu, wciąż marzył. Wolał wyobrażać sobie, że Pearl zbudziła się ze snu i właśnie nachyla ku niemu twarz niż wspominać żaloszny widok jej szczątków,

pakowanych przez policjantów do plastikowych worków, albo domyślać się, jak wyglądały jej ostatnie chwile.

Och, na pewno się bała. Na pewno cierpiała. Miał tylko nadzieję, że nie związanej jej, że mogła się bronić. Och, Pearl, kochana...

Nie przypominał sobie momentu, w którym usnął. Kiedy zaś ponownie odzyskał świadomość, był już ranek, a przez grube zasłony do sypialni wpadały promienie słońca. Usiadł i rozejrzał się z westchnieniem. To była pierwsza noc, w trakcie której choć trochę wypoczął.

Dostrzegł na poduszce koszulę Pearl, uśmiechnął się i przytulił do siebie kawałek jedwabiu. Zanurzył twarz w miękkiej tkaninie, chcąc raz jeszcze poczuć cudowny zapach, który go uspokoił. Kochana Pearl, pomyślał, zawsze umiałaś mnie pocieszyć.

Jednak znajomego zapachu już nie było. Zniknął.

Sam był zadowolony z przebiegu zebrania w Związku Hodowców Bydła. Z początku ranczerzy głównie narzekali - powtarzali, że ceny skupu są za niskie, że koszty rosną i że w takich warunkach hodowla przestaje być opłacalna. Gdy jednak wylali wreszcie wszystkie swoje żale, zaczęli radzić nad sposobem wyjścia z trudnej sytuacji. Pomysłów było wiele, na razie jednak postanowili wystąpić wspólnie do banku o przyznanie kryzysowych kredytów i wysłali do Burnsa swoją delegację.

Burns nie chciał się zgodzić na pożyczki, gdy jednak zagrozili mu likwidacją rachunków, okazał się całkiem skory do negocjacji.

Przyznany kredyt rozwiązywał na jakiś czas kłopoty -a to był znakomity powód do spędzenia wieczoru w restauracji. Kiedy zaproponował Molly tego ranka, by wybrali się na kolację do miasta, nie wiedział jeszcze, że dzień zakończy się tak pomyślnie, zrobił to jednak pod wpływem impulsu i teraz tym większa była jego radość, że mogą uczcić ten sukces.

Wtedy nie mieli co świętować, teraz tak.

- Powiesz mi wreszcie, czemu jesteś taki wesolutki? -spytała Molly, siadając na wprost niego przy elegancko nakrytym stole.

- Wszystko w swoim czasie - uśmiechnął się tajemniczo. -

Wyglądasz prześlicznie, kochanie.

- Sam, przysięgam, że dopóki mi nie powiesz, nie ucieszę się z żadnego komplementu.

- Piękna jesteś, gdy się złościysz.

- Sam!

- No dobrze - westchnął - dostaliśmy kredyt.

- Naprawdę? - wyszeptała z niedowierzaniem.

- Warunki nie są nadzwyczajne - uprzedził ją.

- Ale mamy pieniądze, których tak bardzo potrzebowaliśmy, prawda?

Pokiwał głową i ucałował jej dłoń.

- Połowę trzeba spłacić do pierwszego grudnia.

- Tak szybko?

- Zdążymy. Do tego czasu sprzedam ostatnią sztukę bydła.

Nawet jeśli ceny będą równie niskie, bez problemu poradzimy sobie z ratami.

Molly odetchnęła z ulgą.

- Boże, tak się cieszę... Nawet nie wiesz jak.

- Ej... - Spojrzał na nią nieco zdziwiony. Wiedział, że Molly przejmuje się ich sytuacją, ale nie sądził, że aż tak bardzo. - Przecież i bez kredytu dalibyśmy sobie radę. Nie płacz...

- Wiem - szepnęła, świadoma tego, że w jej oczach zaszklily się łzy. - Tylko że już myślałam... Przepraszam - chlipnęła - sama nie wiem, co mnie naszło.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Przecież jesteśmy razem, to jest najważniejsze.

- Tak, wiem. Chodzi o to... Zresztą - wytarła chusteczką oczy i odetchnęła głęboko - nie będziemy w czasie romantycznej kolacji rozmawiać o problemach.

- Zwłaszcza że je rozwiązaliśmy - przytaknął z zadowoleniem, widząc na twarzy żony pierwszy od kilku minut uśmiech.

- I że to nie koniec pomyślnych wieści - dodała.

- Tak? A co jeszcze się stało?

- Rozmawiałeś z Tomem?

- Nie zdążyłem. Wychodziłem właśnie, kiedy wrócił. Niech zgadnę... Wygrali mecz do zera, a Tom i Brian Tucker byli najlepszymi zawodnikami na boisku!

- Hm, powiedzmy, że po prostu wygrali - odparła Molly. Tom był wprawdzie utalentowanym zawodnikiem, ale dopiero niedawno awansował z rezerw do pierwszej drużyny. - Ważniejsze jest jednak to, że znalazł się wreszcie tajemniczy autor graffiti.

- Ten, który wymalował znaki gangów? No i kto to był?

- Tony Hudson. Z najstarszej klasy. Dyrektor osobiście przyłapał go ze sprayem w dłoni, gdy Tony próbował za-bazgrać kolejną ścianę.

- Ciekawe, dlaczego to zrobił.

- Czy ja wiem? Tyle się teraz mówi o młodzieżowych gangach. Niektórym smarkaczom imponuje takie życie.

- Nawet tu, w Sweetgrass?

- Pan Wilson tak właśnie sądzi.

- A co powiedział sam Tony? Nie próbował się bronić? Molly parsknęła śmiechem.

- Dzieciak będzie potrzebował dobrego adwokata, bo to, co mówi, jest niedorzeczne. Twierdzi, że ktoś zapłacił mu za to, żeby to zrobił.

- Kto? - Sam natychmiast zeszywniał. Nikomu nie mówił tego wcześniej, ale od początku myślał, że ktoś z jakiegoś sobie tylko znanego powodu usiłuje zrobić jego przybranego syna.

Molly wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, nie powiedział. Chyba będzie musiał skontaktować się z Russellem, nie sądzisz?

Sam uśmiechnął się, choć wcale nie czuł rozbawienia. Wszystkie te incydenty - te na ranczo i teraz ten w szkole - ułożyły się nagle w

jego głowie w jedną całość. Ktoś chciał zniechęcić go do tego miejsca. Dotychczas ograniczał się do jego własności, lecz teraz uderzył w jego dzieci.

Trzeba będzie porozmawiać z chłopcami, postanowił. Uprzedzić ich i przygotować na ewentualne niebezpieczeństwo. Tajemniczy prześladowca jest wyjątkowo uparty i na pewno na tym nie skończą się ich przygody.

- Dlaczego nagle zrobiłeś się taki poważny? - głos Molly wyrwał go z niewesołych rozmyślań. - Przecież mieliśmy odsunąć smutki na bok i cieszyć się z tego, że jesteśmy tylko we dwoje.

- Masz rację. Czytałaś już menu?

- Tak, ale zanim zapomnę... - położyła dłoń na jego dłoni - zgłosiłam cię na szkolny festyn dożynkowy, co ty na to?

- Tylko nie to - jęknął. - Co niby miałbym tam robić? Molly nie zdążyła odpowiedzieć, bowiem do ich stolika;

podszedł niespodziewanie Dick Arnold, jeden z członków Związku Hodowców. Sam wstał, by wymienić z nim uścisk dłoni, po czym przedstawił ranczera żonie.

- Nie będę wam przeszkadzał - uspokoił ją Dick. - Chciałem ci tylko podziękować, Sam, za to co zrobiłeś d; rano. Gdyby nie ty, nie wiem, co by się z nami stało.

Sam popatrzył na niego z zakłopotaniem. Nie przywykł do komplementów, zawstydzaly go.

- Cieszę się, że znaleźliśmy jakieś rozwiązanie - powiedział - ale moim zdaniem to nasza wspólna zasługa.

- Nie do końca. To ty przekonałeś nas, żebyśmy zjednoczyli siły. Rozmawialiśmy po zebraniu, czy nie wybrać cię w przyszłym roku na przewodniczącego. Chciałbyś wystartować w wyborach? Jeśli tak, to... - przerwał nagle i roześmiał się pod nosem. - Przepraszam, nie chciałem ci zepsuć wieczoru. Zamierzałem tylko podziękować. - Dotknął rąbka kapelusza, spojrzął na Molly przepraszającym wzrokiem i powiedział: - Miło mi było panią poznać.

Dick odszedł, a Sam, chcąc uniknąć lawiny pytań, której spodziewał się ze strony Molly, sięgnął po menu i przywołał kelnerkę.

- Jakie pijemy wino? - Spojrzął jak gdyby nigdy nic na żonę.

- Ja... nie mam ochoty na alkohol.

- Nie? - Uniósł brwi. - A dlaczego?

- Nie wiem. Wolę wodę mineralną, ale ty...

- Dobrze - przerwał jej, po czym zamówił ustalone wcześniej dania, butelkę perriera oraz kufel piwa dla siebie. - Powiedz teraz, co będę robił na tym festynie - odezwał się, gdy kelnerka oddaliła się w stronę kuchni.

- Masz smażyć hamburgery, między szóstą a siódmą.

- Molly... - spojrzął na nią z udawaną obrazą - naprawdę sądzisz, że jestem w tym taki dobry?

- Ja będę w tym czasie obsługiwała maszynę do waty Cukrowej. Poza tym o wszystkim zadecydowała pani Mayfield.

- A kimże jest pani Mayfield?

- Dyrygentem kościelnego chóru, matką trójki uczniów naszej szkoły i specjalistką w dziedzinie zarządzania zasobami ludzkimi. W

tym zaś roku osobą odpowiedzialną za szkolny festyn. Co tak patrzysz? - roześmiała się, widząc jego coraz bardziej przerażoną minę. - Nie mów, że się przestraszyłeś.

- Ja? Jestem zachwycony.

- Więc się zgadzasz?

- Tego jeszcze nie powiedziałem.

- Chłopcom bardzo na tym zależy. - Położyła dłoń na jego dłoni.

Sam pokręcił głową z rozbawieniem. Jeszcze pół roku temu powiedziałby, że nie będzie robił z siebie durnia, teraz zaś był gotów na wygłupy, byle uszczęśliwić dwójkę dzieciaków.

- Skoro chłopcom zależy... - mruknął.

- Świetnie! - ucieszyła się Molly. - Ciekawe, co powiedzą, gdy zobaczą cię w kucharskiej czapie.

Festyn był hałaśliwy, tłumny i radosny. Z ogromnych głośników dudniła bez przerwy muzyka, w powietrzu fruwały serpentyny i unosiły się balony, raz po raz rozbrzmiewały oklaski rodziców, którzy kibicowali swym pociechom uczestniczącym w rozmaitych grach i konkursach.

Molly z zapalem nawijała cukrową watę na drewniane patyczki, zaś Sam przyrządzał nieopodal hamburgery, żartując z ustawiającymi się w kolejce uczniami oraz towarzyszącymi im rodzicami. Był swobodny, rozluźniony, zachowywał się tak, jak gdyby w Sweetgrass przeżył całe swoje życie.

Na jego zachowanie miało z pewnością wpływ poparcie, jakie uzyskał dla swojej propozycji na zebraniu Związku Hodowców.

Molly poznała szczegóły od zaprzyjaźnionych żon miejscowych ranczerów i wiedziała, że wystąpienie Sama zrobiło na wszystkich duże wrażenie. Zmobilizował ich, zachęcił do działania, a oni skłonni byli traktować go jak jednego spośród swoich. Molly była dumna z męża i cieszyła się z jego sukcesu.

Pod wieczór zmalął popyt na jedzenie i Molly mogła wreszcie trochę odpocząć. Na wieczornym niebie ukazał się księżyc, zrobiło się chłodniej i gdyby nie wrzaski i piski, które dobiegały raz po raz z otwartego przed chwilą Pałacu Grozy, słychać by pewnie było monotonne cykanie świerszczy.

Wśród rozbawionego tłumu Molly dojrzała dyrektora szkoły. Kiedy ich spojrzenia się napotkały, pan Wilson podszedł do jej stoiska, przedstawił ją swojej żonie, po czym kupił dwie porcje waty - dla siebie i dla małżonki.

- Jeszcze raz przepraszam za Toma - powiedział. - Głupio mi teraz, że mu nie wierzyłem.

- Mi też - odparła.

- To porządny chłopak, zdolny uczeń...

- Czasem trochę uparty.

- Właśnie. Ale będzie pani miała z niego pociechę. Molly instynktownie rozejrzała się za dziećmi. Tom i Clay zniknęli jej z oczu, kiedy tylko dotarli na miejsce, a później widziała ich tylko raz - gdy stali w kolejce po hamburgery, które serwował ich ojczym. Byli z niego dumni, choć nie powstrzymali się od żartów na widok białego

fartucha oraz wielkiej czapy, w której Sam miał przypominać prawdziwego kucharza.

Pan Wilson zamienił z nią jeszcze kilka uprzejmych zdań, po czym pożegnał się i odszedł. Niedługo po nim przy stoisku z wata pojawił się Russell Letson. Kupił watej jakiemuś dzieciakowi, który błagał matkę o „coś słodkiego”, a potem odezwał się do Molly:

- Dobrze się bawisz?

- Dobrze, choć jestem trochę zmęczona. A ty?

- Dziękuję. Powiedz, Molly... czy ty jesteś szczęśliwa? - zapytał nieoczekiwanie.

- Bardzo - odparła po chwili namysłu. - A skąd ci przyszło do głowy takie pytanie?

- Czy ja wiem? Przypomniałem sobie po prostu, co kiedyś mówił Walter. I co ja ci mówiłem.

- O Samie? - uśmiechnęła się domyślnie. - Nie tylko wy mieliście obawy.

- Ale ostatecznie rację miał Walter. Sam Dakota to dobry człowiek.

Skinął głową bez słowa, pomachał jej na pożegnanie i odszedł w zamyśleniu do innego stoiska.

Molly znów rozejrzała się niecierpliwie, chcąc odnaleźć w tłumie któregoś z synów. Zaczynało ją niepokoić, że nie widziała ich tak długo. Mogliby pokazać się co jakiś czas, pomyślała.

- Mamo! - usłyszała nagle za plecami i aż podskoczyła ze strachu.

- Tom? Och, czemu tak mnie przestraszyłeś?
- Nie mogę znaleźć Claya. Nigdzie go nie ma.
- Na pewno jest w pobliżu - odparła uspokajająco. - Szukałeś w budynku?

- Wszędzie szukałem! Mamo, jemu coś się stało!
- Tom, nie panikuj...
- Naprawdę! Od godziny nikt go nie widział! Szukałem...
wszyscy szukali...

- Clay umie się schować - odparła z uśmiechem. - Jestem przekonana, że ukrył się gdzieś za rogiem i dokarmia resztkami okoliczne psy.

- Dlaczego ty mi nigdy nie wierzysz?! - wrzasnął histerycznie Tom i złapał ją za ramię. - Uwierz mi przynajmniej teraz, mamo!

Ten krzyk ją przebudził. Molly poczuła na plecach lodowaty dreszcz.

- Naprawdę nigdzie go nie ma?

Tom pokręcił głową, patrząc na nią z przerażeniem.

- Dobrze, synku. Poczekaaj tu na mnie. Sprowadzę Sama.

Rozdział siedemnasty

- A nie wydaje ci się, że mógł pójść gdzieś z kolegami? - zapytał Sam, kiedy dowiedział się, co się stało.

- Z początku tak pomyślałem - odparł Tom, uspokojony nieco obecnością taty. - Ale rozmawiałem ze wszystkimi jego kumplami. Nikt go nie widział, nikt z nim nie łąził. Zupełnie nikt. Clay dał mi na przechowanie swoją forszę. Godzinę temu mieliśmy się spotkać, żeby mógł ją odebrać i coś sobie kupić. Nie przyszedł.

- A nie zajął się czymś tak bardzo, że stracił poczucie czasu?

- Zapomniałby o forsie? Nie ma mowy! Umówiliśmy się o wpół do ósmej. Strasznie mu zależało, żebym się nie spóźnił.

- I kiedy nie przyszedł, zaczęłeś go szukać?

- Tak. Mówię wam, coś mu się stało.

- Może nie - wtrąciła się Molly. — Na pewno nie - powtórzyła, jakby w ten sposób mogła ocalić Claya przed niebezpieczeństwem. Z początku nie chciała uwierzyć, że chłopcu ktoś mógł wyrządzić krzywdę, kiedy jednak uświadomiła sobie, że nawet w maleńkim, spokojnym Sweetgrass popełniono ostatnio morderstwo, straciła tę niezachwianą pewność.

- Na pewno nie - powtórzył Sam i objął ją ramieniem.

- Proponuję, żebyśmy się rozdzielili. Pójdziemy w trzech różnych kierunkach i spotkamy się w tym samym miejscu za piętnaście minut, zgoda? Wy, chłopcy - zwrócił się do kolegów Claya,

którzy mieli ochotę dołączyć do poszukiwań - sprawdźcie najpierw każdy kąt w szkole. Molly z Tomem obejdą teren boiska, a ja przeszukam parking.

Uściskał jeszcze raz Molly, po czym poszedł w stronę parkingu, wyciągnął latarkę ze swojej półciężarówki i powoli powędrował wzdłuż alejek zaparkowanych samochodów. Co jakiś czas nawoływał Claya, ale nie doczekał się odzewu. Zajrzał nawet pod samochody, kiedy zaś uznał, że chłopca na parkingu z pewnością nie ma, powrócił na miejsce spotkania.

Molly i Tom już na niego czekali. Dojrzał niepokój w ich oczach, więc nawet nie musiał pytać, czy cokolwiek znaleźli.

Dopiero teraz poczuł, jak ogarnia go strach. Cholera, powinien był to przewidzieć. Po tym, co zdarzyło się wcześniej, mógł się domyśleć, że teraz na celowniku są jego dzieci.

- Mamo!

Oboje obrócili się w stronę, z której dobiegło wołanie. Clay!

Biegł do nich ile sił w nogach, płacząc głośno i potykając się niezdarnie. Dopadł do matki, a potem przywarł do niej tak mocno, jak gdyby chciał na zawsze pozostać w jej ramionach.

- Gdzie byłeś, baranie? - zapytał ze złością Tom. - Wiesz, jak się martwiliśmy?

- Co się stało, synku? - odezwała się Molly. - Powiedz...

- Ktoś mnie złapał...

- Kto?

- Nie wiem - odparł Clay, wciąż trzymając się matki.

- Nic nie pamiętasz? - zapytał spokojnie Sam i przykucnął, by móc spojrzeć w zapłakaną i zakurzoną twarz chłopca.

- Nie widziałem jego twarzy. Miał... miał wojskowe buty, jedno sznurowadło zawiązane było na supeł. Nic nie widziałem... on... on zarzucił mi worek na głowę, a potem wrzucił do bagażnika...

- Boże jedyny - wyszeptała Molly.

- Myślałem, że się uduszę. Wrzeszczałem i kopałem nogami... nikt mnie nie słyszał. Najpierw myślałem, że to Tom...

- Nigdy bym tego nie zrobił!

- Wiem...

- Słyszałeś jego głos?

- Nie. Ale on... był duży i silny. Podniósł mnie do góry, a jak go kopnąłem, nawet tego nie zauważył.

- Kto cię uwolnił? - spytała drżącym głosem Molly.

- Nie wiem... - Clay bezradnie wzruszył ramionami. - Ktoś otworzył bagażnik, wyciągnął mnie i rozwiązał mi ręce. Potem mnie nawyzywał i uciekł. Kiedy zdjąłem ten worek, już go nie było. Wtedy uciekłem...

Sam zacisnął pięści z wściekłością. Ktokolwiek potraktował w ten sposób jego syna, zapłaci za to, i to słono! Nie zamierzał puścić płazem tego, co zaszło, tak jak nie zamierzał pozwolić, by podobne zdarzenia miały kiedykolwiek się powtórzyć.

Pójdzie do Maynarda. Nie znosi tego wieprza, ale tym razem nie dopuści, by szeryf go zlekceważył. Po coś tu w końcu urzęduje, po

coś został wybrany. Niech szuka drania, który napastuje dzieci, a jeśli nie jest do tego zdolny, on, Sam Dakota, mu w tym pomoże.

- Porozmawiamy o tym z szeryfem - powiedział, patrząc na Claya. - Wiem, że chciałbyś, synku, o tym zapomnieć, ale nie ma rady.

Szeryf Maynard siedział przy jednym z piknikowych stołów, zajadając ze smakiem hamburgera. Nie ucieszył się zbyt na widok Sama Dakoty, lecz Sam nie miał zamiaru zwracać uwagi na jego humory. Opowiedział szeryfowi o usiłowaniu porwania, oświadczył, że zgłasza powiadomienie o przestępstwie i zażądał natychmiastowego wszczęcia postępowania mającego na celu schwytanie i ukaranie sprawcy.

Maynard wysłuchał go z uwagą, wyciągnął notes i zanotował kilka szczegółów.

- Czy mógłbym porozmawiać o tym z Clayem? - zapytał.

- Oczywiście - zgodził się Sam.

Szeryf wytarł ręce w papierową serwetkę, wstał i popatrzył na niego w milczeniu.

- Źle zaczęliśmy naszą znajomość, Dakota - odezwał się po chwili. - Niewielu facetów zmienia się po wyjściu z pudła, ale tobie się udało. Jeśli chcesz, możemy zapomnieć o przeszłości.

Sam skinął głową, zaskoczony tymi słowami. Nie spodziewał się, że szeryf kiedykolwiek zmieni swoją opinię na temat jego osoby. Co mu się stało?

Zanim zdążył zastanowić się nad odpowiedzią na to pytanie, usłyszał nagłą wrzawę na pobliskim boisku. Maynard ruszył bez słowa w tamtą stronę, a Sam podążył w ślad za nim. Z początku spostrzegł jedynie grupę dzieciaków, które przekrzykiwały się w podnieceniu, stłoczone wokół dwóch nastolatków, którzy szarpali się za ubrania, prowokując jeden drugiego do walki. Dopiero gdy podszedł bliżej, zorientował się, kim jest jeden z walczących.

Jego pierwszą reakcją była chęć natychmiastowego przerwania bójki. Po chwili zreflektował się jednak i uznał, że Tom z pewnością by sobie tego nie życzył. Czuł się mężczyzną i chciał uchodzić za dorosłego, więc interweniujący tatuś narobiłby mu z pewnością wstydu. Sam miał nadzieję, że może szeryf przerwie tę szarpaninę, ale ku jego zdumieniu Maynard stał bez ruchu i w milczeniu obserwował zmagania dwóch wyrostków.

- Młodość musi się wyszumieć - rzucił filozoficznie pod adresem Sama, dłubiąc w zębach wykałaczką. - Poczekamy, dopóki nie zrobi się niebezpiecznie.

Sam nie był pewien, czy już „nie zrobiło się niebezpiecznie”. Przeciwnik Toma ważył jakieś piętnaście kilo więcej i wyraźnie przewyższał go siłą. Na szczęście Tom był zwinny i zręcznie unikał ciosów.

Niestety, jeden z nich dosięgnął jego twarzy. Sam skrzywił się i postąpił krok w stronę walczących, lecz w tym samym momencie Tom odwinął się i trafił rywala w żołądek tak mocno, że ten zatoczył się i złapał za brzuch.

Właśnie wtedy do akcji wkroczył szeryf.

- Wystarczy tego dobrego! - Rozgarnął gapiów i wszedł między rywali. - Powiedzieliście już sobie, co wam leży na wątrobie? Jeśli tak, to podajcie sobie dłonie i koniec zabawy!

Żaden z chłopców nawet nie drgnął. Tom stał z podniesioną brodą, nie bacząc na krwawiący nos i boleśnie podbite oko, a jego przeciwnik trzymał się jedną ręką za brzuch i patrzył na rywala spode łba, wciąż lekko skulony i oszołomiony ciosem.

- Dobrze, ujmę to inaczej - powiedział szeryf, - Albo uściśnięcie sobie za chwilę dłonie, albo zabiorę was obu do siebie, przetrzymam do rana, a potem oskarżę o zakłócanie porządku publicznego i wlepię słoną grzywnę. Wybór należy do was.

Dopiero teraz Tom i drugi chłopiec niechętnie podali sobie ręce.

- O to mi chodziło - stwierdził szeryf. - A teraz jazda stąd! I jeśli zobaczę was jeszcze, jak się tłuczecie, to zobaczycie, co to prawdziwe kłopoty, jasne?

Tom skinął głową, jego rywal odszedł, a tłum widzów rozszedł się powoli. Sam podszedł do chłopca i zapytał, przykładając chusteczkę do jego nosa:

- Powiesz mi, o co poszło? Chłopiec w milczeniu pokręcił głową.

- W porządku, twoja sprawa. Rozmawialiśmy już, kiedy wolno się bić, więc pewnie miałeś jakiś powód.

Tom syknął z bólu, gdy chusteczka dotknęła rozciętej skóry pod okiem.

- Boli!

- Wiem. Wybrałeś sobie silniejszego przeciwnika.

- To był Tony Hudson. - Chłopiec popatrzył na niego zdrowym okiem.

Hudson? Nazwisko zabrzmiało jakby znajomo. Już po chwili Sam skojarzył, że tak się nazywał chłopak, którego przyłapano na malowaniu szkolnych murów.

- Ten, który podobno chciał cię zrobić?

- Nie tylko. Moim zdaniem Tony ma coś wspólnego ze zniknięciem Claya. Nie mogłem mu tego darować.

- To pewność czy przypuszczenie?

Tom nie odpowiedział, a Sam nie pytał o nic więcej. Nie zamierzał prawić chłopcu morałów. Zrozumiał, że tu chodziło o honor - a gdy chodzi o honor, liczą się nie tylko racjonalne uzasadnienia. W przekonaniu Toma Tony Hudson sprowadził na niego fałszywe oskarżenia, usiłował zniszczyć jego reputację. Mężczyzna broni swojej reputacji, a Tom miał się za mężczyznę. Stanął do walki, wyszedł z niej z podniesioną głową.

I podbitym okiem.

Jak Molly zareaguje na ten widok?

Niestety, Molly za nic miała „męskie” uzasadnienia. Gdy tylko ujrzała zapuchniętą twarz syna, wykrzyknęła z przerażeniem:

- Boże, Tom, nic ci nie jest? - a potem popatrzyła na Sama tak, jakby to on wywołał tę bójkę.

- Posłuchaj, Molly...

- Nawet nie próbuj mi tłumaczyć - przerwała mu głosem pełnym pretensji. - Jak mogłeś stać tam i nic nie zrobić? Myślisz, że nie widziałam? Jeszcze go zachęcałeś!

- To nie tak, mamó - zaprotestował Tom.

- Cicho! - Złapała go ostrożnie pod brodę. - Niech no zobaczą to oko. Boże... - jęknęła z z troskaniem. - Po co się wdałeś w tę rozróbę? Wstyd mi za ciebie, Thomasie!

- Ale mamó, Sam nie robi z tego problemu - mruknął chłopiec. - Czego się wściekasz?

Molly ponownie spojrzała na męża z pretensją, a potem popchnęła obu synów w stronę parkingu, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

Sam pokręcił głową z niezadowoleniem. Inaczej sobie wyobrażał zakończenie tego wieczoru. Będzie dobrze, jeśli Molly raczy spojrzeć na niego przed pójściem spać.

Kiedy lekarz potwierdził przypuszczenia Molly, postanowiła poinformować Sama o ciąży. Chciała to zrobić już na szkolnym festynie, ale wówczas wszystko poszło nie tak, jak zaplanowała. Najpierw zniknął Clay, potem Tom wdał się w bójkę na pięści, a w drodze do domu Molly oskarżyła męża o to, że ma zły wpływ na jej synów.

To nie był sprawiedliwy osąd. Wprawdzie oko Toma za-puchło tak bardzo, że gdy dojechali do domu, ledwie na nie widział, jednak była to jedna z niewielu szkód, jakich chłopiec doznał w obecności Sama. Znacznie więcej było korzyści - Tom wydorósł, zmężniał, stał

się mniej kapryśny i znacznie dojrzałszy. Sam z pewnością miał w tym swój udział.

Tamtego wieczoru popłakała się i zamknęła w łazience. Cierpiała, patrząc na posiniaczoną twarz syna, wyrzucała sobie, że niepotrzebnie wdała się w kłótnię z mężem. Tak naprawdę jednak - po prostu miała ochotę sobie popłakać.

Kiedy była w ciąży z Tomem i Clayem również przechodziła takie huśtawki nastrojów. Jej emocje były rozchwiane i byle co mogło doprowadzić ją do łez. Pamiętała, że raz popłakała się przy oglądaniu reklam kociej karmy - takie te kotki były małe i bezbronne. Romansów w telewizji w ogóle nie mogła oglądać, gdy zaś wygrała w radiowym bingo siedemnaście dolarów, ogarnęła ją taka euforia, jak gdyby odziedziczyła w spadku kopalnię złota.

Nie sądziła, by Sam domyślił się, że ten jej płacz może mieć inne uzasadnienie niż tylko żal i troska o syna. Prawdę mówiąc, nie chciała, by się domyślił. Skoro wypadki potoczyły się w taki sposób, skoro się pokłócili, należało znaleźć bardziej odpowiedni moment do poinformowania męża o ciąży.

Jednak kolejne dni wcale nie były lepsze. Najpierw zepsuła się skrzynia biegów w aucie Sama, co wprawiło go w podły nastrój. Ostatecznie naprawił ją sam, ale nowe części kosztowały prawie tysiąc dolarów.

Potem zaczął przeciekać dach, a woda zniszczyła połowę pokoju Claya, więc Sam musiał prowizorycznie załatać dziurę podczas szalejącej ulewy. Gdy zaczął obliczać, ile będzie kosztowała wymiana

dachówki, zasepił się i nie odezwał do wieczora ani słowem, a potem chodził jak struty przez kilka dni.

Kłopoty chodzą parami - a właściwie stadami! - więc Molly nie zdziwiła się specjalnie, kiedy po kilku dniach pojawiło się następne zmartwienie - ich studnia wyschła i trzeba było wykopać nową. Oczywiście było to możliwe, i to w trybie ekspresowym, jednak cena, jaką usłyszeli od firmy oferującej tego typu usługi, niemal zbiła ich z nóg. Czy jednak mogli żyć bez wody?

Gdy na dodatek Molly obliczyła, że dziecko i związane z nim koszty - witaminy, poród, meble, ubranka i odżywki - pochłoną w krótkim czasie następne kilka tysięcy, nie miała sumienia obciążać Sama dodatkowym „ciężkim” tematem. Milczała więc i ukrywała poranne nudności oraz brak apetytu. Nad rozhuśtanymi emocjami zapanować nie umiała, lecz na szczęście Sam sądził, że wynikają one z kłopotów finansowych i nie zadawał niewygodnych pytań.

Za to Ginny domyśliła się od razu.

- Sam o niczym nie wie - wyznała jej Molly, kiedy Ginny zapytała, czy te błyszczące oczy, pulchniejsze ramiona i roztargnienie, to czasem nie znak, że spodziewa się potomka, a ona nie umiała zaprzeczyć.

- Nie powiedziałaś mu?

- Nie.

- A byłaś już u doktora Shavera?

- Tak. Przepisał mi witaminy. Nie są tanie.

- Nieważne. Masz je brać, słyszysz?

- Oczywiście. Tylko jak mam je kupić, żeby Sam nie zauważył?

I tak mamy tyle wydatków.

- A dlaczego właściwie nie chcesz mu powiedzieć?

- Zmartwi się.

- Przeciwnie. To właśnie wiadomość, na którą czeka. Założę się, że spuchnie z dumy, kiedy się dowie, że będzie ojcem. Wrzaśnie tak głośno, że usłyszę to u siebie, zobaczysz.

- Naprawdę tak uważasz?

- Wiem to - odparła bez wahania starsza pani.

Ta rozmowa ośmieliła Molly. Postanowiła zaplanować romantyczny wieczór, podczas którego oznajmi mężowi radosną - miała nadzieję - nowinę. Wcześniej zadbała o to, aby Tom i Clay spędzili tę noc u przyjaciół, przyrzadziła ulubione przez Sama żeberka, a nawet pozwoliła sobie na szaleństwo w postaci małej butelki szampana. Jeden kieliszek z pewnością nie zaszkodzi maleństwu, jego matce zaś doda potrzebnej otuchy, pomyślała.

Tego dnia Sam pracował wyjątkowo ciężko. Gdy wyczerpany wrócił wreszcie do domu, nawet nie zauważył, że przygotowała zastawę przeznaczoną na wielkie okazje i święta. Nie zdawał sobie również sprawy z tego, że nie ma chłopców i zostali tylko we dwójkę.

- Co na kolację? - zapytał i z aprobatą pociągnął nosem.

- Żeberka - odparła.

- Cudownie. Marzyłem o żeberkach - ucieszył się i ruszył do łazienki, by wziąć przed kolacją prysznic.

Molly odczekała chwilę, po czym otworzyła drzwi, szybko rzuciła szlafrok i dołączyła do kąpiącego się męża. Odwrócił się z zaskoczeniem, zaraz jednak uśmiechnął się z zadowoleniem i zrobił jej miejsce.

- Chcesz? Umyję ci plecy - mruknęła zalotnie i sięgnęła po gąbkę i mydło.

- A kolacja?

- Co kolacja? - Przesunęła powoli palcem po jego torsie. - No... - zawahał się - czy nie wystygnie?

Westchnęła ciężko. Czy ten facet ma pojęcie, co to jest romantyczna atmosfera?

- Czeka w piekarniku - odparła uspokajająco.

- Aha. A chłopcy? - spytał czujnie.

- Spędzą tę noc u przyjaciół - odparła cierpliwie Molly, po czym uśmiechnęła się czarująco. - Jesteśmy sami, kochanie. Tylko we dwoje.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? - ucieszył się, po czym bez zbędnych ceregieli przygniótł ją do ściany i zaczął całować.

Molly zarzuciła ramiona na jego szyję. Z początku myślała, że najpierw mu powie, a potem będą się kochać, ale teraz przystała na zmianę scenariusza.

To raj, myślała, czując, jak Sam pieści jej piersi. Tylko we dwoje, sami. I tak inaczej niż zwykle...

Rzeczywiście inaczej, przemknęła jej przez moment trzeźwa myśl. Zwłaszcza że woda zrobiła się letnia, a Sam obrócił ją tak, że strumień lał się teraz wprost na jej twarz.

- Sam, kochanie... - wykrztusiła. - Sam...

- Och, Molly - jęknął, najwyraźniej przekonany, że powtarza jego imię z rozkoszy.

- Sam!

Spojrzał na nią.

- Zaraz się utopię.

Kiwnął głową i zmienił pozycję. Teraz to on opierał się o ścianę, przyciągając jej pośladki ku sobie.

- Jesteś pewien? - spytała. Podłoga brodzika była śliska, a ona musiała stawać na palcach, by się do niego dopasować. - To chyba nie jest najlepszy pomysł...

To wspaniały pomysł - zapewnił ją z entuzjazmem i mocniej przyciągnął ku sobie jej biodra.

- Do diabła! - Zachwiała się i uderzyła kolaniem o ścianę. - Tak cię to podnieca?

Wymruczał coś niewyraźnie, a zrozumiała z tego tyle, że przede wszystkim podnieca go jej „miękki tyłeczek”.

- Jakiś większy... - rzucił między jednym a drugim pocałunkiem.

Molly zignorowała ten komentarz, bowiem Sam osunął się nieco i wreszcie udało im się dopasować, a nawet wykonać kilka ruchów. I kiedy wydawało się, że wszystko przebiegnie dalej bez zakłóceń, woda zrobiła się nagle lodowata.

Molly krzyknęła głośno, ale ponieważ strumień lał się teraz wyłącznie na jej plecy, Sam nie zauważył zmiany temperatury.

- Och, tak, kochanie... - szeptał. - Powiedz mi jeszcze, jak ci dobrze... Powiedz...

Szarpnęła się, usiłując uciec przed lodowatą strugą, jednak on pomyślał chyba, że to spazm rozkoszy, bowiem jęknął radośnie i zaczął dyszeć jej do ucha:

- Już, maleńka... Już idę... już do ciebie idę... Szarpnęła się po raz kolejny i wtedy strumień zimnej wody chlusnął prosto w twarz jej namiętnego kochanka. Kochanek wrzasnął przeraźliwie, stracił równowagę i po chwili oboje znaleźli się na podłodze.

- Och, kochanie, wszystko w porządku? - Sam w pośpiechu pozakręcał kurki i popatrzył na nią z prawdziwą troską.

- Chciałeś zapytać, czy było mi dobrze? - Podniosła się ostrożnie ze śliskiej podłogi. - Nigdy nie było mi tak wspaniale - odpowiedziała z przekąsem.

Sam podał jej ręcznik, nie zwracając uwagi na złośliwości, a kiedy owinęła go wokół siebie, najzwyczajniej w świecie wziął ją na ręce i wyniósł z łazienki, zanim Molly zdążyła się wytrzeć.

- Dokąd idziemy? - zapytała na wszelki wypadek. Trochę się obawiała kolejnych niekonwencjonalnych pomysłów męża.

- Musimy skończyć to, co tak pięknie się zaczęło.

- Ale...

- Chyba nie chcesz zatrzymać się w pół drogi?

- Prawdę mówiąc, trochę mi zimno.

- Rozgrzeję cię, lodowa królewno, masz na to moje słowo. Jesteś gotowa?

- Zawsze jestem gotowa - roześmiała się, rozbrojona jego zapalem. - Przecież wiesz.

Kiedy wniósł ją na górę i ułożył na łóżku, otarł ostentacyjnie pot z czoła i zauważył rozsądnie:

- Chyba przytyłaś.

- No wiesz!?

Chciała poderwać się na nogi, lecz ją unieruchomił i już po chwili poczuła na swoim wilgotnym ciele jego gorące usta. Zamknęła oczy. Wobec takiej czułości nie była w stanie protestować. Sam odrzucił ręcznik i pieścił teraz jej piersi, brzuch, biodra, uda. Delikatnie całował każdy kawałek jej skóry, aż wreszcie westchnął z udręką i poszukał wargami jej warg. Jeszcze chwila i ułożył się na niej ostrożnie, po czym wszedł w nią z jękiem rozkoszy, by „skończyć to, co tak pięknie się zaczęło”.

- Kocham cię - wyszeptał, gdy doszli do siebie po spełnieniu. - I jestem cholernie głodny. Teraz jeszcze bardziej. Do zobaczenia w kuchni!

Pomachał jej filuternie paluszkami, zrobił z ręcznika przepaskę na biodra i tak wystrojony opuścił małżeńską alkowę. Molly roześmiała się do siebie po jego wyjściu. Sam miał dobry humor. To dobrze, z pewnością łatwiej mu będzie przyjąć radosną - oby! - nowinę.

Ubrała się, rozczesała splątane mokre włosy, popatrzyła na siebie w lustrze i po chwili dołączyła do męża.

- Ten wieczór jest wyjątkowy - zagadnęła, ustawiając kwiaty na stole.

- Właśnie widzę - mruknął, zlizując trochę lukru ze stojącego między półmiskami ciasta. - Strasznie się napracowałam.

- To żaden kłopot.

- Ale... - zaniepokoił się nagle i zerknął ukradkiem na kalendarz.

- Chyba o niczym nie zapomniałem, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- To nie są twoje urodziny?

- Nie.

- Nasza rocznica jest w czerwcu, prawda?

- Przestań pytać, lepiej otwórz szampana - odparła, sięgając do piekarnika po naczynie z zapiekanymi żeberkami.

- Szampana?

- Stoi na blacie, w wiaderku z lodem. Weź z szafki kieliszki.

Sam wziął butelkę i obrócił w dłoni, najwyraźniej szukając ceny.

- Nie kosztował więcej niż butelka wina - uprzedziła jego pytanie.

- Świetnie. - Pokiwał głową z uznaniem. - Poza tym nie pijemy szampana codziennie, prawda?

Molly zapaliła świece i zgasiła górne światło.

- Boże, jak cudownie - westchnął Sam, objął ją w talii i przytulił policzek do jej łona. - Czym sobie na to zasłużyłem?

- Chciałam, aby to był pamiętny wieczór.

- Już jest pamiętny... Rany Boga, ale dobre! - mruknął, zatopiwszy zęby w kawałku soczystego żeberka. Molly rzuciła mu karcące spojrzenie, zarezerwowane dla chłopców, którzy sięgają po deser, zanim zjedzą zupę, więc natychmiast odłożył mięso na talerz i tak jak ona rozłożył na kolanach serwetkę. - Jasne, zapomniałem - bąknął tonem usprawiedliwienia - ma być uroczyście. Za naszą miłość! - Rozlał szampana do kieliszków.

- Za nas - odparła Molly

Zbierała się, żeby mu powiedzieć, przez cały posiłek, jednak każdy moment zdawał się nieodpowiedni. Molly ułożyła wcześniej zdania, których powinna użyć, lecz jakoś trudno jej było wyobrazić sobie Sama, który odkłada powoli widelec i patrzy na nią rozanielonym wzrokiem, później zaś ujmuje jej dłonie i mówi, że jej miłość odmieniła go na zawsze.

W pierwszym scenariuszu nie było wprowadzie widelca - Sam miał wypowiedzieć te słowa już pod prysznicem, jednak sprawy potoczyły się inaczej i Molly gotowa była zmodyfikować swój scenariusz. Niechby tylko Sam zechciał dostroić się do sytuacji! W końcu sprawa była nie małej wagi.

Niestety, Sam był we frywolnym nastroju. Żartował, czynił aluzje do zabawy pod prysznicem - no i co chwila wyrażał swój podziw dla żeberek, które „wprost rozpływają się w ustach”. Zjadł dwa kawałki ciasta na deser, pomógł jej posprzątać ze stołu, a kiedy poszła zaparzyć kawę, domyślnie wyjął najelegantsze filiżanki.

Naprawdę starał się być bardzo miły, jednak powagi nie było w nim ani za grosz.

W salonie włączył radio i podśpiewywał do skocznych melodii, granych przez stare swingowe orkiestry. Swoją kawę wypił duszkiem, a potem mrugnął do Molly i zagadnął niskim głosem uwodziciela:

- Wprawdzie deser był pyszny, maleńka, ale co byś powiedziała na dokładkę? Wiesz, co mam na myśli...

- Poczekaj, Sam. Muszę ci coś powiedzieć - powstrzymała go, obawiając się, że wieczór minie, a ona nie wykona swojego zadania. Podeszła do okna, zapatrzyła się w księżyc i dopiero potem popłynęły słowa, które starannie przygotowała kilka dni wcześniej: - Właściwie to nie powinno być dla ciebie zaskoczeniem...

Cisza. W tym momencie Sam miał zapytać „Tak, kochanie?” i spojrzeć na nią wyczekującym wzrokiem.

- Sam?

- Mhm?

- Chciałam ci coś powiedzieć. Milczenie.

Odwróciła się i ujrzała, że jej mąż leży wygodnie na kanapie i z zamkniętymi oczami pomrukuje łagodnie w takt muzyki.

- Sam... - powtórzyła z wyrzutem.

- Chodź do mnie, kochanie - odparł - łatwiej nam będzie rozmawiać.

Widząc, że może nadeszła chwila, na którą czekała przez cały wieczór, Molly podeszła szybko do męża i usiadła obok niego. Objął ją natychmiast, ułożył obok siebie i wyłączył lampę.

Pokój zalała przytulna ciemność. Może teraz?

Przycisnęła głowę do jego ramienia i ucałowała go w podbródek.

- Tak bardzo cię kocham - wyszeptała.

- Ja ciebie też.

- Pamiętasz, jak namiętnie kochaliśmy się w sierpniu? -zapytała.

- Nie przypadkiem mówię o tym właśnie teraz...

- Mmm... - zamruczał z zadowoleniem. - Co za wspaniała kobieta. Kusi mnie wciąż i nigdy nie ma dosyć.

Molly westchnęła i pogłaskała go po piersi. Musi być cierpliwa, bardzo cierpliwa. Najpierw trzeba przygotować grant i dopiero potem...

- To były koszmarne dwa tygodnie - odezwał się Sam sennym głosem.

- Ale wspólnie jakoś sobie radzimy, prawda?

- Hm, to nie ty łąziłaś po dachu podczas burzy z piorunami.

- To prawda. - Rozpięła mu koszulę i wsunęła dłoń pod materiał.

- Widzisz... tak to jest, że czasami rzeczy, które z początku wydają się straszne, okazują się potem prawdziwym błogosławieństwem.

- Dobra, następnym razem ty włączysz pod samochód i reperujesz skrzynię biegów.

- Nie mówię o tym, Sam.

- Nie?

- Jest coś jeszcze.

- Mhm.

Poczuła, że Sam zeszywniał, więc dodała pospiesznie:

- Ale to nie jest zła nowina.

- Ach... To dobrze.

Molly przygryzła wargę. Nagle poczuła się niepewnie. Czy Sam nie przestraszy się perspektywy kolejnych wydatków? Może jeszcze powinna poczekać?

Uniosła głowę, by popatrzeć na jego twarz.

Tak, teraz mogła poczekać sobie do rana. Tak długo się zbierała, że jej małżonek najspokojniej w świecie usnął.

Sam szybko domyślił się, że coś się stało. Molly od rana była nie w sosie. Najprawdopodobniej wynikało to z tego, że wczoraj zasnął, ale przecież musiała wiedzieć, że miał za sobą koszmarne dzień.

Nie szkodzi. Kolacja, którą przygotowała, była cudowna. Molly zadała sobie mnóstwo trudu, więc powinien trochę bardziej się wysilić. Chrapanie na kanapie w czasie tak romantycznego wieczoru było co najmniej nietaktem.

- Dzień dobry, kochanie - odezwał się pełen woli pojednania, gdy wyszła z łazienki i wróciła z powrotem do łóżka. - Jak się czujesz?

Molly w milczeniu narzuciła kołdrę na głowę.

- Czy coś nie tak? - zapytał.

- Sam, czasami tak wszystko utrudniasz... - dobiegł spod kołdry jej pełen gorzki głos.

Cholera, co ją ugryzło?

- Jeśli się na mnie wściekasz, że zasnąłem...

- Nie o to chodzi!

- Więc o co?

- O nic. - Mógłby przysiąc, że przed chwila zaczęła płakać.

- Molly, na litość boską, powiedz mi wreszcie!

- Więc ty naprawdę nie wiesz, tak? - Odrzuciła kołdrę i

potrząsnęła głową z bezradnym wyrazem twarzy. - Naprawdę nie wiesz? - Westchnęła żałośnie i sięgnęła po chusteczkę do szuflady nocnej szafki.

-Ale...

- Pomyśl o tym, Sam. Tylko pomyśl. Zaplanowałam taki wspaniały wieczór, kupiłam szampana... Pytałeś, czy to urodziny, a ja ci na to, że nie. Pytałeś o naszą rocznicę... też nie. Właściwie nie rozumiem, dlaczego muszę ci to wyjaśniać! Powinieneś sam się domyślić.

- Czego?

- A czy nie zauważyłeś, że przybrałam na wadze? Sam jęknął w duchu. Boże, czy kobiety naprawdę nie mają większych problemów?

- Przesadzasz, kochanie, to tylko kilka kilogramów. Nie przejmuj się tym. Wyglądasz jeszcze lepiej, jesteś piękna. Będę miał więcej do kochania - uśmiechnął się i wyciągnął ramiona, by wziąć ją w objęcia.

Jednak Molly odsunęła gwałtownie jego dłonie.

- Są różne przyczyny przybierania na wadze.

- Pewnie. Wszystkie te desery, czekoladki. Och, nie rób sobie wyrzutów, nie chcę, żebyś się tym przejmowała.

Sapnęła bezradnie, wstała i wyszła bez słowa z sypialni.

Ech, kobiety i te ich humory! Nie wiedział, o co jej chodzi, i nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Jej przejdzie, a jego czekało tego dnia mnóstwo roboty. Musiał jechać nad Samotny Strumień i sprawdzić, jak miewa się stado w nowym miejscu.

W kuchni czekały na niego gotowe tosty i kawa.

- Muszę jechać - powiedział.

- Wiem - odparła Molly i otarła łzy z policzków. Nie spodziewał się tego, więc ze zdziwieniem przyjął jej pocałunek. - Pomyśl o tym, co powiedziałam, dobrze? — poprosiła i wyszła z kuchni na werandę.

Dopiero kiedy jechał w kierunku Samotnego Strumienia, wszystko zrozumiał w jednej chwili. Molly była w ciąży. W ciąży!

Miał wrażenie, że jego serce lada chwila rozerwie się ze szczęścia. Natychmiast postanowił zawrócić, aby powiedzieć jej, jak bardzo się cieszy, gdy jednak wstrzymał konia, usłyszał w pobliżu podejrzane głosy i warkot silnika. Zaniepokoił się - to była jego ziemia i nikt nie miał tu prawa wstępu bez jego pozwolenia.

Nie zważając na to, że jest sam i nie ma bronii, wjechał na wzgórze. Zobaczył czterech mężczyzn w mundurach, którzy ładowali na ciężarówkę jego bydło. Oni też go zobaczyli.

To, co stało się później, zdawało mu się zupełnie nierealne i wyglądało jak ujęcie z jakiegoś starego westernu. Jeden z mężczyzn podniósł strzelbę do ramienia i wycelował. Sam zorientował się, że obcy mierzy do niego, więc gwałtownie ściągnął lejce i przywarł do szyi wierzchowca. Zawrócił go, a potem popędził co sił w kierunku rancza.

Strzał usłyszał w tej samej chwili, w której przeszył go rozdzierający ból. Wyrzucił ramiona w powietrze - znów jak na westernie - stracił równowagę i zsunął się z siodła. Na szczęście wcześniej zdołał uwolnić nogi ze strzemion. W ostatnim przebłysku świadomości zdołał westchnąć do Boga o to, by nie zabierał go jeszcze do siebie.

Musiał żyć. Pragnął żyć tak długo, by móc powiedzieć Molly, jak bardzo cieszy się z dziecka.

Scandalous

Rozdział osiemnasty

Monroe tracił cierpliwość. Nie tak to sobie zaplanował. Lojaliści potrzebowali ziemi Wheatona, naprawdę potrzebowali, tymczasem nic nie wskazywało na to, że ją prędko dostaną. Najpierw uparł się stary Walter. Nikogo to nie zdziwiło, bo Walter całe życie wszystkiemu się sprzeciwiał. Kiedy przybyła tu jego wnuczka, Monroe myślał, że wreszcie uda się przejąć to cholerne ranczo, lecz sytuacja jeszcze się pogorszyła - dziewczyna nie wiedzieć czemu nie chciała pozbyć się ziemi, a wsparcie znalazła w tym przybłędzie, Samie Dakocie. Bez niego już dawno sprzedałaby wszystko i jeszcze cieszyłaby się, że ma kłopot z głowy.

Na dodatek kłopotów przysporzyła im śmierć Pearl. Lance twierdził, że to nie jego sprawka; podobno miał alibi. Monroe nawet je sprawdził i ku jego zdumieniu okazało się, że Lance nie kłamie. Rzeczywiście, był w mieście tamtego wieczoru, ale przez cały czas grał w bilard z niejakim Travisem. Barman widział ich i potwierdził tę wersję.

Cholera, najwygodniej byłoby przypisać zabójstwo Dakocie, ale z tego też nic nie wyszło. Ba, gdyby się udało, już Monroe przekonałby Molly do sprzedaży ziemi. Co teraz mieli zrobić, co nowego wymyśleć?

Najbardziej wkurzyło go to, że do zwolnienia Dakoty przyczynił się Russell, jego kuzyn. Do jasnej cholery, to prawda, że tym

przeklętym prawnikom nie można wierzyć, nawet jeżeli należą do rodziny. I jeszcze to jego natrętne dopytywanie się o śledztwo... Czemu się tak przejął tą śmiercią? Czyżby z Pearl coś go łączyło? Niby co? Zakochał się w dziwce? Ech, po takim kretynie wszystkiego się mógł spodziewać...

Jemu też szkoda było dziewczyny, ale nie zamierzał rozpaczać. Pearl sama wybrała sobie takie życie, znała ryzyko. Gdyby dowiedział się, kto ją zabił, chętnie ukarałby sukinsyna, chociażby za to, że pozbawił go zysków, jakie przynosiło jej ciało. No i tych miłych wizyt - skoro zabrakło Pearl, będzie musiał poszukać sobie jakiejś nowej panienki, a zmian za bardzo nie lubił.

I tak nie jest źle, próbował się pocieszać. Mało kto może sobie pozwolić na darmowy seks z profesjonalistką. Dziewczyny wprawdzie zrobiły się nerwowe po śmierci koleżanki (przez co obroty od razu spadły o jedną trzecią), ale przecież znajdzie wśród nich jakąś cycatą blondyneczkę. A może brunetkę, małą, szczuplutką i żywą jak iskierka? Najpierw się trochę pośmieją, a potem nauczy ją paru rzeczy i popatrzy sobie w jej wystraszone oczka.

Ech, i pomyśleć, że kiedyś sprzeciwiał się czerpaniu zysków z prostytucji w tym okręgu...

Gorzej było z Dakotą. Sukinsyn nie chciał się ugiąć, choć wciągnęli w sprawę jego dzieciaki. Lance wymyślił, żeby zapłacić jakiemuś gówniarzowi za wymazanie ściany i powiedział mu, co ma namalować. Chodziło o starszego, ale i młodszy znalazł się w kręgu zainteresowania Lance'a. Złapał biedaka na festynie i trochę

nastraszył. Głupiec! Takie metody tylko rozwścieczyły Dakotę i wzmagaly jego opór, nie mówiąc już o tym, że gdyby sprawa wyszła na jaw, Lojaliści mieliby zszarganą reputację. W sumie dobrze, że Travis uwolnił małego Claya, choć taki samowolny czyn kwalifikował się do kary. W porządku, darują Travisowi, porządny z niego chłop - nie umie tylko ścierpieć, że ktoś robi krzywdę dziecku. Ot, taka słabość.

Prawdę mówiąc, Monroe najbardziej liczył na Burnsa, lecz i ten go zawiódł. Bez pieniędzy Dakota i jego rodzinka zdechliby z głodu. Plan był taki, żeby nie dać im ani centa, a tu proszę - kredycik. Jedyne ratunek w tym, że Dakota go nie spłaci i utopi się w karnych odsetkach.

Była taka szansa, należało jej tylko pomóc - wystarczyło nie dopuścić do tego, żeby Dakota dostarczył bydło na sprzedaż.

Drzwi do gabinetu otworzyły się gwałtownie i do środka wkroczył Lance. Monroe poczuł, jak jego gniew gwałtownie wzrasta.

- Mówiłem ci, żebyś tu nie przyłaził!

- Musiałem. Żle się stało - mruknął Lance. Monroe zacisnął palce na blacie.

- Co znowu, do cholery?

- Travis go zabił.

- Kogo?

- Dakotę. Nie można było nic zrobić.

Monroe złagodniał, uśmiechnął się z satysfakcją. Żle się stało? Dobrze się stało. Dakota pofrunął sobie do nieba, lecz on nie miał ochoty go żałować.

A kto lepiej pocieszy szalejącą z rozpaczy wdowę niż sam Monroe?

Praca była jedynym ratunkiem dla zbolełego serca Molly. Zabrała się do niej z ochotą, licząc na to, że w ten sposób uda jej się zapomnieć o doznanym rozczarowaniu. Jak Sam mógł się nie domyśleć, że jego żona jest w ciąży? No jak? Czyżby mężczyźni rzeczywiście byli tak mało spostrzegawczy? A intuicja?

Najwyraźnie nie mogła liczyć ani na jego dedukcję, ani na intuicję. Trzeba mu będzie wyłożyć wszystko wprost, kawa na ławę, pomyślała i zabrała się do rozwieszania prania.

Gdy usłyszała niespodziewanie tętent kopyt na podwórzu, nowa nadzieja wstąpiła w jej serce. Może to Sam?

Na pewno on, bo któżby inny. Jeśli wrócił tak szybko, to może odgadł wreszcie, co usiłowała mu powiedzieć przez cały wczorajszy wieczór?

Przycisnęła dłoń do brzucha i przeszła na koniec werandy, by ujrzeć przed stajnią przybyłego jeźdźca.

Jeźdźca jednak nie było. Był tylko koń. Tańczył przed stajnią, parskając i potrząsając głową, ale siodło na jego grzbiecie było puste.

Molly tknęło złe przeczucie. Zbiegła szybko po schodkach i zawołała:

- Sam! Sam, gdzie jesteś?

Nie doczekała się odpowiedzi i wiedziała już, że stało się coś strasznego.

Wpadła z powrotem do domu, wygarnęła z szuflady kluczyki do samochodu i popędziła przez podwórze. Ręce drżały jej tak mocno, że nie była w stanie włożyć od razu kluczyka do stacyjki.

Udało jej się wreszcie. Oparła plecy o fotel, znieruchomiła na chwilę i wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Wreszcie przekręciła kluczyk i ruszyła w kierunku Samotnego Strumienia.

Samochód podskakiwał na każdym wzniesieniu. Molly modliła się gorączkowo, żeby choć trochę opanować strach. Nie chciała myśleć o tym, co mogło się stać, usiłowała więc skupić się wyłącznie na prowadzeniu pojazdu, jednak natrętne, przerażające myśli same pchały się do głowy. Czy koń zrzucił Sama? Czy Sam złamał nogę? A może kręgosłup? Boże, nie, przecież miał już jeden wypadek i ledwie udało mu się wrócić do zdrowia. Czy teraz...?

Nacisnęła z całej siły na hamulec. Koła zazgrzytały na żwirze, a ona poleciała do przodu i uderzyła czołem o szybę. To nic. Ważne, że go dojrzała. Mało brakowało, a by przegapiła znajomą sylwetkę na środku pola.

Wyskoczyła z samochodu i co sił pobięła w stronę męża. Szedł przed siebie, słaniając się i potykając. Gdy ją dostrzegł, osunął się na kolana i oparł na ramionach o ziemię. Dopadła do mego, ujrzała krew na jego twarzy i wrzasnęła przeraźliwie.

- Sam!!! Chryste Panie, co ci się stało?!

- Nie jest tak źle - zdołał wykrztusić.

- Jesteś ranny!

- Nowe kłopoty... kochanie - uśmiechnął się słabo i stracił przytomność.

Gdy ją odzyskał, nie miał pojęcia, gdzie jest ani jak się tu znalazł. Głowa pękała mu z bólu, gardło miał suche i piekące, nie mógł patrzeć na światło. Uniósł dłoń, aby osłonić oczy.

- Sam? - usłyszał obok siebie znajomy głos.

Molly, jego żona. To dobrze, bardzo dobrze. Od razu poczuł się lepiej.

- Gdzie jestem? - stęknął.

- W domu, Sam - odparła Molly. - Doktor Shaver przed chwilą wyszedł, ale jest z nami Ginny. Nie wiem, jak dałabym sobie radę bez niej i bez Freda. Pomogli mi przynieść cię do domu...

- Skąd?

- Z pastwiska. Jesteś ranny. Znalazłam cię koło Samotnego Strumienia. Powiesz mi, co się stało?

Sam od razu wszystko sobie przypomniał.

- Zabrali stado - wyszeptał.

- Wiem.

- Pożyczka, Molly...

- Wiem

- Musimy spłacić pięć tysięcy w ciągu najbliższych trzech tygodni.

- Nie myśl o tym teraz. - Delikatnie ścisnęła jego dłoń.

- Na pewno znajdziemy jakieś wyjście.

Dźwignął się z łóżka, próbując wstać, lecz po pierwszej próbie zrezygnował - ból był zbyt silny, ciało za słabe. Boże, co za koszmar. Co teraz zrobią?

- Wszystko będzie dobrze - powtórzyła łagodnie Molly. Położyła dłonie na jego czole, nachyliła się i ucałowała ostrożnie w policzek.

Tak, wiedział, że próbuje go pocieszyć, że nie chce martwić go, gdy jest w takim stanie. Ale tutaj nie mogło być pocieszenia ani żadnej nadziei. Przecież pozbawiono ich bydła, okradziono z jakiegokolwiek nadziei na przyszłość.

- Szeryf... - stęknął i zacisnął palce na jej ramieniu.

- Trzeba porozmawiać z szeryfem.

- Już do niego dzwoniłam - odpowiedziała. - Przyjedzie, jak tylko odzyskasz siły.

- Nie, teraz...

- To niemożliwe, Sam. Naprawdę nie. Teraz musisz odpocząć, tak powiedział lekarz.

Nie umiał dłużej walczyć z bólem, więc przymknął oczy.

Dobrze, odpocznie, jeśli Molly tego chce. Najważniejsze teraz, by ona się nie martwiła. Przecież jest w ciąży.

- Powiedz szeryfowi, że rozpoznam... jednego z nich. Tego ze strzelbą. Sam dobrze mu się przyjrzał. Nie poznał go, lecz gdyby dane mu było ujrzeć drania po raz drugi, nie miałby wątpliwości. Na pewno nie był to nikt z sąsiadów, nikt ze Sweetgrass. Więc kto? I dlaczego?

- Doktor Shaver powiedział, że miałeś szczęście - znów usłyszał głos Molly. - Gdyby kula poszła bardziej w lewo, trafiłaby w sam środek głowy. A tak tylko ześlizgnęła się po czaszce.

- Próbowali go zabić?

Sam drgnął. To był głos Toma. Chłopak wszedł właśnie do pokoju, a z tonu, jakim zadał to pytanie, wnosić można było, że z trudem panuje nad sobą.

- Chcieli go zabić, mamó? - powtórzył. - Kto? Jeśli kiedyś się dowiem...

- Nie wiemy - odparła Molly. - Na razie nikt nic nie wie.

- Mamy kłopoty, prawda? - zapytał chłopiec. Choć ból wciąż przeszywał mu skronie, Sam uśmiechnął się nieznacznie. Tom próbował być prawdziwym mężczyzną. Skoro jego ojciec nie był w stanie chronić rodziny, poczuwał do tego się syn. - Co zrobimy, jeśli nie zdołamy zapłacić pierwszej raty?

- Nie wiem, synku, co zrobimy. Ale na pewno nie musimy teraz o tym myśleć. Mamy czas.

- Trzy tygodnie - zauważył Tom, a Sam zdziwił się, że chłopak tak dobrze orientuje się w sytuacji. - Może bank przesunie termin spłaty?

- Dzwoniłam już do banku - wyjaśniła Molly. - Pan Burns serdecznie nam współczuje, ale twierdzi, że w niczym nie może pomóc.

- No to co zrobimy? - zapytał Tom z desperacją. - Wrócimy do San Francisco? A Sam?

Sam chciał go pocieszyć. Zapewnić, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby tak się nie stało. Wiedział, że zarówno Tom, jak Clay nie chcieliby wracać do Kalifornii. Kiedy jednak próbował otworzyć oczy, znów zalała go fala bólu.

- Niezależnie, gdzie się znajdziemy, Sam będzie z nami - zapewniła tymczasem syna Molly. - Sam jest moim mężem, waszym ojcem...

Uśmiechnął się lekko. Kochał ją, kochał nad życie. I za żadne skarby nie mógł jej zawieść. Ani jej, ani chłopców, ani Walta. I jeszcze kogoś - dziecka, które nosiła w łonie jego żona. Musiał dla nich żyć, pracować. Musiał zdobyć jakoś te cholerne pieniądze, nawet gdyby miał nie spać po nocach przez następne trzydzieści sześć lat.

Russell po raz drugi przeczytał nadesłany faks. Żeby zdobyć tę informację, musiał uruchomić dawne kontakty i poprosić o przysługę kilka osób. Teraz, w obliczu faktów, które właśnie poznał, czuł się oszołomiony i dezorientowany. Nigdy nie przypuszczał, że w kraju działa tyle tajnych ugrupowań, które posługują się w swoich działaniach terrorem, handlem narkotykami i innymi okropnymi rzeczami. Niektóre z nich były nastawione czysto pragmatycznie - wyłącznie na zysk. Inne miały rozmaite „szczytne” cele i zrzeszały fanatyków, gotowych służyć dla realizacji tej czy innej idei i nieczułych na jakiegokolwiek skrupuły. Materiały FBI potwierdzały, że ci są nawet gorsi i bardziej niebezpieczni, gdyż trudniej przewidzieć ich działania.

Tak czy inaczej trop, który odnalazł w sprawie Pearl Mitchell, zawiódł go do grupy Lojalistów z Montany i do członka jego rodziny.

Początkowo był wstrząśnięty i wystraszony, jednak gdy przypomniał sobie krew Pearl na ścianach jej domu, przestał słuchać podszeptów, które sugerowały, by zamknąć buzię na kłódkę i zapomnieć na zawsze o sprawie.

Przecież obiecał sobie, że znajdzie sprawców jej nieszczęścia. Przecież zarzekał się, że morderca odpokutuje za swój czyn, niezależnie od tego, kim się okaże. Przecież tak długo nie mógł znaleźć pociechy po śmierci ukochanej. Jedynie tamta noc, spędzona w letnim domku, przyniosła mu ulgę. Po każdym wspomnieniu, w którym powracał zapach różanych perfum, Russell jeszcze bardziej pragnął odnaleźć człowieka odpowiedzialnego za śmierć jedynej kobiety, którą kiedykolwiek kochał.

Popatrzył na leżące przed sobą papiery. Jeśli wierzyć faksowi, Pearl nie poniosła śmierci z rąk klienta, który wpadł nagle w szal. Od dawna była narzędziem w rękach Lojalistów, a zginęła najprawdopodobniej dlatego, że za dużo wiedziała. Może przeczytała jakiś dokument? Może nie dbali o to, że wpadł w jej ręce, gdyż sądzili, że Pearl nie umie czytać? A przecież umiała, nauczył ją...

Może groziła komuś, że wyjawi prawdę? Może nie chciała dłużej być niewolnicą?

Po raz pierwszy zrozumiał, dlaczego odrzuciła jego oświadczenia. Nie mogła z nikim się związać, skoro nie wolno jej, było decydować o sobie. Russell chciał wierzyć, że Pearl pragnęła się

najpierw uwolnić spod wpływu Lojalistów, a dopiero później go poślubić. Niestety, nie dane jej było, a odpowiedzialność za to ponosił jego kuzyn, ten sam, dzięki któremu ją poznał.

Russell wiedział, że życie bez Pearl nie będzie już nigdy takie jak kiedyś. On też nie będzie tym samym człowiekiem, zaś Sweetgrass na zawsze będzie mu się kojarzyć z koszmarem, który przeżył w ciągu ostatnich tygodni. O tym, że stąd wyjedzie, postanowił już dawno, a nie uczynił tego dotąd tylko dlatego, że obiecał Dakotom pomoc. Teraz sprawy były na dobrej drodze - już niedługo będzie mógł opuścić Montanę z przekonaniem, że zrobił to, co mógł zrobić - pomścił śmierć ukochanej i sprawił, by sprawiedliwości stało się zadość.

Właściwie to nie ma na co czekać, pomyślał i schował faks do szuflady biurka. Wstał, zgasił światło, wyszedł z biura i ruszył powoli na parking. Pod wieczór na dworze zrobiło się zimno. Pewnie jeszcze tej nocy spadnie pierwszy śnieg, pomyślał i czym prędzej schował się przed wiatrem do wnętrza samochodu.

Jakiś impuls kazał mu przejechać obok budynku, w którym kiedyś mieszkała Pearl. Już od miesiąca ktoś go wynajmował, nie mając zapewne pojęcia, że wydarzyła się tu tragedia.

Zatrzymał się obok domu, popatrzył w rozświetlone żółtym światłem okna. Stał tak długo, aż z zimna zaczęły drętwieć mu stopy, wtedy zaś wszedł do pobliskiego sklepu, kupił sobie kanapkę, po czym pojechał prosto do domu.

Wieczór spędził przed telewizorem. Jakies pół godziny po północy położył się spać, przytulony do jedynej pamiątki, jaka pozostała po pięknej Pearl - kawałek szmatki, który dawno przestał już pachnieć jej perfumami.

- Już niedługo, kochana - zdążył wyszeptać przed zaśnięciem - już niedługo wszystkiego się dowiem. Obiecuję, że ten, kto cię zabił, na pewno za to zapłaci. Pamiętasz przecież, że zawsze dotrzymuję swoich obietnic...

Molly usłyszała przez sen brzęczenie budzika i wyciągnęła na oślep rękę, aby go wyłączyć. Nie miała ochoty się budzić ani wstawać z ciepłego łóżka. Woląca otulić się kołdrą i ułożyć głowę na ciepłej piersi Sama. Tutaj, w łóżku, była spokojna i czuła się bezpiecznie. Niestety, tylko tutaj.

Sam zaczął już chodzić i szybko wracał do formy, ale wciąż był w złym humorze i wszystko go irytowało. Oczywiście najbardziej przejmował się utratą bydła. Rozmawiał już wprawdzie z szeryfem, choć jednak od tego czasu minął równo tydzień, Maynard daleki był od znalezienia złodziei, a przede wszystkim od odzyskania skradzionego dobra. Było wprawdzie kilku podejrzanych, lecz w żadnym z nich Sam nie zidentyfikował człowieka, który do niego strzelał, toteż zanosilo się na to, że i ta sprawa zostanie umorzona.

Molly starała się być wyrozumiała wobec mężowskich humorów. Wiedziała, że jest chory i załamany, że obwinia się - nie wiedzieć czemu - o utratę dobytku, że przeżył szok, gdy ktoś próbował go zabić. Przyszedł jednak czas, kiedy i ją zaczęło irytować

zachowanie Sama. Uważała, że skoro i tak popadli w tarapaty, to powinni przynajmniej być dla siebie mili. Ona starała się zachować w domu przyjazny klimat, lecz on całymi dniami chodził po domu milkiwy i ponury.

Chłopcy również zachowywali się okropnie. Kłócili się coraz częściej, zniknął gdzieś entuzjazm, z którym kiedyś pomagali jej w domowych pracach. Tom głównie czytał, z rzadka się odzywając, a Clay zamykał się z psem w swoim pokoju i prowadził z nim długie rozmowy.

Molly westchnęła ciężko i otworzyła oczy. Trzeba wstawać - i tak już nie uśnie. Spojrzała w okno, za którym po szarym niebie wiatr toczył ołowiane chmury, a potem na męża, który wciąż spał, oddychając równo przez sen. Postanowiła go nie budzić, sama zaś wstała, zarzuciła szlafrok i wyszła po cichu z sypialni.

W listopadzie po każdej nocy kuchnia była wyziębiona, więc Molly włączyła szybko piecyk i nastawiła kawę, żeby powietrze się ogrzało. Gdy tylko kawa zabulgotała w ekspresie, do kuchni wpadł Clay.

- Wiesz, że spadł śnieg? - zapytał.

Uśmiechnęła się, słysząc dawno nie słyszane ozywienie w jego głosie. Stanowiło ono miłą odmianę po wszystkich narzekaniach i złościwościach.

- No i co z tego? - zgasił go Tom, schodząc po schodach za bratem.

- Może da się zagrać w hokeja?

- Jak chcesz, to sobie graj.

Molly skarciła Toma wzrokiem, po czym postawiła na stole półmisek placków. Tom nałożył sobie jeden na talerz i polał taką ilością syropu, że w butelce prawie nic nie zostało.

- Ej, ja też chcę! - zaprotestował Clay.

- Nie „chcę”, tylko „proszę”... Zapomniałeś?

- Chłopcy - odezwała się Molly, chcąc zażegnać wiszącą w powietrzu kłótnię - dajcie spokój. I tak mamy kłopoty, więc przynajmniej bądźcie dla siebie mili.

Tom spojrział na nią i wzruszył ramionami, a Clay odezwał się z wyrzutem:

- To on zaczął, on mnie powinien przeprosić.

Śniadanie zjedli w milczeniu. Później Molly zrobiła synom kanapki do szkoły, a oni spakowali swoje książki i powlekli się do drzwi, by na zewnątrz poczekać na szkolny autobus.

- Mamo? - odezwał się żałośnie Clay, zanim nacisnął na klamkę.

- Tak, synku?

- Już nie lubię Montany.

- To nieprawda, Clay, sam o tym wiesz.

- Prawda! Mam to w nosie, czy stracimy to głupie ranczo. Lubię tylko mojego psa.

- Clay...

- Ucieszyłbym się, gdybyśmy wrócili do Kalifornii - dodał malec, a potem otworzył drzwi i wybiegł na zewnątrz.

Molly opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Ciągłe kłótnie i złościwości odbierały jej resztki energii. Nie może na to pozwolić, powinna być pogodna. Stres szkodzi dziecku, które nosi pod sercem.

- O co poszło? - spytał Sam, wchodząc po chwili do kuchni.

- Nie słyszałeś?

- Tylko końcówkę. - Przytrzymał bandaż na głowie i usiadł ostrożnie przy stole, by gwałtowny ruch nie sprawił mu bólu.

- Chłopcy się pokłócili - wyjaśniła. - Wszyscy mamy kiepski nastrój.

- Może jednak powinniśmy spełnić życzenie Claya?

- Jak to?

- Może nie jest za późno, żebyś wróciła z chłopcami do Kalifornii?

Spojrzała na niego zdumiona. Myślała, że Sam żartuje, lecz jeden rzut oka na jego poważną twarz wystarczył, by zrozumieć, że mówił poważnie.

- Tego właśnie chcesz? - zapytała.

Wzruszył ramionami, jak gdyby ewentualny wyjazd żony i dzieci do San Francisco niewiele go obchodził.

- To nie fair, Sam! - wybuchnęła. - Najwyraźniej nie rozumiesz, na czym polega małżeństwo. Przysięga do czegoś zobowiązuje, wiąże ludzi na dobre i na złe. Powinieneś to wiedzieć, zwłaszcza że ślub wzięliśmy z rozsądku i mieliśmy dość czasu, by zastanowić się nad decyzją.

- Chcesz powiedzieć, że na pewno miłość nie zawróciła nam w głowie? - zapytał zgryźliwie.

- Miłość to nie tylko szal namiętności i bijące serduszka, jeśli o to ci chodzi. To odpowiedzialność za drugą osobę, liczenie się z jej zdaniem, wspólne rozwiązywanie problemów. Do licha, myślałam, że to rozumiesz? - skończyła i jej oczy natychmiast wypełniły się łzami.

- Rozumiem - odparł spokojnie. - I dlatego chcę ci ulżyć. Jak na razie ty gorzej wyszłaś na tym małżeństwie.

- Nie opowiadaj bzdur! Nie ufałam ci z początku, byłam złośliwa i podejrzliwa, weszłam w ten związek z dwójką dzieci i urazami z przeszłości... Nie jesteśmy dziećmi, żeby licytować się, kto gorzej na tym wyszedł.

Sam nie powiedział nic więcej. Odwrócił się i bez słowa opuścił kuchnię. Po chwili Molly usłyszała radio w salonie i domyśliła się, że Sam włączył je, by zagłuszyć własne myśli. Ją chciał zagłuszyć, jej uniknąć!

Cóż, nie będzie go błagać o rozmowę. Skoro woli gryźć się w samotności - proszę uprzejmie!

Pozmywała szybko, przebrała się i postanowiła pojechać do Ginny. Nie będzie przecież siedzieć w kuchni i łykać łez. Jest w ciąży, więc powinna dbać o pogodny nastrój. Takie kłótnie na pewno nie służą małżeństwu.

Ginny wyszła na werandę, widząc zajeżdżający na podwórze samochód, i pomachała radośnie na widok sąsiadki. Gdy jednak

ujrzała zapuchnięte od płaczu powieki Molly, natychmiast spoważniała i zapytała z troską:

- Co się stało? Znowu kłopoty?

- Ech... - Molly machnęła ręką. - Nie warto o tym gadać.

Przyszedłam napić się herbaty w miłym towarzystwie i trochę pogawędzić. Można?

- Pewnie, że można, choć podobno moja herbata smakuje jak krowie siki - odparła Ginny. - Tak przynajmniej mawiał Walt, ale nigdy nie odmawiał filiżanki. Może zgadzał się ją pić, żeby móc spróbować mojej szarlotki.

Molly westchnęła żałościwie na wzmiankę o dziadku i zatęskniła za jego pełnym troski spojrzeniem. Zawsze służył jej oparciem, zawsze gotów był pomóc, pocieszyć. Poza tym nawet z najgorszych kłopotów zawsze znajdował jakieś rozwiązanie.

- Trochę za wcześnie na szarlotkę - uśmiechnęła się smutno. - Ale chętnie spróbuję tej herbaty.

Kuchnia Ginny była niewielka, lecz przytulna. Trudno byłoby powiedzieć, że panuje w niej wzorowy porządek, jednak dzięki temu, że na blacie trzeszczało rozbebeszone radio, stół zakrywała w całości rozłożona gazeta, a na lodówce leżały świeżo pootwierane koperty, miało się wrażenie, że w domu tym toczy się życie. Dom Molly i Sama przypominał ostatnio cmentarną kaplicę - tak było w nim ponuro i cicho.

- Grasz w karty? - zainteresowała się Molly na widok zużytej talii, która leżała na jednej z półek.

- Już nie. Od czasu do czasu grywaliśmy z twoim dziadkiem.

- A ta plansza do chińczyka?

- Czasem z nudów gram w chińczyka z Fredem. Ale to nie to samo.

Molly delikatnie dotknęła ramienia staruszki.

- Ja też za nim tęsknię - powiedziała cicho.

- Och, za każdym razem gdy o nim wspomnę, chcę mi się płakać. Dość tego - wytarła oczy chusteczką - powiedz, co u was. Sam już zdrowy?

Molly westchnęła ciężko i pokręciła głową.

- Na pewno nie, skoro zaproponował, żebym wróciła z chłopcami do Kalifornii.

- Nie żartował?

Molly wzruszyła ramionami.

- Jeśli mówił serio, to znaczy, że rzuciło mu się na głowę - zirytowała się Ginny. - Ten twój mąż aż się prosi, żeby ktoś się z nim porachował. Jeśli nikt dotąd tego nie zrobił, ja się za niego wezmę! Za coś takiego palnęłabym go w łeb!

- Już ktoś próbował - przypomniała jej Molly.

- No właśnie. A on zachowuje się tak, jak gdyby żałował, że udało mu się przeżyć.

- Wiem dlaczego, Ginny. Sam obwinia się o to, co się wydarzyło.

- Więc jest bałwanem. Równie dobrze mogliby ukraść moje stado.

- Próbowałam mu to tłumaczyć, ale on nie chce ze mną rozmawiać. Załamiał się. Wygląda mi na to, że ma dosyć tego małżeństwa.

- Bzdura - stwierdziła kategorycznie Ginny. - Nie traktuj poważnie jego fochów. Ani przez chwilę. Może powinnaś powiedzieć mu o dziecku? Pomyślałby przynajmniej o czymś naprawdę ważnym.

- Nie. Skoro nie kocha mnie na tyle mocno, by wspólnie przetrwać ciężkie czasy, to nawet dziecko, go nie wzruszy.

- Może zbyt surowo go oceniasz? - złagodniała nagle Ginny. - Twój dziadek też darł czasem z babcią koty, lecz potem przechodziło mu i przeproszał. A ile było ciężkich chwil w ich życiu, ho, ho!

Molly odruchowo zacisnęła dłoń na kamei.

- Wiem - uśmiechnęła się — czasem mam wrażenie, że patrzą na mnie z nieba i trzymają kciuki, by mi się udało. To mi pomaga.

- A ja mam czasem wrażenie, że widzę przed sobą twoją babkę. Ona też łapała się za ten wisiołek, gdy mówiła o swoich problemach.

- Ta kamea to dla mnie najcenniejsza rzecz pod słońcem - uśmiechnęła się Ginny.

- I pewnie nie myślałaś nigdy o tym, żeby ją sprzedać.

- Skąd!

- Więc nawet nie wiesz, ile jest warta. Czy w ogóle kiedykolwiek ją wyceniano?

- Po co? - Molly nigdy o tym nie pomyślała. Zawsze uważała, że ten drobiazg jest bezcenny i nawet nie próbowała sobie wyobrazić, ile

mógłby kosztować, gdyby zdecydowała się go sprzedać. - Wiem tylko, że pochodzi z Francji albo z Włoch i że ma ponad sto lat.

- Albo i więcej. Pamiętam, że Walt wspominał kiedyś, że to prawdziwy zabytek - mruknęła Ginny. - Wiesz co, Molly? - Spojrzała na nią poważnie. - Domyślam się, co zaraz powiesz, ale moim zdaniem nie zaszkodziłoby, gdyby zerknął na ten drobiazg jakiś jubiler. Kto wie, co jeszcze w życiu was czeka?

Molly przycisnęła kameę do piersi. Z początku chciała się oburzyć, lecz po chwili przypomniała sobie, jak zainteresował się ozdobą właściciel lombardu. Może nie musiałaby jej sprzedawać, ale zastawić, tak jak kiedyś Sam zastawił srebrną sprzączkę?

Tak, to nie był zły pomysł. Pewnie, że wolałaby się nie rozstawać z jedyną pamiątką po babci, ale przecież w ciągu tak krótkiego czasu, jaki pozostał do spłacenia kredytu, nie byli w stanie zdobyć potrzebnych pieniędzy. Nawet gdyby postanowili sprzedać meble czy samochód, nie znaleźliby nabywcy, gdyż obecnie nikt w Sweetgrass nie miał zbędnej gotówki.

- Masz rację - podjęła decyzję. - Nie zaszkodzi, jeśli przyjrzy się jej jubiler.

- Chcesz, żebym z tobą poszła? Po drodze mogłabym wstąpić do ciebie i zrobić awanturę twojemu kochasiowi. Skoro tak lubi się nad sobą rozczulać, to niech ma powód.

- Nie - roześmiała się Molly. - Dzięki za dobrą wolę, ale sama dam sobie radę. A z Samem nie jest jeszcze chyba tak źle...

Przekonana, że na wieść o cudownym rozwiązaniu ich kłopotów, Sam podskoczy do góry z radości, pojechała czym prędzej do domu. Zatrzymała auto na podjeździe, zatrzasnęła drzwi i energicznym krokiem wkroczyła na werandę.

Nie zastała go ani na werandzie, ani w salonie, więc poszła do kuchni, jednak i tu nie było po nim śladu.

- Sam! - zawołała w stronę prowadzących na górę schodów. - Sam, nic się nie stało?

Znał zalecenia lekarza, więc nie powinien wychodzić z domu, pomyślała. Może wrócił do łóżka i usnął?

Wyjrzała przez okno. A jednak gdzieś pojechał - dopiero teraz zauważyła, że na podwórzu nie stoi jego samochód.

- Co za licho cię poniosło? - mruknęła, zła i zaniepokojona.

Rozejrzała się bezradnie po domu i wtedy tknęło ją złe przeczucie. Drzwi szafy w korytarzu były uchylone. Otworzyła je szerzej i zorientowała się, że zniknęła walizka, a gdy pobiegła na górę do sypialni i wysunęła szufladę, w której Sam trzymał bieliznę, ujrzała, że szuflada jest pusta. Jego kapelusza i kurtki też nie było. Nie było ich ślubnego zdjęcia...

Opadła ciężko na łóżko i popatrzyła przed siebie pustym wzrokiem.

Sam ją zostawił.

Nie umiał poradzić sobie z problemami, więc spakował walizkę i uciekł.

Rozdział dziewiętnasty

Jubiler delikatnie obrócił kameę w dłoni i powiedział, z uznaniem kiwając głową:

- Pani przyjaciółka miała rację. To bardzo rzadki wyrób o wielkiej wartości. Nie mogę nawet podać dokładnej ceny, musiałbym najpierw wykonać kilka telefonów.

- Ale tak mniej więcej - zapytała Molly - ile może być warta? Pięćset dolarów, tysiąc?

- Och, o wiele więcej. Raczej pięć czy sześć tysięcy.

- Aż tyle? - Molly zakreśliło się w głowie na te słowa. Tak wysoka kwota poprawiłaby bez wątpienia jej sytuację. - Nie żartuje pan, prawda?

- Ani trochę - odparł z uśmiechem.

Molly miała do niego zaufanie. Jubiler Paul Harder był sympatycznym, sześćdziesięciokilkuletnim grubaskiem o ciemnych, wesołych oczach. Nie słyszano w Sweetgrass, by kiedykolwiek kogoś oszukał, a do jej dziadka odnosił się ze szczególną sympatią. To także on sprzedał Molly i Samowi ślubne obrączki oraz starannie je dopasował do grubości ich palców.

- Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, że jest taka cenna.

- Czy zamierza ją pani sprzedać?

- Jeszcze nie wiem. To znaczy... nie chcę, ale chyba nie będę miała wyboru.

Opuściła wstydliwie oczy, jak gdyby miała zamiar dopuścić się ciężkiego przestępstwa. Ale przecież tak właśnie myślała - sprzedaż, a nawet zastawienie w lombardzie tej rodzinnej pamiątki, była w jej przekonaniu wykroczeniem, zdradzeniem pamięci osób jej najbliższych. Czy babcia wybaczyłaby jej to, gdyby żyła? A dziadek?

- Jak Boga kocham - westchnął pan Harder - ten krwiopijca Burns dręczy każdego farmera w tej okolicy. Jeśli pani chce, podzwonię trochę i popytam, żeby wynegocjować jak najwyższą cenę.

- Byłabym wdzięczna. Chociaż... - zawahała się.

- Tak?

- Chyba wolałabym ją zastawić w lombardzie.

- Słusznie. Ale rzetelna wycena i tak się pani przyda. Nie wezmę od pani ani centa. W imię starej przyjaźni z tym dziwakiem Walterem...

- Dziękuję panu bardzo — Molly uśmiechnęła się doń z wdzięcznością. - Bardzo mi pan pomógł.

- Drobiazg. Proszę zadzwonić za dwa dni. Powiem pani, czego się dowiedziałem.

Molly pokiwała głową, ufna w to, że kiedyś odzyska ceną kameę. Starła się myśleć o przyszłej transakcji jak o niezwyklej „pożyczce”, którą zaciąga u dziadków, którzy są w zaświatach. Gdyby żyli, na pewno by mi pomogli, pocieszała się. I pomogą, nawet po śmierci! Dzięki temu utrzyma ranczo, a dziadkowi na tym przecież zawsze zależało najbardziej. Nie szkodzi, że Sam ją opuścił; nauczyła

się sporo na temat prowadzenia gospodarstwa, a chłopcy jej pomogą, są przecież coraz więksi.

Nawet nie spostrzegła, kiedy na szklany blat w sklepiku jubilera upadła jej łza.

- Przepraszam - powiedziała - niepotrzebnie się rozkleiłam.

- Rozumiem panią. - Paul poklepał ją po dłoni. - Proszę się nie przejmować. Problemy z pieniędzmi często same się rozwiązują, naprawdę.

Wiedziała, że jubiler mówi to po to, żeby nie rozbeczała się na dobre, więc pokiwała głową i nie odezwała się więcej. Tylko w głębi ducha zaśmiała się gorzko. Jej problem nie rozwiąże się sam, cudowne ocalenie z pewnością nie nastąpi. Była realistką i twardo stąpała po ziemi - wiedziała, że teraz, kiedy znalazła się w długach i powtórnie opuścił ją mąż, nadszedł prawdziwy moment próby. Albo wyjdzie z tej próby zwycięsko, albo nigdy się już nie podniesie.

Uda się, powtarzała sobie w myślach po drodze do domu. Musi się udać. Nie może się poddać, skoro ma dwójkę dzieci, a trzecie jest w drodze. Otrząśnie się z rozpacz, zapomni o Samie Dakocie i razem z Tomem i Clayem przetrwają trudny czas.

Tylko jak im powiedzieć, że Sam odszedł?

Zjawiała się w domu na pół godziny przed powrotem chłopców. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że im bez Sama będzie być może trudniej niż jej. Tak mu ufali, tak go podziwiali, tak mu wierzyli - a on ich zawiódł.

Trudno, nic na to nie poradzi. Jeśli sama będzie dzielna, to i dzieci prędzej wezmą się w garść. Jeśli natomiast siądzie i zacznie płakać, zrobi się prawdziwy dom żałoby. Poza tym już raz przecież przeżyli podobny dramat. To może okrutne, ale obaj są zahartowani i doświadczeni, jeśli chodzi o małżeńskie rozstania. Przeżyją.

Tak, dodała niemal natychmiast, tylko że Daniela nie dało się porównać z Samem Dakotą. W żaden sposób. Dopóki ich nie opuścił, Sam był ojcem i mężem idealnym.

Ale w końcu ich opuścił...

Zadzwonił telefon, więc podeszła do niego, by podnieść słuchawkę. Zanim to jednak zrobiła, zawahała się. A może to Sam? Nie powinien usłyszeć radości w jej głosie, najpierw powinna się przygotować.

Podniosła słuchawkę po trzecim dzwonku.

- Ranczo Złamana Strzała? - usłyszała po drugiej stronie rozgorączkowany męski głos. - Mówi Patrick Sparks z Butte Rodeo. Dzwonię w sprawie telefonu pana Sama Dakoty...

Zdziwiła się. Nie miała pojęcia, po co Sam miałby dzwonić do Butte Rodeo.

- Przykro mi, ale go nie ma - odparła krótko.

- Czy w takim razie mógłbym zostawić dla niego wiadomość? To dla mnie bardzo ważne.

Molly westchnęła. Chciała powiedzieć, że nie jest pewna, czy będzie mogła przekazać panu Dakocie tę wiadomość - że właściwie to

jest pewna, że nie - lecz mężczyzna, uznawszy widać, że milczenie oznacza zgodę, powiedział, zanim zdążyła otworzyć usta:

- Proszę mu przekazać, że bardzo żałuję, że nie mieliśmy okazji porozmawiać osobiście. Prawdę mówiąc, nasza sekretarka go spławiła. Już dostała za to nauczkę. Jest młoda i głupia, nie słyszała nigdy tego nazwiska, ale ja... - zawahał się, jakby szukał właściwych słów - ale dla mnie nazwisko Dakota to synonim najwyższego mistrzostwa. Nie było lepszego jeźdźca w historii rodeo - ciągnął z emfazą.

- Nikt nie ujeżdżał byków tak, jak Sam Dakota. Słyszałem, że parę lat temu przeszedł na emeryturę, ale skoro znowu chce występować, będę szczęśliwy, goszcząc go w Butte. To dla nas prawdziwy zaszczyt. Przekaze mu pani to wszystko?

- Więc Sam zadzwonił do rodeo? - powiedziała Molly, bardziej do siebie niż do swego rozmówcy.

- Tak, z samego rana. Niestety, nie było mnie w biurze, a ta idiotka... - przerwał. - Gdybym był, mógłbym z nim gadać i dwie godziny. Chętnie pogawędziłbym z taką legendą, jak Sam Dakota.

- A czy... czy teraz odbywają się jakieś inne rodea? - zapytała, tknięta nagle nowym domysłem.

- Sezon właściwie się kończy, ale gdyby pan Dakota miał ochotę występować w przyszłym roku...

- A dzisiaj? Teraz? - przerwała mu Molly.

- Dzisiaj? W piątek? Rodeo odbywa się w weekend. W Missoula organizują chyba w sobotę pożegnanie sezonu.

- Dziękuję - powiedziała Molly. - Dziękuję panu bardzo.

Mężczyzna chciał jeszcze rozmawiać, lecz ona pośpiesznie odłożyła słuchawkę i puściła się pędem do sypialni. Natychmiast sprawdziła półki w szafie - większość ubrań Sama wciąż na nich leżała, brakowało tylko bielizny, dwóch koszul... A więc Sam nie uciekł. Nie wyprowadził się, nie zostawił jej, nie opuścił. Jak mogła oskarżyć go tak łatwo?

Poczuła się nagle tak, jakby wyrosły jej skrzydła. Zrozumiała w jednej chwili, dlaczego Sam zniknął i dlaczego wcześniej dzwonił do rodeo - chciał znowu wziąć w nim udział, wrócić na scenę, zwyciężyć i zarobić tyle pieniędzy, by starczyło na spłacenie pożyczki.

Nie miała wątpliwości, że zrobił to dla nich. Przypomniała sobie ich poranną kłótnię i była pewna, że Sam żałował swych słów - nie chciał, by wrócili do Kalifornii, nie chciał rozstawać się z nią i chłopcami, był gotów zrobić wszystko, by mogli zostać na ranczu. Nawet jeśli oznaczało to powrót do przeszłości, którą kiedyś świadomie porzucił, Sam Dakota był gotów podjąć ryzyko, bowiem oni - jego rodzina - byli tego, warci.

Boże, przecież tak dobrze go znała. Czy nie mogła wszystkiego domyśleć się wcześniej?

- Och, Sam... - wyszeptała. - Ty idioto, ty skończony idioto. Nawet nie myśl, że pozwolę ci wleźć na byka. Już wolę oddać do lombardu kameę...

Drgnęła, słysząc odgłos otwieranych drzwi. Zeszła po schodach do synów, którzy wrócili właśnie ze szkoły z policzkami czerwonymi od mrozu.

- Dobrze, że jesteście - powiedziała. - Zjecie zaraz obiad, a potem jazda na górę do swoich pokoi. Pakujemy się i jutro wyjeżdżamy.

- Można wiedzieć gdzie? - zapytał Tom sceptycznie.

- Na rodeo! - odparła. Przepelniała ją taka radość, że ujęła zimną twarz syna w dłonie i ucałowała go w oba policzki. - Zadzwoń tylko do Ginny i spytam, czy Fred mógłby do nas zajrzeć, żeby nakarmić psy i konie...

- Na rodeo? - Tom popatrzył na nią z obawą. - Dobrze się czujesz, mamó?

- Wspaniale!

- Można wiedzieć dlaczego?

- Wiem - odezwał się Clay - mama znalazła tysiąc dolarów!

- Nie, synku. - Molly pogłaskała go po głowie. - Znalazłam coś znacznie cenniejszego.

- Co? - zapytali jednocześnie Clay i Tom.

- Miłość - wyszeptała. - Miłość.

Sam był zdziwiony, że inni zawodnicy go rozpoznają. Do licha, w końcu od ostatniego występu minęło sporo czasu. Czuł się trochę głupio, bowiem poklepując go po ramieniu i ściskając jego dłoń, sądzili zapewne, że wraca do interesu na dobre i że częściej będą się odtąd spotykać. Tymczasem on traktował ten występ jako

jednorazowy incydent. Chciał zgarnąć główną nagrodę - dokładnie tyle, ile wynosiła wartość pierwszej raty - a potem wrócić na swoje ranczo.

Miał startować jako ostatni. Aby wygrać, musiał utrzymać się na grzbiecie byka przez osiem sekund.

Osiem sekund - mało, a jednocześnie cholernie dużo.

Osiem sekund - i pięć tysięcy dolarów jest jego.

Popatrzył na boks z szalejącym w środku bykiem i poczuł, jak krew zaczyna szybciej płynąć mu w żyłach, dokładnie tak jak kiedyś. Zmrużył oczy, zacisnął wargi. Cholera, nawet nie wiedział, jak bardzo tęsknił za tą zabawą.

Teraz jednak nie mógł sobie na nią pozwolić, była zbyt ryzykowna. Teraz jego miejsce było w Sweetgrass, przy Molly, przy chłopcach, przy dziecku, które miało się narodzić. Zrobi to raz, wyjątkowo. Spłacą tę cholerną ratę i przestaną się wreszcie kłócić.

Byk szarpnął się i uderzył bokiem w ścianę boksu. Za dwie minuty drzwi boksu otworzą się, a byk wypadnie na arenę z Samem na grzbiecie. Czy zdoła go zrzucić, zanim minie osiem sekund? Sam miał nadzieję, że nie - byk był wprawdzie silny, lecz jeździec doświadczony i wysportowany. Wprawdzie jeszcze wczoraj leżał w łóżku z bandażem na głowie, ale robił to tylko dlatego, żeby nie niepokoić żony, której doktor Shaver naopowiadał nie wiadomo czego o możliwych komplikacjach. Sam zapomniał o tym, że był ranny, gdy tylko usłyszał wrzawę na trybunach.

Mimo wszystko się bał. Starał się nie myśleć o tamtym rodeo i tamtym wypadku, ale podświadomie powracał pamięcią do tego feralnego dnia, kiedy najpierw spadł, a potem dostał się między rogi. Cholera, nie był typem samobójcy, nie lubił niepotrzebnie ryzykować i nie zamierzał spędzić reszty życia na inwalidzkim wózku. Może więc...?

Już za późno. Sędzia dał znak i Sam wspiął się na masywne ciało byka. Zwierzę szarpnęło głową i zakołysało się, usiłując zrzucić jeźdźca, lecz ten był na to przygotowany i mocniej ścisnął nogami szeroki grzbiet.

Osiem sekund.

Mocniej zacisnął sznurek w dłoniach. Słyszał, jak krew tętni mu w uszach, przed oczyma stanęła mu twarz Molly. Spiker zapowiedział jego nazwisko i wówczas rozległ się aplauz publiczności. Jeszcze chwila i drzwiczki boksu otworzyły się gwałtownie, a byk wyrwał się na arenę i natychmiast stanął na zadnich nogach.

Osiem sekund.

Nie spaść!

Już tylko siedem...

Wszystko skakało mu przed oczyma, byk szarpał się, wierzgał, stawał dęba. Pięć, cztery, trzy...

Czy to możliwe? Czy wśród publiczności mógł widzieć twarz Molly i Toma? Mignęła mu tylko przez chwilę, ale...

Jeszcze sekunda!

Widownia zerwała się z miejsc i zaczęła wiwatować. Sędzia dał kolejny znak i trzech kowbojów podbiegło do byka, chwytając go i kierując do boksu. A więc udało się, wytrzymał te cholerne osiem sekund. Najdłuższe osiem sekund w swoim życiu. Pięć tysięcy było jego.

Zlazł z byka, opuścił arenę i oparł się o barierkę. Czuł się tak słaby, że aż bliski omdlenia, ale resztką sił trzymał się na nogach. Chciwie przywarł ustami do kubka z wodą, który podał mu ktoś z publiczności. Dopiero kiedy uniósł głowę, zorientował się, że dobrą duszą okazała się Molly. Molly!

Tak, to była ona! Stała jakieś dwa metry od niego! Nie przywidziało mu się - była tutaj, patrzyła na niego i dopingowała go wraz z innymi!

- Kochanie - wyszeptał i wyciągnął do niej ramiona. Zawahała się, jak gdyby nie wiedziała, czy raczej powinna go pocałować i uściskać, czy też zbesztać za to, że o niczym jej nie powiedział, i wygłosić kazanie na temat zgubnych skutków lekceważenia lekarskich zaleceń. Ostatecznie zwyciężyła druga opcja - Molly pokręciła z niezadowoleniem głową, a potem odezwała się surowym tonem:

- Jak mogłeś zostawić mnie bez słowa wyjaśnienia? Nie stać cię było na napisanie choćby krótkiego listu?

- Fred miał cię zawiadomić - odparł Sam i nie chcąc dłużej czekać, wziął żonę w ramiona i przytulił mocno do siebie.

Przepełniała go bezbrzeżna radość, czułość, poczucie przynależności. Jeśliby nawet zastanawiał się przez chwilę, czy nie wrócić do starego życia, to teraz, kiedy trzymał ukochaną w objęciach, był pewien, że zależy mu tylko na niej, na ich małżeństwie, ich rodzinie. Mało tego, w tej właśnie chwili zrozumiał, że kontuzja, która zakończyła jego karierę, była prawdziwym darem niebios. Gdyby nie przeżył wcześniej upadku, szpitala, więzienia, samotnej tułaczki, nie poznałby zapewne Walta Wheatona. A gdyby nie poznał Walta, nie poznałby Molly i jej synów. Czy nie warto było zapłacić takiej ceny?

- Kocham cię, Molly - wyszeptał jej do ucha, rozpromieniony szczęściem, którego smak poczuł przed chwilą tak wyraźnie.

- Poczekaj - odepchnęła go lekko od siebie - zlekceważyłeś mnie.

- Więc nie rozmawiałaś z Fredem?

- Nie, tylko z Ginny.

- Może zapomniał jej powiedzieć. W jego wieku...

- Nieważne - machnęła dłonią. - Co za różnica, czy powiedziałeś jemu, czy jej. Najważniejsze, że świadomie wystawiłeś się na ryzyko. Jak mogłeś?

- Zrobiłem to dla naszej rodziny, kochana.

- A gdybyś spadł?

- Ale nie spadłem,

- Doktor Shaver zabronił ci wstawać.

- Doktor Shaver nie wie, że jestem nie do zdarcia. -Pocałował ją w czubek nosa, potem w usta i dopiero wówczas przytuliła się do niego.

- Och, Sam, już myślałam...

- Tato! Tato! - Clay z całej siły szarpnął za rękaw Sama. - Tam jest ten facet!

- Jaki facet, synku? - spytał, niezbyt zadowolony, że chłopiec przeszkadza mu w tak doniosłym momencie.

- Ten, co mnie porwał! Ma pęknięte sznurowadło!

- Mało to ludzi ma pęknięte sznurowadła?

- Ale wojskowe buty, tato! Ma wojskowe buciory, takie same jak tamten!

Sam natychmiast wypuścił Molly z czułych objęć i kucnął przy chłopcu, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Jesteś pewien?

- Na sto procent.

- Który to?

- Tamten - Clay wskazał na wysokiego osobnika w wojskowej kamizelce, który stał nieopodal areny, gawędząc z jednym z jeźdźców.

Sam rozpoznał go natychmiast. Osobnik był jednym z dwóch, którzy przyszli do knajpy Williego w ten sam wieczór, w którym została zamordowana Pearl. To właśnie ich tak się przestraszyła.

Odsunął chłopca na bok i nie zastanawiając się nad tym, co robi, bez wahania ruszył w stronę wskazanego mężczyzny. Molly chciała go zatrzymać, lecz nie zdążyła i usłyszała tylko za plecami jej głos:

- Biegiem, chłopcy, trzeba sprowadzić szeryfa! Widziałam go wśród publiczności...

Tymczasem Sam już był przy zajętej rozmową parze.

- Musimy porozmawiać - odezwał się i położył dłoń na ramieniu prześladowcy Clay'a. Ten odwrócił się natychmiast i spojrzał na intruza z osłupieniem.

- Niby o czym? - spytał zaczepnie, szybko odzyskując pewność siebie.

- O moim synu.

Mężczyzna najwyraźniej nie miał ochoty na wymianę zdań, bowiem zamiast odpowiedzieć wziął potężny zamach, gdy tylko Sam znalazł się w zasięgu jego ramion, i wyrznął prawym sierpowym w jego szczękę.

Sam nie spodziewał się ciosu. Zachwiał się i wyrznął o ziemię, wówczas zaś przeciwnik podszedł do niego, żeby poprawić uderzenie kopniakiem. Na szczęście nie zdążył - Sam instynktownie rzucił się w jego stronę, złapał go za kolana i zwałił z nóg.

- Sam! - usłyszał gdzieś w oddali głos Molly.

- Przyłóż mu, Lance, zanim zrobi się zbiegowisko - dopingował przyjaciela ten, który przed chwilą z nim rozmawiał.

Lance robił wszystko, by skorzystać z przyjacielskiej rady. Wywinął się z uścisku Sama i teraz próbował przygnieść go do ziemi. Był trudnym przeciwnikiem - ważył więcej niż Sam, stosował chwyt, których Sam nie znał. Na szczęście wściekłość odebrała mu rozsądek, gdyż w pewnej chwili zamiast unieruchomić rywala, który leżał już

prawie na łopatkach, chciał mu zadać kolejny cios, a wówczas Sam szarpnął się i oswobodził ręce. Zdzielił łokciem Lance'a w twarz i na piasek upadły pierwsze krople krwi.

- Sam! - znów usłyszał głos Molly, tym razem tuż za plecami.

Odwrócił się w jej stronę i nakazał, by zeszła z drogi, lecz wówczas ujrzał, że jego żona dzierży w dłoni szpadel.

Lance wykorzystał chwilową dekoncentrację przeciwnika. Wyrznął go głową w twarz i już miał poprawić, gdy powstrzymał go przeraźliwy krzyk kobiety. To Molly zamierzyła się z całych sił i uderzyła szpadlem, by ratować męża. Niestety, nie trafiła Lance'a. Ostrze szpadla spadło na ramię Sama, on zaś jęknął z bólu i bez słowa runął na ziemię.

Kiedy po chwili się ocknął, w ustach miał piach, a na ramieniu plamę krwi. Lance również krwawił obficie, więc najwyraźniej Molly musiała trafić również jego. Najważniejsze zaś było to, że przy rywalu, z którym Sam stoczył przed chwilą walkę, stało już dwóch pomocników szeryfa, którzy trzymali go pod ręce i pilnowali, by nie uciekł. Rozmówcy Lance'a już nie było. Zniknął, jak gdyby rozpułnął się w powietrzu.

- Co tu się dzieje? - zapytał jeden z przedstawicieli prawa.

Sam wyjaśnił powoli, że został zaatakowany przez mężczyznę, kiedy próbował z nim porozmawiać, i że mężczyzna jest najprawdopodobniej nie schwytanym dotąd sprawcą uprowadzenia jego syna.

- W zeszłym tygodniu skradziono nam bydło i postrzelono mojego męża - dodała Molly. - O to też powinniście zapytać tego człowieka.

- Nie zwalicie wszystkiego na mnie - szarpnął się Lance. - Najpierw znajdźcie dowody. A jak macie za dużo pytań, to zwróćcie się do tego bohatera. Zapytajcie go o pewną kobietę, która zniknęła pewnego wieczora w Sweetgrass ze swego mieszkania.

Sam zeszywniał na te słowa.

- To ciebie się bała! Ty pojawiłeś się w barze i przed tobą chciała uciekać! - wykrzyknął.

- Ale ty z nią poszedłeś...

- Mój mąż był już przesłuchiwany w tej sprawie - powiedziała rzeczowo Molly. - Sprawę zna szeryf oraz Russell Letson, który zgodził się nas reprezentować. Tego zaś człowieka mój syn rozpoznał jako sprawcę porwania, którego stał się ofiarą.

- Co tam, chłopcy? Jakiś kłopot? - Przez tłum gapiów przedarł się wreszcie Maynard i spojrzał pytającym wzrokiem na swych podwładnych.

- Szeryfie - ucieszyła się Molly - nareszcie! Ten człowiek próbował porwać Claya. Pamięta pan, wtedy na szkolnym festynie...

- To nie jedyny jego występki - sapnął Maynard. - Jestem tu, by aresztować go jako głównego podejrzanego w sprawie o zabójstwo Pearl Mitchell. Nareszcie mamy drania.

Molly zamilkła, Sam popatrzył na szeryfa, zdziwiony i zdezorientowany. Tymczasem Maynard założył na rękę Lance'a

kajdanki i odprowadził go spokojnie do samochodu. Lance nie protestował.

- Jesteś idiotą! - wrzasnął Gene Maynard, wśród Lojalistów znany jako Monroe. Jechał szybko, by czym prędzej znaleźć się daleko od Missoula. Lance siedział spokojnie na tylnym siedzeniu radiowozu i milczał. - Ty kretynie, ty głąbie! Po coś się wdał w tę cholerną rozróbę? Mało to mamy kłopotów?

Lance najwyraźniej ignorował jego gniew, bowiem w pewnym momencie uśmiechnął się i powiedział:

- Niezły cyrk odstawiłeś z tymi kajdankami. Wszystkim gały wyszły na wierzch.

Zarechotał, zadowolony z siebie, a Monroe spojrzał na niego w lusterku z niechęcią. Prawdę mówiąc, zakucie Lance'a w kajdanki sprawiło mu przyjemność. Ten świr zasłużył sobie na to za wszystkie swoje wpadki. Jego niekompetencja wołała o pomstę o do nieba.

Cholera, od początku denerwował go ten gnojek. Był dla Lojalistów niczym ropiejący ząb dla obolałej gęby - im bardziej go ześ naciskał, tym bardziej uwierał i psuł humor. Ropiejące zęby się wyrzywa, kiedy leczenie nic nie daje, pomyślał Monroe. Trzeba pozbyć się tej zakały Lojalistów, zanim napyta im takiej biedy, że nie będą zdolni zrobić już nic w tym pieprzonym kraju!

- To ty ją zabiłeś, prawda? - zapytał wprost, gdy dojechali do Sweetgrass. Od początku to podejrzewał, a alibi Lance'a uważał za gównie warte. - Podjarałeś się trochę za bardzo i spuściłeś jej lanie, a potem dziwka przestała się ruszać, co?

- Ile razy mam ci powtarzać, że tego nie zrobiłem?

- To kto, kurwa?! - wrzasnął tak głośno, że na moment stracił panowanie nad kierownicą. - Bill Clinton?!

- Każdy w Sweetgrass mógł to zrobić. Ty jesteś szeryfem, ty szukaj mordercy.

- Właśnie znalazłem.

- Ej, najpierw przedstaw dowody - uśmiechnął się Lance, kiedy jednak Monroe nie odpowiadał, zaniepokoił się i zapytał: - Dokąd właściwie mnie wiesz?

- Zamierzam wsadzić cię za kratki. Zasłużyłeś sobie, gnojku.

- Nie zrobisz tego! - wystraszył się Lance. - Nie masz prawa!

- Ja nie mam prawa? To kto je ma, jeśli nie ja? - odparł Monroe z mściwym uśmiechem.

Lance umilkł i pogrążył się w myślach.

- Skąd dzieciak wiedział, że to ty? - zapytał Monroe, gdy zatrzymali się przed biurem szeryfa. - Mów!

- Clay Dakota? Nie mam pojęcia.

- Mówiłem ci, żebyś siedział w ukryciu i trzymał się z dala od ludzi. Dziewczynki, bar, bilard, rodeo... Co to jest, do cholery, wczasy?!

- Człowiek się nudzi, kiedy cały dzień nie ma do kogo się odezwać.

- Biedactwo...

- Poza tym nikt nie zapowiadał występu Dakoty. Nie było go w programie.

- Ciesz się, że tego nie wiedziałeś.

- Niby dlaczego?

Monroe westchnął ciężko. To pytanie dowodziło całkowitej bezmyślności Lance'a.

- Przynajmniej masz wymówkę, że znowu nawaliłeś. Gdybyś wiedział, mógłbyś spowodować jakiś wypadek... W trakcie rodeo co rusz zdarzają się wypadki, nie? Wystarczyło trochę pokombinować, a nasz Dakota jeździłby do końca życia na swoim wózku, ale na pewno nie po swojej ziemi.

- No tak.

- No tak... - powtórzył Monroe złośliwie i zacisnął dłonie na kierownicy. - Wiesz, co znaczy dla nas to, że wygrał?

- Wiem. Zgarnął pięć patyków.

- Jak myślisz, czy Burns się ucieszy, gdy Dakotowie splecą mu w terminie swoją ratę?

- Nie.

- No proszę, zacznasz myśleć, Lance. Szkoda, że trochę za późno.

- Poczekaj, Monroe, trachnę tego cwaniaka.

- Ja cię zaraz trachnę! Jak tylko wejdiesz za kraty.

Wyciągnął Lance'a z radiowozu i pchnął w stronę komisariatu. Teraz nie miał już wyboru. Sam musiał zająć się sprawą Złamanej Strzały. Lojaliści potrzebowali tej ziemi i ją dostaną — już on, Monroe, o to zadba.

Uśmiechnął się pod nosem. Poza wszystkim wykonanie tego zadania sprawi mu przyjemność. Ktoś musi się wreszcie zająć tym Samem Dakotą. On, Monroe, był właściwym człowiekiem.

Sam był zmęczony, lecz szczęśliwy. Wrócił do domu, miał przy sobie rodzinę. Widmo bankructwa przestało zaglądać mu w oczy. Zaryzykował, ale mu się udało i teraz mógł wreszcie nie myśleć o tym, że nie sprostął roli gospodarza, męża i ojca.

Cieszył się, że wszystko tak szczęśliwie się skończyło, cieszył tym bardziej, że po raz pierwszy od bodaj roku szeryfowi udało się schwycić sprawcę przestępstwa. Lance Elkins został aresztowany pod zarzutem morderstwa Pearl, lecz Sam miał nadzieję, że uda się także udowodnić mu porwanie i przetrzymywanie w zamknięciu małego Claya. Być może uda się też wreszcie wyjaśnić sprawę tajemniczych wypadków na jego ranczu - niszczenie ogrodzenia i skrzynek, zepsucie pompy, zatrucie stawu, podpalenie, prześladowanie Toma. Jeśli nie zrobił tego Lance, to może przesłuchanie naprowadzi władze na jakiś trop. Szeryf był tak wściekły na Lance'a, że z pewnością potrafi skłonić go do mówienia.

- Sam? - usłyszał z kuchni wołanie Molly i podniósł z uśmiechem głowę.

No właśnie, jest jeszcze Molly, jego ukochana żona w trzecim - jak wynikało z jego obliczeń - miesiącu ciąży.

- Tu jestem! Możesz ty do mnie przyjść? - odpowiedział. Usiadł na kanapie w salonie i oparł nogi o otomanę. Bolała go głowa, plecy, każdy mięsień jego ciała protestował przy najdrobniejszym ruchu.

Jazda na byku, walka z Elkinsem, cios szpadlem - wszystko to sprawiło, że nie miał teraz ochoty łązić po domu.

- Och... - Molly weszła do salonu i zatrzymała się raptownie.

- Co to za „och”? - Sam otworzył oczy.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Zależy, co chcesz zaproponować. Na pewno starczy mi sił na seansik pod prysznicem.

- Sam, daj spokój! - syknęła i obejrzała się przez ramię, żeby upewnić się, czy chłopcy nie podsłuchują.

- Tom i Clay są na górze.

- Wiem, ale mógłbyś się wstrzymać. Poza tym musimy porozmawiać o czym innym.

- Tak? - Popatrzył na nią, udając zdziwienie. Wiedział, do czego zmierza jego żona i trochę bawiło go jej niezdecydowanie.

Jednak tym razem Molly musiała się mocno zmobilizować, bowiem nie spuściła wzroku jak poprzednio, lecz powiedziała spokojnym, pewnym głosem:

- Wiem, że to nie najlepszy czas na ciążę, ale...

- Niby dlaczego? - przerwał jej natychmiast. Myślał o tym intensywnie przez cały ubiegły tydzień i jakoś nie mógł odnaleźć w sobie śladu żalu czy wątpliwości. Cieszył się, że będzie ojcem. Miał ochotę krzyknąć z radości na całe gardło.

- Ubezpieczenie nie pokryje wszystkich kosztów - odparła trzeźwo.

- No to zapłacimy, ile będzie trzeba.

- A inne wydatki?
- Ten jest najważniejszy.
- Więc ty... się cieszysz?

Nie mógł się powstrzymać - mimo bólu poderwał się do niej i przytulił mocno do siebie najdroższe ciało.

- Chyba nigdy w życiu nie byłem szczęśliwszy. Miałaś wątpliwości, że może być inaczej?

- Och, Sam... - westchnęła tylko i po chwili poczuł na piersi jej ciepłe łzy.

Roześmiał się cicho, poklepał ją po plecach, pociągnął na kanapę. Gdy zaś opadli na miękkie oparcie, coś gwizdnęło obok ich uszu i po chwili na ścianie nad kanapą ujrzeli... ślad po kuli!

Ktoś do nich strzelał?

Sam nie miał wątpliwości - już raz przeżył coś podobnego, i to całkiem niedawno. Złapał Molly za rękę i mimo bólu w zranionym ramieniu zrzucił ją na podłogę.

- Co to? - Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.
- Ktoś strzela - szepnął, przysuwając się do niej.
- Do nas?
- Na to wygląda.
- Nie... to niemożliwe!

Znów usłyszeli wystrzał. W sypialni na górze zaczął przeraźliwie ujadać pies.

- Co się dzieje? - zapytał Clay, wbiegając do pokoju.

- Na ziemię! - ryknął Sam. Pociągnął go za nogę, chłopiec upadł na dywan i w tej samej chwili kula świsnęła tuż nad jego głową.

- Nie ruszajcie się - polecił, a sam poczołgał się w stronę kuchni.
- Nie wyłaźcie stąd pod żadnym pozorem, jasne?

Byli zbyt przerażeni, by odpowiedzieć. Sam poderwał się i dopadł schodów. Tym razem cała seria kul przeszła ścianę za jego plecami.

- Nie! — krzyknęła Molly, lecz jej strach pogłębił tylko jego wściekłość. Dość tego, nie pozwoli strzelać do swojej żony i dzieci jak do kaczek!

Kolejny strzał trafił w szybę, a ta rozprysła się z brzękiem na kawałki.

- Sam! - dobiegł zza drzwi jednego z pokoiów głos Toma. - Jestem tutaj! Co mam robić?

- Właź pod łóżko i się nie ruszaj!

Nie bacząc na kolejną kanonadę, wślizgnął się do sypialni, dopadł do szafki i wysunął najniższą szufladę, gdzie leżał pistolet. Teraz był gotów do rozmowy z tajemniczym strzelcem, który urządził sobie nocne ćwiczenia.

Przeczołgał się do łazienki i wyskoczył przez wychodzące na drugą stronę okno. Kucnął na szerokim parapecie, potem położył się na nim płasko, zaczepił dłonie na krawędzi i po chwili wylądował twardo na ziemi.

Odczekał chwilę, by przyzwycząić wzrok do ciemności. Skulił się i ruszył powoli w stronę załomu, chcąc wyrzeć na podwórze, skąd

zapewne oddano pierwsze strzały. Pocięszał się, że ma nad wrogiem przewagę - on doskonale znał teren. Gdy usłyszał, jak konie w boksach niespokojnie przestępują z nogi na nogę, wiedział już, gdzie ukrył się napastnik.

Przebiegł przez podwórze i przycisnął plecy do ściany stajni. Zaczął posuwać się ostrożnie w stronę wejścia, gdy nagle usłyszał z przeciwnej strony znajomy głos:

- Koniec zabawy, Dakota. Rzuć broń.

Zatrzymał się gwałtownie. Poczłł, jak zimny pot spływa mu po plecach.

- Rób, co ci mówię, albo pociągnę za spust.

- Maynard? - Sam odwrócił się w stronę napastnika.

- Rzuć broń! - wrzasnął szeryf i strzelił mu pod nogi, gdy zaś Sam wykonał polecenie, roześmiał się cicho w ciemności i dodał: - Widzę, że sprawiłem ci niespodziankę.

- To naprawdę ty? - spytał Sam z niedowierzaniem. -Dlaczego?

- Mógłbym ci powiedzieć, ale nie warto. Twoje życie jest już przeszłością, Dakota. W sumie szkoda. Przykro patrzeć, jak kończy żywot gość, który tak bardzo próbował stać się lepszy po wyjściu z kryminału. No, ale cóż, byłeś zbyt uparty, a nie wszystkie historie dobrze się kończą. Ta ma smutny koniec. Kiedy wszyscy uznali, że Sam Dakota całkiem porzucił dawne życie, jego rodzinę napadli nieznani bandyci. Ten dzielny człowiek próbował ich bronić, ale w walce został zastrzelony. Zginąłeś, Dakota, wiesz o tym? A kilka tygodni po twoim pogrzebie całe miasto zaczęło komentować plotkę,

że wymusiłeś małżeństwo z Molly na starym Wheatonie, że podobno mu groziłeś, byle tylko ją przekonał. Biedna Molly będzie zbyt upokorzona, aby spojrzeć komukolwiek w oczy, dlatego szybko zdecyduje się na sprzedaż rancza. Oczywiście cena nie będzie wygórowana...

- Powiedz chociaż, dlaczego tak bardzo zależy wam na tej ziemi? - Sam zacisnął spoutniałe dłonie. Musiał grać na zwłokę. Nie miał pojęcia, co może go uratować, nie miał złudzeń, że szeryf chce go zabić, musiał jednak liczyć na to, że może wydarzy się coś, co przeszkodzi Maynardowi.

- Nie twoja sprawa. Ja i moi przyjaciele jej potrzebujemy.

- Przyjaciele?

Na usta szeryfa wypełził szeroki uśmiech.

- Lojaliści. Jesteś zdziwiony?

Sam słyszał o tej grupie. Wiedział, że aktywnie działa w okolicy. Nie miał jednak pojęcia, kto i po co bierze w tym wszystkim udział. Dla niego była to tylko bezsensowna zabawa w diabła warte spiski.

- Ten kraj odchodzi od nadrzędnych wartości - zaczął tymczasem mówić Maynard. - Każdy to widzi. Jedynym sposobem odzyskania i utrzymania godności Ameryki, jest obalenie tego zgniłego systemu. Musimy się na to przygotować, bo zadanie jest wielkie. Tak się złożyło, że twoja ziemia doskonale nadaje się do przeprowadzania ćwiczeń - wszędzie pusto, wszędzie daleko, teren zróżnicowany. Od dawna mieliśmy na nią ochotę, dlatego starannie przygotowaliśmy cały projekt. To wszystko kosztuje, Dakota, a my

nie możemy pozwolić sobie na marnotrawstwo. Wystarczy, że rząd marnotrawi pieniądze podatników, dając je na jakichś czarnuchów, pedałów i innych pasożytów. Wydaliśmy pieniądze, Dakota, i nie będziemy teraz zmieniać wszystkiego tylko dlatego, że masz ochotę wypasać na ziemi Wheatona swoje krówki.

- Chcieliście, żeby Walt zbankrutował.

- A twoje przybycie pokrzyżowało nam trochę plany. Teraz rozumiesz, dlaczego od początku cię nie lubiłem?

- I jesteście gotowi zabijać dla jakiegoś tam poligonu?

- Szkoda, prawda? Ale to była twoja decyzja, Dakota, sam się w to wpakowałeś. Nie musiałeś tu przyjeżdżać, nie musiałeś żenić się z wnuczką Wheatona. A jeśli nie pojąłeś wcześniej, co chcemy ci powiedzieć...

- To wy robiliście to wszystko! Skrzynki, staw, płot, pompa...

- My - kiwnął głową Maynard. - Sam widzisz, że byliśmy subtelni. Powiem ci coś na koniec, Dakota, należy ci się... Byłeś twardy, żałuję, że znaleźliśmy się po przeciwnej stronie barykady. Lojaliści potrzebują facetów z jajami. Ale cóż - odbezpieczył broń - mówiłem już, że ta historia ma smutny koniec.

- A dlaczego zabiliście Pearl? - zapytał desperacko Sam.

- My? Nie mówiłem ci, że kilka dni po twojej śmierci mieszkańcy miasteczka dowiedzieli się, że to jednak Sam Dakota zapomniał się w zabawie z prostytutką? Podobno regularnie ją odwiedzał, bo jego Molly nie lubiła, kiedy mężuś wiązał ją do łóżka...

- Ale Pearl też nie lubiła, kiedy ktoś ją wiązał, co? - rozległ się nagle w ciemnościach inny głos.

- Russell? - Maynard rozejrzał się zaskoczony.

- To ja, drogi kuzynie. Rzuć broń.

- Wynoś się stąd, póki nie jest za późno! - Maynard syknął przez ramię. - Idź, zanim zapomnę, kim dla mnie jesteś.

- A nie chcesz posłuchać o tym, kto zabił Pearl?

- Świetnie, później mi opowiesz. A teraz wracaj do domciu i zapomnij, że mnie tu widziałeś, jasne?

- Nie, Gene, nie zapomnę - odparł spokojnie Russell - mam bardzo dobrą pamięć. Pamiętam, jak wyglądały sińce na twarzy Pearl, pamiętam pręgi na nadgarstkach, blizny na czole, krew na ścianach jej domu, pamiętam płytki grób przy drodze. Nie zapomnę też niczego, co dzisiaj usłyszałem, możesz być tego pewien. Będę umiał powtórzyć przed prokuratorem każde słowo.

- Zwariowałeś? Co cię nagle napadło?

- Powiedz, co ciebie napadło, Gene. Powiedz nam... Czy cierpiała? Czy błagała, żebyś darował jej życie? Czy prosiła o litość?

- Na litość boską, człowieku, to nie ja ją zabiłem! Oddaj splotę i idź szukaj gdzie indziej, skoro tak kochałeś tę dziewczynę!

- Biłeś ją.

- Dobrze, biłem. Ale to nie ja jestem winien jej śmierci. No, oddaj splotę, bo zrobisz sobie krzywdę. Przecież nie umiesz strzelać, Russell, nawet nie wiesz, czy naboje są w magazynku. Pokazać ci? Poczekaj...

Sam domyślił się, co chce zrobić Maynard, i krzyknął dziko, by ostrzec Russella. Chciał skoczyć mu pomóc, lecz zanim zdążył się poruszyć, wieczorną ciszę przerwał pojedynczy strzał.

Gene Maynard padł na ziemię. Sięgnął ręką do upuszczonego uprzednio pistoletu, ale Sam odrzucił broń nogą i nachylił się nad ciężko dyszącym szeryfem.

- Trafiłeś go - rzucił do Russella, który podszedł właśnie do jęczącego kuzyna.

- Trafiłem. - Russell opuścił pistolet, celując w serce rannego. - I trafię raz jeszcze.

Maynard zwinął się przerażony i zasłonił twarz dłonią, błagając o litość.

- Nie rób tego, Russell - powiedział Sam. - On nie jest tego wart. Oskarżą cię, będziesz siedział w więzieniu, może do końca życia. Niech lepiej on tam trafi.

- Chcę, żeby cierpiał.

- Będzie cierpiał - obiecał mu Sam. - Ci, których wsadził za kraty, dobrze się nim zajmą.

- Nie zabiłem Pearl! - zaprzeczył Maynard ostatkiem sił. - Przysięgam...

Russell zawahał się, słysząc te słowa.

- Ale chciałeś zabić Dakotę. I zabiłbyś, gdybym ci nie przeszkodził.

- Więc ty go zabij... on... on wszedł nam w drogę. Chcieliśmy tu wybudować ośrodek... dla naszych oddziałów... tu i obok... tych dwoje miało umrzeć... Pomóż mi, bracie, jeszcze możesz mi pomóc...

- Burns też jest w to wmieszany, prawda? - zapytał Russell takim tonem, że Maynard stracił nadzieję, że przeciągnie go na swą stronę.

- Człowieku, to była tylko zwykła dziwka! - zawył. - To z jej powodu tak ci odbiło? Co cię obchodzi jej zaszary los?

- Obchodzi - odparł Russell powoli. - Obchodzi...

- Sam! - usłyszeli na podwórku przerażony głos Molly. Przed chwilą światło w domu zapaliło się i teraz Molly biegła do męża ze łzami w oczach. - Boże, Sam, nic ci nie jest?

Chwyił ją w ramiona i mocno przycisnął do serca.

- Nic, na szczęście nic. Nie martw się już, kochana. Tom - zwrócił się do syna, który przybiegł za matką - zadzwoń po karetkę, a potem na posterunek policji w Missoula.

- Więc to był szeryf? - Molly wyglądała tak, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się stało. - On do nas strzelał?

- Tak.

- Ale po co?

- To długa historia. - Pocałował ją, po czym wyjął pistolet z dłoni Russella. - Pewnie nikt z nas jeszcze długo nie pozna jej w całości, ani ja, ani ty, ani Russell. Skąd wiedziałeś, że Maynard przyjdzie mnie zabić? - zapytał, patrząc uważnie na prawnika.

- Przyjmijmy, że Pearl mi powiedziała - Russell uśmiechnął się tajemniczo i odwrócił smutny wzrok. - Mam nadzieję, że przynajmniej wy będziecie szczęśliwi.

Scandalous

Epilog

Pół roku później Gene Maynard vel Monroe, Lance Elkins oraz David Burns zostali po niedługim procesie oskarżeni o szereg przestępstw federalnych i skazani na dożywocie. Tego samego popołudnia, kiedy ogłaszano wyrok, Molly powiła śliczną, zdrową dziewczynkę.

Sam towarzyszył Molly podczas porodu, a lekarz pozwolił, by to on pierwszy wziął dziecko na ręce. Mocno przejęty ojciec trzymał się dzielnie przez kilka godzin, kiedy jednak spojrzał w twarz córeczki, jego ciemne oczy zalśniły od łez.

Gdy później wielokrotnie wspominał tę chwilę, wiedział już, że zapamięta ją jako najszczęśliwszą w całym swoim życiu. Wzruszenie, jakie ogarnęło go, gdy trzymał kruche ciało, krew z jego krwi i kość z kości, nie dało się porównać z niczym. Ani z chwilami sławy w rodeo, ani z pierwszą nocą spędzoną wspólnie z Molly, ani z tą nawet, kiedy ich dziecko zostało poczęte. Narodziny Cassie przyćmiły wszystko.

- Witaj na świecie, Cassie Marie Dakota - mówił, ostrożnie całując czoło maleństwa. - Jesteś cudowna, tak jak twoja matka. Wiesz, że masz dwóch starszych braci, którzy będą cię kochać i rozpieszczać do granic możliwości? Tatuś zresztą też...

Molly dzielnie zniosła poród, a gdy doszła już do siebie i mogła przestać się bać o los córeczki, wręczyła mężowi wykupioną kilka dni wcześniej srebrną sprzączkę.

- To nagroda - uśmiechnęła się do niego - za to, że byłeś taki dzielny.

- Dziękuję... - Zapatrzył się na żonę z miłością. - Wykupiłaś ją, wzięłaś do szpitala?

- Postanowiłam, że tego dnia to będzie mój amulet.

- Musiałaś oszczędzać, odkładać każdy grosz.

- Warto było. To dzięki tej sprzączce przetrwało nasze ranczo.

Może gdyby nie ona, nie bylibyśmy razem.

- I nie byłoby Cassie. - Sam pokiwał ze wzruszeniem głową. - Wiesz - odezwał się zamyślony - zastanawiam się często, jak to możliwe, żeby zwykłemu włóczędze z rodeo mogło przytrafić się tyle dobrego? Mam ciebie, Toma, Claya, a teraz jeszcze Cassie. Jestem taki szczęśliwy, że aż się tego boję.

- Nie trzeba się bać. Trzeba dziękować za szczęście i cieszyć się, że przyszło.

- Kocham cię, ty moja mądralo.

- I ja cię kocham, kowboju - odparła Molly i przymknęła oczy z błogim uśmiechem.

Następnego dnia Sam powiadomił o narodzinach dziecka swoją rodzinę. Matka ucieszyła się, że wreszcie słyszy syna po dwóch latach milczenia, i obiecała, że zjawi się z całą gromadą krewnych w Montanie, by powitać na świecie nowo narodzoną wnuczkę.

Toma i Claya ucieszyła ta perspektywa - liczyli bardzo na dobrą zabawę w towarzystwie młodszych kuzynów Sama. Jeśli zaś chodzi o siostrę, to fakt jej przyjścia na świat chłopcy powitali z życzliwym zadowoleniem.

- Przyszliśmy obejrzeć Cassie - powiedział Clay, gdy drugiego dnia po porodzie odwiedził matkę w szpitalnej sali.

- E, nawet nie jest taka brzydka jak na dziewczynkę - stwierdził uprzejmie, widząc śpiące maleństwo. - Ale następny będzie brat, dobra?

Tom uśmiechnął się z pobłażaniem. On, w przeciwieństwie do Claya, od początku chciał, żeby urodziła się dziewczynka.

- Będę opiekował się Cassie - obiecał, patrząc na matkę.

- W końcu po coś ma się starszego brata.

- Ja też się będę opiekował! - obruszył się Clay. - Musisz pamiętać, że nie jesteś jedynym starszym bratem.

- A co będzie ze zmienianiem pieluch? Czy to wchodzi, waszym zdaniem, w zakres obowiązków starszych braci?

- zapytała ze śmiechem Molly.

- No pewnie - oświadczył Tom i posłał Clayowi wymowne spojrzenie. - Clay z rozkoszą się tym zajmie.

- Musimy razem do tego się zabrać - rozstrzygnął kwestię Sam. - W końcu wszyscy jesteśmy tutaj debiutantami. Pomożecie mi, chłopcy?

- Nie ma sprawy - zgodził się łaskawie Clay. - Dziadek zawsze mówił, że w życiu nie opłaca się tchórzyc.

- Kurcze - pokręcił głową Tom - gdyby jeszcze pożył te parę miesięcy, to by naprawdę był szczęśliwy.

- Szkoda, że już z nami go nie ma.

- Ależ jest - zaprzeczyła Molly. - Dziadek na pewno teraz na nas patrzy. Na ciebie, Sam, na was, chłopcy, na Cassie... Jestem tego tak samo pewna, jak tego, że kocham was wszystkich. Moja babcia także jest z nami. - Zamknęła oczy i przez chwilę miała wrażenie, że babcia rzeczywiście stoi koło jej łóżka. - Słyszycie? Usiedli sobie w kąciu i ona szepce jemu do ucha: „Znalazłeś dobrego męża dla naszej Molly, Walterze. Bardzo dobrego. -Molly go kocha, chłopcy uwielbiają, a ta ich Cassie to sama słodycz...”

Russell siedział za biurkiem w swoim gabinecie i przeglądał poranną prasę. Kiedy otworzyły się drzwi i do środka weszło dwóch mężczyzn ubranych w ciemne garnitury, spojrzał na nich zdumiony.

- Jak panowie tu weszli?

- Pan Russell Letson? - zapytał jeden z nich.

- Tak - potwierdził Russell - ale jeśli chodzi o poradę, to proszę przyjść jutro. Dzisiaj biuro jest już nieczynne.

- Pójdzie pan z nami - oznajmił drugi mężczyzna.

- Słucham? - Russell wstał z miejsca.

- Przyszliśmy po pana. Proszę iść z nami. Pierwszy wyciągnął legitymację i machnął mu nią przed oczyma. Russell nie zdążył przeczytać nazwiska, zdążył się jednak zorientować, że ma przed sobą agentów FBI.

- Dokąd mnie zabieracie? - zapytał, idąc za nimi ku drzwiom.

Żaden z obcych nie raczył odpowiedzieć na jego pytanie, więc dodał:

- Może powinienem kogoś powiadomić?

- Nie ma potrzeby.

Wyszli na zewnątrz i wsiedli do niepozornego samochodu.

Pierwszy mężczyzna prowadził, drugi usiadł z tyłu, obok Russella.

Przez jakieś dwadzieścia minut jechali w milczeniu, kiedy zaś skręcili z głównej drogi, Russell zorientował się, dokąd zmierzają - agenci wieźli go do jego letniego domku.

Parę minut później samochód wjechał na ogrodzony teren, który był własnością Russella. Zatrzymali się w miejscu, w którym zwykle parkował, wyszli na zewnątrz. Na podjeździe stał już inny pojazd.

- My poczekamy tutaj - oznajmił jeden z nieznajomych.

- Mam wejść do środka?

- A co, boi się pan?

Russell nie bardzo wiedział, czego się spodziewać, jednak posłusznie wszedł do domu. Przeszedł przez korytarz, zajrzał do salonu. Po przeciwległej stronie, pod oknem, stała jakaś kobieta. Opierała się o parapet i podziwiała widok na dolinę.

- Witaj, Russell.

Patrząc pod słońce, nie widział wyraźnie rysów jej twarzy, lecz kiedy się odezwała, od razu ją rozpoznał.

- Pearl?

- Nie spodziewałeś się mnie ujrzeć, prawda? Podeszedł bliżej i popatrzył na nią jak na ducha. Zmieniła kolor włosów, jej policzki

wypełniły się, lekko przytyła. Mimo tych zmian była piękna jak dawniej.

Zaskoczenie było tak silne, że ugięły się pod nim kolana. Osunął się na najbliższe krzesło i wyszeptał:

- A tamta kobieta? To nie byłaś ty...

- Nie - przyznała. - Wiem, że cierpiełaś.

- Myślałem, że zwariuję.

- Przepraszam, nie mogłam nic poradzić. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś się zobaczymy, nie dawano mi takiej szansy. Miałam zmienić tożsamość i wyjechać, lecz po zakończeniu procesu okazało się jednak, że spotkanie z tobą jest możliwe. Poprosiłam o nie.

- Miałaś związek z tym procesem? - zdumiał się Russell.

- To ja kontaktowałam się z FBI - wyjaśniła. - Upozorowali moją śmierć.

- A ja myślałem...

- Wiem - dotknęła dłonią jego ramienia - nie mogłam ci powiedzieć. Musiałeś pozostać z dala od sprawy.

- A krew? Skąd tyle krwi?

- To nie była moja krew.

- Znaleziono ciało.

- Zbieg okoliczności. Można by rzec, że szczęśliwy - uśmiechnęła się smutno. - Ktoś kiedyś zamordował kobietę, której do tej pory nie udało się zidentyfikować. Do tej pory czuję wyrzuty sumienia z jej powodu.

W Russellu zawrzał gniew.

- Jak mogłaś pozwolić, abym uwierzył w twoją śmierć! -
wykrzyknął.

- Nie miałam wyboru. Byłeś krewnym Monroe'a. FBI nie wiedziało, jaki jest twój związek z Lojalistami... Dopiero gdy uratowałeś Sama Dakotę i zgodziłeś się zeznawać, zdobyłeś ich zaufanie. Sprawdzali cię...

- A informacje? Skąd czerpałaś informacje?

- Monroe nie wiedział, że umiem czytać. Zostawiał rozmaite dokumenty bez obawy, że cokolwiek zrozumiem. Ale ty nauczyłaś mnie czytać i dzięki temu mogłam pomóc FBI. Powiadomiłam ich o planach Lojalistów, o spisku, planach morderstw... Pamiętałam prawie wszystko, co tam było napisane. Pamiętasz, jak mówiłaś, że mam fotograficzną pamięć? Proszę - wyszeptała - przebacz mi, nie gniewaj się na mnie...

Russell nie wiedział, co się z nim dzieje. Oto odzyskał Pearl, miłość swego życia. Nie spodziewał się tego w najskrytszych marzeniach, lecz kiedy to się stało, zamiast radości i szczęścia czuł pretensję i gniew.

- Kocham cię - wyszeptała Pearl ze łzami w oczach.

- Teraz już wiesz, dlaczego musiałam cię odrzucić. Jeszcze raz cię przepraszam... Jeśli chcesz, możesz odejść. Agenci odwiozą cię do miasteczka.

- Nigdzie bez ciebie nie pojedę - oświadczył Russell i objął ją pewnym gestem. - Już nigdy.

- Jeśli chcesz, żebyśmy byli razem, musisz porzucić swoje dotychczasowe życie. Staniesz się kimś innym. Otrzymasz nowe nazwisko, adres, może nawet wygląd. To część rządowego programu ochrony świadków.

- Nie ma sprawy. Spełnię każdy warunek.

- Jest jeszcze jeden. - Popatrzyła na niego skupionym wzrokiem.

- Jaki?

- Będziesz mnie musiał kochać. Do końca życia.

- Nie ma sprawy - Russell powtórzył drżącym głosem. - Będę cię kochać. Do końca życia. I jeszcze dłużej.

- Ja ciebie też - uśmiechnęła się Pearl. Jej oczy błyszczały od łez.

KONIEC